

*Czas niepokoju*

*Jagna Rolska*

# SYNOWIE WOJNY



Próseviński i S-ka

*Jagna Rolska*

# SYNOWIE WOJNY

Prószyński i S-ka

Copyright © Jagna Rolska 2023

Projekt okładki  
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce  
© Stephen Mulcahey | [Trevillion Images](#)

Redaktor prowadzący  
Michał Nalewski

Redakcja  
Rafał Dębski

Korekta  
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8295-456-2

Warszawa 2023

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Rafałowi Dębskiemu, przyjacielowi,  
który wspiera moje pisarskie rzemiosło  
od samego początku.*

# ROZDZIAŁ 1

1939

Heleno, nie możesz wyjść. – Przerażona Mania chwyciła kuzynkę za rękę. – Bombardowania co chwilę, więc co niby chcesz wskórać u Malinowskich? Jak dotrzesz na Solec? Czekać na koniec nalotów.

– Muszę do syna! – odparła Helena.

– Przecież widzisz, co się dzieje, drogie dziecko – wtrąciła się sąsiadka z pierwszego piętra, mecenasowa Mirowska. Siedziała wyprostowana z godnością na stercie cegieł, ubrana w najlepsze futro. W piwnicy było duszno, druga połowa września przypominała mieszkańcom Warszawy, że wciąż jeszcze panuje kalendarzowe lato. Mecenasowa trwała jednak na ceglach niewzruszona. Wyciągnęła przed siebie upierścienioną dłoń i wycelowała w Helę palec wskazujący. – Jesteś zbyt rezolutną dziewczyną, żeby robić głupie rzeczy – oświadczyła. – Pan Józef z pewnością nie chciałby...

Głos mecenasowej utonął w kanonadzie. Mania odruchowo zakryła uszy, a Helena przytuliła kuzynkę. Ze ścian posypał się tynk, pokrywając pyłem zgromadzonych w piwnicy mieszkańców kamienicy na Zgodzie. Mecenas Mirowski, jak zwykle w marynarce i pod krawatem, upadł na podłogę przywalony stertą gruzu. W tej samej chwili podmuch zgasił świeczkę.

– Chryste Panie! – wrzasnęła jego żona, podrywając się na równe nogi. – Niech ktoś pomoże!

W kącie piwnicy zapłakało dziecko, a kilka osób rozkaszało się od pyłu, który niemal całkowicie ograniczył widoczność.

– Ludzie! – wrzasnęła Mania.

– Tu już nic się nie da zrobić – odparł flegmatycznie dozorca. Zapalił świeczkę i pochylił się nad zasypanym lokatorem. W migotliwym płomieniu drgające w konwulsjach nogi wyglądały upiornie. – Nie żyje, przykro mi.

– Jezu, ludzie, ruszcie się! – Mania podbiegła do zwałowiska i zaczęła odrzucać na bok cegły. – Ratujcie człowieka!

Kilka osób z piwnicy pospieszyło jej w sukurs, ale bez narzędzi nie dało się nic wskórać. Nogi pana mecenasu znieruchomiały.

– Mamo, boję się! – rozpłakał się jakiś chłopiec.

– O ósmej wieczorem zapowiadano koncert smyczkowy – oświadczyła pogodnie mecenasowa. Jej łagodnie uśmiechnięta twarz nosiła znamiona obłądu.

– Nie odbędzie się. Koncerty były przed wojną – powiedziała twardo Mania. Miała nadzieję, że rzeczowy ton przywoła kobietę do rzeczywistości, lecz jedyną reakcją był przelotny grymas na twarzy mecenasowej.

Helena otworzyła usta, żeby jakoś załagodzić tę absurdalną sytuację, lecz nim znalazła właściwe słowa, kolejny wybuch wstrząsnął kamienicą.

– Wszyscy zginiemy – wyszeptał złowieszczo dziesięcioletni wnuk dozorca. – I nigdy nie wyjdziemy z tej piwnicy.

Nikt nie zaprotestował. Nieliczni mężczyźni apatycznie milczeli, a kobiety szlochały, przyciskając do ust białe od pyłu dłonie. Po trzech tygodniach bezlitosnych bombardowań i ciągłego strachu nie zostało już nic do powiedzenia.

Z tym większym niedowierzaniem lokatorzy kamienicy potraktowali nagłą ciszę, która dzwoniła wszystkim w uszach. Bojąc się nawet głośniej oddychać, mieszkańcy wyszli w końcu na zewnątrz, stawiając ostrożnie stopy pomiędzy kawałkami gruzu leżącego na piwnicznych schodach.

– Szczęściem jakoś nas nie zasypało. – Dozorca pchnął drewniane drzwi, a te otworzyły się bez oporu. – Chyba i dom wciąż stoi.

Ludzie wyszli na ulicę. Ucierpiała lewa strona kamienicy, lecz większość ścian wydawała się nienaruszona. Helena zerknęła nerwowo na wąskie drzwi rodzinnego antykwariatu i serce momentalnie ścisnęło się z żalu. Zakurzone, z łuszczącą się farbą, sprawiały bardzo przygnębiające wrażenie i przywoływały niepotrzebne wspomnienia. Helena nie korzystała z nich od chwili, gdy dowiedziała się o śmierci ojca. Do mieszkania na zapleczu antykwariatu wchodziła zawsze tylnymi drzwiami przez podwórze, a gdy udawała się na miasto, instynktownie wybierała taki kierunek, by nie mijać szyldu z napisem „Antykwariat. Józef Małecki”.

– To dziwne, że tak nagle przerwali ostrzał – mruknęła pod nosem Mania.

– Coś się szykuje – zawtórował jej złowieszczo dozorca. – Ani chybi knują coś chytrego.

\*\*\*

Michał Gutman siedział na krześle zgięty w pół, z twarzą zatopioną w dłoniach. Marzył tylko o tym, żeby zebrać resztkę sił, wstać i uciec jak najdalej od szpitala na Czystem. Po zatłoczonych korytarzach niosły się jęki chorych, a pielęgniarki już od dawna nie wychodziły poza szpitalne mury, żeby pójść do domu. Najbardziej dawała się we znaki niepewność, czy jeszcze będzie do czego wracać, gdy sytuacja w końcu się unormuje. Tylko kiedy to nastąpi? Piekło nalotów trwało już trzy tygodnie, a w tym czasie kompleks szpitalny starozakonnych poniósł dotkliwe straty. Zbombardowany oddział chirurgii nie

nadawał się do użytku, więc wszystko, co udało się uratować, przeniesiono do ocalałych budynków. Efekt był taki, że do chaosu wojennego doszedł chaos organizacyjny.

– Przerwali naloty – oświadczyła przełożona pielęgniarek, bezceremonialnie potrząsając lekarza za ramię.

– Wreszcie. – Michał odetchnął z ulgą. – Mamy jakąś kawę? – zapytał błagalnie.

– Nie mamy – odparła rzeczowo kobieta. – Ale pan doktor powinien się chyba zdrzemnąć.

– Jest druga po południu – zaprotestował.

– A pan jest na nogach od dwóch dni – burknęła.

– Nie mam gdzie – rzekł zrezygnowany. – Mój gabinet przepadł wraz z oddziałem chirurgii. Zresztą wciąż jest tyle do zrobienia! Rannych przybywa. Mam wrażenie, że otworzyły się bramy piekieł.

– Otworzyły się. Ale na szczęście jeszcze nie dotarły do dyżurki pielęgniarek na ortopedii – roześmiała się. – Chodźmy, doktorze. Zanim będę pana miała na sumieniu.

Michał podniósł się z trudem i poszedł za pielęgniarką, apatycznie rozglądając się po korytarzu. Pacjenci leżeli pokotem pod ścianami, a w długim przesmyku między oddziałami panował trudny do zniesienia fetor. Jęki i płacz niosły się ponad skotłowanymi siennikami i kraciastymi kocami, niepranymi pewnie od pierwszego dnia agresji Niemiec.

– Chodźmy – ponagliła pielęgniarka, widząc, że Michał zawahał się i przystanął przy ortodoksyjnej Żydówce w zaawansowanej ciąży. – Wrócimy do niej za kilka godzin. Jeszcze nie rodzi – wyjaśniła, kładąc nacisk na ostatnie słowo. – Za to pan tu zaraz wykorkuje i nici z pomocy pacjentom.

Wiedział, że siostra ma rację. Tak słabo nie czuł się już od dawna. Zdarzało się, że majaczył podczas badania. Jego przemęczony umysł podsuwał mu sielskie wspomnienia lata spędzonego w Juracie z Konradem i Heleną. Zszywając kolejną ranę, zastanawiał się w duchu, czy to możliwe, że zaledwie rok temu biegł boso po złotym, rozgrzanym piasku w stronę spienionych fal Bałtyku. Jego pamięć stanowczo odrzucała wszystko, co wydarzyło się później. Nie chciał myśleć o tym, że jego matka odmawiała schronienia się w szpitalu i tkwiła na Kercelaku, Helena siedzi w więzieniu, a jej syn wychowuje się w domu apodyktycznego rękawicznika z Solca.

– No już! Zaraz będziemy na miejscu. Mamy tam kozetkę, a przy odrobinie szczęścia nikt na niej teraz nie śpi. Czy wspominałam, że kończą się bandaże? Po co ja to mówię? Idziemy!

W pokoju pielęgniarek panował zaduch, lecz żadna z sióstr nie paliła się do otwierania okien. Nic to by zresztą nie dało, władze stanowczo nakazywały zasłanianie ich, więc od świata odgradzały szpital pomalowane na czarno kartony, a na parterze budynku zbite pospiesznie deski.

– Co? To niemożliwe! Nie po to... – Głos młodej kobiety utonął w rozpaczliwym szlochu.

– Co się dzieje? – Michał z trudem powrócił do rzeczywistości.

– Cisza! Słuchajcie! – wrzasnęła jedna z uczennic szkoły pielęgniarstwa. Strzepnęła niecierpliwie fałdy białoróżowej sukni i wskazała brodą odbiornik radiowy.

– *Halo, halo, czy nas słyszycie? To nasz ostatni komunikat. Dziś oddziały niemieckie wkroczyły do Warszawy. Braterskie pozdrowienia przesyłamy żołnierzom walczącym na Helu i wszystkim walczącym, gdziekolwiek się jeszcze znajdują. Jeszcze Polska nie zginęła. Niech żyje Polska!* – rozległ się z eteru głos uwielbianego przez warszawskich słuchaczy redaktora Józefa Małgorzewskiego. Tego samego, który równie dramatycznym tonem ogłosił trzy tygodnie wcześniej wybuch wojny. Tuż po komunikacie dyżurkę pielęgniarek zalały dźwięki polskiego hymnu. Wbrew sobie Michał poczuł, że po plecach przebiegają mu ciarki, a ostatnie tony *Mazurka Dąbrowskiego* dobitnie mu wyjaśniły, że właśnie skończyła się pewna epoka.

– Polaki czy Niemce, i tak nam Żydom nie będzie lepiej, więc to bez różnicy – skwitowała jedna z pielęgniarek. – Oby się tylko te walki wreszcie skończyły.

Michał zacisnął szczęki i wyszedł z dyżurki, zapierając się dłonią o chropowatą ścianę. Doskonale zdawał sobie sprawę z ogromu niesprawiedliwości, z jaką spotykali się na co dzień Żydzi w swojej rodzinnej Warszawie, lecz to było błahostką wobec antysemickiego zła, które właśnie obejmowało mackami miasto.

– Telefon do pana doktora. – Młodziutka uczennica ubrana w słodki biało-różowy uniform bezceremonialnie potrząsnęła go za ramię. – Trzeci raz mówię, a pan doktor nie słyszy!

– Telefon? – zdziwił się.

– Tak. W gabinecie ordynatora ortopedii. – Dziewczyna cmoknęła z niezadowoleniem.

Michał spojrzał na nią przytomniejszym wzrokiem. Choć jej szkolny mundurek był regulaminowo wykrochmalony i wyprasowany, twarz zdradzała ogromne znużenie, a potargane włosy świadczyły, że od dawna nie miała okazji, żeby przejrzeć się w lustrze. – Nie to, żebym się chciała wtrącać, ale przecież jak dzwoni taka sława, to trzeba przerwać nawet rozmowy wojskowych.

Michał przymknął oczy, starając się opanować wzburzenie. Smarkuła miała rację. Konrad nie miał prawa ot tak zajmować łącza telefonicznego. Ale nie umiał nic poradzić na to, że jej przemowa zwyczajnie go zirytowała. Czy po trzech tygodniach harowania bez chwili wytchnienia i snu tak wielkim grzechem było usłyszenie kilku słów od ukochanego człowieka, z którym nawet nie miał kiedy się zobaczyć?

– Gutman przy telefonie – oznajmił sucho do słuchawki, gdy wreszcie dotarł do gabinetu przełożonego.

– Helenę wypuścili z więzienia. Jest w Warszawie. Pan Józef nie żyje. W pierwszym tygodniu zabity w bombardowaniu przy Kercelaku. Nie chciałem przeszkadzać w pracy, ale uznałem, że to ważne. – Konrad mówił pospiesznie, licząc się z tym, że każda sekunda połączenia jest na wagę złota.



– Spotkajmy się na Zgodzie. Kłaniam się – odparł Michał.

– Również się kłaniam. – Znany warszawski aktor wyszeptał słowa będące sekretnym zapewnieniem miłości i odwiesił słuchawkę.

Zupełnie nie rozumiał, czemu to zawdzięcza, ale jego mieszkania w Mokotowie nie dotknęły dotąd nawet najmniejsze niedogodności wojny. Wiedział oczywiście, że nowoczesne osiedle na skraju Warszawy zamieszkują głównie znamienici wojskowi, mnóstwo profesorów akademickich i garstka lepiej sytuowanych aktorów jak Zula Pogorzelska albo on, lecz nadal fenomenem było to, że nie brakowało prądu, woda z rur płynęła jak zwykle, a szyb w oknach nie drasnął żaden pocisk.

Konrad rozumiał powagę sytuacji, lecz pomijając intensywne bombardowanie pobliskiego Okęcia, zupełnie nie odczuł okropieństw wojny. Może poza jedną niedogodnością – armia skonfiskowała jego ukochany samochód. Dzięki temu aktor z przymusu odkrywał uroki komunikacji miejskiej, a gdy po kolejnej fali bombardowań już nie dało się liczyć na tramwaje i autobusy, przesiadł się do dorożek. Problem polegał jednak na tym, że koni w Warszawie też brakowało. Część odesłano na front, niektóre padły od bomb, a inne ze strachu podczas tej niekończącej się kanonady. Pozostałe trafiły na talerze, gdy okazało się, że w mieście brakuje żywności.

– Piesze wędrówki służą zdrowiu i tężyznie – mruknął pod nosem aktor. Założył kapelusz, starannie dopiął marynarkę i ruszył Rakowiecką w stronę Puławskiej. Kamienice Mokotowa wyglądały dokładnie tak jak zwykle. Budynków nie poszarpały bomby, bruk ulic lśnił czystością, a szyby powstałych tuż przed wybuchem wojny sklepów wciąż tkwiły w witrynach. Konrad nie miał pojęcia, czy najeżdźca celowo oszczędzał podczas nalotów młodą dzielnicę, czy był to jedynie zbieg okoliczności, lecz podczas trzech tygodni tego straszego września nieraz odczuł wyrzuty sumienia, że śpi dobrze i nie dotykają go większe niedogodności.

Im bardziej zbliżał się do serca walczącego miasta, tym wyraźniej widział zniszczenia. Zbombardowane kamienice, porzucone okopy, ulice poprzecinane lejami po bombach i ogrom zniszczeń. Do Alej Jerozolimskich dotarł o czwartej po południu, po długim marszu z Mokotowa.

– Nie wiesz pan, dlaczego przestali bombardować? – zagaił nastoletni wyrostek w kraciastym kaszkiecie.

Opierał się o mur, nonszalancko chowając dłonie w kieszeniach. Obojętny wyraz twarzy być może zwiódłby przybysza spoza miasta, ale czujne oczy chłopaka natychmiast zaalarmowały Konrada. Ominął kieszonkowca szerokim łukiem, dziwiąc się w duchu, że nawet tak okropny czas nie odstraszał lokalnych rzezimieszków. Po chwili uznał myśl za głupią. Im będzie gorzej, tym więcej mętów wyruszy na ulice, by łupić co się da w ogarniętym chaosem mieście.

Kamienica na Zgodzie wciąż stała, lecz z obu stron walały się gruzy, a zakopcona fasada z pewnością przeżyła niejedyn pożar. Konradowi ścisnęło się serce, mimo to widok

budynku dodawał otuchy. Uśmiechnął się w duchu do wspomnień niedzielnych wycieczek, gdy parkował przed antykwariatem i porywał Helenę za miasto. Teraz w tym miejscu leżała sterta kostek brukowych. Nie miał pojęcia, czy wyrwały je z nawierzchni bomby nieprzyjacielskich samolotów, czy też mieszkańcy postanowili usypać z nich barykadę.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, ominął zatrzaśnięte na głucho drzwi antykwariatu i powędrował w głąb podwórza. Zapukał.

– Konrad! – Helena nie uśmiechała się. Miała zgaszone oczy i zmęczenie wypisane na twarzy. – Dzięki Bogu! – Rzuciła się w ramiona przyjaciela.

– Heleno... – wyszeptał. – Tak mi przykro z powodu pana Józefa. To wszystko jest takie pogmatwane. Jak to się stało, że nie jesteś... – Konrad urwał, bojąc się rozmowy na trudny temat.

– Amnestia – odparła ze znużeniem.

– Przynajmniej jedna dobra rzecz wynikła z tej wojny.

– Mój ojciec zginął w bombardowaniu. Nic nie jest już dobre. – Hela westchnęła ciężko. – I jeszcze ta cholerna Paulina... – Dziewczyna nie dokończyła. Ukryła twarz w dłoniach i zanosła się szlochem.

To było tak zupełnie niepodobne do twardej, walecznej Heleny, że zdeorientowany Konrad poszukał spojrzeniem Mani.

– Gdy tylko ucichły bomby, Hela pobiegła na Solec, żeby odzyskać syna. Ciotka Maria nie wpuściła jej za próg. Wywiązała się straszna afera, a ta sekutnica prawie zepchnęła Helenę ze schodów. Dobrze, że nie było tego starego tyrana Malinowskiego, bo pewnie by z tego żywa nie wyszła.

– A Poldek? Nie powstrzymał ciotki? – indagował Konrad.

– Przecież skąd on by miał w domu być? – zdziwiła się Mania. – Toż każdy zdrowy chłop, co ma dwie nogi, na wojnę poszedł. Nic więcej nie wiemy, ale Poldka w Warszawie nie ma. Kto wie, może już nie żyje? – dodała scenicznym szeptem.

– Nie mów tak – ofuknął ją ostrzej, niż zamierzał. Dobrze wiedział, że bardziej niż krakanie dziewczyny ubódł go nieświadomy przytyk. Konrad miał wyrzuty sumienia, że nie wstąpił do wojska, choć zdawał sobie sprawę, że jego ofiara na niewiele by się zdała. Niedawno Michał zarzucił mu, że nic nie robi, a mógłby pomagać w szpitalu, gdzie dramatycznie brakowało rąk do pomocy. Z bólem serca odmawiał, choć nie dlatego, że migał się od ciężkiej pracy. Po raz pierwszy w życiu nosił w sercu tajemnicę, którą nie mógł się podzielić z kochankiem.

– Nie płacz, Helu. Coś wymyślimy. A i Poldek pewnie się znajdzie – pocieszył dziewczynę, jednocześnie wysyłając ostrzegawcze spojrzenie Mani. Młódka nie odważyła się skomentować. Zamiast tego pogładziła troskliwie kuzynkę po ramieniu.

\*\*\*

Apoloniusz Malinowski stał z marsową miną obok Moszego Blumana. W milczeniu obserwowali przemarsz oddziałów niemieckich Nowym Światem. Odgłos tysięcy obcasów wybijających rytm na ulicznym bruku wprowadzał upiorny nastrój. Niewielu gapiów obserwowało wrogie wojsko, a i wśród nich trudno było się doszukać jakichkolwiek objawów entuzjazmu.

– Kurwie syny – przeklął stojący obok wyrostek i splunął z obrzydzeniem na chodnik.

– Zachowuj się, szczeniaku – ofuknął go Apoloniusz.

– A pan co? Wielbiciel szkopów? – roześmiał się szyderczo chłopak. – Puknij się w główkę, dziadziu!

Apoloniusza aż zatchnęło z oburzenia. Nie nawykł do podobnych impertynencji, szczególnie ze strony młodych ludzi, w wieku jego własnych synów. Gdy tylko sformułował tę myśl w głowie, poczuł, że zakłuło go coś w klatce piersiowej. Poldek przepadł bez wieści na wojnie, a stary był bezsilny. Nie istniał żaden sposób, żeby dowiedzieć się, co się stało z jego pierworodnym. Myśli pobiegły do młodszego, Janka. Choć starego rękawicznika ogromnie to złościło, nic nie mógł poradzić na to, że wspomnienie niewidzianego od dwóch lat syna nawiedzało go od wybuchu wojny. Poza tym gdyby Poldek się nie odnalazł, jedynym spadkobiercą majątku starego rękawicznika byłby właśnie Janek. Apoloniusz nie miał pojęcia, gdzie go szukać.

– Jak śmiesz, smarkaczu! – wycedził, choć dobrze wiedział, że ten nie ma nic wspólnego z jego wściekłością.

– Daj spokój, Apoloniuszu – wtrącił się majster, kładąc szefowi dłoń na ramieniu. – Ja już się dość napatrzyłem na tę manifestację niemieckiej siły, więc jeśli nie masz nic przeciwko, to wróciłbym do pracowni. Wojna nie wojna, ludzi trzeba pilnować. Sezon zimowy za pasem – podrzucił chytrze.

– Masz rację, Mosze. Nic tu po nas.

– I jeszcze z moškami się zadaje! – roześmiał się wyrostek i splunął pod nogi Malinowskiemu. Ten, nie namyślając się, strzelił go w twarz na odlew. Chłopak aż się zatoczył, a potem chwycił za obolały policzek i czmychnął za innych gapiów.

– Myślałby kto – mamrotał z oburzeniem Malinowski, idąc w stronę Solca. – Ja? Miłośnik Żydów? Dobre sobie! Jaki tam z ciebie Żyd, Mosze?

– Prawdziwy, tylko bez pejsów i chałata – odparł spokojnie majster.

– Aj tam! Nic ty wspólnego z tą zgrają nie masz. Chodźmy się lepiej napić koniaku, póki jeszcze jest. – Apoloniusz wzruszył ramionami.

Mosze Bluman podniósł oczy do nieba, lecz nie skomentował. Zbyt długo znał chlebowca i jego trudny charakter. O porywczosci i oślim uporze rękawicznika krążyły na Solcu legendy. Majster nie umiał jednoznacznie określić, co właściwie sądzi o Malinowskim. Z jednej strony najchętniej wyrzekłby się go za to wszystko, co zrobił swoim synom, lecz z drugiej bardzo cenił za pracowitość i rzetelność.

– Chodźmy – zgodził się Mosze i zrównał krok z Apoloniuszem.

\*\*\*

January Melner z ulgą oglądał swoją kamienicę. Oprócz kilku wypalonych jeszcze na początku września okien nie zauważył więcej zniszczeń. Naloty na Pradze, choć przerażające, nie były aż tak intensywne jak po drugiej stronie Wisły.

– Ciekawe, jak druga kamienica – mruknął do żony. – Muszę iść sprawdzić.

– I cóż to ci teraz da? – zaprotestowała Teresa Melner. – Wpierw chodźmy do mieszkania zobaczyć, czy tam jakich zniszczeń nie ma.

Propozycja brzmiała rozsądnie, więc January skinął głową na stojącą nieopodal córkę, żeby szła za nimi. Krysia zachnęła się w duchu na obcesowe traktowanie, lecz posłusznie ruszyła za rodzicami. To nie był czas na zaprzatanie sobie głowy dobrymi manierami, których, co należało uczciwie powiedzieć, jej ojciec nie miał w nadmiarze.

Nie zdążyli dojść do klatki schodowej, gdy do Melnerów podbiegł zaaferowany chłopak w przyprószonej piwnicznym pyłem marynarce i byle jak naciągniętym na głowę kraciatym kaszkiecie. Krysia rozpoznała pomocnika masarza z zakładu ojca. Chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha i zamknął Melnera w niedźwiedzim uścisku, a potem zaczął mu coś gorączkowo szeptać do ucha.

– Czy tak wypada? – Teresa spojrzała z wyższością na młodocianego pracownika.

– Teraz wszystko wypada, szanowna pani – roześmiał się młokos. Ku oburzeniu Melnerowej, nawet nie uchylił kaszkietu.

– No też coś! – zachnęła się kobieta, odruchowo wygładzając fałdy brudnej, granatowej sukni.

– Zostańcie tutaj, mam coś do załatwienia – oznajmił rzeźnik.

– Mogę iść z ojcem? – wyrwała się zniecka Krysia. Nie miała pojęcia, dlaczego się odezwała. Być może godziny spędzone w piwnicy sprawiły, że chciała zrobić cokolwiek innego niż beczynne siedzenie w oczekiwaniu nie wiadomo na co.

– Chodź! Przyda się dodatkowa para rąk – zdecydował Melner.

Krysia nie była pewna, czy się nie przesłyszała, ale gdy pomocnik z masarni spojrzał wyczekująco, po prostu poszła za nim i za ojcem.

– Tylko taki transport zdobyłem, panie Melner – rzekł chłopak, wskazując na drewniany wózek. – Mam jeszcze kilka worków.

– Wystarczy, zuch z ciebie, Heniu. – Rzeźnik bez dyskusji złapał za jeden z uchwytów i to samo nakazał pomocnikowi. – Krysia idzie z nami – oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ale szefie, dziewczyna? – stropił się wyrostek.

– Wojna jest, nie takie rzeczy jeszcze zobaczy – odparł twardo rzeźnik.

– Się rozumie, szefie. – Chłopak skinął głową.

Zaciekawiona Krysia rozglądała się bacznie, gdy szli praskimi ulicami. Gdźieniedzie chodniki znaczyły leje po bombach, więc musieli schodzić na jezdnię, żeby je ominąć. Za linią drzew unosił się słup dymu, lecz ojciec nie zwrócił na niego uwagi. Weszli do parku,

omijając powalone drzewa. Nie było ich wiele, więc Krysia natychmiast wyobraziła sobie, że to przecież mogłoby się wydarzyć przy pierwszej lepszej wichurze. Otaczający ją świat wyglądał znacznie znośniej, jeśli nie myślało się zbyt wiele o powodach zniszczeń.

– Za tamtymi krzakami widziałem jedną! – Rozemocjonowany Heniek wskazał ręką kierunek.

– Ciekawe, jak zwiąły z ogrodu? – January przystanął, żeby złapać oddech, i zaczął bacznie rozglądać się po wyludnionym parku.

– Bomba pewnie prasnęła w płot i gotowe – zauważył Heniek.

– Czego szukamy? – Zaintrygowana Krysia wyciągała szyję, żeby cokolwiek dostrzec.

W pobliskich zaroślach zaszeleściły żółknące liście, a po chwili wyszła z nich okulała i zdezorientowana gazela Thomsona. Spojrzała na ludzi z ufnością i podkulając zranioną nogę, podeszła bliżej.

– Biedactwo! Pewnie uciekła z zoo. – Krysi serce ścisnęło się z żalu nad losem zwierząt z ogrodu zoologicznego, który nieraz odwiedzała. – Trzeba jej pomóc. Chyba wiele zwierząt ucierpiało przez bombardowania.

– Wiele – potwierdził Heniek, wpatrując się intensywnie w bezbronne zwierzę. – Widziano padłą żyrafę i nie jest jasne, czy po ulicach nie grasuje tygrys.

– Złapiemy ją? – wtrącił January.

– Łatwo nie będzie, bo to szybka gadzina, ale niech szef mi wierzy, bardziej ranne szły w stronę Wisły, żeby dostać się do wody. Trzeba nam na plażę zejść i pewnie znajdziemy płowe, zanim ludzie z Pragi się zlecą.

Heniek miał rację. W zaroślach, tuż przy plaży znaleźli sarnę, dwie antylopy i renifera z szeroką raną na grzbiecie.

– Wystarczy na kilka tygodni – ucieszył się Melner. Poklepał Heńka po plecach i chwycił siekiere leżącą na dnie drewnianego wózka.

– Co ojciec chce zrobić? – zapytała przestraszonym głosem Krystyna.

– Nie twoja rzecz. Idź rzekę pooglądać. Jak będziesz potrzebna, to cię zawołam – odparł Melner.

Krysia odruchowo posłuchała. Od dziecka wpajano jej posłuszeństwo wobec rodziców, więc choć po plecach przebiegł jej dreszcz strachu, bez słowa podreptała po wciąż ciepłym nadwiślańskim piachu w stronę brzegu.

– Czuwaj, Warszawo – wyszeptała na widok morza pożarów po drugiej stronie. Nie miała pojęcia, co tam się dzieje, lecz nietrudno było zrozumieć, że lewobrzeżna Warszawa przyjmuje na siebie najgorsze ciosy od Niemców. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że właśnie tam, też nad brzegiem Wisły jej siostra, Paulina, być może właśnie traci dach nad głową.

– Mam! Nawet się nie rzucała! – Triumfalny głos Heńka sprawił, że Krysia wzdrygnęła się i szczerzej okryła białym od piwnicznego pyłu ulubionym sweterkiem. Miała go na sobie podczas ostatniego spotkania z Ignacym.

– Podawaj worki! – polecił rozentuzjasmowany egzotycznym polowaniem ojciec. – Krysia! Mamy surowiec na najgorszy czas. Tylko nie guzdrz się tam!

Krystyna posłusznie pobiegła i wyciągnęła z drewnianego wózka jutowy worek. Nawet się nie skrzywiła, gdy Heniek napakował do środka poćwiartowane zwierzęta, które uciekły z ogrodu zoologicznego. Trzeba było jakoś przeżyć na brzegu poszarpanej bombami Wisły.

Rozradowani mężczyźni załadowali mięso na wózek i ciągnąc go, zgodnie poszli w stronę Ząbkowskiej. Jej nie pozostało nic innego niż ruszyć za nimi. W tej właśnie chwili zrozumiała, że ta straszna wojna rozdzieli ją z rodzicami na zawsze. Spojrzała na spokojną Wisłę i posłusznie poszła za ojcem. Wsunęła dłoń do kieszeni i pogładziła swój dziennik. Nie mogła się doczekać chwili, gdy wreszcie będzie mogła usiąść w swoim pokoju i coś napisać. W notesie, który kiedyś, w normalnym świecie, подарował jej Ignacy.

\*\*\*

Poldek Malinowski otworzył oczy. Donośny odgłos dzwonu jak co rano brutalnie przerwał niespokojny sen. Chłopak zapatrzył się w surowe belki sufitu i odruchowo dotknął opatrunku na piersi. Minęły już tygodnie, lecz on wciąż się dziwił, że przeżył piekło bitwy pod Mławą. Jakim dziwnym kaprysem losu było to, że odłamek granatu wbił się w miękkie, bezbronne ciało ledwie centymetry od serca. Gdyby ugiął nogi albo cofnął się o krok, trajektoria lotu z pewnością byłaby inna, a dla niego życie skończyłoby się w pierwszym tygodniu września na upiornej łące pełnej krwi, flaków i przerażonych wrzasków niewinnych chłopców wysłanych na pewną śmierć. Poldek często zastanawiał się, czy mieli świadomość, że umierają. On nie miał. Nieraz próbował odtworzyć w pamięci tamte wydarzenia, lecz one pozostawały zamglone, jakby nierzeczywiste.

Dzwon wreszcie umilkł, lecz nie oznaczało to, że będzie mógł ot tak usnąć z powrotem. Z dokładnością co do sekundy do celi klasztornej weszła siostra Bernadetta, jak zwykle z tacą. Jej pomarszczonej twarzy nawet na chwilę nie splamił uśmiech. Patrzyła w milczeniu na podopiecznego.

– Dzień dobry, piękny dzień dzisiaj – zagaił, nie zniechęcony jej oschłością. Zdążył się już przyzwyczaić do milczącej obecności zakonnicy i jej surowego oblicza.

Siostra odruchowo zerknęła w zakratowane okienko. Dzień rzeczywiście zapowiadał się pięknie. Na tle bezchmurnego błękitnego nieba żółte liście wysokich lip wpadały w ognistopomarańczowy odcień. W tym miejscu można było zapomnieć o wojnie.

– Szczęść Boże – mruknęła pod nosem zakonnica i spojrzała na Poldka z przyganą.

– Szczęść Boże – powtórzył posłusznie. Powstrzymał parsknięcie. Siostra Bernadetta potrafiła potępić człowieka za użycie niewinnych słów powitania. Poldek wiedział, że ta surowa kobieta nie była zła. Opiekowała się nim od tygodni, troszcząc się o wszystkie jego

potrzeby. Być może musiała przywdziewać swój pancerz, żeby podołać codziennemu życiu w twardej klasztornej regule.

– Jak się dzisiaj kawaler czuje? – zapytała zakonnica.

– Dziękuję, bardzo dobrze – odparł, po raz kolejny powstrzymując się od sprostowania, że jest żonaty. Miał wrażenie, że sama aluzja do związku z kobietą mogłaby przyprawić zakonnice o palpitacje. Fakt, że zupełnie nie miał ochoty myśleć o Paulinie, był zupełnie inną sprawą. – Siostrzo, kiedy będę mógł wrócić do domu? – zapytał.

– Niedługo – ucięła zakonnica.

– Kiedy ja już się czuję dobrze – zaprotestował.

– Pułkownik powierzył kawalera opiece klasztoru, więc to ja decyduję. Na razie trzeba nabierać sił. Ledwie klomb może kawaler obejść i już zdyszany przystaje. Jeszcze za wcześnie – zawyrokowała.

Poldek położył uszy po sobie. Doskonale wiedział, że siostry uratowały mu życie. Gdy dochodził do siebie po operacji w szpitalu polowym, Niemcy byli już bliscy rozbicia wojsk polskich, a front w błyskawicznym tempie posuwał się w głąb Polski. Kolejnym przegrywanym bitwom towarzyszyła coraz bardziej chaotyczna ewakuacja pacjentów. Wielu ciężko rannych nie było w stanie podołać trudom i marli jeden po drugim jak muchy. Dlatego tych w najgorszym stanie zostawiano gdzie się dało: w chłopskich chałupach, na plebaniach i w domach wiejskich doktorów.

Dla Poldka oraz kilku innych żołnierzy w fatalnym stanie pułkownik wybłagał miejsce w pobliskim klasztorze. Ta decyzja uratowała chłopakowi życie. Doskonale o tym wiedział, więc z wdzięcznością słucał zaleceń. Otarcie się o śmierć sprawiło, że jeszcze bardziej chciał żyć, a jego myśli krążyły wokół syna i Heleny. Nie miał pojęcia, jak dopnie swego, lecz zamierzał oddać Poldusia Helenie. A później odzyskać jej uczucie. Dziwił się w duchu, że pozwolił, by to wszystko, co ich rozdzieliło, tak po prostu się stało. Z perspektywy człowieka, który doświadczył niemal zmartwychwstania, wszystkie powody, łącznie z uporem ojca, wydawały mu się teraz śmieszne. Zdał sobie sprawę, że dotąd wiatry zdarzeń kierowały jego losem bez większego sprzeciwu z jego strony. Zdeterminowany, by wreszcie zacząć żyć po swojemu, aż się palił do powrotu do Warszawy. I nawet wojna nie stanie mu na drodze.

– Chciałbym jakoś się odwdzięczyć za dobroć zakonu. – Zmienił strategię i spojrzał na siostrę Bernadettę z niewinną miną. – Może drewna jeszcze nie narąbię, ale przecież jakaś praca się znajdzie?

– A znajdzie się, dlaczego nie? – Zakonnica wyjęła z kieszeni habitu drewniany różaniec i wsunęła Poldkowi do dłoni. – Odmówić. To zawsze miła Panu Bogu robota. I jeszcze śniadanie jest do zjedzenia.

Chłopak westchnął z rezygnacją i pocałował różaniec. Nie miał sumienia mówić siostrze, że wiarę już dawno stracił, a do kościoła chodzi tylko dlatego, że ojciec nie dałby mu spokoju, gdyby nie pojawiał się na niedzielnej mszy. By nie wspomnieć o ciotce Marii,

którą pewnie przywiódłoby to do kolejnego zaimprovizowanego naprędcie omdlenia albo udawanego ataku serca.

– A chociaż na spacer do klasztorowego ogródka można? – zapytał.

– Można – zdecydowała siostra Bernadetta. – Pogoda w istocie piękna – wygłosiła z ociąganiem w głosie.

Dzwon kościelny ponownie zabił donośnie. Nic podobnego nie zdarzało się wcześniej, więc zdumiony Poldek spojrzał pytająco na zakonnice.

– Boże przenajświętszy, to musi być pożar. – Siostra Bernadetta zbladła. Przeżegnała się i podeszła do okna. – Dymu nie widać – ogłosiła.

Chwilę później drzwi celi zakonnej otworzyły się gwałtownie na całą szerokość. W nich stanęła jedna z nowicjuszek, ciężko łapiąc oddech.

– Niemcy! Niemcy plądrują klasztor – powiedziała przerażona. – Gdzie znajdą rannego mężczyznę, to zabijają na miejscu.

– Boże dopomóż – jęknęła Bernadetta. – Niech kawaler wstaje natychmiast! – poleciała Poldkowi, natychmiast odzyskując rezon. – Nie ma czasu na ubieranie się.

Solidnie przestraszony chłopak podniósł się pospiesznie. Natychmiast się zachwiał, więc zakonnica chwyciła go pod ramię. Pociągnęła bezceremonialnie w stronę drzwi. Wyjrzała przez nie ostrożnie. W korytarzu nie było nikogo, lecz odgłosy wystrzałów i pojedyncze krzyki niosły się z niższych pięter.

– Pospieszmy się lepiej. Za mną! – zarządziła.

– Dokąd idziemy? – zapytała scenicznym szeptem nowicjuszka, ujmując pacjenta pod drugie ramię.

– Do pokoju przeoryszy.

– Mężczyznę? Do celi matki Stanisławy?

– Milcz. Tam nie będą szukali – odwarknęła starsza zakonnica. Ponownie pociągnęła Poldka, zmuszając go do marszu. Starał się współpracować, choć po kilku krokach zrozumiał, że może i jest w stanie podołać niespiesznemu spacerowi po ogrodzie, lecz bieg po korytarzach klasztoru okazuje się zdecydowanie ponad jego siły. Gdy dotarli do niewielkich drzwi ukrytych za wiszącym na ścianie kilimem, nie był już w stanie samodzielnie przełożyć bosych stóp przez wysoki drewniany próg. Jęknął w duchu, widząc przed sobą wąskie spiralne schody.

– Nie dam rady – wysapał.

– Zbierz siły, kawalerze! To tylko jedno piętro. – Siostra Bernadetta zasznurowała usta i porozumiała się spojrzeniem z nowicjuszka. Poldek poczuł, że obrazy zaczynają mu się rozmazywać przed oczami. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim pochłonęła go ciemność, był jasny warkocz młodej zakonnicy, który wysunął się spod welonu, gdy dziewczyna mocniej podparła jego ramię.



## ROZDZIAŁ 2

### Współcześnie

Julia wyjęła z szafy wszystkie bluzy i rozrzuciwszy je na łóżku, nadal nie wiedziała, którą powinna wybrać. Zdawała sobie sprawę, że spotkanie z Filipem w muzeum nie jest żadną randką, lecz i tak chciała dobrze wyglądać. Ojciec zostawił jej w kuchni zaparzoną herbatę, tyle że zupełnie zapomniał o wyjęciu torebki, przez co letni już płyn miał gorzki posmak. Upiła dwa łyki i spojrzała na dwie kanapki z szynką i rozkrojonymi na połówki pomidorkami koktajlowymi. Ojciec o nią zadbał, co jak zwykle sprawiło jej przyjemność, a jednocześnie sprowokowało myśl, dlaczego matka nie przejawia podobnej troski. I to właściwie od kiedy Julia pamiętała.

Nieraz zastanawiała się, czy ta oziębłość wynika z tego, że matka wychowała się w domu dziecka. Julia niewiele wiedziała na ten temat, mogła się tylko domyślać, że dorastanie w takim miejscu musiało być straszne, zwłaszcza że mama była jedynaczką, więc nie miała oparcia także w rodzeństwie. Dziwiło, że doświadczywszy tego wszystkiego, matka nie zdecydowała się na drugie dziecko.

Dziewczyna pospiesznie przełknęła kanapkę i chwilę później pomaszerowała do metra. Uwielbiała Ursynów za to, że mogła dosłownie w kwadrans dotrzeć do Śródmieścia.

Na Wolę dojechała pół godziny później. Wspinając się po schodach pod niebieskim zadaszeniem stacji metra, pomyślała sobie, że cała ta dzielnica, której właściwie wcześniej nie widziała na oczy, jest jakaś nienaturalna, dziwna i zupełnie nie przystaje do Warszawy. Osobliwe wrażenie towarzyszyło jej, gdy owinąwszy się bluzą, powędrowała wąwozem ocienionej drapaczami chmur ulicy w stronę muzeum, w którym miała się spotkać z Filipem. Obawiała się, że będzie musiała go szukać, lecz on stał przed ceglana bramą i uśmiechał się przyjaźnie.

Julia poszła za nim wzdłuż muru aż do wejścia i wbrew nonszalanckiej pozie poczuła się nieswojo. Muzeum już od progu przytłaczało zdjęciami stosów ofiar oraz obrazami ruin wyeksponowanych na ogromnych czarno-białych plakatach. Dziewczyna machinalnie przywitała się z pracownikiem muzeum, który zaprowadził ich do archiwum.

– Rękawiczki są w pudełku na stole – wyjaśnił.

Julia zauważyła, że dziennik już leżał przygotowany na blacie. Dość sfatygowany, w brązowej okładce poprzecieranej na brzegach. Nie wyróżniał się niczym szczególnym,

lecz patrzyła na niego podekscytowana. Idąc za przykładem Filipa, założyła białe bawełniane rękawiczki.

– Zostawię was – oświadczył pracownik. – Jestem przekonany, że historyk i jego uczennica potrafią obchodzić się z archiwaliami.

– Uczennica? – zapytała szeptem Julia, gdy mężczyzna wyszedł z pokoju.

– Och, tak było najprościej, nie uważasz? – Filip wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Szkoda czasu na tłumaczenie.

– Pewnie masz rację. Otwórz wreszcie ten dziennik. Jestem go bardzo ciekawa, chociaż szczerze mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia, czy wniesie cokolwiek do rozwiązania tajemnicy moich pradziadków.

– Praca historyka to żmudna i często nudna robota. Ale powiem ci, że akurat ten dokument z chęcią przejrzę.

– Nie dziwię się. W końcu to historia twojej rodziny.

Julia, nie czekając na reakcję Filipa, ostrożnie otworzyła pamiętnik Krystyny Melner.

– O matko, jaka ulga! – powiedziała po chwili uważnego przyglądania się pierwszej stronie. – Twoja krewniaczka, w przeciwieństwie do pradziadka Poldka, nie leniła się na lekcjach kaligrafii. Można czytać bez trudu. Nie tak jak ten nieszczęsny list. – Na wspomnienie koszmarnych bazgrołów pradziadka aż jęknęła.

– „Krystynie, w dowód przyjaźni – Ignacy” – przeczytał na głos Filip. – Ciekawe, kim był ów Ignacy?

– Myślę, że kimś ważnym dla Krystyny – mruknęła Julia, odwracając kartkę. – Jego imię pojawia się w co drugiej linijce.

– Pierwszą notatkę napisała w trzydziestym ósmym roku.

– Przed wojną – szepnęła Julia z zadumą. – Wtedy, gdy jeszcze trwało normalne życie.

– Już wszyscy mówili o jej wybuchu. Ludzie przeczuwali, że wkrótce się zacznie – powiedział Filip.

– Ale wciąż toczyło się normalne życie. A ludzie, zwłaszcza tak młodzi, chcą po prostu żyć, prawda? Nie myśli się o tym, ponieważ życie w strachu na dłuższą metę nie jest możliwe. Więc rzucasz się w wir zabawy albo zwyczajnie rozkoszujesz się codziennymi małymi przyjemnościami. Albo zwyczajnie wyobraźnia odrzuca możliwość, że stanie się coś złego. Przecież wojny to historia, a życie bez nich to normalność.

– Dopóki nie posypią się bomby...

– Dopóki nie posypią się bomby – zgodziła się. Znienacka ogarnęło ją przygnębienie. Im dłużej zajmowała się sprawą prababci Heleny i pradziadka Poldka, tym mocniej uzmysławiała sobie, że pokój jest sprawą bardzo kruchą i że czasem naprawdę niewiele trzeba, żeby normalność rozsypała się jak domek z kart.

– Czytamy chronologicznie czy najpierw przewertujemy całość? – zapytał Filip.

– A jak będzie lepiej?

– Sądzę, że nie ma to właściwie żadnego znaczenia. Muzeum pozwoliło nam zajmować się pamiętnikiem tak długo, jak tylko chcemy, więc nie musimy się spieszyć.

– Prawdę mówiąc, chętnie zobaczyłabym ostatnią stronę.

– Serio? – Filip spojrzał badawczo na Julię.

– No dobra, powiedzmy, że chciałabym to zrobić, ale to jak podglądanie ostatniej kartki powieści – odparła.

– Niektórzy tak robią. Na przykład mój dziadek Bolek – roześmiał się cicho Filip. – Mówi, że brakuje mu cierpliwości, by czekać na zakończenie, i przez to pędzi z lekturą, na czym cierpi odbiór tekstu.

– Gdyby się tak zastanović, ma to sens. Ale my zacznijmy może od początku – zaproponowała.

– Zatem do dzieła – podchwycił ochoczo. – Jak dotąd jedynie westchnienia do tego Ignacego – zauważył, gdy przeczytali kilka notatek.

– To musiała być jej pierwsza młodzińska miłość. Ciekawe, co z tego wyszło – powiedziała rozmarzonym głosem.

– Zapewne niewiele, skoro nigdy w życiu o nim nie słyszałem. Poza tym, jeśli dobrze liczę, prababcia Krysia miała piętnaście lat, gdy zaczęła pisać ów pamiętnik. Pewnie po tym Ignacym zakochała się w wielu innych chłopakach – zbagatelizował Filip.

– Po trzydziestym dziewiątym roku z pewnością miała co innego do roboty – mruknęła Julia.

– Miłość rodzi się niezależnie od czasów. A ponoć w czasach wojny, gdy los stał się niepewny, uczucia wybuchały z ogromną siłą. Młodzi chcieli żyć chwilą, bo każda mogła być ostatnią. Ale nie wyprzedzajmy faktów i czytajmy dalej. Krystyna sama nam pewnie wyjaśni, co stało się z Ignacym.

– Słusznie. Bierzmy się do pracy – odparła z entuzjazmem i pochyliła głowę nad brązowym notesem.

\*\*\*

1939

Sprawa wygląda tak, że powierzyła pani opiekę nad synem jego ojcu i tylko on może przystać na to, żeby dziecko oddać – powiedział adwokat.

– Przecież jego ojciec gdzieś zaginał w wojennej zawierusze. Jak więc miałby mi zwrócić Poldusia? Oddałam jemu i jego żonie dziecko, bo... – Helena zawahała się. Prawnik wiedział, rzecz jasna, gdzie Helena spędziła ostatnie tygodnie, ale słowa o pobycie w fordońskim więzieniu jakoś nie chciały jej przejść przez gardło.

– Rozumiem to, oczywiście, ale bez zgody ojca nic nie zrobimy. Chyba żeby przyszło zawiadomienie o śmierci...

– Boże uchowaj! – Helena aż się wzdrygnęła.

– Zatem oddanie sprawy do sądu nic nie wniesie? – Konrad położył papierosa na mosiężną popielniczkę.

– Nic – potwierdził mecenas i postukał palcami w blat mahoniowego biurka. – Poza tym rozejrzyjcie się państwo wokół siebie. Nasze sądy za chwilę przestaną istnieć. Okupant nie pozwoli na żadną polską samodzielność.

– Może nie będzie tak źle? Okupant czy nie, ale praworządność jest niezbędna. – Konrad spojrzął z nadzieją na prawnika.

– Miasto przecież musi dalej działać – wtrąciła się Helena.

– Być może, ale nie spodziewałbym się sprawiedliwości dla Polaków. A już w szczególności dla nas – powiedział mecenas, patrząc znacząco na Helę.

– Dla nas? – powtórzyła niepewnie.

– Dla Żydów.

Helena westchnęła ciężko. Przed oczami stanęły jej wspomnienia z opanowanego przez hitlerowców Sopotu, z którego najpierw musieli uciekać ona i Konrad z Michałem, a potem biedna Mania. O losie stryjostwa i Zośki nawet nie chciała myśleć. Wiedziała, że Niemcy są zaślepieni, opętani nienawiścią do wszystkiego, co żydowskie, lecz dotąd szaleństwo działa się za granicą i nie dotyczyło domu. Warszawy.

– A gdybyśmy odbili dziecko siłą? – zapytał poirytowanym tonem Konrad. Przeczesał dłonią nabrylantynowane jasne włosy i wstał z krzesła. Założył ręce za plecami i zaczął się przechadzać po gabinecie mecenasa.

– Jest to oczywiście jakiś pomysł, choć jeśli ktoś zapyta, udam, że nigdy tych słów nie słyszałem – powiedział wolno prawnik. – W podbitym kraju pewnie nikt się nie zainteresuje losem jednego niemowlęcia. Oczywiście jeśli nowa rodzina nie ma żadnych związków z Niemcami.

– Nie ma – potwierdziła gorliwie Helena.

– Jesteś pewna, Helu? – zapytał Konrad.

– Cokolwiek sądzę o rodzinie Malinowskich, z pewnością są zwyczajnymi Polakami – odparła.

– Paulina Melner. – Nazwisko żony Poldka mecenas wymówił ze szczególnym naciskiem.

– Melnerowie to rodzina rzeźników z Pragi. Może i są majątni, ale nie sądzę, żeby byli kuzynostwem Hitlera – roześmiała się nerwowo Helena.

– Wie pani, skąd pochodzi ich nazwisko? – indagował mecenas.

– Nie mam pojęcia. Nigdy się tym nie interesowałam. Do czego właściwie szanowny pan zmierza?

– To pospolite, lecz niemieckie nazwisko. Okupant dla zasady stanie po ich stronie. Szczególnie że pani jest... – Prawnik zamilkł taktownie.

– Żydówką. W połowie – skwitowała Helena z rezygnacją. – Nie przypuszczałam, że to może mieć wpływ na odzyskanie mojego dziecka.

– Droga pani, ja nie przypuszczałem, że przez miesiąc będziemy siedzieć jak szczury w piwnicach, kryjąc się przed bombardowaniami. Powiedzmy to sobie uczciwie. Tylko dzięki kapitulacji możemy tu teraz rozmawiać.

– Te alarmy przeciwlotnicze były lepsze niż świadomość, że Niemcy zajęli Warszawę – powiedziała ze złością Helena. – Chodźmy, Konradzie. Nic tu po nas.

– Uszanowanie – wymamrotał Konrad w stronę mecenasa i ruszył za wściekłą dziewczyną. Dogonił ją u dołu marmurowych schodów eleganckiej kamienicy niedawno wybudowanej przy Puławskiej. – Helu! Zatrzymaj się, do cholery! – wrzasnęła, przytrzymując ją za ramię. – Wiem, że tęsknisz za synem, ale wzburzeniem niczego nie osiągniesz. Co takiego ci zrobił ów prawnik?

– Nie słyszałeś? Przyznał, że lepiej jest dla Warszawy, że Niemcy weszli.

– Nie powiedział niczego takiego. Chodziło wyłącznie o suchy fakt, że mogliśmy się spotkać w jego gabinecie, bo po kapitulacji przerwano ostrzał. Heleno, myśl rozsądnie i nie odgrywaj się na posłańcu, który przynosi złe wieści. To nie na prawnika jesteś zła i nie kapitulacją martwisz się teraz, a Poldusiem. – Konrad ujął dłoń Heli i zaczął ją gładzić uspokajającym gestem. – Odzyskamy go, zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale nie możemy działać pochopnie. Zastanów się. Jeśli odbierzemy go przemocą, będziesz musiała się ukryć. To przecież całkowicie logiczne, że nie zabierzesz dziecka do antykwariatu. Malinowski wraz z policją znajdzie cię tam natychmiast. Oczywiście, zawsze jesteś mile widziana u mnie w Mokotowie, ale jest tajemnicą poliszynela, że się przyjaźnimy. Mój adres jest Malinowskiemu znany. Przyjdą więc i tam. Wreszcie – jak mamy odbić dziecko? Wyrwać z wózka na środku ulicy, gdy Paulina będzie szła z nim na spacer? Zakładając, że w ogóle będzie gdzieś szła. Nie wiemy, w jakim jest stanie psychicznym. Już przed wybuchem wojny miała ogromne problemy, nieprawdaż? Z drugiej strony umyka ci jeszcze jeden ważny aspekt tej sprawy.

– Jaki? – zapytała przygaszonym głosem.

– Przy założeniu, że okupant nie zamknie sądów, to jeśli wystąpisz na oficjalną drogę, tym samym przyznasz, że jest ono w części Żydem. Nie mamy pojęcia, jak zachowają się Niemcy w Warszawie, ale dobrze wiesz, że w Niemczech i Wolnym Mieście weszli w życiorysach do dziesiątego pokolenia.

– Hitler nie odważy się przecież zrobić w Warszawie...

– Przecież to fanatyczny zbrodniarz – Konrad wszedł jej w słowo. – Jeśli zgotował piekło swoim obywatelom tylko dlatego, że są Żydami, to jak sądzisz, na co jest gotów u nas?

Helena nie odpowiedziała. Wiedziała, że Konrad ma rację, lecz rozsądek tłumiała niewyobrażalna tęsknota za dzieckiem. I za Poldkiem. Nic, nawet tragiczna historia ich znajomości, nie zdołało zdusić uczuć, jakie do niego żywiła.

– Wracajmy na Zgodę – zaproponował łagodnie Konrad.

– Wracajmy – zgodziła się.

Ruszyli chodnikiem w stronę Śródmieścia. Mijali częściowo zbombardowane kamienice i potłuczone witryny rozgrabionych sklepów, nawet nie zwracając na nie uwagi. Helenie przemknęła przez głowę myśl, że człowiek potrafi się przyzwyczaić do wszystkiego. Po prawie miesiącu bombardowań walające się gruzy już na nikim w stolicy nie robiły wrażenia.

– Muszę się czymś zająć. Nie mogę ot tak siedzieć z założonymi rękoma i czekać, aż Poldek wróci – powiedziała nagle.

– Zatem zrób coś – odparł Konrad. – Możesz na przykład wrócić na Czyste. Tam przyda się każda para rąk, a ty przecież jesteś pielęgniarką.

– Byłą uczennicą wyrzuconą ze szkoły za udział w przestępstwie – mruknęła.

– Nikt na to nie zwraca teraz uwagi. Jestem pewien, że przyjmą cię z otwartymi ramionami. Zresztą Michał poprze twoją kandydaturę.

– Nie rozumiesz. To właśnie przez niego wstyd mi wracać. Wystarczy mu szeptów za plecami, że ma w rodzinie kryminalistkę – wyjaśniła z rozgoryczeniem.

– Nie jesteś żadną kryminalistką, Helu. Poza tym tam dramatycznie brakuje pomocy przy pacjentach. Jest ich tylu, że nikt z niczym się nie wyrabia.

– Pójdę więc – zdecydowała. – Jutro z samego rana. A ty?

– Co ja?

– Jak zamierzasz urządzić sobie życie na nowo?

– Jeszcze nie wiem. Ale myślę o tym – odparł.

Było mu głupio okłamywać i ją, i Michała, lecz tajemnica, którą nosił w sercu, musiała bezwzględnie nią pozostać.

\*\*\*

Paulina spojrzała na matkę. Oczy miała obojętne, a twarz przypominała woskową maskę. Teresa Melner obserwowała córkę z przerażeniem. Oczywiście wiedziała, że wojna wycisnie piętno na wszystkich, lecz w przypadku Pauliny chodziło o coś więcej. Powróciła dawna melancholia, znów jej nic nie cieszyło. Łącznie z Poldusiem. Mały siedział u Krysi na kolanach i rozkosznie gaworzył, uśmiechając się przy tym od ucha do ucha.

Teresa obrzuciła dyskretnym spojrzeniem salon nowego mieszkania Malinowskich. Wyglądał na przestronniejszy od poprzedniego. Ogromny portret nieboszczki żony Apoloniusza także i tu wyeksponowano na środku ściany. Te same meble wstawione do większego pomieszczenia wydawały się znacznie mniejsze.

– Ładnieście się tu urządzili, Mario – pochwaliła, żeby czymś zatuszować niezręczną ciszę.

– Dziękuję. Odkąd Apoloniusz wreszcie zrobił porządek z lokatorką i przeniósł ją na poddasze, mieszka nam się znacznie wygodniej. A i do piwnicy w czasie nalotów było znacznie bliżej.

Ciotka Maria, ubrana w czarną suknię, skinęła głową w podziękowaniu. Jej zasznurowanych ust nie rozluźnił najbledszy uśmiech. Zamiast tego spojrzała przelotnie na portret nieboszczki siostry i przeżegnała się. Teresę nieustająco zdumiewało, jak pobożna Maria łączyła bez trudu wręcz dewocyjną pamięć o swojej siostrze z grzaniem łóżka jej owdowiałemu mężowi. Oczywiście, o takich rzeczach nie należało wspominać choćby słowem. W dobrym tonie było udawanie, że nic takiego nie ma miejsca. Teresa szybko otrząsnęła się z myśli, bowiem sprawy znacznie ważniejsze zaprzętały jej głowę.

– Paulinko, wiadomo coś o twoim mężu? – zwróciła się do córki. Zawsze była zwolenniczką mówienia prosto z mostu. Uznała, że tylko w ten sposób wyrwie dziewczynę z osobliwego odrętwienia.

Córka spojrzała na nią, lecz wyraz jej twarzy się nie zmienił.

– Nie wiadomo – odparła drętwo.

– Apoloniusz rozpytuje gdzie się da, ale przecież trwa taki chaos, że niczego pewnego dowiedzieć się nie da. Mój Boże, na co to nam przyszło... – Maria wyciągnęła z kieszeni chustkę i otarła oczy. – Czym żeśmy zgrzeszyli, że nas miłosierny Bóg tak doświadcza?

– Widać nie taki miłosierny – wyrwało się Krysi. Teresa zgromiła córkę spojrzeniem, lecz ta zupełnie się nie przejęła. – Poza tym skąd pomysł, że zgrzeszyliśmy? Grzechów to bym raczej u Hitlera i jego zbójów szukała – dodała z wyzywającą miną.

O dziwo, ostra zazwyczaj Maria nie odezwała się. Zamiast tego zanosła się płaczem, a Krysi zrobiło się głupio za niepotrzebny wybuch. Wszystkim to oblężenie Warszawy dało mocno w kość, a nerwy puszczały nawet bez powodu.

Pełne zakłopotania milczenie przerwało gaworzenie Poldusia. Dziecko chwyciło Krysię za palec i uśmiechnęło się, prezentując pierwsze ząbki.

– Ta-ta – wybrzmiało w salonie Malinowskich.

– Czy on właśnie powiedział „tata”? – zapytała Teresa. W odpowiedzi Maria zanosła się szlochem. Paulina siedziała nieporuszona.

Atmosfera zrobiła się nieznośna, więc Krysia ostrożnie podała Paulinie Poldusia i wstała.

– Muszę zaczerpnąć powietrza – oznajmiła. – Przejdę się.

– Właściwie... – Teresa Melner zawahała się. – Ja też chętnie się przejdę.

Krystyna spojrzała na matkę badawczo, gdy ta ucałowała dziecko. Paulina w żaden sposób nie zareagowała.

– Do zobaczenia, córeczko – pożegnała się Melnerowa.

– Do zobaczenia, mamó – odparła Paulina wypranym z emocji głosem.

Teresa westchnęła ciężko i chwyciła Krysię pod łokieć. Wyszły pospiesznie z kamienicy na zalane słońcem brukowane podwórze. Przed pracownią Malinowskich stało kilkoro

pracowników i stary majster Bluman. Na widok kobiet uśmiechnął się przyjaźnie i uchylił czapki.

– Nie wiem, na co Apoloniusz trzyma go tutaj. To jak proszenie się o kłopoty – mruknęła pod nosem Melnerowa.

– Pan Bluman to doskonały pracownik, mamó. Teść Pauliny bardzo go sobie ceni. – Krysia stanęła w obronie majstra. – A jaki uprzejmy.

– Ja tam swoje wiem. Od Żydów trzymać się trzeba z daleka. Zwłaszcza teraz.

Krysia przewróciła oczami. Wiedziała, że dalsza rozmowa na temat Żydów zupełnie nie ma sensu. W tej sprawie mama była nieprzejednana. Może nie życzyła im niczego złego, a czytając prasowe doniesienia, jak tych ludzi traktuje u siebie Hitler, żegnała się z trwogą, jednak i tak uważała, że od starozakonnych należy się trzymać jak najdalej. Powodów, dla których należało tak czynić, nigdy nie podawała.

Spacer ulicami Warszawy, pomimo ładnej pogody, nie należał do przyjemności. Powiśle i Śródmieście mocno ucierpiały w niemieckich nalotach. Wszędzie widziało się poprute seriami pocisków fasady kamienic. Niektóre, bardzo zniszczone bombami, ziały otworami, część ścian całkowicie się zawaliła. Nadawały się jedynie do rozbiórki. Pod poskręcanyimi od ognia latarniami, na każdym skwerze czy trawniku, przypadkowych mogił strzegły proste drewniane krzyże lub zwyczajne kawałki desek. Pod niektórymi leżały hełmy lub czapki kolejarские. Nazwiska na drewnie, najczęściej wypisane ołówkiem, miejscami już były niewidoczne. Krysię najbardziej przyprawiły o dreszcz bezimienne groby z lakonicznymi informacjami: „nieznana Żydówka”, „starszy mężczyzna”. Grozie tragicznej, niepotrzebnej śmierci towarzyszyło całkowite zapomnienie i świadomość, że gdzieś w Warszawie, a może i dalej są ludzie, którzy nigdy nie poznają losu bliskiej osoby.

– Nad czym tak myślisz, córko? – zapytała Teresa.

– Przeraza mnie wszystko, co widzę wokół siebie – odparła cicho. – Czy jeszcze kiedyś będzie jak przed wojną? Wrócę do szkoły?

– Nikt nie wie, co będzie dalej. Może ci Niemcy nie okażą się tacy źli? Wczoraj rozdawali ludziom chleb i dla każdego wystarczyło. Ludzie zagadują do nich, a oni zachowują się spokojnie. Niektórzy podobno nawet po polsku potrafią mówić.

– Dopiero co zabijali nas w nalotach – zauważyła Krysia. – Nic dobrego z tej okupacji nie będzie.

– Nie o okupację się martw, a o siostrę. W porcelanowej lalce więcej życia niż w niej. Zupełnie nie pojmuję, co się dzieje z tą dziewczyną? Za co Bóg mnie tak doświadcza?

– Niech mama tak nie mówi. – Krysię nieustająco irytowało, że matka w każdej przeciwności losu upatrywała próby zesłanej przez Boga właśnie na nią. Tak jakby świat działał wyłącznie na linii niebo – Teresa Melner. – Paulina czeka na męża. O Poldku nie ma przecież żadnych wieści, więc to naturalne, że się martwi. Chodźmy lepiej do domu, niedługo zmierzchn – dodała, z niepokojem zerkając na grupę niemieckich żołnierzy stojących na chodniku po drugiej stronie ulicy. Palili papierosy i rozmawiali wesoło.



– Idziemy przecież. – Teresa pociągnęła córkę w boczną uliczkę. – Może i nie zachowują się wrogo, ale nie ma co losu kusić. Krysiu, wyszłam razem z tobą, bo chcę o czymś porozmawiać. Chcę znać twoje zdanie w pewnej kwestii.

– A o czym chce mama mówić? – Krysię zdziwił jej poważny ton. Matka nigdy w życiu nie rozmawiała z nią w ten sposób. Czyżby zaczęła ją traktować poważnie? Zauważyła, że czasy się zmieniły, a jej córka będzie musiała przedwcześnie dorosnąć?

– Martwię się o Paulinę. Jak wiesz, nie możemy jej zabrać do domu, bo dziecka nie zostawi, a Malinowski w życiu nie zgodzi się na to, żeby wzięła je ze sobą. Pomyślałam więc, że może ty przeprowadziłabyś się na jakiś czas na Solec?

– Po cóż miałabym to zrobić? – zdziwiła się Krysia.

– Pomogłabyś przy dziecku, może pani Marii w gospodarstwie?

Zaskoczona dziewczyna milczała, myśląc gorączkowo. Czy jej matka aż tak martwiła się o Paulinę, że chciała dla młodszej córki losu darmowej służącej w domu Malinowskich? Krystyna nie była głupia. Doskonale czuła, że w tym domu panowała niezdrowa atmosfera. Za nic w świecie nie chciałyby tam spędzić choćby jednej nocy. Szły Solcem noga za nogą, omijając dziury wybite bombami w chodniku.

– Nic nie powiesz? – zapytała matka.

– Zaskoczyła mnie mama tym pytaniem – odparła szczerze.

Z naprzeciwka nadszedł jasnowłosy mężczyzna z postawionym kołnierzem. Rozejrzał się bacznie, jakby sprawdzając, czy nikt go nie śledzi, i czmychnął w najbliższą bramę. Krystynę aż zatchnęło, a serce zaczęło jej dudnić w piersi. Ignacy! Nie było mowy o pomyłce, rozpoznałaby chłopaka wszędzie. On z pewnością jej nie zauważył. Zapragnęła pobiec za nim, lecz dobrze wiedziała, że duma by na to nie pozwoliła. Poza tym była z matką.

– Czy coś się stało? – Teresa Melner przechyliła głowę i zaczęła się bacznie przyglądać młodszej córce. – Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczyła.

To stwierdzenie było bliskie prawdy. Krysia nie miała żadnych wieści o Ignacym od dnia, gdy rozstali się skłócenii w Alejach Jerozolimskich. W innym, lepszym życiu przed wybuchem wojny. A więc przeżył! Wbrew przygnębiającym widokom ruin, poczuła radość i lekkość serca, jakiej nie przeżywała od bardzo dawna.

– Nie, nic się nie stało – zaprzeczyła machinalnie.

– A co powiesz na moją propozycję? – indagowała Teresa.

– Mogę tu przychodzić i pomagać co drugi dzień, ale na noc wolałabym wracać do domu – odparła stanowczo.

W pierwszej chwili chciała odmówić, lecz nagle zmieniła zdanie. Być może, jeśli będzie tędy częściej chodzić, uda jej się znów spotkać Ignacego?

– Zatem załatwione. Niech tak będzie – oświadczyła Teresa Melner z zadowoleniem.

\*\*\*

Helena Małecka szła obok Michała, który jak zwykle zatopiony w myślach zupełnie nie zwracał uwagi na otoczenie.

– Uważaj! – Chwyliła go za rękaw marynarki, w ostatniej chwili chroniąc przed upadkiem wprost do okopu przecinającego ulicę. Z lewej strony wąskiego dołu stała grupa starszych brodatych mężczyzn z łopatami. Tuż obok kilku młodych umundurowanych Niemców z przewieszonymi karabinami rozmawiało, gestykulując gwałtownie. Jednemu z nich nie spodobało się, że nienawykli do wysiłku fizycznego starcy zbyt wolno pracują, więc podszedł i spoliczkował bezbronnego człowieka. Obok Heleny przeszła kobiecina w chustce na głowie. Na widok Żydów z łopatami splunęła ostentacyjnie.

– Chałciarze! – wysyczała nienawistnie, po czym odeszła w pośpiechu. W dłoni trzymała wiklinowy kosz wypełniony kanapkami. – Odeszła im ochota na czapkowanie.

Michał westchnął ciężko i zamknął oczy. Helena otoczyła kuzyna ramieniem.

– Daj spokój, chodź – szepnęła. – Nic nie zrobisz. Ludziom nie pomożesz, bo i jak? A tą babą nie ma co się przejmować. Ot, plecie trzy po trzy.

– Kiedy to prawda. Niektórzy kłaniali się Niemcom. Widziałem dziadka Szmula, jak robił to samo. Na co on liczy? Że polscy Żydzi mniej przeszkadzają Hitlerowi niż ci niemieccy?

– Skąd mam wiedzieć, co myśli dziadek Szmul, skoro go nie znam, bo nie życzył sobie mnie poznać? – powiedziała z goryczą. – Ale nie uwierzę, że popiera Niemców. Pewnie niektórzy tak reagują ze strachu. Przecież wiemy, co Hitler robi z... – Hela zawahała się.

– Z nami – dokończył spokojnie Michał.

– Z nami, Żydami – powiedziała cicho Helena. Z ogromną mocą dotarło do niej, że jej cała nonszalancja człowieka nieutożsamiającego się z żadną grupą, a jedynie czerpiącego to, co mu pasuje, ze zwyczajów Żydów i Polaków, właśnie przestała mieć rację bytu. Prędzej czy później będzie musiała się zdeklarować. Po śmierci ojca w naturalny sposób przyłączyła się do żydowskiej części swojej rodziny. Oczywiście, była jeszcze Mania, lecz ją traktowała przede wszystkim jak podopieczną. Otuchy szukała u Michała i ciotki Sary, na co dzień rezydującej na Kercelaku.

Dzielnica północna, bez litości zbombardowana, wyglądała znacznie gorzej niż solidnie poranione Śródmieście. Szeregi osmalonych kamienic, gruz na ulicach i mnóstwo pałętających się ludzi. Bazar na placu Kercelego wskrzesił się po prawie miesięcznych bombardowaniach w zadziwiającym tempie. Choć sąsiednie kamienice były częściowo wypalone, targowisko znów tętniło życiem. Helena rozglądała się wokół, próbując wyrzucić z głowy wizję ojca, który gdzieś tutaj zginął. Nie знаła dokładnego miejsca, lecz poczuła się nieswojo.

– Możemy stąd iść, jeśli chcesz – powiedział Michał domyślnie.

– Nie, w porządku. Chcę się zobaczyć z twoją matką, no i muszę kupić jakąkolwiek żywność dla Mani. Swoją drogą, zdumiewające, jak szybko bazar zaczął działać. Gdy się

na to patrzy, człowiek ma wrażenie, że tutaj czas się zatrzymał i nigdy nie zaczęła się wojna.

Helena przystanąła i przyglądała się gwarnemu targowisku. Przy bardziej wnikliwym spojrzeniu okazywało się, że także i tu nieuchronnie wkraczają zmiany. Wprawdzie kramy działały jak zwykle, kieszonkowcy bacznie obserwowali kupujących spod daszków kaszkietów, wciąż nie brakowało towarów, ale wyraźnie dało się zauważyć, że zwiększyła się liczba przypadkowych handlarzy naręcznych. Dobrze ubrane kobiety usiłowały sprzedawać swoje perfumy i eleganckie drobiazgi, byle tylko zdobyć jakieś pieniądze na chleb.

Zanim dotarli do baru Sary Gutman, Helena popadła w przygnębienie. Zrozumiała, że także ona wkrótce będzie miała problemy finansowe. Praca w szpitalu zapewniała jej wprawdzie niewielkie dochody i przydział żywności, ale była jeszcze Mania. O nią też musiała zadbać. Zdała sobie sprawę, że jest za młodziutką kuzynkę odpowiedzialna, a tymczasem pochłonięta rozpaczliwą tęsknotą za Poldusiem skupiła się wyłącznie na sobie.

– Co takie nosy zwieszane na kwintę? – Sara Gutman założyła za ucho kosmyk ondulowanych włosów i z troską przyjrzała się swojemu synowi i siostrzenicy. Obydwoje w wygniecionych ubraniach, z poszarzałymi twarzami i cieniami pod oczami wyglądali na skrajnie zmęczonych. – Usiądźcie, musicie coś zjeść, zanim się poprzewracacie – zdecydowała. Krzyknęła parę słów w jidysz w stronę kuchni, a po chwili przed dwojgiem wyczerpanych ludzi pojawiły się parujące talerze. – Nic specjalnego, cebulowa – mruknęła. – Z zaopatrzeniem coraz gorzej. Za to macie do zupy całkiem świeży chleb.

– Zjemy cokolwiek, dziękujemy mamie – odparł Michał i wziął łyżkę do ręki.

– Za ciężko pracujecie. Co to za straszne czasy przyszły, wierzyć się nie chce. – Sara westchnęła.

– Ciociu, teraz już jest nieco spokojniej. Chorych bardzo wielu, ale ustały naloty, więc nowych znacznie mniej. Dlatego w ogóle udało nam się wyjść na trochę ze szpitala – powiedziała Helena między jednym i drugim kęsem chleba. – Od kogo by tu kupić odrobinę kaszy czy czegokolwiek? – zapytała, zmieniając temat. – Mani muszę zanieść.

– Gdzie tam kupić, dziecko! Zaraz coś uszykujemy. Na bazarze zedrą z ciebie ostatni grosz. Ile ta Mania ma właściwie lat? – zainteresowała się ciotka.

– Prawie szesnaście – odparła Helena.

– Zatem to już nie małe dziecko, żebyś się nad nią trząść miała. Zwłaszcza że ciężko pracujesz. Nie myślałaś, żeby do szpitala ją wziąć na przyuczenie? Sami mówicie, że tam każda para rąk potrzebna.

– To nie na Mani nerwy, mamo. Ona jest bardzo delikatna, załamie się – wyjaśnił Michał.

– Niech więc przyjdzie tu do mnie. W kuchni pomoże i zawsze ciepły obiad dostanie – postanowiła Sara. – Jedna z moich pomocnic zginęła w ostatnim nalocie przed kapitulacją.

Taki pech – dodała ze smutkiem.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Hela. – Przyprowadzę ją jutro. Dziękuję cioci.

– Nie ma za co, dziecko. Powiedz, są już jakieś wieści o Poldku Malinowskim? – zapytała ostrożnie Sara.

– Nie ma żadnych – odparła dziewczyna sucho.

Ciotka taktownie nie skomentowała. Zresztą cóż tu było do dodania? Jej zdaniem chłopak nie żył. Jak wielu innych mężczyzn z młodego pokolenia.

## ROZDZIAŁ 3

1939

W Warszawie od samego rana wyczuwało się dziwne podniecenie u Niemców. Patrole krążyły bezustannie, a część ulic, w tym Nowy Świat i Aleje Ujazdowskie, wyłączono całkowicie z ruchu. Mieszkańcy sąsiadujących z nimi kamienic dostali zakaz podchodzenia do okien, część z nich przewencyjnie wyrzucono z mieszkań lub aresztowano. Niewiele osób, łącznie z Niemcami, zdawało sobie sprawę z tego, na co szykują się nowi zarządcy miasta. Ignacy wiedział. Bezsenną noc spędził w losowo wybranym przez swoich mocodawców mieszkaniu na Solcu. Okolica nie robiła najlepszego wrażenia na chłopaku wychowanym w willach Mokotowa, ale niespecjalnie zwracał na to uwagę. Wymknął się z lokalu tuż po świcie, nie żegnając się ze swoim małomównym i przygłuchym gospodarzem. Choć dzień zapowiadał się pogodny, dało się już odczuć chłód zaczynającej się jesieni.

Ignacy postawił kołnierz płaszcza i poszedł Solcem w stronę skrzyżowania Nowego Światu z Alejami Jerozolimskimi. Z lewej strony minął bramę, która wydała mu się znajoma. Przez chwilę szukał w myśli wspomnienia, aż wreszcie uświadomił sobie, że to właśnie tu mieszka Poldek Malinowski, niedoszły kochaś tej Żydówki, Heleny. Wieczór, gdy Konrad zaparkował pod tą latarnią, obecnie wykrzywioną i potłuczoną, miał miejsce kilka lat temu, jednak Ignacemu wydawało się, że minęła wieczność. Przystanął przed bramą, gdy uzmysłowił sobie, że żona Poldka jest krewniaczką Krysi.

Wspomnienie dziewczyny, którą uratował przed utonięciem w mazurskim jeziorze, spłynęło na niego tak nagle, że po plecach przebiegł mu dreszcz. Ignacy przeżył w swoim niespełna dwudziestoletnim życiu wiele, lecz nic, łącznie z zestrzeleniem niemieckiego samolotu w Gdyni, nie zrobiło na nim takiego wrażenia jak to, że Krystyna porzuciła go, odchodząc bez słowa. To dlatego wstąpił do marynarki. Żeby uciec i nigdy o niej nie myśleć.

Postąpił bezwiednie krok w stronę bramy, a spod jego stóp poderwał się z furkotem miejski gołąb. To przywróciło Ignacego do rzeczywistości. Nie wrócił do Warszawy, żeby spacerować po Solcu i trwonić czas na niepotrzebne wspomnienia. Przyspieszył kroku i wkrótce dotarł do blokady. Drewniany, postawiony naprędce szlaban odcinał dalszą drogę. Tuż za nim zaczynał się formować kordon niemieckich żołnierzy. Ich ciemnozielone hełmy błyszcząły się w promieniach słońca.

Ignacy przystanął, po czym przesunął się w cień pobliskiego drzewa. Spod kapelusza, jaki założył specjalnie na tę okazję, zaczął bacznie obserwować okolicę. Trasa nie była przypadkowa. Najeźdźcy postanowili zbezpieścić swym pochodem Trakt Królewski w stronę Ujazdowa. Większość mieszkańców Warszawy nawet nie miał pojęcia, co się dzieje. Ignacy wiedział dokładnie, dzięki wytycznym przełożonych z podziemnej organizacji powołanej jeszcze przed kapitulacją Warszawy.

– Proszę nie blokować przejścia! – Nad głową Ignacego rozległ się pełen pretensji głos. Odwrócił się i westchnął z rezygnacją. Tuż obok niego stał namolny lajkarz. Oczywiście nie skierował obiektywu ponad niemieckie zasieki, tylko łowił aparatem przypadkowych przechodniów, by wcisnąć im wizytówkę i zachęcić do kupienia odbitek wywieszonych w witrynie swojego zakładu.

– Choć raz mógłby się szanowny pan do czegoś przydać i uwiecznić historię, a nie ludzi spacerujących po chodnikach – mruknął pod nosem Ignacy, lecz niemal natychmiast stracił zainteresowanie przypadkowym fotografem.

Po Nowym Świecie poniósł się aplauz, z gardeł Niemców wydarł się ekstatyczny okrzyk *Heil Hitler*. Ignacy nie wierzył własnemu szczęściu. Jego mocodawcy jedynie przypuszczali, że w Warszawie pojawi się kanclerz. Rola wysłannika była ograniczona wyłącznie do obserwacji, ale mimo to chłopak poczuł dreszcz emocji. Jeśli wywiad nie uzyskał błędnych danych, losy wojny w Polsce mogą się zmienić dosłownie w ciągu godziny.

– No dalej, wysadźcie skurwiela – szepnął cicho.

W napięciu obserwował kolumnę wozów opancerzonych. Żołnierze leżeli na siedzeniach z bronią wycelowaną dosłownie we wszystkie punkty, jakie się dało. Samochód z Hitlerem nadjechał chwilę później. Dokładnie w tym samym momencie zza chmur wyszło słońce, zalewając Trakt Królewski oślepiającym światłem, a zgromadzeni Niemcy ponownie zawyli euforycznie.

Ignacy zacisnął dłoń na pistolecie tkwiącym w kieszeni szarej marynarki. Zdawało mu się, że obraz zwolnił, jak na taśmach z filmów Konrada. W ogromnym napięciu czekał na wybuch trotylu ukrytego na trasie przejazdu. Wystarczyło tylko odpalić ładunki. Nic takiego się jednak nie stało i kolumna wozów z Hitlerem oraz jego najbliższymi współpracownikami bez przeszkód pojechała dalej, w stronę Ujazdowa.

Zrezygnowany chłopak podszedł do drzewa i uderzył pięścią w pień. Spomiędzy kłykciów zaczęła ciec krew, jak niegdyś na ringu bokserskim, ale nie zwrócił na to uwagi. Wcisnął dłonie do kieszeni szarej marynarki i zbiegł szybkim krokiem w dół, na Powiśle. Nie rozumiał, dlaczego starannie przygotowany zamach na Hitlera nie doszedł do skutku. Ignacy nie sądził, żeby zawiódł człowiek. Po prostu nie wydano rozkazu.

– Jebał was pies – warknął i zabezpieczył visa. – Nie zamierzam więcej słuchać rozkazów!

\*\*\*

Kościół Najświętszego Zbawiciela górował nad placem i sąsiednimi kamienicami. Z daleka rzucał się jednak w oczy kikut wieży zachodniej i częściowo zawalony dach. Poczerniała fasada uświadamiała rozmiar pożaru, który stopił całkowicie dwa dzwony i największy warszawski żyrandol, przedmiot dumy parafian. Mimo to budynek przetrwał i dodawał ludziom otuchy.

Konrad Werner rozejrzał się bacznie po okolicy, lecz nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Wszedł w półmrok bramy trzypiętrowej kamienicy, zmuszając się, żeby nie zerknąć nerwowo przez ramię. Nie bez ironii pomyślał, że grać szpiega w filmie to niezupełnie to samo co przystąpić do konspiracji w prawdziwym życiu. Tu nie wystarczy umiejętność grania, konieczne są nerwy ze stali. A Konrad czuł podenerwowanie, gdy stanął przed drzwiami i zapukał umówionym kodem.

Drzwi osobiście otworzyła właścicielka, hrabina, którą Konrad znał z widzenia, lecz jak dotąd nie złożyło się, by ich sobie przedstawiono.

– Moje uszanowanie pani. Dziękuję, że znalazła pani czas dla swojego skromnego wielbiciela – przywitał się z przesadną emfazą. Dobór słów nie był przypadkowy i stanowił hasło, jakie wcześniej kazała mu wykuć na pamięć jego partnerka filmowa, Ida Wolińska. Akurat zapamiętywanie kwestii stanowiło mocną stronę aktora, więc nie zająknął się ani razu.

– Powitać szanownego pana. Z serca zapraszam! – odparła hrabina, otwierając gościnnie drzwi na pełną szerokość. – Nikt pana nie śledził? – dopytała szeptem, gdy wszedł do mieszkania.

– O ile mi wiadomo, nikt.

– Miejmy taką nadzieję – westchnęła. – Proszę za mną – dodała krótko i nie czekając na reakcję gościa, poszła w stronę otwartych drzwi do salonu. – Tam w głębi jest wejście do gabinetu. Proszę zapukać i wejść, gdy padnie zaproszenie. Herbatę podaje się za godzinę. Serdecznie zapraszam. – Hrabina wyszła z salonu i zostawiła Konrada samego.

Przestronne pomieszczenie zdradzało zamiłowanie gospodyni do orientalnych bibelotów i roślin doniczkowych, które zajmowały każdą wolną przestrzeń, łącznie z eleganckim stołem przykrytym koronkową serwetą. W powietrzu unosił się dość silny zapach papierosów, jakby ktoś dosłownie chwilę wcześniej opuścił pomieszczenie. Konrad roześmiał się w duchu. Jeszcze nie wie, w co się wpakował, a przemyślenia ma niczym wytrawny szpieg. Nie zwlekając dłużej, zapukał do gabinetu.

– Wejść! – Z drugiej strony padł żołnierski rozkaz.

Za politurowanym biurkiem siedział mężczyzna przed czterdziestką. Zanim zaszczyił Konrada spojrzeniem, odłożył papierosa na kryształową popielniczkę. Wstał energicznie z wyściełanego krzesła i podszedł.

– Kapitan – przedstawił się, podając Konradowi rękę.

– Konrad Werner, do usług – odparł nieco zdumiony.

– Od dzisiaj „Aktor”.

Konrad zmarszczył brwi i spojrzał w poważne oczy Kapitana, niezupełnie rozumiejąc, co ten ma na myśli.

– Pseudonim konspiracyjny. Nie chcę nigdy więcej słyszeć w tym pokoju personaliów szanownego pana. Zrozumiano?

– Tak jest! – Nieco rozbawiony Konrad podchwycił wojskowy dryl, lecz zamiast wyprostować się służbiście, przechylił nieco głowę i przybrał kpiarską minę.

– Niech pan usiądzie. – Kapitan westchnął z rezygnacją i wskazał rozmówcy krzesło. – Ja oczywiście wiem, że pan jest z branży rozrywkowej, która się rządzi innymi prawami niż to, czego zaznałem podczas życia pośród wojskowych i w świecie nauki. A przecież nawet nie do końca się z tych środowisk wywodzę. Zresztą to jest akurat nieistotne. Wojna zmieniła wszystko, a Niemcy nie odejdą tak łatwo jak poprzednio. To już nie są ci sami żołnierze, co w osiemnastym roku. Odmienił się duch tego kraju, wytresowane społeczeństwo oddałoby za swojego wodza życie bez mrugnięcia okiem. Atletyczni, w szytych na miarę mundurach i błyszczących oficerkach, są maszyną do zabijania.

Konrad nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Kapitan mówi o niemieckiej armii z niechętnym podziwem.

– Nie dajmy się jednak zwieść. To nie koniec naszych kłopotów. Nowych Niemców napędza idea, w którą wierzą, i dlatego są niebezpieczni – kontynuował wojskowy.

– Zajęli kraj. Czego mogą chcieć więcej?

– Tego jeszcze nie wiemy, ale musimy się dowiedzieć. I tu właśnie zaczyna się nasza rola – podchwycił gospodarz. – Pytanie tylko, czy jest pan skłonny do walki za ojczyznę w tych zupełnie nowych okolicznościach.

– Jestem – potwierdził Konrad.

Od początku kampanii wrześniowej odczuwał wyrzuty sumienia, że uniknął powołania do wojska, co oczywiście umożliwiły mu rozległe kontakty. Wiedział, że kompletnie się do tego nie nadaje, i gdzieś pod skórą czuł, że jego życie przyda się sprawie gdzie indziej. Nie poległ w żadnej bitwie, więc teraz należało spłacić dług ojczyźnie. Choć wszystko w nim buntowało się przeciw wojnie i agresji, wiedział doskonale, że ta wojna prędzej czy później się o niego upomni. Nie chciał jedynie oddać życia bez sensu.

– Nasza wspólna znajoma poleciła pana do współpracy, wystawiając najwyższe rekomendacje. Sprawdziłem też pański życiorys. Oraz wiadomości na temat pańskich rodziców – powiedział spokojnie Kapitan, badawczo wpatrując się w rozmówcę.

Konrad milczał, koncentrując się na własnych dłoniach. Te, spoczywając na prążkowanym materiale jego spodni, chciały zacisnąć się w pięści, lecz właśnie tego należało uniknąć. Nakazując sobie spokój, przywołał na twarz kpiarski, wystudiowany w filmach półuśmiech. Kapitan nie wspomniał o Ignacym, więc odczuł ulgę.

– Przygotował się szanowny pan do tej rozmowy dość gruntownie – odparł. – Jak mam rozumieć ten zaszczyt?



– Pojmie pan za chwilę – zniecierpliwił się Kapitan. Spojrzał z roztargnieniem na wygasłego papierosa i poklepał się po piersi, sprawdzając, czy w wewnętrznej kieszeni marynarki znajduje się papierośnica. – Zapali pan? – zapytał z kurtuazją.

– Nie, dziękuję. Za to wdzięczny będę za wyłuszczenie mi celu tego spotkania – odparł sucho Konrad.

– Obecnie Polska potrzebuje najwyższych poświęceń – powiedział twardo Kapitan. – Pańska kandydatura jest wręcz modelowa, jeśli chodzi o infiltrację szeregów wroga. Niechże się pan zastanowi: teraz przemoc, za chwilę jeszcze większa, lecz jednocześnie całe to niemieckie towarzystwo będzie potrzebowało wytchnienia od mordowania, rozrywki.

– Mam być klaunem? – zachnął się Konrad. – Nigdy!

– Nie do tego zmierzam. Pańska pozycja jest szczególna. Niemcy znają pana dokonania kinematograficzne. Ponadto pana rodzinne związki z ich krajem sprawią, że bez kłopotu wtopi się pan w ich towarzystwo.

– Gardzę nimi! – Wzburzony Konrad wstał z krzesła, gotów je ostentacyjnie przewrócić i wyjść z gabinetu.

– Jak my wszyscy! – odparł Kapitan. Podeszedł do Konrada i stanął tuż przed nim. Był nieco niższy, lecz spojrzał na niego z wyższością. – To nie czas na plemienne walki. Niechże pan to zrozumie. Proszę przeniknąć do obozu wroga. Hrabia nieboszczyk i pańska macocha z pewnością to ułatwią. Wie pan coś o swoim przyrodnim bracie Ignacym?

– Od dawna nie wiem, co u niego. Pewnie nie żyje. Służył w marynarce w Gdyni – odparł Konrad, zastanawiając się gorączkowo, w co wpakowała go Ida Wolińska. Pomyślał też, że nie docenił rozmówcy, który dobrze przygotował się do rozmowy.

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć – powiedział pojednawczo Kapitan.

– Nie sądzę, żeby to się udało – odparł Konrad. – Prosiłbym jednak, żeby nie mieszał pan w nasze sprawy mojego prywatnego życia.

– Ono już jest zamieszane tak bardzo, jak tylko się da – odparł Kapitan. – Proszę zameldować się za tydzień o tej samej porze.

Konrad wyszedł bez słowa. W salonie właśnie trwały przygotowania do popołudniowej herbaty, lecz Konrad wymówił się od poczęstunku i ucałowawszy pospiesznie dłonie gospodyni, niemal pobiegł do wyjścia.

Aby ochłonać po spotkaniu, postanowił przejść się po okolicy. Do godziny policyjnej, która rozpoczynała się o siódmej wieczorem, zostało jeszcze trochę czasu. Konrad szedł niespiesznie, obserwując nowe, obce oblicze zbombardowanego miasta.

Na ulice wróciły nieliczne dorożki, gdzieś tam pojawiły się rowery, lecz ani śladu samochodów. Jeśli jakiś przejeżdżał, wiadome było, że należy do Niemców. Auta warszawiaków po wybuchu wojny zarekwirował rząd i gdy opadł kurz bitewny, nikt nie miał pojęcia, gdzie się znalazły. W prasie codziennie pojawiały się ogłoszenia właścicieli, którzy za wiadomość o nich oferowali sowite nagrody. Konrad nie miał złudzeń.

Doskonale wiedział, że nie odzyska swojego kremowego daimlera. Nawet jeśli nie uległ zniszczeniu, z pewnością przejęli go okupanci.

\*\*\*

– Apoloniuszu, na miłość boską, po cóż ty czytasz tę gadzinówkę? – Ciotka Maria postawiła przed szwagrem talerz ziemniaków okraszonych skwarkami ze słoniny.

– Cichaj, babo – mruknął, składając na pół numer „Nowego Kurjera Warszawskiego”. – Trzeba wiedzieć, co myśli wróg.

– I cóż z tej wiedzy ci przyjdzie? Ja i bez tego wiem, że wszystko drożeje, jedzenie coraz trudniej zdobyć, a mamy cztery gęby do wyżywienia. I teraz jeszcze dodatkowo Krysia. Pomaga przy dziecku, bo przecież na Paulinę wcale nie można liczyć, więc obiad dać jej trzeba.

– Nie lamentuj! Jeśli będziesz oszczędnie gospodarować, to sobie poradzimy – odparł.

Apoloniusz zadbał o odpowiednie zabezpieczenie, lecz nie zamierzał o tym informować Marii. Im mniej osób wie o majątku, tym lepiej. Z PKO wypłacił wszystkie pieniądze jeszcze w pierwszym tygodniu wojny i niemal natychmiast kupił za nie złoto oraz szlachetne kamienie. Miał przy tym sporo szczęścia, ponieważ zapłacił nowiutkimi stużłotówkami, których używania Niemcy po zdobyciu Warszawy od razu zabronili, przez co stały się bezwartościowe. W obiegu zostały jednak drobniejsze banknoty, więc nadal mógł płacić pracownikom i przyjmować pieniądze za rękawiczki sprzedawane w otwartym ponownie sklepie na Nowym Świecie.

– Łatwo ci mówić, kiedy ceny szaleją, a o towary coraz trudniej. Dostawy żywności prawie ustały, bo chłopci boją się jeździć do miasta. Ja tam im się nie dziwię. Łatwo stracić i konia, i wóz. Niemcy rekwirują wszystko, co się nawinie. Trochę handlarki przywożą z Siedlec, ale niewiele tego, a sum żądają zawrotnych! I sędzę, Apoloniuszu, że lepiej nie będzie. – Maria westchnęła ciężko i przeżegnała się trwożliwie.

– Ciesz się, żeśmy dachu nad głową nie stracili. A sama widziałaś, ile domów w okolicy leży w gruzach. – Apoloniusz poklepał ją niezgrabnie po dłoni.

Dziwna była ta ich relacja. W ciągu dnia unikali kontaktu fizycznego i udawali, że są sobie obcy jak tylko się da. Jednakże nocy bez Marii zupełnie sobie nie wyobrażał. Przemknęła mu nawet przez głowę myśl, że może ożenił się z niewłaściwą siostrą, lecz przecież powinien być losowi wdzięczny, bowiem nieboszczka Eleonora obdarzyła go trójką pięknych dzieci. Z których jedno nie żyło, drugie uciekło, a trzecie zaginęło na froncie. Stary Malinowski w jednej chwili spochmurniał i zacisnął szczęki.

– Niejedną wojnę przeżyliśmy, więc i teraz sobie poradzimy. Ale pomoc kuchenną musimy odprawić. Za dużo gęb do wyżywienia. Zresztą mamy Krysę... Będzie dobrze. Tylko już nie czytaj tej gadzinówki. Wstyd nawet kupować!

Malinowski milczał. Choć zgadzał się z kobietą, wciąż nabywał propagandowy niemiecki szmatławiec w nadziei, że w dziale ogłoszeń natrafi na jakiś ślad Poldka. Sam też regularnie zamieszczał na łamach gazety informację, że daje nagrodę za jakąkolwiek wieść o synu. Nie był wyjątkiem, podobnych anonsów pojawiało się wiele w każdym numerze. Wciąż ktoś kogoś szukał. Chaos wojny rozdzielił, być może na zawsze, bliskich ludzi. Z krótkich, lakonicznych linijek tekstu dało się wyczytać największy dramat tych dni: niepewność.

– Idę do pracowni – oświadczył Apoloniusz, wstając zza stołu. – Spróbuj tchnąć trochę życia w tę mimozę Paulinę. Nic nie robi, tylko wyleguje się w łóżku. Dobrze, że choć ta jej siostra więcej ma rozumu w głowie i małego wzięła do parku. Pełen jestem szacunku dla Melnera, ale córki to mu się nie udały. Co mówię z dużym zawodem.

– Słabe jakieś takie. Za dobrze w życiu miały – zawyrokowała Maria. – Teresa Melner to bogobojna kobieta, ale może za mało od córek wymagała. A przecież dyscyplina najważniejsza.

Malinowski machnął tylko ręką z rezygnacją i wyszedł z mieszkania. Choć irytowało go, że synowa okazała się kompletnie bezużyteczna, to jednak przede wszystkim skupiał myśli na niepewnym losie pracowni, której nie ma komu przekazać. Oczywiście, był wnuk, mały Polduś, lecz Apoloniusz myślał trzeźwo. Zanim chłopiec podrośnie na tyle, żeby przyuczyć go do zawodu i przygotować do roli dziedzica, może zabraknąć i jego, i Moszego Blumana. Obaj mieli już swoje lata, do tego czasy stały się niepewne.

– A niech to wszystko szlag trafi! – Poirytowany rzemieślnik uderzył pięścią w drewnianą poręcz schodów. Zupełnie nie zauważając bólu dłoni, zszedł na podwórze, sapiąc ciężko.

Zerknął na leżący odłogiem ogródek zmarłej żony i odnotował w pamięci, żeby polecić Marii obsianie niewielkiego poletka na wiosnę. Diabli wiedzą, kiedy ta szalona wojna się skończy, a dodatkowa żywność zawsze się przyda.

Przed pracownią stały szwaczki i kilku krojczych. Dyskutowali o czymś zawzięcie, paląc papierosy. Malinowski zgromił ich wzrokiem, lecz nie zwrócili na niego uwagi, zajęci żywą wymianą zdań.

– Jak Boga kocham! Ruscy nałapali naszych oficerów jak kaczki! Na idących na wschód zastawiali pułapki. Czołgi sowieckie przystrojone polskimi flagami, że niby przyjaciele, a zaraz ich rozbrajali i zabierali do obozu w Szepietówce – perorował jeden z krojczych. – Wiem to od jednej sąsiadki, której mąż nie wrócił, ale jego kolega uciekł ruskim i przyszedł kobiecie powiedzieć, że tamten zdrów i żyje.

– Ciekawe, jak długo – skomentowała jasnowłosa szwaczka, zaciągając się papierosem.

Apoloniusz Malinowski przystanął i zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Od połowy września słyszało się, że Związek Radziecki wykorzystał wybuch wojny i zaatakował od wschodu. Wiadomości wojenne mocno się od siebie różniły, a dezinformacja stała się chlebem powszednim Warszawy. Jednakże stary rzemieślnik swoje wiedział.

– Ruskim ufać nie można. Zawsze znajdą sposób, żeby tu przyleźć – oświadczył.

Niektórzy pracownicy dopiero teraz zauważyli właściciela pracowni i nie bardzo wiedząc, jak się zachować, zaczęli pospiesznie gasić papierosy.

– Szef ma rację – podchwyciła szwaczka. Nagłe pojawienie się chlebodawcy nie przstraszyło jej ani nie zbiło z tropu. – Już pewnie Polska całkiem przepadła.

– Dopalcie i wracać do pracy, zamiast jęzorami mleć po próżnicy – polecił Apoloniusz wyjątkowo łagodnym jak na niego tonem.

Nie zaprzatając sobie dłużej głowy podwładnymi, wszedł do swojej ukochanej pracowni i zaciągnął się z lubością zapachem skór. To od dziecka dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Choć nad głowami przetaczały się kolejne wojny, rękawiczki zawsze były potrzebne. A jeśli potrzebne były one, to istniał sens życia Apoloniusza Malinowskiego. Sformuławszy w głowie tę krzepiącą myśl, rzemieślnik ruszył na poszukiwanie Blumana.

Majster siedział w pakamerze i w skupieniu sprawdzał kolumny cyfr. Za to właśnie Malinowski go cenił. Nie dość, że jego zastępca doskonale pilnował roboty, to jeszcze zajmował się buchalterią. Zawsze rzetelny, zawsze na posterunku.

– Mosze, muszę cię prosić o przysługę – oświadczył Apoloniusz. Bluman podniósł głowę, okulary w drucianej oprawce błysnęły w świetle stojącej na biurku lampki. Nie odezwał się. Patrzył wyczekująco na chlebodawcę. – Poldek pewnie nie żyje. Nie zaprzeczaj, bo sam najlepiej wiesz, że to prawda. Nie on jeden oddał życie na froncie.

– Wciąż wierzę, że Poldek jednak do nas wróci – powiedział spokojnie majster.

– Oboje z Marią się o to modlimy, lecz rozejrzyjmy się, Mosze. Rzeczywistość jaka jest, każdy widzi. Ilu chłopców nie wróciło? Zaraz listopad. Kto miał się odnaleźć, już się odnalazł. Trzeba myśleć, co dalej.

– Wspominałeś o przysłudze...

– Właśnie! – Apoloniusz usiadł ciężko na krześle. Zabębnił palcami w biurko i odchrząknął z zakłopotaniem. – Wiem, że kontaktujesz się z Jankiem. Nie wierzę, żeby chłopak przepadł całkiem bez wieści. – Malinowski bacznie obserwował reakcję starego majstra. Blefował, nie miał pewności, czy Mosze rzeczywiście wie coś o jego młodszym synu. Nieprzenikniona twarz rozmówcy nieco zbiła go z tropu.

– A wspominasz o tym z jakiegoś konkretnego powodu? – zapytał po chwili Bluman.

– To przecież naturalne. Potrzebuję spadkobiercy, dlatego gotów jestem Jankowi wybaczyć i przyjąć do domu. Wiesz, gdzie chłopak się podziewa?

– Apoloniuszu, rad bym był ci pomóc, gdybym tylko mógł, lecz w tej chwili nic zrobić nie mogę – odparł majster. – Wybacz śmiałość, lecz na jakiej podstawie sądzisz, że chłopak wróci? Minęło mnóstwo czasu. Leci trzeci rok, odkąd Janek... – stary zawahał się. W pierwszej chwili chciał powiedzieć, że chłopak uciekł, lecz ugryzł się w język. – Postanowił wyjechać.

– To przecież proste. Odszedł, bo zazdrościł Poldkowi ojcowizny. Gdy dowie się, że teraz ma szansę wszystko odziedziczyć, wróci natychmiast – odparł Apoloniusz.

– Trwa okupacja. Nawet nie jest pewne, czy poczta dostarczy list. Po nowym podziale polskich ziem chłopak właściwie mieszka za granicą – wyjaśnił majster.

– Czyli wiesz, gdzie jest? – Apoloniusz przekrzywił głowę i wpił spojrzenie w Blumana.

– W Poznaniu – powiedział spokojnie majster. – Jeśli chcesz do niego napisać – zrób to. Wyślę list w twoim imieniu, jeśli znajdę kogoś, kto tam jedzie. Można też dać ogłoszenie do prasy.

– Lepiej ty napisz. Mojego listu nie przeczyta, tylko od razu wrzuci do pieca.

Mosze tego nie skomentował, lecz pomyślał, że największą wadą Malinowskiego jest to, że wszystkich ludzi mierzy swoją miarą. On być może umiał bez skrupułów spalić listy, jakie Janek przesyłał Poldkowi, ale chłopak do czegoś podobnego raczej nie byłby zdolny.

– Najlepiej mu powiedz, że poważnie chory. To go zachęci do przyjazdu – powiedział Apoloniusz. Zadowolona mina dowodziła, że nie widzi nic złego w straszaniu i oszukiwaniu Janka.

– Nie, Apoloniuszu – odparł twardo majster. – Nie podejmuję się zabawy w podobne intrygi. Mogę napisać, lecz jedynie czystą prawdę.

– Niech i tak będzie. – Malinowski wiedział, że w tej sprawie lepiej nie naciskać. Mosze Bluman był człowiekiem na wskroś prawdomównym, a jego reakcja najlepiej świadczyła, że się nie ugnie.

\*\*\*

Helena szła w stronę szpitala na Czystem. Choć ruch tramwajowy stopniowo przywracano, wciąż najpewniejszym środkiem transportu były własne nogi.

Deszczowy listopad nie zachęcał do spacerów, więc Hela postawiła kołnierz płaszcza i przyspieszyła kroku. Zaledwie wczoraj odwiedziła z Manią groby rodziców. Najpierw świeżą mogiłę ojca na katolickich Powązkach, a później nagrobek matki na częściowo zbombardowanym cmentarzu żydowskim. Macewa Gutmanów na szczęście ocalała.

– Jeszcze nigdy nie spędziłam Wszystkich Świętych poza Sopotem, a już na pewno nie odwiedzałam cmentarza żydowskiego – powiedziała Mania. Postawiła świeczkę na nagrobku, lecz natychmiast zajęła się obserwacją egzotycznego dla niej miejsca. Objęła się ramionami gestem zdradzającym zagubienie.

– Czuję dokładnie to samo, gdy rok temu poszłam z wami na sopocki cmentarz, zamiast być tutaj, na Powązkach. Choć nawet przez myśl mi wtedy nie przeszło, że odwiedzę grób ojca.

Helena przytuliła Manię. Kuzynka urosła, choć racje żywności były raczej skąpe. Ubrania, jakie jej pożyczyła Hela, wkrótce okażą się przykrótkie. Piętnastolatka po swym ojcu, wuju Fryderyku, miała smukłą sylwetkę, a jej kończyny zdawały się wydłużać

każdego dnia. Traumatyczne przeżycia i zupełnie obce życie w Warszawie sprawiały, że Mania coraz bardziej zamykała się w sobie. Zatraskana mina właściwie nigdy nie zniknęła z jej twarzy. Helena wciąż pamiętała radosne dziecko z sopockiej plaży, lecz tamto cudowne wspomnienie w ich obecnej sytuacji nie miało racji bytu. Mania opłakiwała rodziców i siostrę, którzy przypadli w wojennej zawierusze, z kolei Helena nie potrafiła się uporać z odejściem ojca i rolą jedynej opiekunki nieletniej kuzynki.

– Powiedz, że moi rodzice i Zośka się odnajdą – poprosiła błagalnie Mania, z całej siły wtulając się w krewniaczkę.

– Obiecuję. Wszyscy przyjadą tutaj, do Warszawy. Wojna nie potrwa długo, zobaczysz. Zaraz nam przyjdą na odsiecz Anglicy i Francuzi. A teraz wracajmy do domu, trzeba się wyspać przed jutrzejszym dniem. Ty masz zmianę w barze ciotki Sary, a ja muszę do szpitala. Dzieją się tam straszne rzeczy, a Michał goni w piętke z kolejnymi operacjami.

Jak na złość Alejami Jerozolimskimi przejechał jakiś pojazd wojskowy i ochlapał listopadowym błotem płaszcz Heli, co momentalnie wybiło ją z rozmyślań. Westchnęła ciężko i zacisnęła zęby. Odeszła od ulicy najbardziej, jak się dało, i omijając śliskie połacie opadłych liści, których nikt w tym roku jakoś nie planował uprzątnąć, brnęła w stronę szpitala.

Obojętnie mijała kolejne słupy z niemieckimi obwieszczeniami, bowiem te zwykle zawierały informacje, jakie nowe podatki nałożono na małe sklepiki i zakłady rzemiosła. Ale jeden plakat przyciągał spojrzenie wesołą słoneczną barwą. Helena przystanąła, niepomna lodowatego deszczu, który porywistymi podmuchami wiatru siekł ją z każdej strony.

„Wyrokiem polowego sądu wojennego skazano na śmierć: wdowę Eugenię Włodarz oraz studentkę Elżbietę Zahorską za zamach na żołnierza niemieckiego, względnie sabotaż, tzn. zrywanie plakatów” – przeczytała.

Treść obwieszczenia zmroziła ją. Z oczu popłynęły łzy, mieszając się z kroplami deszczu. Hela pomyślała, że to wszechświat płacze za tymi dwoma kobietami, z których jedna zawiniła tym, że spoliczkowała narzucającego się jej niemieckiego żołnierza, a druga była nieustraszoną bojowniczką kampanii wrześniowej walczącą do ostatniego naboju. Gdy przyszło jej żyć pod niemieckim butem, nie wytrzymała i zaczęła zrywać propagandowe plakaty. Ironią było, że jej los zamknął się w podobnym plakacie. Helena rozejrzała się bacznie, lecz ulica przy tej aurze była wyludniona. Zerwała obwieszczenie i wcisnęła do kieszeni płaszcz.

Doszła do szpitala, wciąż ślizgając się na śliskich liściach, których nie zamiótł żaden dozorca. Z ulgą sięgnęła do klamki drzwi dla personelu, modląc się w duchu, żeby pielęgniarki miały choć trochę wrzątku do wypicia.

## ROZDZIAŁ 4

Krystyna miała serdecznie dość rodziny Malinowskich. Odrzucało ją od zgryźliwego i antypatycznego Apoloniusza, a ciotki Marii wręcz nie znosiła. Przez pierwsze kilka dni stara sekretnica traktowała ją z chłodną uprzejmością, lecz szybko przekalkulowała sobie, że młódka może się świetnie przydać jako darmowa pomoc domowa.

Najgorsze było to, że rodziców kompletnie nie obchodziło, czy jej nowe życie po drugiej stronie Wisły może mieć jakieś rysy. January Melner nie ustawał w pozyskiwaniu mięsa z podejrzanych źródeł, a Teresa każdą chwilę spędzała w kościele. Zajęci sobą, nie zwracali uwagi na młodszą córkę.

Strasznie było też patrzeć na Paulinę. Krysia miała wrażenie, że jej siostra z każdym dniem staje się coraz bardziej nieobecna duchem. Milcząca, zatopiona we własnych myślach, zwykle przesiadywała w swoim pokoju i patrzyła przez okno. A od czasu, gdy wyręczano ją także przy opiece nad dzieckiem, nie zajmowała się w zasadzie niczym.

– Pomożesz mi nakarmić małego? – zapytała Krysia. Stała w drzwiach z Poldusiem usadzonym na biodrze.

– Może później. – Paulina nawet nie odwróciła głowy w stronę siostry. Z obojętną miną wpatrywała się w bezlistne drzewa za oknem.

– Tak nie można – powiedziała Krysia z łagodną perswazją. – Dziecko cię potrzebuje. Tęskni, choć jesteś tuż obok. Ja wiem, że rozpaczasz za Poldkiem, ale...

– Za Poldkiem? – Tym razem Paulina odwróciła głowę i spojrzała na siostrę. W jej oczach widać było nieklamane zdumienie. – No tak. Poldek – wymamrotała pospiesznie, jakby próbowała zatuszować gafę.

– Zresztą mniejsza o to. Mamy parszywe czasy, ale trzeba dalej żyć, zrozum to. Wiem, że te straszne bombardowania cię przerażały. Wszyscy się baliśmy. Ale to już za nami. Warszawa nie jest już taka jak wcześniej, lecz musimy sobie radzić w nowych warunkach. Musisz się w końcu otrząsnąć z tego letargu. – Ostatnie zdanie wypowiedziała podniesionym tonem, od razu się jednak zreflektowała. – Posłuchaj, matka się o ciebie martwi, ojciec też, więc zdobądź się na wysiłek i chociaż spróbuj walczyć z tą melancholią. Proszę cię – dokończyła błagalnie.

Krysia podeszła do siedzącej siostry i stanęła tak blisko, że dziecko, wyciągnąwszy rączki, bez kłopotu dotknęło twarzy Pauliny, a potem wyraźnie zaczęło się domagać, by matka wzięła je na ręce.

– Dobrze, spróbuję – powiedziała cicho kobieta i podniosła się ciężko.

– No widzisz? Zuch z ciebie! – Krysia poszła przodem w stronę kuchni, gdzie krzątała się podkuchenna. Ciotka Maria, jak zwykle ubrana w czarną suknię, komenderowała dziarskim tonem. – Kaszka dla Poldusia jest czy mam zrobić? – zapytała dziewczyna spokojnie.

– Jest. Jakbyś ty zrobiła, toby pełno grudek pływało – odparła ciotka z cierpką miną.

– Paulina chciała nakarmić małego – wyjaśniła spokojnie Krysia, puszczając mimo uszu złośliwość ciotki. Nie czekając na reakcję, nałożyła kaszki do miseczki i postawiła przed siostrą na białym kuchennym stole. – Proszę. – Wetknęła jej w dłoń łyżeczkę.

Z przyjemnością obserwowała Paulinę, gdy ta z przechyloną lekko głową uważnie wsuwała kolejne porcje jedzenia w rozdziawioną dziecięcą buzię. Mały nie spuszczał z niej oczu, a ona po raz pierwszy od dawna uśmiechnęła się blado i wreszcie zaczęła przypominać dawną siebie. Ładną, pełną życia blondynkę o regularnych rysach twarzy, które widać było dopiero wtedy, gdy jej oblicza nie szpecił brzydki grymas.

– Jesteś wspaniałą przybraną matką, wiesz? – wyrwało się Krysi.

– Przybraną? – odparła ze zdziwieniem Paulina.

– Jesteś matką, ale nie wydałaś chłopca na świat. Nie ma to oczywiście żadnego znaczenia i wiem, że kochasz go prawdziwie – wyjaśniła prędko, zła na siebie, że niepotrzebnie o tym przypomina, psując kruchą chwilę normalności.

– Nie wydałam na świat? – Bezbrzeżne zdumienie w oczach siostry nie mogło być udawane. – Co ty pleciesz, Krysiu?

– Krystyno, co ty za bzdury opowiadasz? – Do rozmowy niespodziewanie wtrąciła się ciotka Maria. – Paulina jest matką Poldusia!

Krysia powiodła po kobietach zdziwionym spojrzeniem, a po chwili dopadło ją przerażenie. Paulinie naprawdę pomieszało się w głowie i straciła kontakt z rzeczywistością. Gorsze jednak było to, że Maria jeszcze utwierdzała ją w tym szaleństwie. Krysia zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co jeszcze wmawiano jej siostrze w tym domu i jak mocno tuszowano przed jej rodzicami zły stan zdrowia Pauliny.

– To ja już będę leciała – bąknęła. – Przyjdę jutro.

Ucałowała dziecko w czubek główki, pogłaskała czułym gestem siostrę po ramieniu i wycofała się pospiesznie z kuchni.

– Krystyno, pozwól na chwilkę! – Ciotka Maria dogoniła ją w przedpokoju. Stała z założonymi rękoma, wpatrując się natarczywie w dziewczynę. – Masz nie mieszać jej w głowie. Wszyscy mają myśleć, że dziecko jest jej. Kto wie, co by zrobiła tamta kobieta? Zwłaszcza teraz, gdy Poldek nie żyje?

– Przecież nie wiadomo, czy nie żyje – zaprotestowała Krysia.

– To jest nieistotne – ucięła ciotka. – Nie ma go. Chcesz, żeby zabrali dziecko?

– Paulina potrzebuje doktora, a nie wmawiania nieprawdy. Przecież z jej głową znów jest źle – odparła dziewczyna stanowczym tonem.



– Nie przychodź na razie. Nie jesteś potrzebna, skoro Paulina znów zaczęła się zajmować własnym dzieckiem – ucięła ostro Maria, kładąc nacisk na słowo „własnym”. – Zadzwonimy, jeśli coś się zmieni.

Odprawiona z kwitkiem Krysia wyszła z mieszkania w rozpiętym płaszczyku. Wzburzona zbiegła po schodach, niemal zderzając się z jednym z lokatorów, lecz nawet się nie zatrzymała ani nie rzuciła zdawkowych przeprosin. Marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej wyjść na świeże powietrze.

Szła szybkim marszem, nie zwracając uwagi na lodowatą mżawkę. Zastanawiała się, jak ma przekazać matce niewesołe nowiny. Czeką ją niechciana rozmowa, a potem pewnie rozpęta się jakaś awantura, rodzice się pokłócą. Wszystko to sprawiało, że dziewczyna z każdym krokiem zwalniała, jakby bezwiednie chcąc opóźnić powrót do domu. Zatopiona w myślach nie od razu usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Odwróciła się dopiero po dłuższej chwili, a potem z wrażenia ugięły się pod nią nogi. Tuż przed nią, na soleckim chodniku, stał Ignacy. Ubrany w modny płaszcz z tweedu, uśmiechał się niepewnie, jakby obawiał się reakcji dziewczyny na to niespodziewane spotkanie.

– Ignacy! To naprawdę ty? – Krysia nie udawała zdziwienia.

Chociaż to właśnie w nadziei na spotkanie z nim przychodziła często do Malinowskich, to później nigdy więcej nie widziała chłopaka, nawet z daleka. Założyła, że musiał być w tej okolicy przypadkowo i szans na ponowne spotkanie już nie będzie. Tymczasem stał przed nią cały i zdrowy, jeszcze bardziej przystojny niż kiedyś. Zmężniał na wojnie, a twarz nabrała ostrzejszych rysów.

– Ano ja, Krysiu! – roześmiał się. – Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczyła – zażartował.

– Po prostu zupełnie nie spodziewałam się spotkać ciebie tutaj. Nie wiedziałam, że bywasz na Solcu.

– Bywam, a nawet chwilowo mieszkam. Pokój odnajmuję od jednego miłego staruszka.

– A ja wracam od Malinowskich – wyjaśniła. – To spora ulga, że widzę cię całego i zdrowego. Tylu chłopców nie wróciło.

– To prawda. Mnie się udało. Byłem w marynarce w Gdyni – wyjaśnił.

– I Niemcy nie wzięli cię do obozu? Przecież brali wszystkich wojskowych. Mieli obowiązek sami się zgłosić – zdziwiła się.

– A jakoś mi się upiekło – odparł nonszalancko. Nie mógł przecież powiedzieć, że przebywa w Warszawie na wyraźne polecenie byłego dowódcy i bierze udział w tworzeniu ruchu oporu przeciwko Niemcom. Tym bardziej nie zamierzał wspominać, że ma papiery na fałszywe nazwisko. W gruncie rzeczy ich spotkanie nie należało do bezpiecznych, lecz zupełnie nie mógł nic poradzić na przyspieszone bicie serca. – Idziesz do Śródmieścia?

– Nie, wracam do domu. Na Pragę – wyjaśniła.

– Mogę cię kawałek odprowadzić?

– Oczywiście, jeśli tylko masz czas i ochotę. Opowiesz, jak ci się wiodło od naszego ostatniego spotkania. – Krysia ponownie tego dnia pożałowała, że nie kontroluje tego, co

mówi. Wspomnienie tamtego dnia, gdy Ignacy pobił młodego żydowskiego chłopaka, powróciło, a ona poczuła się zakłopotana.

– Opowiem z przyjemnością – odparł chłopak spokojnie. – Ale tylko jeśli zrewanżujesz się swoją historią. Masz jeszcze ten pamiętnik? Może dasz przeczytać, to dowiem się wszystkiego! – zażartował.

– Mam i w życiu nie dam! – roześmiała się. Jej serce rozpierała radość. Zrozumiała, że te wszystkie dni od ich rozstania były w gruncie rzeczy niczym innym niż czekaniem na ponowne spotkanie. Nadal go kochała i to się już pewnie nigdy nie zmieni.

\*\*\*

Szpital Starozakonnych na Czystem przypominał piekło. Decyzją władz okupacyjnych od tej pory w placówce mogli przebywać jedynie pacjenci pochodzenia żydowskiego, więc zabierano z niej wszystkich Aryjczyków, a w zamian zwożono Żydów z pozostałych szpitali w Warszawie. Chaos trwał w najlepsze, lekarze i personel nie wiedzieli, w co ręce włożyć. Chorych wnoszono i wynoszono bez przerwy, więc w izbie przyjęć rozlegały się nieustannie pełne cierpienia jęki.

– To jest barbarzyństwo – wycedził Michał. Jedyne, co mógł zrobić, to biernie się zgadzać na okrucieństwo. – Po co przenosić tych ludzi? Jakim trzeba być bydlakiem, żeby wydać takie rozporządzenie?

– Bądź ciszej – szepnęła Helena. – Żywy bardziej się przydasz pacjentom, więc nie daj się zastrzelić za zbyt długi język. Wszyscy widzą, że to hańba, ale w gruncie rzeczy czego się spodziewałeś po zwyrodnialcach, którzy rozstrzelują kobietę za to, że broniła się przed nachalnym oficerem? O innych brutalnych postępkach nawet nie wspominam.

– Helu, ja się boję, że opieka nad pacjentami się całkiem załamie – powiedział Michał, teraz znacznie ciszej. – Już wcześniej była ciasnota, ale w tej chwili to już całkiem nie wiem, co zrobimy.

– Nie ma co się martwić na zapas, tylko trzeba się brać do roboty. Przynajmniej nie pozostaje zbyt wiele czasu na myślenie. – Helena poszła w stronę kolejnego wniesionego nieszczęśnika i zaczęła dyrygować sanitariuszami.

Jednak godzinę później, gdy pacjenci nadal napływali, nawet ją przytłoczyło poczucie bezradności. Michał miał rację, ta fala chorych musiała załamać ich możliwości opieki. Obiecawszy sobie, że nie wróci do domu po skończeniu dyżuru i zostanie na noc, by dać z siebie jeszcze więcej, wyszła na chwilę przed szpital w nadziei, że zimne powietrze nieco ją ożywi.

Wieczór był chłodny, lecz na szczęście wreszcie przestało padać. W czarnych, połyskliwych chodnikach odbijało się światło latarni, rozciągając się w poprzek alejek żółtymi smugami. Nawet do tego trudno było się z powrotem przyzwyczaić po tygodniach obowiązkowego zaciemnienia. Helena przypomniawszy sobie rok, gdy poznała Poldka,

a świat był kolorowy i bezpieczny. Później zaczął pograżać się w mroku. Dziewczyna potrząsnęła głową, odpędzając ponure myśli, i wróciła do szpitala.

– Heleno, ordynator cię wzywa. – Jedna z pielęgniarek zastąpiła jej drogę do izby przyjęć.

– Och, to pewnie może poczekać – odparła zniecierpliwiona. Zerknęła ponad ramieniem koleżanki na kobietę w zaawansowanej ciąży, która najwyraźniej miała zacząć rodzić.

– Niestety nie może. Kazał przyjść niezwłocznie.

– Ciekawe, co takiego przeszkobałam? – Hela uśmiechnęła się z przymusem. Zrozumiała, że musi chodzić o coś ważnego, więc nie wdając się w dalsze dyskusje, pobiegła do gabinetu szefa oddziału. Zapukała i weszła od razu, gdy zza drzwi padło polecenie. Wewnątrz panował koszmarny bałagan. Z regałów wyciągnięto książki, które stosami walały się na podłodze.

Ordynator nie siedział za swoim biurkiem. Stał obok okna i z irytacją bębnił palcami w parapet. Na dźwięk kroków odwrócił się. Wbrew obawom Heleny nie miał surowej miny. Z jego twarzy wyzierała troska.

– Dziękuję, że siostra tak szybko przyszła – powiedział. – Nie ma czasu, więc od razu przechodzę do rzeczy. Jeszcze dzisiaj opuści siostra szpital i znajdzie zatrudnienie w innym.

– Dlaczego? Zrobiłam coś nie tak? – Helena poczuła się tak, jakby ordynator uderzył ją w twarz. – Daję z siebie, ile tylko mogę. Nie moją winą jest, że tylu pacjentów...

– Panno Heleno! Przecież ja o nic nie oskarżam. Przez myśl by mi nie przeszło, żeby narzekać na panny pracę. Nie słyszała siostra o niemieckim zarządzeniu, że wraz z aryjskimi pacjentami ze szpitala na Czystem ma się wynieść także nieżydowski personel? Za niezastosowanie się do przepisu grożą surowe kary.

– Słyszałam polecenie już wcześniej, ale panie ordynatorze, przecież ja jestem w połowie Żydówką – zaprotestowała Hela.

– W dokumentach figuruje siostra jako katoliczka. I w gruncie rzeczy lepiej, bo sama siostra widzi, że z bycia Żydem w dzisiejszych czasach nic dobrego nie wynika – westchnął. – Ubolewam, lecz zatrudniać dalej nie mogę wbrew przepisom.

– Jestem jednym i drugim, panie ordynatorze.

– Już nie, pani Heleno. Już nie.

– Cóż to znaczy? – zdziwiła się.

– Podzielili nas i będą dzielić dalej. Dzisiaj nie da się być Polakiem i Żydem jednocześnie. Trzeba wybrać. Dla pani będzie lepiej wybrać stronę aryjską i modlić się w swoim kościele, żeby nikt pani nie zadenuncjował do władz okupacyjnych.

– Nie zamierzam wybierać, panie ordynatorze. Ale skoro muszę, to oświadczam, że nie porzucę ani szpitala, ani pacjentów – odparła hardo Helena. – Niechże pan wpisze, że jestem Żydówką, i sprawa załatwiona.

– Doceniam to gorące serce, lecz proszę posłuchać głosu rozsądku. Żydzi już są obywatelami drugiej kategorii. Po co chce siostra narażać swoje bezpieczeństwo?

– Przecież gorzej być nie może – zbagatelizowała Helena.

– Sądzę, że może – powiedział cicho ordynator.

– Zaryzykuję – odparła twardo. – A teraz, jeśli nie ma pan zastrzeżeń do mojej pracy, wróć do swoich pacjentów. Chyba że potrzebuje pan pomocy z tym bałaganem.

Hela spojrzała wymownie na leżące na podłodze książki.

– Nie, dziękuję. Wbrew pozorom nie zajmuję się katalogowaniem woluminów. Zaraz zamówieni tragarze je stąd wywiozą, a tu się urządzi dodatkową salę dla chorych. Marnotrawstwem byłoby trzymać taki duży pokój dla siebie, jeśli można tu pomieścić kilka łóżek. – Ordynator uśmiechnął się do Heleny, lecz natychmiast spoważniał. – Mam nadzieję, że rozumie panna wagę swojej decyzji? – zapytał.

– Rozumiem – potwierdziła krótko.

Chwilę później opuściła gabinet i pobiegła do pacjentów. Nie zaprzętała sobie więcej głowy rozmową z ordynatorem. Liczyło się tylko to, że mogła dalej pomagać ludziom w potrzebie. Oczywiście, jak wszystko w życiu, sprawa miała drugie dno. Helena rzucała się w wir pracy, by nie myśleć o swojej tęsknocie za synem. Nie zamierzała odpuszczać, ale wiedziała, że w tej sprawie należało działać z rozmysłem. Wciąż nie było żadnych wieści o Poldku, więc właściwie nic się nie dało zrobić. Coraz trudniej żyło się z myślą o nim. Był miłością jej życia, lecz jednocześnie stał na drodze do odzyskania dziecka. Jednak na przekór wszystkiemu wciąż modliła się o to, żeby jej ukochany odnalazł się cały i zdrowy. Heli zaszklily się oczy, gdy przypomniawszy sobie przystojnego, jasnowłosego i wiecznie potarganego chłopaka z ciepłym uśmiechem.

– Coś ty sobie myślała? – wrzasnął jej nad uchem Michał, gdy po północy szła korytarzem z kolejną porcją bandaży. – Zdajesz sobie sprawę z tego, jak nierozsądna jest twoja decyzja?

– Rozmawiałeś z ordynatorem? – odpowiedziała pytaniem.

– Osobiście do mnie przyszedł! Narażasz na niebezpieczeństwo i siebie, i Manię, rozumiesz to? A poza tym właśnie pogrzebałaś jakiejkolwiek szanse na odzyskanie dziecka.

– Nie miałam ich już wcześniej, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Konrad z pewnością przekazał ci słowa mecenasa. A tu przynajmniej do czegoś się przydam.

– Mogłabyś się przydać w jakimkolwiek szpitalu aryjskim – warknął.

– Zobacz, z jaką łatwością przyszło nam, warszawiakom, zaakceptować ten wynaturzony podział na Żydów i Aryjczyków. Doprawdy, niezwykle postępy czyni niemiecka propaganda – zakpiła. – Jeszcze trochę, a każą nam oddychać osobnym powietrzem.

– Heleno, to nie są żarty!

– To już od bardzo dawna nie są żarty – odparła ze znużeniem.

– Jestem przekonany, że z każdym dniem będzie tylko gorzej.

– Byłam w więzieniu, straciłam ojca, dziecko i jedyne go mężczyznę, jakiego kiedykolwiek kochałam. Wiem doskonale, co to znaczy, gdy jest gorzej. A teraz, jeśli łaska, zejź mi z drogi, bo spieszę się do rannego piekarza z Żelaznej.

– A co z Manią? Nie obawiasz się o nią?

– Coś wymyślę – odparła, odchodząc.

\*\*\*

Apoloniusz Malinowski, wielce z siebie rad, ponownie przeliczył plik pięćdziesięciozłotówek. Zatrzasnął szufladę kasy sklepowej, banknoty schował za pazuchę.

– Dawno nie było takiego utargu. Nigdy bym tego nie powiedział, ale na coś się ci Niemcy przydali. A właściwie ich kobiety – powiedział do subiekta.

– Osobiście bym wołał, żeby ich tu nie było – mruknął sprzedawca.

– Też bym wołał, ale skoro już są, to trzeba ich golić z gotówki jak się da. A jutro mogą choćby zdychać, psubraty jedne. – Malinowski w ostatniej chwili powstrzymał się od splunięcia na wyfroterowaną na wysoki połysk podłogę. – Dobry utarg, i spora w tym twoja zasługa – zauważył łaskawie. – Nie wiedziałem, żeś taki wyszczekany w tym ich parszywym języku. Bajerowałeś blondyny aż miło. – Rękawicznik wyjął z portfela dziesięciozłotówkę i podał subiektowi pańskim gestem. – Masz premię, zasłużyłeś.

– Dziękuję, panie Malinowski – odparł pracownik i skłonił się sztywno.

Zadowolony Malinowski wyszedł ze sklepu na Nowy Świat. Ulica tętniła życiem jak przed wojną, lecz wszechobecne flagi ze swastyką natychmiast przypominały o nowej, ponurej rzeczywistości. Lodowaty deszcz zacinął nieprzyjemnie, a w „Nowym Kurjerze Warszawskim” napisali, że miejscami spadnie w Generalnej Guberni śnieg.

– Generalna Gubernia – zachnął się pod nosem Apoloniusz. – Też mi coś! Polska to jest!

Choć z dnia na dzień mocniej gardził warszawskimi tytułami prasowymi, nazywanymi przez warszawiaków gadzinówkami, wciąż kupował nowe numery w nadziei, że natknie się na jakąś wiadomość o Poldku. Jak dotąd bezskutecznie. Malinowski był przekonany, że jego syn zginął, lecz wiedział, że dopóki nie będzie miał pewności, dopóty w sercu tlić się będzie mała iskierka nadziei. Westchnął ciężko. Ponure listopadowe miasto wkrótce miał spowić mrok, lecz on wzdragał się przed powrotem do domu. Trudno było znieść tę grobową atmosferę, a on ani myślał psuć sobie radość z dużego utargu. Postanowił, że pojedzie do Melnerów, a po drodze kupi butelkę lepszej wódki. Wciąż można było nabyć przyzwoite towary, jeśli miało się pieniądze i wiedziało, do kogo zwrócić.

Apoloniusz Malinowski rozumiał, że z Januarym Melnerem warto utrzymywać dobre stosunki. Pominąwszy związki rodzinne, masarz doskonale sobie radził w nowej rzeczywistości. Jedzenie stało się najcenniejszym towarem, a zarazem celem samym w sobie. Każdy pamiętał niedawny głód, jaki mieszkańcy miasta cierpieli podczas oblężenia, teraz rzeczywistość też nie rozpieszczała. Niemcy wprowadzili kartki, a wraz

z nimi obowiązek zarejestrowania ich w konkretnym sklepie. Apoloniusz polecił Marii zapisać się do pobliskiego składu towarów na Solcu, lecz sam dogadał się z Januarym i to u niego realizował oficjalne zakupy. Z kartek każdy sklepikarz miał się skrupulatnie rozliczać z okupantem, lecz przecież nikt nie musiał wiedzieć, że oszukuje innych klientów na wadze, a naddatek sprzedaje staremu druhowi w atrakcyjnych cenach. Niejeden towar spod lady zmieniał przy okazji właściciela. Inną sprawą było to, że na jakości i pochodzeniu produktów oszukiwali wszyscy, dlatego trociny w chlebie czy gips w mące nikogo nie dziwiły. Oczywiście Malinowski takich bubli nie dostawał. Zamiast tego, już po ubitym targu, January wysyłał pomocnika z zakupami na Solec, a sam gościł Apoloniusza wódką i kielbasą, jak w poprzednim, przedwojennym życiu.

Nie dało się ukryć, że pod wieloma względami Melner bywał przydatny, poza tym Malinowski zwyczajnie go lubił i považał jako roztropnego przedsiębiorcę. Po namyśle uznał, że kupi dwie flaszki. Jeśli zejdzie im się do godziny policyjnej, zostanie u Melnerów na noc. Ostatnimi czasy podobne sytuacje nie należały do rzadkości, ludzie bali się choćby o minutę spóźnić z powrotem do domu. Patrole często nie reagowały na naruszenia, lecz nadgorliwi lub pijani żołdacy mogli zacząć strzelać do zbłąkanych przechodniów.

Dorożkę znalazł niedaleko skrzyżowania w Senatorską. Wsiadł, ciesząc się, że podniesiona czarna buda osłoniła go od wiatru i deszczu.

– Ależ mamy pogodę, panie – pożalił się dorożkarzowi.

– Jakie władze, taka pogoda – odparł tamten i zaciął konia. – Kiedyś nawet śnieg inaczej pachniał, teraz cuchnie szkopem.

– Masz pan rację. I dorożki stały na każdym rogu. Przepadł ten dawny świat.

– I nie wróci. Dokąd szanowny pan się wybiera? – Dorożkarz odwrócił się na koźle i puścił oko do pasażera.

– Miło byłoby do Adrii, ale teraz tylko Niemcy mają wstęp. – Malinowski podchwycił żart. – Jedź pan na Pragę, tam jeszcze wszystko działa prawie po staremu. Na Ząbkowską.

– Służę uprzejmie!

Dorożka potoczyła się po warszawskim bruku w stronę mostu. Na wysokości Wisły zacinający deszcz zabębnił w dach, a wiatr niemal zerwał budę. Apoloniusz wcisnął się mocniej w wyściełane siedzenie i zniemacka przypomniał sobie tamten pogodny dzień, gdy jechał wraz z synami tą samą trasą do Melnerów. Teraz przepadli synowie i tamten piękny świat. Malinowski się zasepił. Do głowy napłynęła mu myśl, że zbyt surowo traktował swoje dzieci. Może właśnie dlatego los sprawił, że stracił całą trójkę.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił dorożkarz. – Należy się osiem złotych.

– Powariowały te ceny – sapnął Malinowski.

– Co zrobić, takie czasy...

Apoloniusz wzruszył ramionami, odliczył należność. Podał pieniądze woźnicy, starając się nie myśleć o tym, że ledwie pół roku temu płacił za podobny kurs kilkadziesiąt groszy. Wsiadł wprost na poszarpany bombami chodnik. Płyty chodnikowe musiały w tym

miejscu solidnie oberwać, bowiem część z nich wykrzywiła się, jakby błagalnie wznosząc szare rogi w stronę obojętnego nieba.

– Farciarz z ciebie, January – ocenił Malinowski, patrząc na kamienicę Melnerów. Nie padła ofiarą bomb, a wypalonych okien Apoloniusz naliczył raptem pięć. Nic, co mogłoby zagrozić konstrukcji budynku.

Przy wejściu do bramy leżała kupa gruzu, lecz poza tym wszystko wyglądało niemal jak w dniu, gdy Paulina szła tędy w stronę czekającego na nią ślubnego powozu. Obydwoje z Poldkiem wyglądali w tamten pogodny dzień jak z bajki. Apoloniusz patrzył wówczas z optymizmem w przyszłość, jednak ta rozsypała się nomen omen w gruzy. Najpierw ucieczka Janka, potem wstyd z oszalałą samobójczynią synową i jeszcze śmierć Poldka na wojnie. Malinowski był wściekły na los, który całkowicie pokrzyżował jego misterny plan. Mimo to nie zamierzał się poddawać. Wzruszył ramionami i poszedł do Melnerów.

– Apoloniuszu! Wjedź proszę. Dzięki Bogu, że jeszcze nie ma godziny policyjnej, bo miałbyś kłopoty. – Drzwi otworzyła Teresa. Wprawdzie zaprosiła go serdecznie, lecz próżno było doszukiwać się na jej twarzy radości z niespodziewanej wizyty. – Zapraszam do salonu. January jeszcze w pracy, lecz wkrótce powinien wrócić.

– Wybacz najście, pomyślałem, że zajdę i zapytam o zdrowie i jak wam się powodzi. Połączenia telefoniczne są teraz zawodne, zresztą wszystkie linie na podsłuchu. Nie sądziłem, że twój małżonek jeszcze nie wrócił.

– Zaharowuje się na śmierć w zakładzie, mimo to w domu coraz biedniej – poskarżyła się Melnerowa.

Malinowski odruchowo powiódł spojrzeniem po tandetnie, choć bogato zdobionym salonie, który ewidentnie nie ucierpiał podczas nalotów. Biorąc pod uwagę, że January świetnie sobie radził w branży spożywczej, narzekania Teresy wydały mu się mocno na wyrost.

– No tak, tak – udał zmartwienie. – Wojna nam wszystkim daje do wiwatu. Ech, co to za czasy nastały.

– Otóż to. Okropne. Jedyne, co można zrobić, to zawierzyć Matce Boskiej.

– W istocie, droga Tereso, w istocie – odparł machinalnie. Poniewczasie uznał, że jego pomysł z przyjazdem do rodziców Pauliny był dość niefortunny. – Pójdę już. Nie będę przeszkadzać. – Mówiąc to, starał się za mocno nie gestykulować, żeby nie zabręczały skryte w kieszeniach flaszki. Z picia nic dzisiaj nie będzie, w dodatku towarzystwo jęczącej Melnerowej działało mu na nerwy.

– Nie przeszkadzasz, skądże – zaprzeczyła gorąco Teresa.

– Jednakże zaraz godzina policyjna...

– No tak, tak. Lepiej nie narażać się na niebezpieczeństwo – potwierdziła kobieta i natychmiast się przeżegnała. – Apoloniuszu, jeśli mogę zapytać...

– Zawsze i o wszystko. Służę pomocą o dowolnej porze dnia – zapewnił szarmancko.

– Krysia zwierzyła mi się ostatnio, że Maria wmawia Paulinie pewne niedorzeczności.

– Cóż to za pomysł załagał się w głowie twojej córki? – zdziwił się Malinowski.

– Nie wiem, Apoloniuszu. – Teresa westchnęła. – Kocham je obie, lecz młodsza jest zbyt samodzielna, a Paulina... Ona jest chyba szalona. Szatan ją pewnie opętał. Teraz ma jeszcze te zwidy, że wydała na świat twego wnuka. Ja oczywiście rozumiem, że właśnie tak powinno być, ale nie jest – powiedziała twardo. – Być może Maria nie chce, żeby sąsiedzi gadali, lecz to nadal kłamstwo przeciw Bogu. Paulina potrzebuje chyba egzorcyzmów. Niechby ktoś z niej wygnał to złe, a mgła się rozstąpi i wróci jasny umysł.

– Tereso, o czym ty mówisz? – zapytał Apoloniusz zniesmaczony. – Paulina opłakuje mojego syna. Jest rzeczą naturalną, że słaby umysł kobiety silnie przeżywa żałobę. Niech się zajmie mym wnukiem, wtedy z czasem rozum jej wróci. Maria dokłada wszelkich starań, żeby otoczyć ją opieką. Tymczasem pozwól, że się pożegnám, jeśli mam dotrzeć na Powiśle, zanim cholerni Niemcy zaczną strzelać do bezbronnych przechodniów. Całuję rączki, kochana Tereso.

Apoloniusz wycofał się pospiesznie z mieszkania na Ząbkowskiej. Cała wizyta zajęła raptem kilka minut, więc dorożka wciąż stała przed kamienicą. Woźnica palił papierosa, koń z łbem zanurzonym w obroku stał spokojnie pod zapaloną już latarnią.

– Na Solec! Migiem! – rozkazał, umościwszy się w dorożce. – Jak najdalej stąd – mruknął pod nosem.

– Cóż tak szanownego pana zezłościło? – zapytał niedyskretnie dorożkarz. – Nic gorszego niż Niemce w Warszawie nie ma – roześmiał się rubasznie.

– Pilnuj pan swoich spraw – ofuknął go Malinowski.

Oparł się wygodnie, przymknął oczy i wsłuchując się w tętent kopyt po warszawskim bruku, zaczął gorączkowo myśleć. Nadal zależało mu na sojuszu z Melnerami, choć Teresa drażniła go wyjątkowo. Jej pomysł, żeby wezwać egzorcystę do Pauliny, był ponurym żartem. Apoloniusz prędejj sam wywiózłby dziewczynę do wariatkowa, niż pozwolilby na podobny skandal w swojej kamienicy. Nie przepadał za synową, lecz doskonale wiedział, że stanowiła ostatnią deskę ratunku po tym, gdy troje jego potomków odeszło. Ktoś musiał przecież wychować dzieciaka. Przy odrobinie szczęścia zniechęci wszelkich przyszłych kandydatów do ręki Pauliny, gdy rozejdzie się wieść, że znów jest do wzięcia. To, że pomieszało się jej w głowie, działało na jego korzyść, chociaż i tak zlecał się chętni do posażnej wdowy. Do tego Apoloniusz nie zamierzał dopuścić. Rozmawiał o tym z Marią i ona też była tego samego zdania. Niewypite flaszki zadźwięczały w kieszeni starego rzemieślnika, gdy dorożka nagle się zatrzymała.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył dorożkarz, wymownie spoglądając z kozła na zaspanego pasażera. – Spiesz się pan, bo za kwadrans godzina policyjna, a ja jeszcze muszę pod knajpę dla szkopów obrócić. Psia ich mać! – Mężczyzna splunął z obrzydzeniem. Malinowskiemu przeszła przez głowę myśl, że gdyby tak całkiem gardził szkopami, to zawlókłby szkapinę do stajni i poszedł spać, zamiast służyć okupantom.



Zreflektował się, że sam był nie lepszy, gdy cieszył się ze sprzedaży kilkunastu eleganckich par rękawiczek żonom niemieckich oficerów.

– Masz pan. – Apoloniusz wetknął zapłatę dorożkarzowi i wyszedł na ulicę. Nie wyglądała zbyt reprezentacyjnie. Szczególnie teraz, gdy miejscami pierzeje budynków znaczyły stopy gruzu, lecz to nadal był dom, więc rzemieślnikowi żywiej zabiło serce. – Sentymenty! Chyba się starzeję – sapnął i poszedł w stronę bramy.

– Ojczy!

Malinowski przystanął. Potrząsnął głową, jakby chciał odgonić majaki. Powoli się odwrócił. Liche oświetlenie nisko sklepionej bramy ograniczało pole widzenia, lecz stary rzemieślnik dostrzegł smukłą sylwetkę stojącą u wylotu przejścia. Serce zabiło mu żywiej.

– Ojczy, to ja. – Postać podeszła bliżej i weszła w krąg mdłego światła.

– Janek! – wyszeptał Apoloniusz. – Dzięki Bogu!

\*\*\*

Konrad odstawił filiżankę na kawiarniany stolik. Z trudem powstrzymał grymas. Płyn, choć gorący, nie miał nic wspólnego z prawdziwą przedwojenną kawą.

– Schudłeś – zauważyła Ida Wolińska, wpatrując się bacznie w partnera filmowego. Trzymała w dłoni kieliszek białego wina i leniwie obracała jego czaszą, wprowadzając płyn w wir.

– Jeśli nie zauważyłaś, Warszawa cierpi ostatnio na niedostatek pewnych rzeczy. Na przykład jedzenia – odparł sarkastycznie.

– Może gdybyś więcej jadł na rautach z Niemcami, to nie byłoby problemu?

– Te świńskie ryje jakoś odbierają mi apetyt – odparł Konrad. – Żałuję, że...

– Czego żałujesz? Że odgrywasz kluczową rolę w polskim wywiadzie? – syknęła wściekle. – Musisz przyznać, że objadanie się do syta na niemieckich przyjęciach to nie najgorsza pokuta za... – Ida umilkła. Upiła spory łyk wina i zapatrzyła się w kawiarniane okno.

– Za to, że nie poszedłem na front jak twój pułkownik? – zapytał cicho. – On zginął we wrześniu i nie przysłużył się już żadnej sprawie. I choć współczuję ci straty, nie zamierzam żałować, że nie oddałem życia, stojąc przez minutę na polu bitwy. Bo właśnie tyle zajęłoby niemieckim siepaczom wdeptanie mnie w murawę.

– Dobrze wybrałeś – przyznała Ida, zakładając za ucho pasmo włosów.

Konrad przyjrzał jej się. Uosabiała epokę, która przeminęła. W strojnej sukni przyozdobionej cekinami i futrem oraz w pełnym, niemal scenicznym makijażu odcinała się od szarej, zgaszonej stolicy i jej mieszkańców niczym wulgarny klaun. Wciąż jednak przyciągała spojrzenia przedwojennych wielbicieli. Znacznie lepiej przyczyniłaby się sprawie, gdyby przestała aż tak rzucać się w oczy. Może Konrad nie znał się na konspiracji, lecz to, co wyprawiała Ida, nie mieściło mu się w głowie.

– Grupa Muszkieterów – powiedział twardo. – Ufasz im?

– Jak samej sobie. – Ida momentalnie spowaźniała. Odstawiła kieliszek i wyprostowała się.

– Kapitan nie zrobił na mnie dobrego wrażenia, a zadanie, jakie mi wyznaczył, po prostu rujnuje mi reputację. To nie jest normalne, że chadzam z okupantami na miłe kolacje do Adrii, kiedy na drzwiach wisi tabliczka, że lokal jest tylko dla szkopów. I nawet nie waży się wspominać, że moja hrabiowska rodzina ma niemieckie korzenie. Nie mam wpływu na to, kim byli moi przodkowie oraz macocha, i nie zamierzam przeproszać. Ja jestem Polakiem.

– Za nic nie musisz przeproszać. – Ida westchnęła i sięgnęła do pozłacanej cygarniczki po papierosa. – Kapitan jest dziwny w obyciu, tu się zgodzę. Ale to geniusz. Doskonale wie, co robi, więc warto go słuchać.

– Kiedy zwoła spotkanie swoich ludzi? Należałoby ustalić parę rzeczy albo poddać pod głosowanie.

– Nie mówisz chyba poważnie – parsknęła śmiechem Ida. – Przecież to konspiracja, Konradzie. Znasz mnie, ponieważ cię zwerbowałam, znasz punkt kontaktowy i przełożonego.

– I hrabinę – dodał.

– Tak. – Ida momentalnie spowaźniała. – Ryzykuje najwięcej, dlatego nigdy nie wymieniam jej nazwiska. Nie dość, że daje lokal, to siłą rzeczy zna zbyt wiele twarzy. Natomiast ani ty, ani ja nie poznamy nigdy innych Muszkieterów. Choćbyśmy przeszli obok nich na ulicy albo skończyli w jednym areszcie skazani na rozstrzelanie, do końca nie będziemy niczego o sobie wiedzieć. Jedynie to zapewni siatce względne bezpieczeństwo. Tak samo nie wolno nam zdradzić czegokolwiek bliskim nam ludziom. Dla ich dobra.

Konrad pomyślał, że dla scenicznej koleżanki sprawa jest prosta. Nie utrzymywała kontaktu z rodziną, straciła partnera, który jeśliby żył, to prawdopodobnie sam by się zaangażował w pracę grupy wywiadowczej. Z kolei on nie mógł powiedzieć niczego Helenie ani Michałowi. A oni, ofiarnie walcząc każdego dnia w szpitalu, zwyczajnie nie pojmowali, dlaczego Konrad spoufala się z Niemcami, którzy dzień po dniu zamieniali w piekło życie mieszkańców stolicy. Szczególnie tych pochodzenia żydowskiego.

– Nadejdzie dzień, gdy będę musiał wybrać pomiędzy bliskimi i konspiracją – powiedział z goryczą.

– I wówczas z pewnością wybierzesz konspirację, Konradzie. Inaczej jaki to wszystko miałoby sens? – Ida zaciągnęła się dymem po raz ostatni i zgasła niedopałek w kryształowej popielniczce.

## ROZDZIAŁ 5

1939

Zobacz, Maniu, znakują ludzi jak bydło – powiedziała Helena z wściekłością, patrząc na białą opaskę z gwiazdą Dawida. Skrawek materiału leżał na ladzie antykwariatu, a wokół niej nachyliły się trzy głowy.

– Mówiłem przecież, że to nie jest szczęśliwy pomysł, żebyś się przyznawała do pokrewieństwa z nami – odparł Michał.

– Ja tam się swoich korzeni nie wstydzę – prychnęła Hela. – Sam też już ulegasz tej nagonce, mój miły kuzynie.

– W jaki to sposób? – zdziwił się.

– „Pokrewieństwa z nami”? Od kiedy to są jacyś my czy oni?

– W gruncie rzeczy od zawsze – przyznał szczerze.

– Ale nie w rodzinie! – wtrąciła się Mania. Objęła kuzynkę i ufnie oparła głowę o jej ramię.

– Także w rodzinie – powiedział Michał.

Helena spochmurniała na myśl o dziadku Szmulu, który nigdy nie chciał jej nawet poznać.

– No cóż, trzeba iść do pracy – westchnęła.

Michał nadrobił szmat drogi z Karmelickiej, żeby wstąpić po Helę. Grudniowe dni sprawiały, że wychodziła do pracy, gdy jeszcze trwały ciemności, i już się zaczynały, kiedy wracała. Skąpe uliczne oświetlenie nie zapewniało bezpieczeństwa, zwłaszcza że w mroku Warszawy czaiły się stada przeróżnych podejrzanych typów. Tak jakby nienormalny wojenny czas i rosnąca brutalność Niemców potęgowały agresję pospolitych łotrów, jakich w mieście już wcześniej nie brakowało. Wszechobecna bieda, problemy ze zdobyciem żywności wynosiły przestępczość na niewiarygodny poziom. Nie pomagały surowe kary, jakie groziły za napaść i rozboje.

– Posprzątam tu trochę, zanim wrócisz – zaofiarowała się Mania. – Obiecuję, że niczego nie przestawię bez twojej wiedzy – dodała pospiesznie.

– Nie przejmuj się tym. I tak trzeba jak najszybciej wszystko spakować.

– Co zamierzasz zrobić z książkami? Jest tu przecież sporo perełek. Należałoby je schować do czasu, aż znów będzie można bezpiecznie postawić je na półkach.

Po śmierci ojca Hela traktowała antykwariat jak pomnik pamięci zmarłego tragicznie ojca. O dziwo, liczne naloty nie zdołały naruszyć oficynki z wąską witryną. Na prośbę dziewczyny dozorca zdjął szyld. Nieroztropne było afiszowanie się z księgozbiorami, gdy okupanci z takim entuzjazmem zabrali się do niszczenia polskiej kultury.

Po pierwszym szoku, gdy Helena była już w stanie myśleć o sprawach praktycznych, postanowiła na nowo otworzyć antykwariat, lecz zaledwie po dwóch dniach zrezygnowała. Zaglądali ludzie, którzy desperacko próbowali sprzedać jej swoje własne księgozbiory za bezcen, lecz nikt nie był chętny coś kupić. Nie dziwiła się. W tych czasach kromka chleba warta była więcej niż oprawny w skórę unikatowy wolumin. Z żalem, ale i z westchnieniem ulgi zamknęła drzwi antykwariatu na dobre.

– Część z nich schowam w piwnicy, a najcenniejsze oddam na przechowanie – odparła. – Konrad zaproponował pomoc. Mówi, że miejsca ma dość i chętnie przewiezie paczki dorożką.

– Miło z jego strony – odparł Michał. Helenie nie umknęła gorycz w jego głosie. – Idźmy już, bo jeszcze trochę i się spóźnimy. W szpitalu po ostatniej epidemii tyfusu jest jeszcze więcej do roboty. Warunki już urągają przyzwoitości. Jak my mamy ludzi leczyć? Niemcy najchętniej pozwoliliby, żeby ci nieszczęśnicy poumierali.

– Dlatego właśnie należy zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić – odparła spokojnie Hela. – Maniu, nie haruj tu za długo. Jutro też jest dzień. Wiem oczywiście, że aż się palisz do nowego pomysłu ciotki Sary, lecz zdrowie ważniejsze. Widzimy się jutro. – Hela cmoknęła młodą kuzynkę w czoło na pożegnanie.

Odruchowo podeszła do drzwi antykwariatu i poniewczasie przypomniała sobie, że te są zamknięte na głucho. Westchnęła na wspomnienie tych wszystkich szczęśliwych chwil, gdy wybiegała stąd na ulicę ze szkolną torbą, a ojciec żegnał ją dobrotliwym uśmiechem. Te jasne, proste dni już nigdy nie wrócą. Na myśl o tym raz za razem ścisnęło się jej z żalu serce. Hela przeszła przez mieszkanko na zapleczu na ponure podwórze, dopiero stamtąd bramą na Zgodę. Michał szedł tuż za nią, by przed zakrętem dorównać jej kroku.

– Nie moja rzecz, ale czy między tobą i Konradem dobrze się układa? – zapytała ostrożnie, gdy wyszli na skąpo oświetloną Marszałkowską.

– Co ma się układać, skoro w ogóle się nie widzimy. A jeszcze te jego nowe znajomości... – Michał zamilkł. Zacisnął z irytacją szczęki.

– Konrad jest dobrym człowiekiem. – Hela wzięła przyjaciela w obronę. – Może nieco się pogubił ostatnio, ale przecież my wszyscy nie jesteśmy już sobą. Potrzeba pewnie czasu...

– Na co potrzeba czasu? Żeby zrozumiał, jak złe i niebezpieczne jest zadawanie się z Niemcami? Czas na zabawę minął we wrześniu. I najwyższa pora dorosnąć.

Helena nie odezwała się. Jej także nie mieściło się w głowie, że odważny i szczodry człowiek, jakiego miała za przyjaciela i który wielokrotnie wyratował ją z opresji, mógł aż tak trwonić życie, zamiast przydać się choćby w szpitalu. Oczywiście rozumiała, że nie

każdy nadaje się do tej pracy, lecz mógł sobie znaleźć jakieś sensowne zajęcie, a nie wieczne rauty w towarzystwie niemieckich oficerów.

– A może nagle woli blondynów? – Michał roześmiał się szyderczo. Hela zrozumiała, że kuzyna oczywiście niepokoją niebezpieczne rozrywki Konrada, ale tych dwóch w dodatku oddaliło się od siebie.

– Nie pleć głupstw – odparła bez przekonania. – Zobacz, w końcu się rozwidnia – powiedziała, próbując zmienić temat.

Chodnikami przemykali liczni przechodnie z postawionymi kołnierzami i wciśniętymi mocno na uszy nakryciami głów. Każdy biegł do swoich spraw w spowitym mgłą wąwozie kamienic. Przenikliwa wilgoć potęgowała chłód. Na śnieg i mróz na razie się nie zanosilo.

– Naprawdę chcesz, żeby moja matka z Manią otworzyły bar w antykwariacie? – Michał zmienił temat. – Dziewczyna powinna się trzymać jak najdalej od Żydów. Zresztą ty też. Nowe zarządzenie gubernatora Franka wymaga, abyś oznaczyła lokal żółtą gwiazdą. Zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa? Nawet najbliżsi sąsiedzi będą was wytykać palcami.

– Znów zaczynasz? – zirytowała się. – Nawet nie chce mi się kłócić na ten temat. Zresztą co teraz jest bezpieczne? Codziennie może nas coś zabić. Jak nie tyfus w szpitalu, to głód. Albo pijany Niemiec na ulicy, jeśli będzie miał takie widzimisie.

– Jesteś inteligentną osobą, mam jednak wrażenie, że niczego nie pojmujesz. Zobacz, jak dzień po dniu wesoła drużyna Hitlera zaciska Żydom coraz ciaśniejszą pętlę na szyi. Krok po kroku ich propaganda nas odczłowiecza. Nie zmierza to do niczego dobrego.

– Polaków też traktują źle, więc wszyscy jedziemy na tym samym wózku, prawda? – odparła Helena, siląc się na wesoły ton. Wiedziała, że kuzyn ma rację. Choć warunki życia drastycznie pogorszyły się wszystkim mieszkańcom, Żydzi stanowili najbardziej szykanowaną grupę, obarczaną kolejnymi absurdalnymi podatkami, konfiskatami mienia. Byli pomawiani o to, że są brudni i roznoszą tyfus. Niemiecka propaganda z powodzeniem potrafiła odczłowieczyć dowolnego człowieka.

– Nie do końca prawda, że jedziemy na jednym wózku – powiedział cicho Michał i trącił kuzynkę lekko łokciem.

Wyrwana z rozmyślań, rozejrzała się wokół siebie nieco przytomniej. Mijani ludzie odsuwali się od nich lękliwie, obrzucając przelotnymi spojrzeniami. Jakaś kobiecina w chustce uczyniła na ich widok znak krzyża, lecz nie wyglądało na to, że ich błogosławi, a raczej pragnie odegnać od siebie złe. Helena w jednej chwili zrozumiała, co Michał miał na myśli.

– Teraz będziemy inni. Trędowaci – szepnęła.

– Dla każdego, o każdej porze dnia – potwierdził Michał. – A wszystko przez to. – Zatrzymał się na środku chodnika i podstawivszy Heli ramię pod nos, sugestywnym gestem szarpnął materiałową opaskę z gwiazdą Dawida.

\*\*\*

Ignacy Werner szedł zamaszystym krokiem przez dzielnicę północną. Nie zapuszczał się tu zwykle, uznając ją za teren żydowski, a więc niegodny jego osoby, lecz tym razem zmierzał na spotkanie grupy konspiracyjnej i zwyczajnie nie miał wyboru. Zawsze uważał Żydów za innych od siebie i wyrażał się o nich z najgłębszą pogardą. Szczycił się swoim szlacheckim pochodzeniem, bowiem nigdy nie nachodziła go refleksja, że ani na to nie zasłużył, ani nie miał żadnego wpływu. Ot, loteria losu, powiedziałyby każdy rozsądnie myślący człowiek, lecz Ignacy widział to raczej jako należne mu miejsce w otaczającym świecie.

Gdyby jednak ktoś go zapytał, czy tęskni za willą w Mokotowie i wygodnym apartamentem swojego sławnego brata, odparłby, że nie. Choć dla Ignacego ważne było pochodzenie, zupełnie nie zaprzętał sobie głowy wygodami i luksusowym życiem. Aspiracje Konrada, żeby otaczać się pięknymi przedmiotami, zawsze uważał za idiotyczne.

Z rozmyślań wyrwał go wysoki dźwięk. Przystanął zdezorientowany, wyrzucając sobie w duchu brak koncentracji. Doskonale wiedział, że zaniechanie czujności może kosztować życie, mimo to niefrasobliwie zatopił się w rozmyślaniach, zamiast bacznie obserwować otoczenie.

Krzyczała młoda dziewczyna. Od jej histerycznego wrzasku zaboląły go uszy, więc wykrzywił usta w bezwiednym grymasie. Choć rozsądek podpowiadał, by natychmiast odejść w boczną, śmierdzącą gęsim smalcem uliczkę, Ignacy jak urzeczony wpatrywał się w dziewczynę. Miała nie więcej niż szesnaście lat, jasne włosy uczesane w dwa grube warkocze, zbyt duży płaszcz i rozpacz wypisaną na twarzy. Tuż przed nią leżał jakiś starszy mężczyzna. Ignacy widział rozpostarty na chodniku sponiewierany chałat.

– Zostawcie! Niczego złego nie zrobił! – szlochała dziewczyna. Raz za razem wykonywała gwałtowne gesty, próbując przypaść do leżącego, lecz nie miała aż tyle odwagi.

Żyda otaczało czterech roześmianych niemieckich żandarmów, wiek żadnego z nich nie przekraczał dwudziestu lat. Było jasne, że napawali się władzą nad starszym człowiekiem, jakiej w normalnych czasach nigdy by nie mieli. Tyle tylko że od września nic już nie było normalne. Ignacy jak kot skrył się w cieniu budynku, odnotowując w myślach, że dzień przed świętami Bożego Narodzenia po raz pierwszy od tygodnia wyszło na chwilę słońce. Ironią było, że wyszło po to, by oświetlić obitego kolbami starego Żyda.

Młodych Niemców znużył spektakl, więc nie oglądając się na szlochającą dziewczynę, odeszli, a Ignacy z zaciekawieniem spojrzął, jak blondynka przypada do starca. Zdziwił się, że Aryjka może urządzać taki dramat o Żyda, lecz w tej samej chwili zobaczył opaskę z gwiazdą Dawida na jej zbyt dużym płaszczu. Słońce padło na biały materiał, który niemal załśnił w słońcu.

– Dziadku! – szlochała w najlepsze dziewczyna. – Nie umieraj!

Starszy mężczyzna leżał bez ruchu. Zrozpaczona blondynka poderwała się gwałtownie i pobiegła za oprawcami. Działając w skrajnym wzburzeniu, szarpnęła jednego za połe munduru i napluła mu w twarz. Bezbrzeżnie zdumiony odepchnął ją, nawet nie wkładając w to zbytnej siły. Upadła na chodnik.

– Przeklinam was. Niech was piekło pochłonie, sukinsyny! – wrzasnęła chrapliwie.

Żołnierz zdjął z ramienia karabin i wymierzył. Dziewczyna nie skuliła się i nawet nie odwróciła głowy. Patrzyła na Niemca nienawistnie. Nawet gdy wystrzelił w nią serię, a jej poszarpane ciało upadło na ziemię, jej oczy, teraz już nieruchome, nadal oskarżycielsko patrzyły na bandytę.

– Chodźmy stąd – warknął po niemiecku jeden ze smarkaczy. Było jasne, że czuł się nieswojo.

Skonfundowany Ignacy odszedł w boczną uliczkę. Spotkanie było najważniejsze, lecz on wciąż nie potrafił otrząsnąć się z dziwnego wrażenia, że oszukiwał się przez ostatnich kilka lat. Zawsze wyobrażał sobie Żydówki jako czarnowłose dziewczyny z ostrymi rysami twarzy. Takimi, jak miała znienawidzona przez niego Helena Małecka, ale ta dziewczyna w zbyt dużym płaszczu wyglądała zupełnie normalnie. Jak Polka. Co w takim razie było wyznacznikiem żydostwa? Jak rozpoznać wroga ojczyzny?

Ignacy doszedł do kamienicy, w której za kwadrans rozpoczynało się spotkanie. Miał zadanie do wykonania, w końcu przybył z Gdyni jako łącznik z polecenia wojska, lecz przystanął przed bramą i zaczął się zastanawiać. Przez jego głowę przelatywały obrazy, echa słów Konrada, wspomnienie twarzy Heleny pochylonej nad jego łóżkiem, gdy dochodził do siebie w szpitalu na Czystem.

Zakręciło mu się w głowie. Kawałki układanki zaczęły wskakiwać we właściwe miejsca, aż Ignacego powaliło odkrycie, które sprawiło, że oparł się o zimną fasadę kamienicy i zaczął spazmatycznie oddychać.

– Niemcy chcieli nas skłócić swoją propagandą – szepnął. – Jako potomek hrabiego powinienem był wcześniej zrozumieć.

Ignacemu wpojono dumę z pochodzenia i nadrzędną rolę w społeczeństwie, więc nagły widok pięknej blondynki, która z powodzeniem mogłaby zrobić furorę na dowolnym balu, kazał mu się zastanowić nad tym, czym właściwie jest to demonizowane żydostwo, rzekoma przyczyna wszelkich nieszczęść, jakie przytrafiały się od lat Polsce.

Nie pomyślał, rzecz jasna, o tym, by zaopiekować się Żydówką, która wcale nie wyglądała jak Żydówka. Stracił też zainteresowanie spotkaniem swojej komórki wywiadowczej. Ignacy poszedł szybkim krokiem w stronę Śródmieścia, omijając zęby ruin.

Zszedł nad Wisłę i zapatrzył się w niebo. Granatowe chmury przesuwały się nad praskim brzegiem, stalowoszara woda płynęła, szemrząc cicho, a on stał na mokrym piasku i gorączkowo myślał.

– Straciłem wroga – szepnął. – I zyskałem nowego – oświadczył uroczyście.

W głowie krzyczała mu jasnowłosa Żydówka i żadną miarą nie potrafił jej uciszyć. Przez jego udręczony umysł przeszła myśl, że chciałby teraz być z Krysią, lecz wiedział doskonale, że dla jej bezpieczeństwa należy trzymać się jak najdalej.

– Ofiara za ofiarę, Krysiu. – Ignacy uznał, że jedynym sensownym zadośćuczynieniem za strach ukochanej i rozpacz Żydówki, która wcale nie wyglądała na Żydówkę, będzie śmierć Niemca. Albo Niemki.

Sformuławszy tę myśl, Ignacy momentalnie poczuł ulgę. Odczekał w pobliskiej kawiarni do zmroku, a potem ruszył na łowy w stronę Alei Ujazdowskich.

\*\*\*

Przygotowania do otwarcia baru w antykwariacie na Zgodzie szły pełną parą. Ciotka Sara zdobyła gdzieś krzeselka i stoliki, z kolei ładę sklepową najęty stolarz zmyślnie przerobił na kontuar. Ogołocone z książek półki dźwigały teraz talerzyki i szklanki przyniesione przez zaprzyjaźnionego handlarza z Kercelaka.

Podeksycytowana Mania od rana pucowała niewielką kuchnię w mieszkaniu na zapleczu, gdzie gotować się miały potrawy. Nic wyszukanego, lista produktów żywnościowych dostępnych w Warszawie kurczyła się każdego dnia. Na to Sara Gutman też miała swoje sposoby. Niemal spod ziemi zdobywała worki cebuli i ziemniaków. Czarny chleb też zawsze się znalazł i nawet nieco mięsa. Podstawą miały być zupy, szczególnie grochówka i cebulowa. W tych czasach nikt nie kręcił nosem na menu.

Helena już dawno oddała stery domu w ręce młodszej kuzynki. Sama nie miała do tego głowy, poza tym najczęściej harowała w szpitalu, więc jeśli w ogóle wracała na noc, to wyłącznie po to, by paść na łóżko i spać kamiennym snem, jak długo się dało. Wiedziała, że pracuje tak dużo, żeby nie myśleć o Poldusiu. Jeśli tylko pojawiał się w głowie, natychmiast osuwał jej się grunt spod nóg. Słowa mecenasa i Konrada okazały się prorocze. Jak mogłaby choć pomyśleć o zabraniu dziecka do siebie? Skazać je na bycie Żydem w świecie tak dla nich niebezpiecznym? To byłoby niewybaczalnym egoizmem, więc dusiła w sobie tęsknotę na wszystkie możliwe sposoby, głównie rzucając się w wir pracy.

– Zjedz coś przed wyjściem. – Mania wychyliła się z kuchni i uśmiechnęła ciepło.

Helena nieustająco podziwiała tę młodą dziewczynę za niezwykle hart ducha. Straciła kontakt z całą rodziną, utknęła w obcym mieście bez żadnych znajomych, jednak walczyła z uporem o każdy kolejny dzień. Ciotka Sara bardzo ją polubiła i nawet zaczęła jej matkować, co Mani najwyraźniej wcale nie przeszkadzało.

– Zaraz zjem, dziękuję – odparła z uśmiechem. – Ty też powinnaś.

Helena obrzuciła krytycznym spojrzeniem dziewczynę. Znów urosła, przez co wydawała się jeszcze bardziej szczupłą. Jasne włosy przestała już czesać na pensjonarską modłę w dwa warkocze, lecz podpiniała je jak dorosłe kobiety, a nad czołem modelowała modny



lok, dodający jej wizualnie lat. Hela pomyślała ze smutkiem, że Mani i innym dziewczynom w jej wieku Niemcy odebrali najpiękniejsze lata beztroskiej przemiany z dzieci w podrostki. Jediną troską kuzynki powinno być wybieranie sukienki na spacer z koleżankami albo sekretne zakochiwanie się w chłopcach i pisanie o tym w pieczołowicie ukrywanych pamiętnikach. Tymczasem Mania pracowała na Kercelaku, rozkręcała interes w antykwariacie i ryzykowała codziennie, chodząc po ulicach okupowanego miasta.

Z zamyślenia wyrwał Helenę dzwoneczek nad drzwiami wejściowymi. Na progu stała młoda blondynka. Trzymała na rękach niespełna roczne dziecko, które z kciukiem wetkniętym w usta z ciekawością rozglądało się po wnętrzu.

– Basia! Basiu, to naprawdę ty? – Uradowana Hela nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Witaj, Helu. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. Minęło tyle czasu. – Wzruszona Basia podeszła do przyjaciółki i objęła ją wolnym ramieniem.

– Wejdzmy dalej – zreflektowała się Helena chwilę później. – A cóż to za piękność? – zaszczebotała przyjaźnie do dziecka. Jasnowłosa dziewczynka z czerwoną kokardą na czubku głowy uśmiechnęła się niepewnie i natychmiast ukryła buzię w ubraniu matki.

– To Alina. Moja i Janka córka – odpowiedziała Basia z dumą w głosie.

– Jest bardzo do ciebie podobna. Śliczna mała – pochwaliła Hela. – Nie wiedziałam, że u ciebie takie zmiany.

– Dawno nie pisałyśmy do siebie, więc nazbierało się nowości – odparła. Choć bardzo się starała, żeby stwierdzenie wypadło neutralnie, Helena nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w jej tonie zabrzmiała pretensja.

– Z mojej winy. – Helena zwiesiła smętnie głowę.

– Sądzę, że milczałaś, bo miałaś ważne powody – odparła ostrożnie Basia.

– Myślę, że obie miałyśmy.

– To ja może nałożę wam grochówki i zajmę się przez chwilę małą. Porozmawiajcie – wtrąciła się Mania.

Basia i Hela nie zareagowały. Wpatrywały się w siebie z napięciem, lecz widać było, że obie cieszyły się z tego spotkania. Mania delikatnie, lecz stanowczo wyplątała dziecko z rąk matki i wzięwszy je w ramiona, zniknęła w kuchni.

– Minęło tyle czasu – szepnęła Helena. – Wszystko się zmieniło.

– My też się zmieniliśmy – odparła Basia. – Kto by pomyślał, że tak się to potoczy. Byliśmy roześmiani, beztroscy, a potem...

– Ty wyjechałaś, a Poldek się ożenił. A teraz wróciłaś. Gdzie jest Janek?

– Poszedł do ojca. – Basia skrzywiła się, jakby napiła się octu. – Helu, to było straszne, musieliśmy uciekać z Poznania, bo tam Niemcy robili czystki wśród Polaków. W końcu to teren przyłączony teraz do tej ich całej hitlerowskiej Rzeszy. Zabierali ludziom wszystko, wypędzali z domów i nawet nie pozwalali wziąć mebli czy ubrań. Najbardziej nam

zależało na bezpieczeństwie Aliny, więc nie zastanawialiśmy się długo. Może stary osioł Malinowski otworzy serce? Jeśli nie dla Janka, to dla wnuczki?

– Jeśli nie otworzy, to możecie zatrzymać się tutaj – zapewniła Helena. – To zawsze był twój dom. Pamiętaj o tym.

– Nigdy nie zapomnę tego, że przygarnęliście mnie z panem Józefem pod swój dach. Właśnie, gdzie on jest? Znów zaszył się gdzieś z książką i nie wychynie, dopóki obiad nie będzie całkiem zimny? – zażartowała.

– Ojciec zginął w pierwszych dniach wojny podczas nalotu – odparła cicho Hela. Z oczu popłynęły jej łzy. Już od jakiegoś czasu nie płakała, lecz Basia przypomniała jej te szczęśliwe dni, gdy mieszkali we troje na Zgodzie, a wokół toczyło się normalne życie.

– Och, kochanie, tak strasznie mi przykro.

Helena usiadła na wersalce ojca, na której już od jakiegoś czasu spała Mania. Basia otoczyła przyjaciółkę ramieniem i przytuliła mocno.

– To nie wszystko, co wydarzyło się przez te ponad dwa lata – dodała Hela z wahaniem w głosie.

– Co jeszcze mogło się stać? – zapytała wstrząśnięta Basia.

Helena rozplakała się, a gdy spazmatyczny szloch nieco ustąpił, opowieść o wakacyjnym romansie z Poldkiem, zaginięciu w wojennej zawierusze, oszalałej Paulinie, narodzinach panińskiego dziecka i pobycie w fordońskim więzieniu popłynęła lawiną gorączkowych słów.

\*\*\*

– Matko przenaświętsza! – Ciotka Maria przeżegnała się, a jej zwykle zasznurowane usta rozciągnęły się w uśmiechu. – Janek! Co za szczęście, żeś wrócił do domu.

– Dzień dobry – odparł sztywno chłopak.

Rozglądał się po nowym lokum ojca i gdzieś w głębi duszy żałował, że nie dane mu będzie wrócić choć na chwilę na poddasze niegdyś dzielone z bratem.

– Idę po herbatę, zimnica taka, pewnie się obaj napijecie. – Podekscytowana kobieta chwyciła świeczkę, która wieczorną porą zastępowała wieczną wyłączaną elektryczność.

– Ja bym się raczej napił czegoś mocniejszego – mruknął półgębkiem stary Malinowski, puszczając do syna porozumiewawcze oko.

– A to już jak ojciec woli. – Janek odruchowo spojrzął na ogromny portret matki zajmujący pół ściany w jadalni. Wprawdzie nosił w kieszeni marynarki nieco sfatygowane stare zdjęcie, na którym ojciec siedział na krześle, a za nim stała matka w rozłożystej kraciastej sukni, lecz rysy twarzy Eleonory Malinowskiej rozmyły się w jego pamięci. Pierwszy plan fotografii wypełniała trójka dzieci, z których dwoje już nie żyło. Uświadomiwszy to sobie, Janek spochmurniał. Powrót do Warszawy zupełnie go nie cieszył. Czuł się jak ktoś, kto długo szarpał paznokciami drzwi pułapki, żeby tylko stać się

wolnym. Tymczasem zatoczył koło i bez grosza przy duszy stał przed znienawidzonym ojcem.

– Nie ma co przejmować się babami! – Rozochocony Apoloniusz wyjął z barku dwa kieliszki i butelkę koniaku. – Napijmy się! Mosze Bluman dostanie podwyżkę za to, że tak szybko sprowadził cię do domu.

Janek uznał, że uświadamianie ojcu, iż majster nie miał udziału w jego decyzji o powrocie, zwyczajnie mija się z celem.

– Chcę z ojcem porozmawiać o przyszłości mojej rodziny...

– Rodzina ma się świetnie. Pamiętasz Paulinę?

– Pamiętam ze ślubu – odparł znużony. – Cóż to ma do rzeczy? Ja ojcu próbuję właśnie wytłumaczyć, że wróciłem z rodziną.

– Ja sobie tak myślę – ciągnął niezrażony rękawicznik – że może jakbyś się zajął Pauliną, to mały Polduś miałby wsparcie, a ja mocnego dziedzica.

– Zajął? O co ojcu chodzi? Jeśli o wsparcie, to służę pomocą. Musi jej być ciężko po zaginięciu Poldka. Ale przecież on wróci. Musi wrócić – powiedział Janek z przekonaniem.

– Pewnie już nie wróci – odparł smętnie Malinowski. – A wdowę będzie trzeba wydać znów za męża. Tu widzę twoją rolę.

– Ojciec chyba sobie żartuje – roześmiał się Janek. – Ożeniłem się przeszło rok temu z Basią. Tak! Szwaczką, której tak bardzo ojciec nie lubił, a ciotka Maria, nie wiedzieć czemu, wręcz nienawidziła.

– Bratanie się z plebsem, kiedy jest tyle lepszych możliwości...

– Jest jeszcze miłość, lojalność. – Janek gotował się ze wściekłości.

– Właśnie, synu! Lojalność wobec rodziny. Jesteś teraz moim jedynym spadkobiercą, więc powinieneś w końcu dorosnąć! – Apoloniusz wychylił jednym haustem kieliszek wódki i spojrzał wyzywająco na syna.

– Widzę, że powrót był błędem – wycodził zimno chłopak i wstał od stołu.

– Siadaj! – polecił mu ojciec. Nie krzyknął, jak to miał w zwyczaju. Janek ze zdumieniem zobaczył, że niezłomny, uparty Apoloniusz oparł łokcie na stole i zaczął masować kciukami skronie. Wyglądał na znużonego, a rzednące coraz bardziej włosy zdecydowanie posiwiwały od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni.

– Dlaczego ojciec chciał mnie widzieć po tak długim czasie? – Janek zignorował polecenie i stał bez ruchu za krzesłem.

– Myślałem, że wyraziłem się jasno. Przejmiesz pracownię, sklep i kamienicę. – Apoloniusz spojrzał na syna. – Oczywiście do czasu, gdy mały Poldek dorośnie. To mój jedyny wnuk, więc tu nie ma o czym gadać.

– Ma ojciec jeszcze wnuczkę – odparł twardo Janek. – Ma niespełna rok, więc pewnie dzieci są w podobnym wieku.

– Wnuczkę? – Malinowski osłupiał. – Mosze nic nie powiedział...

– Podziękowałbym mu raczej za to, że przez te lata troszczył się o mnie i Basię. Od czasu gdy wyjechaliśmy, był jedynym człowiekiem, który o nas myślał. Bywało, że przysyłał przekazem pocztowym część swojej pensji, gdy nie mieliśmy z Basią co wrzucić do gara. Będę więc wdzięczny, jeśli ojciec zostawi Blumana w spokoju. Nie on jest teraz tematem rozmowy. – Janek zacisnął szczęki, próbując zachować zimną krew. – Ojca wnuczka ma na imię Alina. Jest najpiękniejszą dziewczynką, jaką widziałem od wczesnego dzieciństwa. Jedynie Dorotka mogłaby jej dorównać.

– Nie chcę o niej rozmawiać – zachnął się stary.

– Miałeś córkę. Źrenicę twojego oka. – Janek pochylił się w stronę ojca i chwycił dłońmi oparcie krzesła, aż pobiełały mu kłykcie. – Teraz ja mam swoją. I zrobię dla niej wszystko.

Stary Malinowski patrzył badawczo na syna. Nie ulegało wątpliwości, że chłopak bardzo zmężniał i wydorósł. Zawsze był słusznej postury, lecz teraz dodatkowo nabrał tężyzny, przez to wydawał się jeszcze wyższy. Apoloniusz zrozumiał, że ma do czynienia nie z chłopcem, lecz mężczyzną, którego nie będzie już łatwo naginać do swojej woli. Inna rzecz, że już jako dzieciak miał więcej charakteru niż Poldek i na dziedzica nadawał się bardziej. W głowie starego rękawicznika pojawiła się podstępna myśl, że dla pracowni to nawet lepiej, jeśli przejdzie w ręce Janka. Co natychmiast przypomniało mu o stracie najstarszego syna. Ponownie poczuł ucisk w sercu. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej, przez co myślał z irytacją, że staje się sentymentalny.

– W porządku. Zatem wprowadzisz się z rodziną tutaj i zajmiesz się pracownią – powiedział Malinowski.

– Muszę to przemyśleć, ojcze. Ale dziękuję za propozycję – odparł Janek. Zachował kamienną twarz, choć z dużym trudem.

Nic nie mógł na to poradzić, że spłynęła na niego ulga. Wiedział, że ponowne życie pod wspólnym dachem z apodyktycznym ojcem przysporzy jeszcze wielu kłopotów i awantur, ale był skłonny do poświęceń, żeby tylko zapewnić bezpieczeństwo żonie i córce.

\*\*\*

Poldek ocknął się i leżał bez ruchu, wpatrując się w sufit z bielonych bali. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, przez dobrą chwilę zastanawiał się intensywnie, kim jest i co się wydarzyło. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, była karkołomna wspinaczka po kamiennych schodach klasztoru. Pomagały mu dwie zakonnice, ale nie potrafił przypomnieć sobie ani ich imion, ani twarzy. Doskonale pamiętał wydarzenia z bitwy, lecz niewiele więcej. Ostrożnie pomacał dłonią twarz. Broda urosła na kilka centymetrów, więc musiało minąć sporo czasu. Nie miał odwagi dotknąć rany na piersi. Zamiast tego uniósł się ostrożnie na łokciu i rozejrzył.

Miał niejasne wrażenie, że zna to miejsce, lecz nie potrafił przywołać żadnego konkretnego wspomnienia. Izba, choć niewielka, robiła bardzo dobre wrażenie. Pod

sąsiednią ścianą stał duży kufer malowany w ludowe wzory, a tuż obok znajdował się w ścianie obłożony białymi kaflami występ. Poldek uznał, że to musi być tył pieca ogrzewającego dom. W pokoiku było ciepło, aż za ciepło, więc odchylił skraj kraciastej pierzyny. Nie odważył się wstać. Pamiętał dokładnie, czym nadmierna brawura skończyła się poprzednio. Zamiast tego wykręcił głowę i spojrzał w niewielkie okno ozdobione haftowaną w kolorowe kwiaty firaniczką.

– Boże – jęknął z rozpaczą. Na zewnątrz wirowały płatki śniegu, co uzmysłowiło Poldkowi, że od bitwy we wrześniu minęło bardzo dużo czasu. Długie miesiące niepamięci, podczas których rodzina musiała uznać, że zginął. – Muszę wracać. I to natychmiast – powiedział do siebie.

Nie pomyślał o ojcu, Paulinie czy ciotce Marii. Skupił się na Helenie, zastanawiając się, czy ukochana opłakuje jego śmierć, czy też o nim zapomniała. Uczciwie przyznał, że po wszystkim, co zrobił, miała pełne prawo zapomnieć, a właściwie nawet powinna. Mimo to samo tylko wspomnienie jej twarzy okolonej ciemnymi włosami przyprawiło go o drżenie serca.

Drzwi otworzyły się z cichym skrzypieniem. Do środka wszedł starszy, szczupły mężczyzna w znoszonej marynarce. Spojrzał na Poldka i uśmiechnął się szeroko, gładząc przy tym siwą brodę.

– Widzę, że w końcu gorączka puściła. Znakomita wiadomość! Dobrze, że Zośka od rana gotuje. Pewnie zgłodniałeś w końcu, chłopcze? – Mężczyzna bezceremonialnie podszedł do Poldka i położył mu dłoń na czole. – Dobra nasza. Zaraz obejrzymy ranę. Nieźle się to wszystko goiło, ale potem gronkowiec albo inne dziadostwo wylazło. W tych warunkach dokładnie się nie dowiemy, ale przecież mówiłem o tym wczoraj.

– Kim pan jest? – zapytał zdezorientowany Poldek.

– To rzeczywiście była wysoka gorączka – mruknął pod nosem mężczyzna. – Nic nie pamiętasz? W gruncie rzeczy to bardzo ciekawe, bo przecież nieraz rozmawialiśmy, ale wybacź moją lekarską dociekliwość i pozwól, że przedstawię się ponownie, wiejski doktor, Bolesław Kazimierczak, do usług.

– Przepraszam – bąknął Poldek.

– A za cóż? – zdziwił się doktor. – Masz prawo być skołowany, chłopcze. Najważniejsze, żeś znów oprzytomniał.

– Znów?

– Ano znów. Lecz teraz już wszystko powinno być dobrze. Połóż się, to cię zbadam, a potem Zośka przyniesie coś do zjedzenia.

– Zośka?

– Gosposia. Jej też nie zapamiętałeś? Karmiła cię pożywnymi rosółami przez ostatni miesiąc. Do jej kuracji moja nawet się nie umywa – roześmiał się doktor.

– Muszę jej podziękować – odparł Poldek. – Pewnie przysporzyłem kłopotów.

– Nonsens, drogi chłopcze. Ty i tobie podobni są solą polskiej ziemi. Poświęciliście wiele w obronie kraju. Szkoda, że wszystko nadaremno – westchnął Kazimierczak.

– Przegraliśmy?

– Z kretesem. Ale nie martw się tym teraz. Zdrowie najważniejsze. Pewnie masz mnóstwo pytań. – Doktor przysiadł na stołku obok łóżka i uśmiechnął się zachęcająco.

– Mam, jeśli można. Jak długo tu jestem?

– Będzie ponad miesiąc. Gdy cię przynieśliśmy z klasztoru, ledwie dychałeś, aleś uparcie się życia trzymał.

– Co się właściwie stało? Pamiętam dwie zakonnice. Jedna powiedziała, że w klasztorze Niemcy strzelają...

– Tak było. Otoczyli zabudowania, weszli do środka i zabili na miejscu wszystkich rannych żołnierzy, którymi opiekowały się siostry. Niemcy są barbarzyńcami. W głowie się nie mieści, że naród, który wydał na świat Goethego czy Bacha, zdolny jest do tak nikczemnych rzeczy. Ale dość o tym. Przeorysza ukrywała cię przez kilka dni w swojej celi. Jako jedyny, dzięki przytomnemu zachowaniu zakonnicy, uniknąłeś śmierci. Potem okazało się, że rana została naruszona przez tę karkołomną ucieczkę i dodatkowo wdało się zakażenie. Marniałeś w oczach, więc nie patrząc na ryzyko, wezwały mnie do klasztoru. Przywiozłem cię tutaj, do swojego domu, i tak już kolejny tydzień walczyliśmy o twoje życie. Wydaje się, że z sukcesem, drogi chłopcze. – Doktor pogłaskał się z wyraźnym zadowoleniem po siwej brodzie i pokiwał potakująco głową.

– Dziękuję. Dziękuję za wszystko – wyszeptał Poldek.

– Jesteś głodny? – Kazimierczak puścił oko i uśmiechnął się dobrodusznie.

– Jestem – odparł. – Nie wiem, kiedy ostatnio czułem głód, ale teraz mam wrażenie, że zjadłbym konia z kopytami – zażartował.

– Niewykluczone, że zjesz – zarechotał doktor. – Ja tam się Zośce w kuchnię nie wtrącam, więc nie mam pojęcia, jakie zdobywa wiktuały.

– Jestem dla pana doktora obciążeniem – zmartwił się Poldek. – Odpracuję, słowo daję.

– Nie trzeba, chłopcze, nie trzeba.

– Jeśli udałoby się zawiadomić mojego ojca, on z pewnością uregulowałby rachunek za leczenie i opiekę. – Poldek spojrział z nadzieją na Kazimierczaka.

– Czyżbyś wreszcie przypomniał sobie adres swoich bliskich? Próbowałem to z ciebie wydobyć, ale przez większość czasu mamrotałeś coś niedorzecznego.

– Cóż takiego?

– Wysłać list Helenie na zgodę – odparł doktor. – Zrozumiałem z tego tyle, żeś się z jaką panną pogniewał przed wojną i chcesz się godzić. Ale niczego więcej nie powiedziałaś.

Poldek westchnął, lecz powstrzymał się od wyjaśnień. Po cóż poczciwemu doktorowi potrzebna była wiedza o antykwariacie na ulicy Zgoda? Przecież nawet nie mógł poprosić o wysłanie listu do Heleny. To byłoby zupełnie nie na miejscu.

– Coś mi się musiało pomieszać w głowie. Ociec mój mieszka na Solcu w Warszawie i to jego chciałbym zawiadomić. Pewnie myśli, że poległem na froncie.

– Póki życia, póty nadziei – podsumował filozoficznie doktor. – Wyślemy telegram albo list. Poczta polska nie działa, a niemiecką dopiero uruchamiają. Może uda się podać wiadomość przez kogoś.

– Dziękuję – odparł Poldek. Krótka rozmowa wyczerpała go zupełnie. Opadł na poduszkę i przymknął oczy.

– Ejże, przecież obiecałeś coś zjeść, drogi młodzieńcze – skomentował doktor. – No cóż, może zjesz później.

Doktor Bolesław Kazimierczak podniósł się i podszedł do okna. Uchyliwszy firankę, spojrzał bacznie na drogę wijącą się między polami. Niemal zniknęła pod warstwą puszystego śniegu. Na tle nieba płatki wirowały coraz gęściej, a wiatr wzniecił zadymkę. Podróż do sąsiedniego miasteczka nie miała najmniejszego sensu. Pod śniegiem leżały zwały błota, w których każdy pojazd od razu by ugrzązł. Do końca śnieżycy i w kolejne dni nikt z wioski nie uda się na żadną pocztę.

## ROZDZIAŁ 6

1939

Chaos, jaki rozpętał się w szpitalu na Czystem po tym, gdy okupanci nakazali konfiskatę sprzętu medycznego, dało się porównać jedynie z dramatycznym w skutkach bombardowaniem budynków w pamiętnym wrześniu.

Niemcy w ogóle nie mieli szacunku dla cierpienia, a żydowskich pacjentów traktowali z niezwykłą pogardą. Dwóch żołdaków wpadło do sali operacyjnej w trakcie zabiegu i dosłownie zepchnęli pacjenta na ziemię ze stołu. Jeden z chirurgów postąpił o krok i zaczął krzyczeć na barbarzyńców.

Michał widział to jak w zwolnionym filmie. Jego kolega zdążył podnieść ręce w geście oburzenia i wtedy jeden z intruzów wyciągnął pistolet z kabury i bez wahania strzelił do lekarza. Ten upadł trafiony prosto w usta. Odrętwiały z przerażenia Michał patrzył rozszerzonymi oczami na kolegę. Na środku białej maseczki chirurgicznej pocisk wyszarpał dziurę. Materiał nasiąknął już krwią, która zaczęła kapać na podłogę.

Działając jak w transie, Michał postąpił krok do przodu i wyciągnął skalpel, który trzymał w dłoni. Było mu wszystko jedno, myślał jedynie o zemście, poczucie koszarnej niesprawiedliwości, jaka toczyła to zapomniane przez Boga miasto, wprawiło go we wściekłość, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewał. Pragnął ciąć ostrzem młode, nieskalane myśleniem gęby żołdaków, którzy mieli pewnie nie więcej niż po dwadzieścia lat, a jakiś obłąkany manią wielkości narodu niemieckiego psychopata wmówił im, że są nadludźmi.

– Nie ruszaj się, do jasnej cholery – syknęła mu do ucha pielęgniarka asystująca przy operacji. Chwyliła go za przedramię, zmuszając do opuszczenia skalpela. Wbiła mu paznokcie w nadgarstek i ból sprawił, że Michał się ocknął. – Nawet nie drgnij.

Stał posłusznie, ledwie rejestrując prymitywnych Niemców wynoszących stół operacyjny. Pacjent skomlał cicho, leżąc tuż obok martwego chirurga. Krew płynęła cienką strużką po podłodze. Gdy wreszcie wyszli, uderzając stołem operacyjnym o framugę, Michał potrząsnął głową i przypadł do pacjenta.

– Siostró, proszę podać eter – krzyknął. – Dziękuję, że mnie powstrzymałaś – zwrócił się do młodej blondynki w biało-różowym fartuchu szkoły pielęgniarskiej. Wiedział, że zawdzięcza jej życie, i zamierzał podziękować dziewczynie bardziej wylewnie, gdy to szaleństwo wreszcie się skończy. Jednak nic na to nie wskazywało.



– Nie mamy już eteru – odparł stażysta, jękając się nerwowo.

– Niech siostra przyniesie alkohol – polecił Michał, próbując unieruchomić oszalałego z bólu człowieka z otwartymi powłokami brzuszными.

– Ale skąd? – Pielęgniarka powiodła spojrzeniem po sali operacyjnej. Niemcy wytłukli wszystkie gabloty i ich zawartość. W zasięgu wzroku nie było niczego, co mogłoby się przydać.

– Gabinet ordynatora. Na pewno są tam butelki kolekcjonerskie. Może być wódka, koniak, cokolwiek. Szybko! – Michał ponaglił dziewczynę.

Najchętniej uciekłby stąd i wrócił nad morze, do Juraty. Tam, gdzie żył pełnią życia, a jego jedyną troską było to, czy spotka na śniadaniu Zulę Pogorzelską czy Wojciecha Kossaka. A potem krył się w pokoju hotelu i tonął w ramionach Konrada.

Pacjent przestał krzyczeć. Chrapliwie chwycił powietrze, próbując walczyć o życie. Cóż z tego, jeśli każdy oddech coraz głębiej rozwierał jego trzewia. Michał spojrzał w jego oczy i od razu odwrócił wzrok. Nie miał pojęcia, jak się nazywa ten mężczyzna. Walka o życie pacjenta nie oznaczała, że przestudiuje jego życiorys. Ale wyczuwał to specyficzne spojrzenie człowieka, do którego właśnie docierało, że nadchodzi koniec. Michał zacisnął szczęki, żeby nie krzyczeć, i nie odważył się odejść. Błysk przerażenia w oczach rannego zastąpiła rezygnacja. Chwilę później skonał, a jego oczy znieruchomiały wbite w szpitalny sufit.

– Niech to szlag – zaklął asystent, ściągając z twarzy maskę. – To był rutynowy zabieg usunięcia wyrostka.

– Nic nie jest rutynowe w dzisiejszych czasach – odparła jedna z pielęgniarek i zaniósł się płaczem.

– Mam wódkę! – uczennica szkoły pielęgniarskiej weszła do sali operacyjnej, pokazując triumfalnie zdobyczną butelkę. Dziewczyna wyglądała uroczo, jakby wojna nie czepiała się młodzieży. Nieco potargane jasne włosy okalały niewinną, młodą twarz, upstrzoną piegami. Mina jej zrzędała, gdy zobaczyła znieruchomiałego pacjenta.

Kontrast pomiędzy pełną życia uczennicą i zwłokami zastrzelonego chirurga oraz zrzuconego ze stołu operacyjnego pacjenta sprawił, że Michał poczuł mdłości. Oddychał szybko, żeby nad sobą zapanować.

Logika podpowiadałaby, że gdy kończy się jakiś koszmar, powinien nastąpić okres spokoju. Umysł człowieka nie jest w stanie bezustannie działać w warunkach stresu, więc jeśli zagrożenie nie odpuszcza, wówczas człowiek obojętnieje, żeby nie zwariować. Tak było też z Michałem. Ogłuchł na płacze i krzyki, jakie dobiegały z każdego kąta rabowanego szpitala. Uczepił się myśli o Helenie. Cudownym zrzędzeniem losu kuzynka miała dzisiaj wolne, więc chociaż tego koszmara nie musiała oglądać. Michał zapragnął natychmiast wydostać się ze szpitala, ale do rodzinnego domu też nie miał chęci wracać. Ostatnim, na co miał ochotę, był widok rozmodlonego dziadka i pijanego ojca. Skąd miał pieniądze na alkohol, pozostawało zagadką.

Michał zdjął zakrwawiony fartuch i rzucił na krzesło. Spod przewróconego wieszaka leżącego w korytarzu wyciągnął zimowy płaszcz. Własnego gabinetu nie miał już od dawna, wszelkie nadające się pomieszczenia w kompleksie szpitalnym zamieniono na sale dla chorych. Nawet nie zapiął okrycia, wyszedł z budynku i zaczerpnął haust mroźnego powietrza. Wokół jak okiem sięgnąć stały niemieckie ciężarówki, do których pakowano grabiony sprzęt. Do dźwigania zapędzono ortodoksyjnych Żydów. Chałaciarzy, jak z pogardą mówili o nich niektórzy Polacy.

– Czekałem. – Konrad Werner stanął naprzeciwko kochanka i uśmiechnął się szeroko.

– Na mnie? – zapytał odruchowo, nadal uwikłany myślami w koszmar jatki w sali operacyjnej. Rozejrzał się i zobaczył, że z nieba sypie się pierwszy tego roku śnieg, który topniał, gdy tylko dotknął chodnika. Odrętwiały Michał nie potrafił się nim cieszyć. Wciąż miał w głowie krzyki, rozpaczliwe modlitwy w jidysz, szlochki pielęgniarek. Spoglądał na niemieckie samochody, na płatki śniegu i na uśmiechniętego kochanka.

– Oczywiście, że na ciebie – odparł pogodnie Konrad. – Chodźmy coś zjeść.

– Ale gdzie? – zapytał Michał. Wciąż walczył z mdłościami. Najchętniej zaszyłby się w cichym mieszkaniu Heleny i usnął, choćby na podłodze kuchennej.

– Jest sporo lokali, a do najlepszych mam wstęp, nawet jeśli ogłaszają się, że są tylko dla Niemców.

– Już widzę, jak wpuszczają Żyda – roześmiał się Michał z goryczą. – Konradzie, ja mam wrażenie, że do ciebie niezupełnie dotarło, co dzieje się na świecie. Żyjesz w jakiejś ułudzie. Jakby świat zatrzymał się przed wrześniem. Co się z tobą dzieje?

Werner otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz natychmiast zrezygnował. Pokręcił przy tym bezwiednie głową i ciężko westchnął. Cóż mógł powiedzieć? Doskonale zdawał sobie sprawę, jak żałośnie wyglądało jego życie dla innych. I o ile pogodził się z tym, że rodacy patrzą na niego z jawną pogardą, gdy poklepywał się z Niemcami po plecach w czasie hucznych rautów, o tyle nie mógł znieść, że Michał się od niego oddala.

Wiele razy chciał mu powiedzieć, czym się zajmuje, lecz w ostatniej chwili się powstrzymywał. Wiedział, że tylko całkowita dyskrecja zapewni Michałowi bezpieczeństwo. Jeśli nie wiesz o niczym, jeśli nawet niczego nie podejrzewasz, Gestapo nic z ciebie nie wycisnie. Wściekłe psy Hitlera w czarnych mundurach miały doświadczenie w wydobywaniu zeznań za pomocą tortur. Gmach w alei Szucha od samego początku wojny cieszył się złą sławą.

– Nic się nie dzieje. Dlaczego pytasz? – zbył kochanka.

– Nieważne. – Michał westchnął. – Jeśli chcesz mi potowarzyszyć, właśnie zmierzałem na Zgodę. Nie mam zupełnie chęci wracać do domu.

– Chodźmy do mnie.

– Nie. Idę do Heleny – odparł twardo i nie oglądając się na towarzysza, poszedł przed siebie.

Konrad nie odezwał się. Ruszył, by po chwili zrównać się z Michałem. Przez kolejne przecznice nie padło pomiędzy nimi nawet jedno słowo. Zwykle nie przeszkadzało im milczenie. Jeśli ludzie się dogadują, cisza nigdy nie wydaje się niezręczna, lecz obaj czuli, że z każdą chwilą napięcie rośnie.

– Czuję, że coś jest nie tak. – Pierwszy nie wytrzymał Konrad. – Możesz powiedzieć, o co chodzi? Czuję, że za coś mnie karzesz, a ja nie wiem, w czym rzecz.

– Dlaczego uważasz, że zawsze musi chodzić o ciebie? – zapytał znużonym głosem Michał. – Miałem ciężki dzień. Tragiczny.

– Mój też nie był najlepszy. Może dlatego nie możemy dojść dzisiaj do porozumienia? – odparł pojednawczo Konrad.

– Niemcy okradli szpital. Zastrzelili mojego kolegę i przy okazji zamordowali kilku pacjentów. – Michał zatrzymał się. Śnieg zaczął gęstnieć i osiadać na od dawna niesprzątanym trawniku. To wystarczyło, żeby wyłumić odgłosy miasta, nadając mu baśniowy wygląd. Kontrast pomiędzy koszmarem szpitalnym a świeżym śniegiem i elegancko ubranym Konradem wywołał w Michale irytację. – A cóż cię takiego złego dzisiaj spotkało? Kucharz w niemieckim lokalu źle przyprawił pieczeń? – zadrwił.

– Nie wiesz, o czym mówisz...

– Czyżby? Nie grasz już w filmach. To jest prawdziwe życie, lecz uparłeś się je trwonić na zdradę. Przykro mi to mówić, ale nie jesteś już tym samym człowiekiem, którego znałem. – Rozsierdzony Michał drżał na całym ciele. Nie wiedział, czy sprawiło to oburzenie, chłód czy może szok po barbarzyńskich wydarzeniach w szpitalu. – Nie chcę cię znać. Zejdź mi z oczu!

Konrad bezsilnie patrzył na najukochańszego człowieka, gdy ten odwrócił się gwałtownie i niemal pobiegł w stronę Marszałkowskiej.

– Kłaniam się! – krzyknął za nim. Miał nadzieję, że sekretne hasło osadzi Michała w miejscu i da czas na wyjaśnienia.

– Już nie, szanowny panie, już nie! Ja się zdrajcom nie kłaniam! – odparł Michał. Uniósł dłoń w geście pożegnania i bez słowa odszedł w głąb ulicy.

Konrad zwalczył impuls, żeby pójść za nim, objąć kochankę i wytłumaczyć wszystko. Spędził noc na raucie w mieszkaniu jednego pułkownika SS. Korzystając z nieuwagi gospodarza, przeszperał nad ranem dokumenty i zrobił zdjęcia. Gra w filmach nie przygotowuje człowieka na takie chwile. Serce ze strachu tłucze się w piersi, a po fakcie po plecach spływa zimny pot. Tymczasem szpieg jak gdyby nigdy nic musi rzucać dowcipami z rękawa, najlepiej z uśmiechem na twarzy. Nawet satysfakcja, że zdołał pozyskać dla Muszkietierów cenne informacje, nie rekompensowała rozstania z Michałem. Przez myśl przebiegły mu wspomnienia szczęśliwych chwil nad morzem i w mokotowskiej willi. Choć serce mu pękało, stał na chodniku i pozwolił Michałowi odejść. Wiedział, że ta chwila musi nastąpić. Lecz to nie przygotowało go na ból, jaki temu towarzyszył.

Tuż przed samym nosem Michała przejechał tramwaj, a jemu mignęła tabliczka na boku pierwszego wagonu, która informowała, że jest zarezerwowany tylko dla Niemców. Ten był prawie pusty. W drugim tłoczyli się warszawiacy.

Lekarz odskoczył, dosłownie o włos unikając wypadku. Odetchnął głęboko, próbując się opanować. Gdy tramwaj z brzękiem dzwonka pojechał w stronę placu Grzybowskiego, Gutman przeszedł przez ulicę, tym razem rozglądając się bacznie na boki. Szeroki chodnik z częściowo powyrywanych płytami pokrywała już cienka warstwa śniegu. Ślizgając się na nim, Michał brnął pod wiatr, ciesząc się w duchu, że do byłego antykwariatu na Zgodzie jest już tylko parę kroków.

Z naprzeciwka nadszedł niemiecki patrol. Składała się nań grupa kilku młodzieńców z rumianymi, wesołymi twarzami. Na widok Michała spoważnieli i zmierzyli go wzrokiem. Jeden wymownym gestem uniósł broń i wycelował.

Nie od razu zrozumiał, co ich zaalarmowało. Przywykł, że przez opaskę z gwiazdą Dawida ludzie traktują go jak intruza, co szczególnie bolało, gdy chodził ulicami rodzinnego miasta, lecz tu musiało chodzić o coś więcej.

– *Raus!* – krzyknął Niemiec, wskazując lufą jezdnię.

Do Michała dotarło, że według zarządzeń gubernatora Franka Żydzi mają obowiązek ukłonić się Niemcowi, po czym zejść z chodnika na ulicę, żeby nie skalać nowego europejskiego nadczłowieka choćby przelotnym kontaktem.

– Ja się nie kłaniam – powiedział głośno po polsku. Znał niemiecki, lecz konsekwentnie go nie używał w ramach buntu przeciwko okupacji. – Nie kłaniam się – dodał szeptem i uderzyła go absurdalna podwójna wymowa tej sceny. Spojrzał Niemcowi wyzywająco w oczy, co tamtego nieco zbiło z tropu. Michał pomyślał, że gdyby żołnierz był sam, pewnie odszedłby bez słowa, lecz koledzy zagrzewali go do użycia broni. – No strzelaj, ja się nie kłaniam. Ani Konradowi, ani tobie – ponaglił go.

Młodzieniec bardzo niechętnie wysunął się przed kolegów i powoli podszedł bliżej. Michał zamknął oczy w oczekiwaniu na serię karabinu. Zamiast tego poczuł silne uderzenie w skroń. Zdążył zrozumieć, że gówniarz musiał go ogłuszyć kolbą, a potem upadł bez czucia na ziemię.

Grupka Niemców odeszła, śmiejąc się wesoło, podczas gdy na leżącym bez ruchu chirurga zaczęła się zbierać warstwa śnieżnego puchu.

\*\*\*

*Zawsze czekałam na grudzień i pierwszy śnieg. Zaraz po lekcjach w naszej pensji biegłyśmy w pobliże dworca kolejowego, gdzie strojono choinkę w kolorowe lampki elektryczne. Nie mogłyśmy się na nią napatrzeć, podobnie jak na neony na pobliskich budynkach. Światła odbijały się w śniegu, a nam się zdawało, że po wietrznym i słotnym listopadzie znów zrobiło się w Warszawie przytulnie. Potem szłyśmy do Wedla na gorącą*

czekoladę i przekomarzając się w nieskończoność, opowiadałyśmy sobie o chłopakach. Dziewczyny chciały wiedzieć wszystko o Ignacym, chociaż mówiłam im, że zerwałam tę znajomość. Ile dałabym dzisiaj za te światła choinkowe! Wcale nie za czekoladę, choć była aksamitna i pachniała pięknie. Słyszałam, że pan Wedel podczas wrześniowych nalotów otworzył swoje magazyny i rozdał głodującym warszawiakom wszystko, co nadawało się do zjedzenia. Złośliwi gadają, że rodzina Wedłów to z pochodzenia Niemcy, ale co z tego? Są ludźmi naszego miasta i miasto im dobroci nie zapomni. Zwłaszcza że zaczęli znów zatrudniać pracowników. Mówią, że dostać się do pracy w zakładach cukierniczych to jakby wygrać los na loterii. Nie dość, że jest wypłata i żywność, to jeszcze solidna pieczątką w kenkarcie. Gdyby naród niemiecki składał się z takich ludzi jak Wedlowie, to żaden Hitler nigdy nie doszedłby do władzy.

Ciekawe, co robi w Warszawie Ignacy? To wszystko jest bardzo podejrzane. Ale dość o wojnie! Kochany pamiętniczku, jak to możliwe, że minęło tyle czasu od naszego pierwszego spotkania na Mazurach, a ja wciąż jestem w nim zadurzona? Nawet nie wiem, jakim Ignacy jest człowiekiem. Wydaje się dość gwałtowny i rzeczywiście zawsze targały nim dziwne porywy. Lecz przenigdy nie powiedział mi przykrego słowa, podczas gdy rodzice od zawsze ich nie szczędzą. Ojciec krzyczy na matkę, ona krzyczy na niego. Potem on idzie do swojego zakładu mięsnego, a ona do kościoła Matki Boskiej Loretańskiej. Mnie Kościół zupełnie bokiem wychodzi. Nie mieści mi się w głowie, że Bóg, ponoć tak miłosierny, pozwala, by Niemcy najpierw zrzucali nam na głowy bomby, niszczyli domy, a później wkroczyli do Warszawy, żeby siać strach, mordować i traktować ludzi jak coś gorszego od siebie.

Od czasu gdy Ignacy mnie odprowadził do domu, więcej go nie widziałam. Na Solec do Malinowskich nie chodzę. Tam teraz nowe porządki. Wrócił młodszy syn pana Apoloniusza, a wraz z nim jego żona i mała córeczka. Ufam, że w ich towarzystwie Paulina i mały Poldek czują się lepiej. Ja natomiast nie mam żadnego powodu, by się tam kręcić, przez co spotkanie z Ignacym graniczy z cudem. Chyba że postanowi odwiedzić mnie na Pradze.

Krystyna odłożyła otwarty pamiętnik na biurko. Musiała poczekać, aż atrament przyschnie, żeby strony się nie zamazały. Najczęściej właśnie dlatego pisała ołówkiem, szczególnie gdy spędzała we wrześniu długie godziny w piwnicy. Teraz panował już spokój, a rzecz tak wcześniej niedoceniana jak siedzenie przy własnym biurku i pisanie piórem dostarczała jej radości.

Spojrzała w okno. Choć dochodziła dopiero czwarta po południu, na zewnątrz już zmierzchało. Dziewczyna pomyślała, że krótkie, ponure grudniowe dni najlepiej podsumowują ten przeklęty rok. Zaczął się niewinnie, rozpieścił słońcem wyjątkowo pogodnych wakacji, by wreszcie wprowadzić Warszawę w ponury mrok. Do świąt Bożego Narodzenia został zaledwie tydzień, lecz Krysia po raz pierwszy w życiu nie cieszyła się

na ich nadejście. Cóż to za święta z Niemcami strzelającymi do niewinnych ludzi na ulicach?

Okupant pokazywał coraz bardziej brutalną twarz, dlatego Krysia za każdym razem, gdy wychodziła z domu, bała się, że już do niego nie wróci. Wiedziała, że strach jest nieco na wyrost. Niemcy wprawdzie zaczepiali Polki, lecz znacznie częściej dręczyli i upokarzali Żydówki. Czerpali sadystyczną przyjemność z publicznego odzierania ich z godności. Krysia pomyślała o koleżankach z klasy. Część z nich była pochodzenia żydowskiego. Co u nich słychać? Jak im się wiedzie?

Rozmyślenia przerwał szcęk otwieranych drzwi. Do środka weszli rodzice. Musieli spotkać się na dole, gdy ojciec wracał z pracy, a matka z kościoła. Zaraz potem Krysia usłyszała ich podniesione głosy. Zanosilo się na kolejną awanturę.

– Żeby ich wszystkich szlag trafił! Niechby szczęli, psie syny! – pieklił się January Melner.

Krysia nadstawiła uszu, chcąc usłyszeć, kogo ojciec z taką energią przeklina.

– Ciszej, January, na Boga! Jeszcze kto usłyszy.

– A to jakaś tajemnica, że Niemcy to kurwie syny? – odparł Melner prowokująco.

– Wszyscy wiedzą. Ale co innego wiedzieć, a co innego mówić – syknęła jego żona. – Czego się tak unosisz? Mało to nerwów w ostatnich czasach?

– Nerwów? Kobieto, nie wiesz, o czym mówisz. Odbierają Polakom przedsiębiorstwa produkujące żywność. Właśnie straciliśmy zakład!

– Dlaczego to robią?

– Żeby jeszcze mocniej naród polski pod but wzięć, to przecież oczywiste. Wiele da się znieść, ale jeść trzeba. Zresztą co za różnica, dlaczego to robią? Ważne, że robią.

– Jezu, co my teraz pocniemy? – Melnerowa zaczęła lamentować i załamywać ręce. – Mówiłam, żeby z Warszawy uciekać! Toś mnie słuchać nie chciał!

– Aleś durna, babo jedna – zdenerwował się January. – Dopiero wtedy byśmy mieli kłopoty. Na poniewierkę byśmy poszli i co wtedy? Zamiast o bzdurach gadać, trzeba się zastanowić, co dalej. Sprzęt do wyrobu wędlin zarekwirowany, niemiecki zarządca wszystko przejmuje. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to przeniesienie produkcji tu, do mieszkania, i pokątny handel. Tyle że i surowca zaraz zabraknie. Mogłem dotąd ze wsi przywozić, lecz jak już zakładu nie ma, to za przemyt żywności do miasta można nawet kulkę zarobić. O konfiskacie towaru nawet nie wspominając.

– Jak w mieszkaniu? January, czy ty siebie słuchasz?

– A co innego? Za coś trzeba żyć.

– Przecież lokatorzy nam płacą czynsze. Zawsze to coś, na przeczekanie wystarczy – odparła Teresa. – Można sprzedać trochę złota...

– Oszalałaś? Ile tak chcesz czekać? A wiadomo, jak długo potrwa wojna? Może lata całe? A może Niemcy już nigdy stąd nie odejdą? Roztrwonisz złoto i co potem? Musi być

inny sposób, jednak ja lepszego niż nielegalna produkcja i pokątny handel po prostu nie widzę.

Teresa umilkła i przymrużyła oczy.

– O czym tak myślisz? Czy do kościoła nie lecieć księdza o pomoc prosić? – zadrwił Melner.

– Mówisz, że zabierają interesy związane z żywnością wszystkim Polakom? – Teresa puściła słowa męża mimo uszu.

– Chyba wyraźnie powiedziałem – odburknął.

– To może trzeba zrobić tak, żeby o nas nie myśleli jak o Polakach – powiedziała Teresa z zadumą.

– Szaleju się najadłaś, kobieto? Co ty wygadujesz? – zirytował się Melner.

– Twoi przodkowie ze strony ojca byli przecież rodowitymi Niemcami. Przyszli do Szop Niemieckich pod Warszawę dawno temu. Sam opowiadałeś!

– Czy ty właśnie próbujesz powiedzieć, że mam się wpisać na volkslistę? Nigdy! – ryknął January. – Nie jestem zdrajcą! Opamiętaj się, kobieto, bo jakim nigdy cię nie obił, to zaraz pierwszy raz w życiu spiorę na kwaśne jabłko!

– Ale pomyśl, mężu. Przecież to nie na zawsze. Tylko po to, żeby interes ratować. Niemcy jak przyszli, tak kiedyś pójdą, a do tego czasu trzeba jakoś o siebie dbać – perswadowała niezrażona Teresa.

– Wolę umrzeć z głodu albo palnąć sobie w łeb, ale w życiu nie posunę się do zdrady! Zapamiętaj to sobie!

Krysia nakryła uszy dłońmi. Miała serdecznie dość krzyków. Kłótnie rodziców towarzyszyły jej, odkąd pamiętała, lecz teraz, w atmosferze strachu i niepewności jutra, stawały się kroplą goryczy, która przelewała czarę. Dziewczyna odczekała, aż odgłosy awantury przeniosą się do salonu, po czym wymknęła się z domu.

Z ulgą wyszła na ulicę. Cały śnieg stopniał, z nieba siąpił deszcz. Mokry chodnik jak lustro odbijał żółte światło latarni. Do godziny policyjnej zostało jeszcze trochę czasu, więc Krystyna postanowiła przejść się na Solec. Nie zamierzała oczywiście zaglądać do Malinowskich, ot zwyczajnie miała nadzieję spotkać Ignacego. Przez most Kierbedzia przeszła z duszą na ramieniu. Tu nie było możliwości, żeby zejść napotkanym Niemcom z drogi. Na szczęście żadnego patrolu nie spotkała. Z ulgą skręciła w stronę uliczek Powiśla. Szła szybkim marszem, bo odległość z Pragi na Solec była spora i nie chciała marnować czasu.

Gdy weszła na Solec od strony Tamki, miała jedynie zamiar pospacerować w tę i z powrotem wzdłuż kamienic, lecz nogi bezwiednie zaniósły ją w stronę bramy, przy której spotkała się ostatnio z Ignacym. Weszła w podwórko studnię, po czym stanęła niezdecydowana. Wejść do klatek schodowych było pięć, a kamienica liczyła cztery piętra. Zakładając, że na każdym z nich ulokowano po dwa mieszkania, musiałyby zapukać do czterdziestu drzwi, zanim znalazłaby Ignacego. Inna rzecz, że przecież wcale nie musiał się

swojemu gospodarzowi przedstawić prawdziwym nazwiskiem. Krysia nie chciała chłopakowi narobić kłopotów. Niezdecydowana pokręciła się chwilę po wybrukowanym podwórku, obesza zardzewiały trzepak z łuszczącą się zieloną farbą, podeszła do niebieskiej kapliczki, przed którą paliła się pojedyncza świeczka. Chwiejny płomyk oświetlał od dołu twarz figury Matki Boskiej. Krysia przeżegnała się odruchowo, a później wzruszyła ramionami. Kościelna tresura matki przynosiła efekt odwrotny od zamierzonego. Im bardziej Teresa naciskała na córkę, tym bardziej ona odwracała się od Kościoła. Jednak pewne zachowania miała wpojone. Nigdy nie zastanawiała się, czy wierzy w Boga. To w jej przypadku było oczywiste jak oddychanie. Tak ją wychowano, innych sposobów na życie nie znała. Co nie znaczy, że patrzyła bezkrytycznie na Kościół.

– Gdybyś umiała mówić i zechciała zdradzić, w której klatce mieszka – powiedziała do figury.

Postanowiła jeszcze chwilę pokręcić się po podwórku, choć niczego godnego uwagi tu nie było. Z części okien sączyło się światło, mimo że formalnie nakazu zaciemnienia wcale nie wycofano. Kwadrans później poddała się. Nie miała na to zupełnie ochoty, lecz rozsądek nakazywał powrót do domu. Poszła w stronę bramy i dokładnie w niej niemal zderzyła się z Ignacym.

– Krysia! – Rozpoznał ją od razu. – Co tu robisz o tak późnej porze? – zdziwił się.

Krysia ogromnie żałowała, że do spotkania nie doszło chwilę później. Mogłaby skłamać, że właśnie wraca od Malinowskich, lecz w tej sytuacji nie wchodziło to w grę.

– Czekałam na ciebie – przyznała z ociąganiem.

– Dlaczego? – zapytał.

– Chciałam porozmawiać.

– A nie mogłaś na rozmowę wybrać bezpieczniejszej pory i okolicy?

– Musiałam wyjść z domu. – Opowiedziała pokrótce o wcześniejszej awanturze rodziców.

– Cóż, dobrze, że twój ojciec stanowczo odrzucił propozycję i nie zamierza zostać folksdojczem – odparł Ignacy ostrożnie. Nie znał rodziców Krysi, ale to, co powiedziała, zaskoczyło go. On sam przecież był synem Niemki, a jego ojciec także miał niemieckich przodków, co właściwie oznaczało, że z matematycznego punktu widzenia jest bardziej Niemcem niż Polakiem. Cóż jednak może dziać matematyka w konfrontacji z sercem? Ignacy wybrał stronę, o tym, żeby zapisać się na volkslistę, nigdy nawet nie pomyślał. – Co to ma wspólnego z tym, że chciałaś ze mną porozmawiać? – Przez myśl przeszło mu, że może dziewczyna chciała się go poradzić, czy rodzice powinni zdecydować się na taki krok. Wiedziała o jego niemieckim pochodzeniu.

– Wiem, że należysz do jakiegoś tajnego spisku przeciwko Niemcom – wypaliła.

– O czym ty mówisz? – zapytał nieco wstrząśnięty.

– Nie zaprzeczaj. Wiem, że tak jest. Nie mogę siedzieć bezczynnie, rozumiesz? Jeśli będę tylko czekać, aż coś się zmieni, to oszaleję. Poza tym samo z siebie nic się nie



zmienia! – powiedziała z emfazą.

– To jest zbyt niebezpieczne. – Ignacy uznał, że nie ma sensu wypierać się współpracy z podziemiem.

– Nic już nie jest bezpieczne – szepnęła. – Nie jestem już tą małą dziewczynką, którą kiedyś uratowałeś z jeziora.

– Nie jesteś – przytaknął uprzejmie. Nie zamierzał jej tego mówić, lecz nadal wyglądała jak dziewczynka. I właśnie takich niewinnie wyglądających istot podziemie potrzebowało teraz najbardziej. – Dobrze więc. Chodź, odwozę cię dorożką do domu. Jeśli się pospieszymy, zdążę wrócić przed godziną policyjną. A porozmawiamy o tym jutro. W porządku?

– Sama wrócę. Świetnie sobie radzę – odparła. – Spotkamy się jutro w południe?

– Niech będzie – odparł. – Lecz teraz odprowadzę cię chociaż do mostu, dobrze?

Na to przystała z radością. Szli szybkim krokiem, Kryśia odpowiadała na pytania o rodziców i klan Malinowskich. Ignacy słuchał paplaniny jednym uchem, lecz głównie gorączkowo myślał, co najlepszego wyczynia. Nie chciał narażać Krysi, a jednak przystał na jej plan. Po co w to brnął, zamiast odesłać do matki i kategorycznie zabronić wystawiania nosa z domu? Odpowiedź mogła być tylko jedna: choć przeczyło to wszelkiemu rozsądkowi, chciał być blisko niej.

\*\*\*

Basia nie wiedziała, czy ma skakać ze szczęścia, czy uzalać się nad wyrzuconym lokatorem. Wiedziała, że stary Malinowski jest bezwzględny i bezduszny człowiekiem. Jeśli ktoś lub coś stało mu na drodze, bez zastanowienia usuwał przeszkodę, lecz jeśli na czymś mu zależało, potrafił być niezwykle hojny.

Dziewczyna nie wierzyła własnemu szczęściu, gdy jej teść zdecydował, że wymówi mieszkanie lokatorowi z poddasza i ulokuje tam syna z rodziną.

– Chyba jestem w raju – powiedziała do Janka, kiedy obejrzała dwa pokoje z kuchnią.

– Nic specjalnego – bąknął jej mąż.

– Po ostatnim pokoiku, który zajmowaliśmy w Poznaniu, to mieszkanie jest niczym pałac – roześmiała się Basia. – Naprawdę tu dorastałeś? Nie umiem sobie wyobrazić ciebie jako chłopczyka śpiącego w tym pokoju.

– Spałem w sąsiednim. Ten należał do Poldka – wyjaśnił. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jego żona nigdy wcześniej nie była w kamienicy, choć przecież pracowała tuż obok, w znajdującej się w tym samym podwórzu pracowni rękawiczek. To przypomniało mu, jak wiele zła wyrządził Basi Apoloniusz Malinowski, wyrzucając ją z pracy wtedy, gdy właśnie najbardziej jej potrzebowała. A jedynym powodem pozbycia się sumiennej pracownicy była próba rozdzielenia zakochanych. Jak widać, zupełnie nieudana.

– Tak strasznie mi przykro z powodu Poldka. Może i się poróżniliście, lecz ja go zawsze lubiłam. Stanowili z Heleną bardzo udaną parę. Któż mógł wtedy wiedzieć, że to się tak potoczy? – powiedziała Basia z zadumą. – Wszystko poszło źle.

– Nie wszystko – odparł i zajął do dziecięcego łóżeczka, w którym spała Alinka.

– Janku, musimy porozmawiać. – Basia spojrzała na męża poważnie.

– O czym takim?

– O synu Poldka.

– A co z nim? Zdrowy, krzepki chłopaczek. Dobrze się nim ta Paulina opiekuje, chociaż muszę przyznać, że ona sama robi na mnie nie najlepsze wrażenie. Jest dziwna. Nie tak ją zapamiętałem z czasów, zanim została żoną Poldka. Ale może ja się zwyczajnie nie znam? Może tak ma być, że wesoła dziewczyna zmienia się w matronę, gdy zostaje matką? – Janek spojrzał przekornie na żonę.

– Mam nadzieję, że nie. – Basia roześmiała się, lecz po chwili spoważniała. – Paulina nie jest matką dziecka. To syn Heleny – powiedziała.

– Co takiego? – Janek był pewien, że się przesłyszał.

– Odwiedziłam Helę w antykwariacie. Wiesz, że trochę byłam na nią zła za długie milczenie, więc wahałam się, czy pójść, lecz dobrze się stało, że poszłam. – Basia opowiedziała smutną i trudną historię przyjaciółki.

– I znów wszystko przez Poldka – wycedził Janek, gdy jego żona skończyła opowieść.

– Chyba nie do końca. Nie przeczę, że Poldek popełnił masę błędów, lecz tym dwojgu towarzyszy jakiś pech. Za każdym razem, gdy znów próbują się do siebie zbliżyć, dzieje się coś złego, na co nie mają wpływu.

– Jesteś dla niego niezwykle wyrozumiała – odparł Janek z przekąsem. – Rozumiem, dlaczego Helena zgodziła się na oddanie Paulinie dziecka, ale nie pojmuję, jak to możliwe, że nie żąda jego zwrotu po tym, jak objęła ją amnestia.

– Helena w świetle prawa jest Żydówką. A wiesz, jak teraz traktuje się tych udreńczonych ludzi. Mały nie byłby z nią bezpieczny. Zresztą jak sądzisz? Twój ojciec oddałby wnuka ot tak? Bez walki? Hela jest na przegranej pozycji i doskonale o tym wie – odparła zasmucona Basia.

– Biedna dziewczyna. I jeszcze straciła oparcie w swoim ojcu. To był wyjątkowy człowiek. Jak Heli się żyje poza tym? Może trzeba jej jakoś pomóc? – zainteresował się Janek.

– Radzi sobie bardzo dobrze, choć z tego, co mówi jej kuzynka, zaharowuje się w szpitalu.

– Same nowiny. Szpital, kuzynka... Rzeczywiście długo nas nie było w Warszawie. Powiniennem się pewnie cieszyć z powrotu, lecz nie potrafię – powiedział cicho.

– Bo czasy nie nastrajają do radości. – Basia wzruszyła ramionami. Podeszła do dziecięcego łóżeczka i pogłaskała córeczkę po policzku. – O, budzi się wreszcie! To

świetnie, bo jak się spóźnimy na powitalny obiad twojej ciotki smoczycy, to pewnie zacznie ziać ogniem – zażartowała.

– Tak, ja również jestem niezwykle szczęśliwy, że znów ją widzę. – Janek się roześmiał.

Wbrew ich obawom obiad nie wypadł źle. Ciotka Maria wprawdzie siedziała przy stole z zasznurowanymi ustami i nie zwracała się bezpośrednio do Basi, jakby dziewczyna nie istniała. Dokładnie tak samo zachowywał się stary Malinowski. Basi to nie przeszkadzało. Być może za jakiś czas relacje się poprawią, a jeśli nie, wystarczyło jej tyle, że teść z punktu zakochał się w małej Alinie. Kazał sobie posadzić wnuki na kolanach i próbując zachować pełną godności minę, przemawiał zdrobniale do maluchów. Wyglądało to komicznie, lecz Basia zdołała nie parsknąć śmiechem. Trochę się przestraszyła reakcji teścia, gdy Alinka z całej siły pociągnęła dziadka za sumiasty wąs, lecz stary rękawicznik tylko pokraśniał z zadowolenia.

Basia zerknęła na Paulinę. Była pewna, że także ją scena rozbawi, lecz tamta siedziała nieporuszona ze wzrokiem wbitym w talerz i grzebała widelcem w ziemniakach.

– Paulino, może zechcesz się wybrać jutro z Poldkiem i z nami na spacer do parku? Spadł wreszcie śnieg, może dopisze nam szczęście i wyjdzie słońce? – zaproponowała impulsywnie.

Paulina spojrzała na nią. W jej oczach było widać zdziwienie. Zamiast cokolwiek powiedzieć, zerknęła z ukosa na Marię, jakby czekając na jej reakcję.

– Paulina nie przepada za spacerami – oświadczyła kategorycznym tonem ciotka. – Do niedawna przychodziła jej siostra, żeby wyjść z Poldusiem, lecz od jakiegoś czasu się nie pokazuje. – Maria nie uznała za stosowne wyjaśnić, że Krysia nie przychodzi, bo ona jej tak poleciła. – Czasem podkuchenna wyjdzie, ale czasy są niebezpieczne, lepiej niech dziecko w domu będzie.

– Świeże powietrze jest konieczne dla dobrego rozwoju dziecka – powiedziała spokojnie Basia. Starła się przy tym zachować ugodowy ton, choć przychodziło jej to z dużym trudem.

– Ech, wy młodzi i te wasze nowe wymysły. – Maria machnęła lekceważąco ręką.

– Jest w tym racja. Mój wnuk powinien zażywać ruchu. – Malinowski nieoczekiwanie poparł Basię, lecz oczywiście nawet nie spojrzał w jej stronę.

– Jeśli Paulina nie ma ochoty wychodzić, to ja bardzo chętnie wezmę Poldusia ze sobą. Alinka będzie miała towarzystwo. Niech rodzeństwo się do siebie przyzwyczaja – zaproponowała Basia.

– To jest bardzo dobry pomysł – pochwalił Apoloniusz, przyglądając potarganego wąsa.

Basię uderzyło, że nikt nie zapytał, co Paulina o tym myśli. Zachowanie dziewczyny było niepokojące, przypominała bardziej zakładniczkę niż mieszkankę domu Malinowskich. Basia uznała, że to nie jest jej sprawa, a głowę zaczęła jej zaprzętać rzecz bardziej paląca: jak zawiadomić Helenę, dokąd ma przyjść, jeśli chce zobaczyć się potajemnie z synem.

– Ja chętnie się z wami przejdę – zadeklarował Janek, jakby czytając żonie w myślach.

Spojrzał na nią porozumiewawczo. Doskonale wiedział, co się święci, gdy dotarło do niego, że jego żona ma przewagę informacyjną. Największym atutem Basi było to, że Malinowscy nie mieli pojęcia o jej zażyłości z Heleną.

## ROZDZIAŁ 7

1939

Konrad pił kolejny dzień. Stracił już rachubę który. W mieszkaniu cuchnęło jak w najpodlejszej melinie, a on na zmianę wlewał w siebie alkohol, popadał w pijacki sen i gdy tylko się budził, znów sięgał po butelkę. Nawet wymioty, ewidentna oznaka zatrucia alkoholem, nie powstrzymywały go przed pijaństwem. Wszystko było lepsze niż dopuszczenie do skołowanej głowy jakichkolwiek myśli o Michale.

Właśnie podnosił się z fotela, żeby wyjąć z barku kolejną butelkę, gdy od strony drzwi wejściowych dobiegło natarczywe pukanie.

– Kogo diabli niosą? Koledzy z Gestapo przyszli zaprosić na raut? – wymamrotał z ironią. – Nikogo nie ma w domu! – wybełkotał nieco głośniej.

Walenie w drzwi nie ustawało. Po chwili dołączył do niego donośny głos dzwonka. Aktor zasłonił uszy, czując, że coraz mocniej boli go głowa.

– Idę, do cholery! – warknął. – Lepiej, żeby to było coś ważnego, bo nie ręczę za siebie – oświadczył wściekle.

Za progiem stała Helena wraz z młodą kuzynką. Obie trzymały w rękach wyładowane siatki.

– Konradzie, wyglądasz jak kloszard – powiedziała Hela, nie owijając w bawełnę. Nie czekając na zaproszenie, weszła do mieszkania. Od razu skierowała się do kuchni, a Mania jak wierny cień podążyła za nią. – Wywietrz tu, na litość boską, bo zaraz zwymiotuję!

Wściekły i obolały mężczyzna nie miał siły na utarczki z upartą dziewczyną. Bez słowa poszedł do salonu i otworzył na oścież balkon. Do środka wpadło zimne powietrze, pachnące świeżym śniegiem. Konrad zaczął głęboko oddychać. Poczul, że w głowie nieco mu się rozjaśnia, i aż jęknął, gdy omiótł wzrokiem pomieszczenie. Poprzewracane butelki, rozlane kałuże alkoholu, sterty niedopałków w popielniczce i przyschnięte wymiociny na podłodze sprawiły, że poczul wstyd. Nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, poczłapał do kuchni.

Helena właśnie wypakowywała z siatek słoiki i jakieś zawiniątka w gazetach.

– Co tu robicie? – zapytał zdumiony.

– Czy ty właściwie wiesz, jaki jest dzisiaj dzień? – Hela odpowiedziała pytaniem.

– Nie wiem nawet, jaka jest pora dnia – przyznał ze skruchą.

– Dochodzi południe. Co oznacza, że do wieczery zostało niewiele czasu. Tak, dzisiaj jest Wigilia, a ty nurzasz się w pijaństwie i nie masz pojęcia, co się dzieje na świecie. Nie chcę ci teraz prawić kazań, bo wiem, że pewnie ten zakuty łeb ci pęka z bólu, więc może po prostu idź weź kąpiel, ogol się, a my tu trochę sprzątniemy.

Konrad nie dyskutował. Poszedł do łazienki, gdzie z ulgą zdjął cuchnącą koszulę. Nie miał pojęcia, jak długo ją nosił, w każdym razie dość, żeby rzucić ją na kafelki z obrzydzeniem. Gdy wreszcie wszedł do wanny, zaczął się szorować gorliwie szarym mydłem, jakby chciał zderzyć z siebie skórę. Głowie ulgę przyniosła zimna woda z prysznicą i mężczyzna poczuł, że powoli wraca do niego życie.

– Od razu lepiej – skwitowała Hela, gdy wszedł do salonu. – I nawet nie myśl o kolejnym kieliszku.

Zawstydzony Konrad nie odpowiedział. Pod jego nieobecność dziewczęta wyniosły opróżnione butelki. Jak znał życie, skrupulatna we wszystkim Helena z pewnością je policzyła. Z podłogi zniknęły też zabrudzenia, co tylko pogłębiło jego zażenowanie.

– Zrobiłbyś dla mnie to samo i zupełnie nie komentował sprawy – powiedziała Helena, jakby czytając mu w myślach. – Maniu, nastaw czajnik, napijemy się herbaty. Oczywiście zakładając, że jeszcze jakaś jest.

– Jest – potwierdził Konrad. – I to taka porządna, indyjska.

– Brzmi jak gwiazdkowy prezent. – Mani załśniły oczy.

– W końcu dzisiaj Wigilia. Wszystkim nam przyda się odrobina luksusu. Muszę przyznać, Konradzie, że nadzwyczaj dobrze sobie radzisz w tych chudych latach – powiedziała Helena.

Stwierdzenie, choć wypowiedziane neutralnym tonem, w uszach Wernera zabrzmiało jak oskarżenie. Choć z drugiej strony musiał uczciwie przyznać, że przyjaciółka nigdy nawet jednym słowem nie potępiła jego stosunków z Niemcami.

– Herbatę kupiłem jeszcze przed wojną – odparł spokojnie.

– Świetnie, zatem idę zaparzyć – skwitowała Mania.

Konrad pomyślał, że jeszcze nigdy nie czuł się tak niezręcznie w obecności Heleny. Co gorsza, uczuciu towarzyszyła bezradność. Choć miał do przyjaciółki bezgraniczne zaufanie, nie mógł niczego wytłumaczyć. Musiał ją chronić, podobnie jak Michała. Na wspomnienie kochanka zalała go fala smutku. Marzył jedynie o tym, żeby znów chwycić za butelkę i zapomnieć choć na chwilę.

– Co się dzieje? – zapytała cicho Helena. – Nie poznaję cię, Konradzie.

– Michał mnie zostawił – szepnął tak cicho, by nawet strzęp wyznania nie dotarł do uszu niewinnej Mani.

– Wiem i nie o to pytam. Nie osądzam cię. Zwyczajnie zastanawiam się, jak ci pomóc, żebyś uporał się z nową rzeczywistością. Jest straszna, to prawda, lecz nadal można zachować godność... – Dziewczyna umilkła. Nie chciała, żeby to tak zabrzmiało. Nastawiała się na spokojną rzeczową rozmowę, a nie na bezmyślne rzucanie oskarżeń. Jak

nikt wiedziała, że rzeczy z pozoru proste mogą być czasem niezwykle skomplikowane. Ot choćby historia z więzieniem w Fordonie.

– Heleno, ta rozmowa donikąd nie prowadzi. Pytania, jakie chcesz mi zadać, nie doczekają się żadnych odpowiedzi – odparł twardo.

– Ktoś cię szantażuje?

– Przestań, proszę.

– Masz jakieś kłopoty? – drażyla uparcie.

– Jeśli jakieś będę miał, wówczas będziesz pierwszą osobą, do której zwrócę się o pomoc. Swoją drogą, co tak pięknie pachnie? – Niezbyt zręcznie zmienił temat.

– Czulent. Nieco oszukany, przecież nie sposób byłoby zdobyć wołowinę – odparła, nie reagując na jego wykręty. – Pomyślałam, że zjemy razem wieczerzę wigilijną. My jesteśmy same z Manią, ty też.

– A Michał? – wyrwało się Konradowi.

– On jak zwykle jest w szpitalu. Najchętniej nie opuszczaliby go nawet na chwilę – westchnęła. – Poza tym nie obchodzi świąt.

– Czy czulentu czasem nie szykuje się na szabat? – Konrad ponownie zmienił temat. – Jakoś nie kojarzę, żeby katolicy jedli go podczas Wigilii.

– Wiesz, że nigdy nie przykładalam wagi do tradycji. – Helena wzruszyła ramionami. – Czulent często robiłam ojcu na Wigilię. Jemu moje kuchenne wariacje odpowiadały.

– Pierwsze święta bez pana Józefa – powiedział ze smutkiem Konrad. – Tak mi przykro.

– Po prostu poczułam, że bardzo bym chciała zjeść w tym roku czulent w towarzystwie bliskich mi osób.

– Czuję się zaszczycony, że o mnie pomyślałaś. – Uśmiechnął się ciepło do dziewczyny i pogłaskał ją po ramieniu. – Zostańcie tu obie z Manią na noc. Nie będziecie musiały się spieszyć z powrotem przed godziną policyjną.

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł – zawahała się.

– Dlaczego?

– Nie słyszałaś o nowym zarządzeniu Franka? Żydzi nie mają już prawa do zmiany adresu. Nie wolno się przeprowadzać.

– Cóż to za chory wymysł? – zdziwił się Konrad. – Czemu to ma niby służyć?

– Może z jakiegoś powodu chcą wiedzieć, gdzie jesteśmy – odparła sucho Helena. – Konradzie, właśnie w związku z tym idiotycznym przepisem mam do ciebie ogromną prośbę. Boję się o Manię. Z każdym dniem zagraża jej coraz większe niebezpieczeństwo. Przeze mnie. Ludzie wytykają mnie palcami, a Mania mieszka ze mną pod jednym dachem. Do niczego dobrego to nie doprowadzi. Już krzywo na nas patrzą. Ktoś wybił kamieniem szybę w witrynie. Całe szczęście, że nikomu nie stała się krzywda. Klientów też nie ma zbyt wielu, więc pewnie zamkniemy interes, zanim ktoś puści dom z dymem. Na Kercelak też już nie chcę Mani puszczać. Tam coraz więcej niemieckich patroli, z byle

powodu ludzi biją. To nie jest miejsce dla niej. Nawet sąsiedzi, może poza panią mecenasową, odwracają się na nasz widok.

– Niepojęte – powiedział oburzony Konrad.

– Otwórz oczy i rozejrzyj się wreszcie. Żydzi są traktowani jak trędowaci. Te podłe plotki, że roznoszą tyfus, też nie dotarły do twoich uszu?

– Jak mogę pomóc?

– Chciałabym, żebyś przyjął Manię do siebie. Jej polskie pochodzenie jest nie do podważenia, nawet jakby bardzo próbowali. Mokotów to spokojniejsze miejsce, dziewczyna będzie tu bezpieczna. – Helena miała zatroskaną minę i patrzyła z powagą.

– Ale co sąsiedzi powiedzą?

– Och, a cóż by mieli powiedzieć? Nikt się teraz nie zajmuje moralnością i innymi głupotami. To nie czas na konwenanse, Konradzie. Zawsze możesz powiedzieć, że jest twoją kuzynką ze wsi. To samodzielna dziewczyna. Znajdzie sobie gdzieś w pobliżu jakąś pracę, więc nie będzie ci ciężarem.

– Nie będzie, o to się nie martw – zapewnił gorliwie.

– Czyli się zgadzasz?

– Oczywiście, Heleno. Naturalnie, że się zgadzam. A co z tobą? – zatroskał się.

– Nic mi nie będzie – zbagatelizowała. – I tak większość czasu spędzam w szpitalu. Tam Niemcy nie zaglądają. Boją się tyfusu – zaśmiała się ponuro.

– Herbata gotowa – powiedziała Mania, stając w progu. Uśmiechnięta, z porządnie uczesаныmi warkoczami wyglądała jak mała dziewczynka.

Konrad przyznał Helenie w duchu rację. Należało zapewnić Mani spokój i bezpieczeństwo. Dość już wycierpiała.

– Dziękujemy. – Konrad obdarzył Manię ciepłym spojrzeniem.

– I czulent też już gotowy – dodała dziewczyna.

– Jest od rana gotowy, a ty po prostu masz na niego ochotę – skwitowała Helena. – I wcale się nie dziwię, bo ja również.

– Myślę, że wyjątkowo nie ma co czekać na pierwszą gwiazdkę – zawtórował im Konrad z łobuzerskim uśmiechem.

To była najbardziej nietypowa Wigilia, jaką widział Mokotów od niepamiętnych czasów. Troje ludzi nad szabasową potrawą, która nie zawierała kluczowego składnika, jakim było mięso, śpiewało cicho *Mazurek Dąbrowskiego* zamiast kolęd i na przemian śmiejąc się i płacząc, snuło wspomnienia z lepszego, utraconego życia. Migotliwy płomień świecy oświetlał przygarbione postacie, a każda z nich zmagala się w myślach ze swoimi własnymi wojennymi demonami.

\*\*\*

Współcześnie



Filipie, posłuchaj, to jest bardzo interesujące! – Julia pochyliła się nad dziennikiem jego prababci Krystyny i zaczęła czytać.

*Święta oczywiście były okropne, jak wszystko, co dzieje się od września. W Wigilię rodzice znów pokłócili się o tę volkslistę. Ja żadną Niemką nie będę i basta! Zresztą widziałam się dzisiaj rano z Ignacym. Dał mi w prezencie tomik wierszy pani Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Piękne, o miłości i delikatne niczym motyle. Czy ten wybór miał mi coś dać do zrozumienia? Sama nie wiem. Wprawdzie Ignacy prezent mi wręczył, lecz z szorstkim komentarzem, bym dobrze schowała, bo chodzą plotki, że Niemcy będą książki palić, jak przed wojną w Berlinie. Kto przy zdrowych zmysłach nazywa „kulturalnym narodem” barbarzyńców palących książki?*

*Ignacy obiecał, że po Nowym Roku powie mi coś o naszej sprawie. Więcej pisać o tym nie mogę, więc niech tyle wystarczy. Zapytałam go, czy spędza święta ze swoim bratem, Konradem Wernerem, lecz tylko się naburmuszył i powiedział, że jego żadne święta nie interesują.*

*W pierwszy dzień poszliśmy na nudne śniadanie do Malinowskich. Z ciekawych rzeczy mogę odnotować jedynie, że młodszy syn pana Apoloniusza ma bardzo miłą żonę i uroczą córeczkę. Paulina jak Paulina – woskowa lalka bez krztyny życia. Nie poznaję jej zupełnie!*

– Interesujące – mruknął Filip.

– Prawda? Jak dziwnie się czyta o swoich przodkach opisywanych przez twoją prababkę.

– Julia była wyraźnie podekscytowana.

– Tak, ale na coś innego zwróciłem uwagę. Mianowicie na Konrada Wenera.

– Jakiś twój krewny? – zapytała.

– Skądże! To bardzo znany przedwojenny aktor. Nie miałem pojęcia, że zetknął się z moją rodziną choćby pośrednio. A tu wychodzi na to, że Krystyna kochała się w bracie legendy starego kina.

– Ciekawe – przyznała Julia. Natychmiast wyjęła telefon i zaczęła szukać informacji. – Chyba go kojarzę – odparła po chwili przeglądania zdjęć. – Muszkietery? Chyba Muszkietery?

– O czym mówisz?

– Konradowi Wenerowi przypisuje się przynależność do słynnej grupy o nazwie Muszkietery – przeczytała.

Filip wyglądał, jakby poraził go prąd. Przysunął się i zajrzał Julii przez ramię.

– O tym nie słyszałem. Owszem, słynna aktorka Mieczysława Ćwiklińska do niej należała, a nawet przyjaźniła się ze Stefanem Witkowskim, jej założycielem. Ale o Wenerze nie wiedziałem. Gdzie to przeczytałaś?

– Jakaś strona miłośników przedwojennego kina. Są przypisy, myślę, że można to sprawdzić i potwierdzić. Ale nadal nie wiem, o jakiej grupie mowa ani dlaczego tak

dziwnie odmieniona jest nazwa.

– Odpowiedź na drugie pytanie jest akurat prosta. Język się zmienia, odmiana uległa przekształceniu, lecz zachowała się w nazwie organizacji. Muszkietrzy powstał w październiku trzydziestego dziewiątego roku, czyli tuż po kapitulacji Warszawy. Była to ściśle tajna grupa konspiracyjna, o której wywiad angielski wyrażał się z najwyższym uznaniem i twierdził, że jest najbardziej skuteczna ze wszystkich w okupowanej Europie.

– Nigdy o nich nie słyszałam – przyznała dziewczyna.

– I nie masz się czego wstydzić. Z wielu powodów o Muszkietrach nie mówi się zbyt wiele. Przede wszystkim dlatego, że wciąż mało o grupie wiadomo, a poza tym nie jest to karta historii, którą ludzie z politycznego świecznika chcieliby się chwalić – odparł Filip.

– Jest niewygodna? Dlaczego?

– Nakaz zlikwidowania Witkowskiego, nazywanego Kapitanem, wydało dowództwo Armii Krajowej. Muszkietrzy zrobili się zdaniem polskiego rządu w Londynie zbyt skuteczni, samodzielni i przez to niewygodni. Oczywiście wersją oficjalną było oskarżenie o zdradę i współpracę z Niemcami. Jak wygodnie, nieprawdaż? Zresztą nieliczni ujawnieni Muszkietrzy ginęli w bardzo tajemniczych okolicznościach już po wojnie. Na przykład hrabina Teresa Łubieńska, bliska współpracownica Kapitana, została w latach pięćdziesiątych zasztyletowana na stacji londyńskiego metra. Mówiąc w skrócie, koleje losu Muszkietrów rzucają cień na jedyną słuszną wersję nieskazitelnej AK.

– Tajemnicza sprawa – zauważyła Julia. – Tym bardziej uważam, że powinniśmy się przyjrzeć temu całemu Wernerowi. Swoją drogą, dziennik Krystyny jest fascynujący. Miała talent do obserwacji i była skrupulatną kronikarką. Wracajmy do czytania.

\*\*\*

Wielka Synagoga górowała nad placem Tłomackie i starą, dekoracyjnie murowaną studnią, nazywaną przez warszawiaków wodozbiorem Gruba Kaśka. Dalej był zadrzewiony skwer, teraz zasypany śniegiem. Michał nie lubił tu przychodzić. Miejsce wywoływało w nim wspomnienie przymusowych wizyt w synagodze. Dziadek Szmul ciągnął go tu na siłę, kiedy tylko miał okazję, co młodego chłopaka zniechęcało jeszcze bardziej. Nudziło go siedzenie w jednym miejscu i studiowanie Tory przez długie godziny. Był żywym, ciekawym świata dzieckiem, więc cierpiał katusze. Porzucił wiarę, gdy tylko stał się samodzielny, i nigdy nie żałował tej decyzji.

Jednak dzisiaj poczuł nieodpartą potrzebę, żeby tu przyjść. Nie rozumiał dlaczego. Ot wyszedł z domu i nogi poniosły go pod synagogę. Patrzył na majestatyczny budynek, lecz nie podszedł nawet o krok bliżej.

– Synagoga nie gryzie, wnuku.

Michał odwrócił się. Tuż za nim stał dziadek ubrany jak zwykle w chałat. W dłoni trzymał książkę.

– Wiem – odpowiedział ugodowo. Od bardzo dawna dziadek Szmul, choć mieszkali pod jednym dachem i jadali przy jednym stole, nie zwrócił się do niego bezpośrednio. Z uporem pielęgnował urazę do jedyne go wnuka tylko za to, że ten śmiał wybrać dla siebie inną drogę niż pójście w ślady dziadka. – Piękna jest. Musiałem nie przychodzić tu przez jakiś czas, żeby to docenić. Jak to jest, że nawet najbardziej zachwycające rzeczy, jeśli mamy je na co dzień, przestają wywierać wrażenie? – zastanowił się Michał.

– Jeśli ktoś patrzy na cegły, widzi cegły, a kto spogląda przez nie, widzi Boga. On nie przestaje zachwycać, choćbyś przychodził tu trzy razy dziennie – odparł rabin.

– Poetycko powiedziane – rzekł Michał. Zupełnie nie zgadzał się z dziadkiem, jego religijność wręcz go bawiła, lecz sam fakt, że ot tak sobie rozmawiali, sprawiał, że nie miał ochoty wchodzić w dysputy. Nie był już tym samym zacierzewanym młodzieńcem z gorącą głową. Zrozumiał, że każdy ma własny punkt widzenia. Natychmiast naszła go myśl, że dziadek mimo wieku nie potrafi tego zrozumieć.

– Wejdiesz ze mną do środka? – zapytał Szmul.

Michał zawahał się, lecz w końcu skinął głową potakująco. Sala główna synagogi na każdym robiła wrażenie. Potężne kolumny wspierały galerie z ławkami dla kobiet. Na dole stały niewiarygodnie długie ławki dla mężczyzn. Mogły pomieścić ponad dwa tysiące wiernych, a i miejsc stojących nie brakowało. Nigdy nie potrafił zrozumieć sensu rozdzielania wiernych ze względu na płeć. Ludzie gnieźdzący się na kupie w niewielkich mieszkaniach pod dachem synagogi bezwzględnie musieli się udać w osobne miejsca. Dziadek tłumaczył mu niegdyś, że bliżej Boga są mężczyźni, lecz mały Michał wyobrażał sobie wówczas, że skoro kobiety siedzą wyżej, to one mają bliżej do niebios. A przy okazji patrzy z góry na swoich mężów, ojców i synów.

– Zabawne. Tutaj, w zaciszu grubych murów zdaje się, jakby w Warszawie wcale nie było wojny – zauważył Michał.

– Modlę się codziennie o jej koniec – powiedział dziadek. – A ty powinieneś wraz ze mną.

– Każdy pomaga sprawie, jak potrafi. Ja ratuję ludzi, a dziadek niech przebłaga Boga, żeby z tym szaleństwem skończył. – Michał nie potrafił ukryć irytacji, choć próbował z całych sił.

– Bóg ma swój plan. Jesteśmy zbyt mali umysłem, żeby go zrozumieć.

– Ja widzę ten plan codziennie w moim szpitalu – odparł z goryczą. – Niech dziadek przyjdzie z wizytą i zobaczy umierających Żydów. Dzieci, kobiety i mężczyźni. Cóż Bogu po ich cierpieniach?

– Niezbadane są jego wyroki – odparł enigmatycznie Szmul.

– Czyli nie powinienem ratować życia niewinnych, których Bóg, dziadka zdaniem, tak ciężko doświadcza? A może to po prostu Niemcy są winni i żadne siły nadprzyrodzone nie mają z tym nic wspólnego?

– Nie bluźnij, chłopcze – odparł zirytowany rabin.

– Otóż to. – Michał westchnął z rezygnacją. – Czy to Żyd, czy katolik, jeśli zderzycie się z nieubłagalną logiką, natychmiast strzelacie, niczym Niemcy z karabinów, oskarżeniami o obrazę wiary. Właśnie dlatego przestałem słuchać tych bzdur. Wolę w tym czasie uratować ludzkie życie.

– Znoszę mieszkanie z tobą pod jednym dachem... – Dziadek wysunął rękę i oskarżycielsko wskazał wnuka sękatym palcem.

– ...ponieważ płacę czynsz i rachunki. Pospołu z matką. A dziadek nawet nigdy nie stanie po jej stronie, gdy ojciec pije albo się awanturuje. Nie żał dziadkowi własnej córki?

– Każdy musi swoje wycierpieć, dziecko.

– Większej bzdury nigdy nie słyszałem. Dziadek od zawsze widział i słyszał, co się działo. Ojciec przez lata się nad nią znęcał. Musiałem urosnąć i nabrać sił, żeby go pokonać. A dziadek dalej nic! Chociaż pijak bił jego córkę. Ale co ja się dziwię. Druga córka też dziadka nie interesowała, bo poszła za męża za goja. Dopiero gdy zmarła, to rzucił się dziadek po zwłoki jak sęp. Ciotka Anna nie była warta uwagi za życia, lecz jej ciało koniecznie trzeba było zawlec na cmentarz żydowski i nie dać jej szans, żeby kiedyś połączyła się w grobie z własnym mężem.

– Nie uważałeś podczas studiowania wiary. Chciałem uratować jej nieszczęsną duszę.

– Strasznie ją to obeszło po śmierci – zadrwił Michał. – Ale wuj Józef przeżywał to przez długie lata. Helena też.

W pustej synagodze zapadła cisza. Szmul ostentacyjnie odwrócił się w stronę pierwszych ławek.

– Dlaczego dziadek tak nienawidzi Heleny? – zapytał cicho Michał. – Cóż takiego uczyniła oprócz tego, że śmiała przyjść na ten świat?

– Nie winię jej. Winię Annę, że wydała się za goja i zerwała więzi rodzinne – odparł stary.

– Żadna z nich nigdy nie zerwała więzi. To dziadek je zerwał – oświadczył dobitnie Michał i odwróciwszy się na pięcie, pomaszerował w stronę wyjścia.

– W każdym razie będę się za nią modlił. Wiem, że pracuje razem z tobą w szpitalu żydowskim – rzucił na odchodne rabin.

– Modlitwa z pewnością pomoże. Ale wiedza, że dziadek nie chce jej widzieć, choć wie nawet to, gdzie pracuje, już raczej nie. – Michał nie odmówił sobie złośliwości. Zły na siebie, że dał się sprowokować, wyszedł ze świątyni i z ulgą odetchnął mroźnym powietrzem.

Żałował, że tu przyszedł, żałował, że nie posłuchał Heleny i nie przemeldował się do antykwariatu na Zgodzie. Teraz przepadło. Gubernator Frank zabronił Żydom zmieniać miejsce zamieszkania, więc utknął z ojcem pijakiem, ortodoksyjnym dziadkiem i wiecznie nieobecną matką na dobre i na złe.

Szedł, omijając zasypane śniegiem, w stronę Śródmieścia i myślał intensywnie. Zerknął w wyszczerbioną pociskiem bramę mijanej kamienicy. Na ceglanej ścianie wisiały resztki

przedwojennego plakatu reklamowego. Nikt nie pomyślał, żeby go zdjąć. Nagłówek zachęcał do obejrzenia polskiej produkcji kinematograficznej, która miała premierę na kilka dni przed niemiecką agresją. Michał podszedł bliżej. Wypłowiły papier, cudem uniknąwszy spalania lub choćby odfrunięcia wraz z wiatrem, prezentował uśmiechniętą twarz Konrada.

Michał nie zastanawiał się. Zerwał postrzępiony anons i upchnął go do kieszeni. Miał raptem kilka fotosów byłego kochanka, ale fotografia z ulotki nie była żadnym z nich. Zateęsknił za Konradem, szczodrym intelektualistą o ciepłym sercu i szalonych pomysłach. W pierwszym odruchu chciał pójść do Mokotowa, żeby się z nim zobaczyć, lecz przecież to on zerwał znajomość. Po czymś takim honor nie pozwoliłby Michałowi na równie żalodne zachowanie. Pozostawała jeszcze kwestia zdrady ojczyzny. Tego wybaczyć się nie dało.

\*\*\*

– Mosze, przecież tutaj, w pracowni możesz zdjąć to niedorzeczne oznakowanie. Sami swoi, nikt nie doniesie. – Apoloniusz Malinowski spojrzał wymownie na opaskę z gwiazdą Dawida, którą majster założył na rękaw roboczej koszuli.

– Nie przeszkadza mi.

– Jak może nie przeszkadzać, skoro pokazują przez to Żydów palcami? – zdziwił się rękawicznik.

– Przypomina mi o strasznym świecie, w którym nie ja mam decydować, kim jestem i chcę być – odparł Bluman.

– Bredzisz coś, Mosze. Jeszcze chwila i pomyślę, żeś się na żydostwo nawrócił.

– Niemcy mnie nawrócili, Apoloniuszu.

– Nic z tego nie rozumiem – zirytował się Malinowski. – Lepiej polej gorzałki. W końcu dzisiaj sylwester.

– Nie powinienes spędzać go z rodziną?

– Z babami, synem abstynentem i śpiącymi dzieciakami? – roześmiał się. – Niedoczekanie!

– Pracownicy już skończyli zmianę, zaraz zamknę zakład i też się zbieram do domu. Zanim tam doczłapię, pewnie godzina minie. A żandarmi nie będą wyrozumiali z okazji sylwestra.

– Zostańmy więc tutaj – zaproponował Apoloniusz. – Trzeba jakoś uczcić ten nadchodzący rok.

– A żeby jeszcze było co świętować – odparł majster.

– Nie co, ale czym! – Malinowski zarechotał i wstał z fotela stojącego w pakamerze. Podszedł do zakamuflowanego za niewidocznymi drzwiami składziku i z triumfalną miną wyjął z niego butelkę koniaku.

– Prawdziwy Hennessy! – Bluman zatarł ręce z radości.

– Zatem zostajemy?

– Zostajemy – potwierdził majster. – Rad jestem z twojego towarzystwa. W domu nic tylko hałasy sąsiadów i czujne nasłuchiwanie, czy Niemcy nie walą kolbami karabinów w drzwi któregoś z mieszkań. Tu czuję się bezpieczniej. Poza tym skoro mamy świętować, tym bardziej mi się nie spieszy.

– Od razu powiedz, że chodzi o koniak. – Malinowski błysnął okiem. Był w zadziwiająco dobrym humorze. Być może dlatego, że po powrocie Janka przyszłość zakładu pomimo wojny rysowała się w różowych barwach. Oczywiście jeśli tylko Niemcy nie zaczną się wtrącać. Choć Poldek tkwił Apoloniuszowi cierniem w sercu, niewątpliwą pociechę stanowiło, że jeśli jego zabraknie, Janek wyuczy Poldusia fachu i pomoże w prowadzeniu pracowni. Przed samym sobą stary rękawicznik nie miał zamiaru się przyznać, że i tak serce skradła mu Alinka. Jak przed laty jego jedyna córka Dorota.

– Za co pijemy? – zapytał Mosze.

– Za koniec wojny, rzecz jasna – odparł Apoloniusz. Nalał trunku do dwóch kieliszków, a jeden z nich podał majstrowi.

– Ja będę ostrożniejszy w życzeniach i wypiję za pomyślność.

– Coraz trudniej zdobywać surowce. Dobrze, że zbyt jest, ale o ile niższy niż przed wojną. Trzeba będzie parę osób zwolnić. – Malinowski mówił beznamiętnym tonem. – A pozostałych zmusić do wydajniejszej roboty.

– Apoloniuszu, wiesz przecież, że teraz praca jest na wagę złota. Nawet już nie o zarobki chodzi, ale trzeba mieć kenkartę. Jeśli ktoś zostaje bez zatrudnienia, musi się zgłosić do Arbeitsamtu. Już Niemcy w tym swoim pośrednictwie znajdą dla niego niewolniczą robotę albo wywiozą do jakiegoś bauera w głąb Rzeszy. Zwalnianie ludzi jest w dzisiejszych czasach okrucieństwem. – Wzburzony Bluman spojrzał z wyrzutem na Malinowskiego.

– Ech, Mosze, ty to taki porządny człowiek jesteś, ale żydowskie pochodzenie swoje robi. Kiedyś to się stał socjalistą? – zaśmiał się rękawicznik. – Ach, nie odpowiadaj, zawsze byłeś. Ale czasy są, jakie są. Nie ma miejsca na litość. Każdy musi dbać o siebie. Dlatego tuż po Nowym Roku zwolnisz jedną szwaczkę i jednego krojczego.

– Skąd ten pomysł?

– Janek wrócił przecież. Krojczy z niego niegorszy, więc przynajmniej odejdzie nam jedna gęba do wyżywienia. A ta jego szwaczka wróci do pracowni. Przecież niegdyś wyrażałeś się o jej pracy z najwyższym uznaniem.

Mosze nie odezwał się. Przypomniała mu się scena, w której wręcz błagał, żeby Apoloniusz nie wyrzucał z pracy osieroconej przez siostrę Basi. Szef był wówczas nieugięty. Najważniejsze było odsunięcie jej od Janka. A teraz dla własnego interesu Malinowski znów rozstawia ludzi jak pionki.

– Czy Basia nie opiekuje się czasem niemowlęciem? – zapytał ostrożnie Bluman.

– Bab jest w domu dość, poradzą sobie z dziećmi. Szwaczka na chleb musi zapracować, to chyba oczywiste. Nie ma w tym nic dziwnego.

Majster westchnął z rezygnacją. Protest nie miał najmniejszego sensu. Jeśli Apoloniusz wbił sobie coś do głowy, nie istniała żadna możliwość, by go od tego odwieść. A fakt, że mówiąc o synowej, nawet nie używał jej imienia, nie był dla Basi najlepszą prognozą na przyszłość. Z pewnością czeka ją niełatwe życie pod dachem Malinowskich.

– Coś tak zmarkotniał, Mosze? Weselić się trzeba, chyba że chcesz mieć ponury cały przyszły rok. – Apoloniusz chwycił stojącą na biurku butelkę i dolał hojnie do kieliszków. – Twoje zdrowie!

\*\*\*

Śnieg sypał na zupełnie puste o tej porze chodniki. Grube płatki wirowały w świetle nielicznych włączonych latarni. Z okien niektórych domów przenikały stłumione odgłosy śmiechu i muzyki. Na przekór wojnie i okrutnym czasom ludzie w sylwestra chcieli się bawić. Im dalej Ignacy szedł w głąb Krakowskiego Przedmieścia, tym odgłosy zabawy stawały się głośniejsze. Tu już bawili się nowi władcy Warszawy, których cisza nocna ani godzina policyjna nie obowiązywały.

Ignacy podszedł najbliżej, jak się dało, do rzeźbionej oświetlonej pałacu Radziwiłłów. Przed wojną pełnił funkcję siedziby premiera, lecz Niemcy urządzili w nim Dom Niemiecki z kasynem i kawiarniami. Zabawa sylwestrowa musiała tutaj trwać w najlepsze. Przed frontem stały luksusowe samochody, a wzdłuż ulicy zagaściło się od patroli. Ignacy wycofał się dyskretnie poza światło latarni i stanąwszy przy samym murze sąsiedniej kamienicy, bacznie obserwował otoczenie.

Choć marzył o tym, żeby dostać się na ogrodzony teren pałacu, wiedział, że to niepotrzebne ryzyko. Chciał dorwać jakiegoś ważnego Niemca, lecz znów będzie musiał się zadowolić kimś, kto nie ma znaczenia w machinie wojennej. Sformułował tę myśl, Ignacy się zadumał, czy aby na pewno tak jest. Przecież każdy, kto działa na rzecz okupanta, jest trybikiem pozwalającym, by owa machina toczyła się dalej i siała spustoszenie wszędzie, dokąd tylko uda jej się dotrzeć. Hitler sam nie podbiłby Polski. Stalin też nie. To zniszczenie dokonywało się za pomocą zwyczajnych ludzi. Czyli działanie na szkodę powinno przynieść podobny skutek. Przecież kropla draży skałę.

Ignacy jeszcze raz obrzucił teren uważnym spojrzeniem, po czym odwrócił się na pięcie i poszedł szybkim krokiem w stronę dzielnicy policyjnej, zwykle mniej strzeżonej niż niemiecka dzielnica rządowa, w której właśnie się znajdował. Złościło go, że Niemcy panoszą się w najpiękniejszych budynkach miasta, a przemianowanie placu Piłsudskiego na plac Adolfa Hitlera doprowadzało go do szału.

Podminowany chłopak w rekordowym tempie dotarł w okolice alei Szucha, nazywanej przez okupantów Strasse der Polizei. To właśnie tutaj koncentrowało się życie

szeregowych Niemców. Mieszkańcy dzielnicy policyjnej mieli swoje sklepy, kantyny, a władze okupacyjne wręcz zalecały, żeby trzymać się wyznaczonego kwartału i nie mieszać się z miejscową ludnością. To sprawiało, że dla Ignacego ów kwartał ulic Śródmieścia południowego stanowił wręcz wymarzony teren łowiecki.

Obszedł szerokim łukiem rogatki i ruszył pomiędzy zabudowania. Tak jak przypuszczał, także tutaj szampańska zabawa trwała w najlepsze. Z koszar i kantyn niosły się śmiechy i pijackie śpiewy. Niemcy najczęściej nie mieli tu prywatnych mieszkań. Kwaterowano ich w internatach, łącznie z cywilną obsługą, więc o prywatności nie mogło być mowy. Tymczasem niezależnie od tego, czy trwa wojna, czy nie, ludzie potrzebują intymności. Rodziły się romanse, wybuchały namiętności, więc kwestią czasu było, kiedy z kantyn zaczną się chyłkiem wymykać przypadkowe pary.

Ignacy oparł się o drzewo i spokojnie czekał. Nie czuł zimna. Od początku wojny napędzała go wściekłość zdolna pokonać wszelkie niedogodności. Pomyślał o Krystynie. Nie miał pojęcia, jak spędza sylwestra, lecz miał nadzieję, że jest bezpieczna. Złościło go to ciągłe myślenie o dziewczynie. Odkąd znów wmieszała się w jego życie, wiedział, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Troska o nią stanowiła słaby punkt, dziurę w pancerzu, obniżającą zdolność bojową Ignacego.

Drzwi kantyny otworzyły się nagle, smuga światła rozlała się na roziskrzonym śniegu. Zgodnie z przewidywaniem ze środka wyszedł nieco chwiejący się na nogach żołnierz, ciągnący za rękę roześmianą dziewczynę. Zawahała się na ostatnim stopniu. Miała lekkie wieczorowe buciki, a chodniki pokrywała już dość gruba warstwa nowego puchu. Ignacy przyczał się w ciemnościach i nastawił uszu.

– No chodź! Śnieg nie gryzie – powiedział po niemiecku pijany mężczyzna. Ignacy nie widział oznaczeń na jego mundurze, lecz z pewnością miał do czynienia z szeregowym żołnierzem.

– Nasypie mi się w buty! – perswadowała Niemka.

Żołnierz chwycił ją na rękę, jakby nic nie ważyła, co uzmysłowiło Ignacemu, że nie należy lekceważyć przeciwnika.

– Zaniosę cię, piękna damo! Dokąd tylko zechcesz – powiedział miękko, ruszając w głąb znajdującego się za budynkiem ogrodu.

Ignacy odczekał chwilę i poszedł za nimi. Starał się iść po śladach żołnierza, choć był niemal pewien, że do rana i tak zatrze je śnieżycą.

– Tu będzie dobrze? – zapytał Niemiec i nie czekając na odpowiedź, postawił dziewczynę pod drzewem. Zapiszczała, gdy do jej butów natychmiast nasypał się śnieg, lecz mężczyzna zupełnie się tym nie przejął. Przycisnął ją do pnia i zaczął natarczywie szukać ust. Dłonie, nie zważając na protesty dziewczyny, błędziły gwałtownie pod jej płaszczem.

– Zostaw! – krzyknęła cicho, gdy udało jej się na chwilę odwrócić twarz.

– Przecież tego chciałaś!



– Nie tego! Myślałam, że jesteś dżentelmenem, Heinz! – Bliska płaczu Niemka odepchnęła z całej siły żołnierza.

– Jak sobie chcesz! – wrzasnął pijany mężczyzna. Odskoczył na kilka kroków i odwrócił się gwałtownie.

Ignacy patrzył raz na jedno, raz na drugie i oceniał rozwój sytuacji. Tego się nie spodziewał. Liczył, że dorwie żołnierza, gdy ten już zmęczy się amorami i odeśle dziewczynę do kantyny, lecz się przeliczył. Nie mógł się na niego rzucić, bo Niemka natychmiast zaalarmowałaby innych. Ignacy mógł jedynie z bezsilną złością patrzeć, jak mężczyzna odchodzi.

Niemka stała oparta o drzewo i rozpaczliwie łkała. Bezradnie spojrzała na rozdarty kraj sukienki, wystający żalonym strzępem spod płaszcza.

– Musiała się zaczepić o wystający sęk drzewa – powiedział przyjaźnie Ignacy, stając tuż przed Niemką. – Nic się pani nie stało?

– Zimno mi i wstyd, że zawierzyłam takiemu draniowi. Z góry przepraszam, jeśli był pan świadkiem tej żenującej sceny, panie... – zawiesiła głos w oczekiwaniu. Patrzyła na niego ufnie. Nawet do głowy jej nie przyszło, że jej rozmówca jest Polakiem. Ignacy zawdzięczał matce perfekcyjną znajomość niemieckiego.

– Hans Mohr – skłamał bez mrugnięcia okiem. – Pozwoli pani, że pomogę – zaproponował szarmancko, wyciągając w jej stronę dłoń.

Podawała mu swoją bez wahania i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Ignacy błyskawicznie przyciągnął ją do siebie, odwrócił plecami, po czym chwycił żelaznym uściskiem. Wolną dłonią przykrył usta dziewczyny. Kompletnie zaskoczona w pierwszym odruchu nie zareagowała, lecz po chwili zaczęła się szarpać i wrywać. Nie miała z Ignacym szans.

– Bądź cicho, to nic ci się nie stanie – szepnął jej kojąco do ucha. Nie posłuchała. Zaczęła wierzgać, próbowała gryźć go w rękę, lecz nie odniosło to zamierzonego skutku. – Nie jesteś jednak taka głupia – mruknął, dla odmiany po polsku.

Dziewczyna, słysząc polskie słowa, zeszytniała ze strachu. Na to czekał Ignacy. Powalił ją na ziemię i docisnął własnym ciałem. To pozwoliło mu uwolnić drugą rękę. Zatkał Niemce nos. Starał się trzymać pewnie, niezbyt mocno, żeby nie narobić siniaków. Z determinacją walczyła o życie, ale po kilku minutach musiała się poddać. Jej ciało wpadło w drgawki, a Ignacy tylko przytrzymał mocniej. Na granicy śmierci dziewczyna szarpnęła się jeszcze raz. Nie był z siebie zadowolony. Przyszedł z zamiarem skręcenia karku jakiemuś wrogiemu żołdakowi, a dusił przypadkową kobietę.

Przypomniała mu się Żydówka niewyglądająca na Żydówkę, wyobraził sobie, że podobny los mógłby spotkać Krysę i przycisnął mocniej.

– Oko za oko – powiedział cicho. Odwrócił trupa dziewczyny w swoją stronę. Patrzyła niewidzącymi niebieskimi oczami, wreszcie cicha i spokojna.

Ignacy rzucił ją twarzą w śnieg. Miał nadzieję, że zimno zapobiegnie siniakom, więc gdy Niemcy znajdą dziewczynę, uznają, że pijana usnęła i zamarzła. Przy odrobinie szczęścia

nikt nie znajdzie jej do jutra. Nie sądził, żeby ktoś miał brodzić nocą w śniegu na tyłach budynku. Otrzeptał się i po śladach wrócił na ulicę. Zdążył przeskoczyć przez płot, gdy z kantyny wylegli na podwórze uczestnicy sylwestrowej zabawy. Zaczęły strzelać szampany, kilku żołdaków oddało pojedyncze strzały z broni w powietrze.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – krzyknęła jakaś kobieta, a reszta jej zawtórowała. Podchodzili do siebie, składali sobie życzenia i skutecznie zacierali ślady.

– Szczęśliwego, psia wasza mać. – Ignacy splunął pod nogi i odszedł pośpiesznie.

Im dalej od niemieckiej dzielnicy, tym odgłosy świętowania stawały się cichsze, lecz i Polacy ukryci w swoich mieszkaniach składali sobie życzenia. A właściwie jedno: oby w przyszłym roku okupacja się skończyła.

Ignacy poczuł ogromne znużenie. Zawrócił w stronę Solca, zwalczając pokusę, żeby pójść jeszcze na Pragę i pogapić się w okno Krystyny.

Tej nocy Warszawa jeszcze długo nie kładła się spać. Wszyscy z nadzieją czekali na przyszły rok, wierząc, że będzie lepszy i przyniesie miastu i jego mieszkańcom więcej szczęścia niż kończący się właśnie tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. Wszyscy żegnali go z ulgą.

## ROZDZIAŁ 8

1940

Basia wyjrzała przez mansardowe okno. W połowie stycznia mróz postanowił osiągnąć rekordowo niskie wartości. Jakby Warszawie było mało nieszczęść, od grudnia trwała wyjątkowo śnieżna i sroga zima. Dwudziestostopniowe mrozy nie odpuszczały, nocą temperatura spadała nawet do minus trzydziestu. Nadal nie było jak wyjść z dziećmi na spacer i ukradkiem spotkać się z Heleną. Pod koniec grudnia najpierw rozchorowała się Alina, później Polduś. Potem były święta i sylwester, a teraz Warszawa tkwiła w okowach lodu, co nie nastrajało do wychodzenia na dwór. Basia westchnęła ciężko, wzięła na ręce ubraną w ciepły kaftanik Alinkę i ponagliła Janka.

– Twój ojciec nie toleruje spóźnień – przypomniała mu. – A ja nie potrzebuję złośliwych przytyków.

– Już idziemy – odparł Janek.

Wyszli na klatkę schodową i zeszli trzy piętra niżej na wspólne śniadanie. Basia nie miała pojęcia, dlaczego teść, który ewidentnie jej nie znosił, tak nalegał na te spotkania przy stole. Zrozumiałaby, gdyby chodziło o specjalne okazje, imieniny czy święta, lecz stary Malinowski życzył sobie widzieć całą rodzinę na śniadaniu i na obiedzie codziennie. Oczywiście była mu wdzięczna za jedzenie, które w tych czasach było na wagę złota, lecz nic nie mogła poradzić na to, że posiłków z rodziną Malinowskich wręcz nie znosiła. Jedynym jasnym punktem były wspólne zabawy dzieci. Przepadały za sobą i gaworzyły radośnie na swój widok.

Basia najbardziej nie lubiła ciotki Marii. Ilekroć czegoś od niej chciała, zwracała się bezosobowo lub używając formy „niech ona”. Dziewczynę ogromnie to irytowało, lecz ze wszystkich sił próbowała nie dać się wyprowadzić z równowagi.

Z Pauliną z kolei kompletnie nie znajdowała wspólnego języka. Wydawało jej się, że ponieważ obie są młodymi matkami w podobnym wieku, uda im się zaprzyjaźnić. Miała nadzieję na wzajemne wsparcie w tym nieprzyjaznym domu, ale wyraźnie się przeliczyła. Paulina była gorsza od kukły, bowiem te po prostu siedziały nieruchomo na półkach dziecięcego pokoju i nie udawały, że żyją naprawdę. Najsmutniejsze było, że mały Polduś garnął się do niej, a ona ledwie zwracała na niego uwagę.

Apoloniusza, swojego byłego szefa, a teraz teścia, znała od dawna i zwyczajnie się go bała. Surowy mężczyzna, z wiecznie poważną miną, głaszczący wąsy przy każdej okazji.

On na szczęście traktował ją w dalszym ciągu jak powietrze, a jej było to na rękę.

Przez dom Malinowskich przewinęła się w święta rodzina Pauliny. Basię odrzuciło od Teresy Melnerowej, która całkiem nieźle dogadywała się z ciotką Marią, i jej męża Januarego, serdecznego druha Apoloniusza. Pauliny w żaden sposób nie poruszała obecność rodziców. Jediną osobą, która wzbudziła sympatię Basi, była młodsza siostra Pauliny, Krystyna. Uczesana w brązowe warkocze dziewczynka sprawiała dziecinne wrażenie, lecz Basia nie miała wątpliwości, że wyrośnie na prawdziwą piękność. Zamieniła z nią kilka słów i szybko zorientowała się, że Krysia jest znacznie lepiej od niej wykształcona, pięknie się wysławia, a nawet wtrąca do rozmowy francuskie słówka. Stropiona Basia natychmiast się wycofała z rozmowy, lecz i tak uznała dziewczuszkę za jedyną sympatyczną osobę w rodzinie Melnerów. Odetchnęła z ulgą, gdy tamto świąteczne spotkanie dobiegło końca.

A później nastąpiła tortura codziennych posiłków z całą rodziną Malinowskich.

– Mam nadzieję, że ciotka Maria daruje sobie dzisiaj opowieści o tym, że Żydzi roznoszą tyfus – szepnęła do męża, gdy wchodzili do mieszkania na pierwszym piętrze.

– Może zajmie się dziećmi i zapomni – odparł Janek. – Boże, daj Poldusiowi kolejną sraczkę, niech ciotka ma zajęcie! – roześmiał się cicho.

– Nie wolno dziecku źle życzyć – zawtórowała mu Basia.

– Toż ja nie życzę źle dziecku, tylko ciotce! – Janek wyszczerzył zęby i zgiął się w parodii ukłonu, wskazując żonie wejście.

Stół w salonie Malinowskich wyglądał jak zwykle. Kolejna rzecz, która doprowadzała Basię do szału. Każdy siedział zawsze na tym samym krześle, zawsze stały te same talerze, nawet koszyk z chlebem ciotka umieszczała na stole co do centymetra w tym samym miejscu na jednym z dwóch obrusów. Różniły się tym, że w jednym z nich Malinowski kiedyś wypalił niewielką dziurkę żarem z fajki. Upływ czasu w tej jadalni wyznaczały grymasy ciotki Marii, zmieniające się obrusy i kąt padania światła na ogromny portret nieboszczki żony Apoloniusza, matki Janka. I pan domu, jak zawsze ukryty za płachtą gazety. Basia nawet rozumiała teścia, że czyta „Nowy Kurjer Warszawski”, czyli tubę propagandową okupanta. Ona sama też do niego zaglądała, głównie szukając ogłoszeń. Malinowski czytał od deski do deski, lecz trzeba było mu oddać sprawiedliwość, bowiem zwykle zżymał się głośno na niemiecką propagandę.

– Przedwczoraj padł polski rekord zimna – ogłosił Apoloniusz z gazety, gdy Janek z Basią zajęli swoje miejsca. – Niezwykłe! Minus czterdzieści jeden stopni. Warto odnotowania w polskich kronikach. Pytanie tylko, czy ktoś jeszcze zachowuje takie wiadomości.

– Tworzą się grupy, które stawiają Niemcom opór – mruknął Janek. – Pewnie zabezpieczają, co tylko się da.

– I słusznie – pochwalił Malinowski. – Żebyś nigdy się w nic takiego nie angażował, pamiętaj!

– Nie zamierzałem – odparł Janek.

– Rodzina jest najważniejsza – oświadczył twardo Malinowski. – To jedyny sposób na przetrwanie, więc lepiej, żebyście wszyscy o tym pamiętali. Żadnych podejrzanych kontaktów, rozmowy tylko z Aryjczykami i żadnego pokątnego kupowania na targowiskach. Tylko czyhają tam na ludzi z gotówką. Nie okradają na miejscu. Idą za człowiekiem do domu, zaczajają się, a potem rabują ile wlezie. Bywa, że dla zatarcia śladów puszczają mieszkanie z dymem.

– Jezu! – Ciotka Maria przeżegnała się. – Niemcy to zaraza naszego miasta.

– Nie mówię o nich, durna babo, tylko o bandach z Czerniakowa i Sielc! Myślisz, że skoro Niemcy zajęli Warszawę, to stali się jedynymi ciemężycielami naszego miasta? Wojna wyzwala w ludziach najgorsze instynkty.

Basia milczała. Przemowa teścia przypomniała jej straszliwe warunki, w jakich spędziła na Czerniakowie dzieciństwo. W tym jednym punkcie zgadzała się z Malinowskim. Ferajna z pewnością doskonale wykorzystywała wojenny chaos. Byli honorni, więc na pewno parli do bitki z okupantem, lecz to zupełnie im nie przeszkadzało w rabowaniu innych warszawiaków. Chaos potęgował bezprawie, a bieda usprawiedliwiała kradzieże. Przynajmniej w oczach warszawskich złodziei. Gwoli ścisłości, wywodzili się ze wszystkich dzielnic, nie tylko z Czerniakowa.

– A jak ojciec łączy polecenie rozmawiania wyłącznie z Aryjczykami i przyjaźń z majstrem Blumanem? – zapytał Janek. W jego tonie słychać było rozbawienie, lecz patrzył na ojca twardo.

– Mosze jest bardziej Polakiem, więc nie ma o czym gadać – odwarknął Malinowski.

– To ciekawe, bo myślałem, że Żydzi też są Polakami, tylko wyznania mojżeszowego. – Janek spojrzał wyzywająco na ojca.

– Możesz sobie myśleć, co chcesz, a ja wolę rozumować jak Niemcy – odparł szorstko Apoloniusz. – Tylko tak człowiek jest w stanie przewidzieć ich przyszłe knowania. A te będą coraz gorsze.

– Wystarczy tych dysput! Nie sądzę, żeby były miłe Bogu! – Ciotka Maria chwyciła koszyczek z pieczywem i niezgrabnym ruchem wyciągnęła go w stronę Apoloniusza. Kilka ciemnych kromek spadło na dywan.

– Maria ma rację. Trzeba nam do roboty. – Malinowski spojrzał znacząco na Janka i na Basię. Oczywiście jak zwykle nie odezwał się do niej słowem. Od dwóch tygodni zmuszał ją do pracy ponad siły przy maszynie. I nie zamierzał płacić. W końcu rodzina musi się wspierać.

– Ojczy, powinniśmy o tym porozmawiać – wtrącił się Janek. – Basia nie może pracować tak długo. Alinka jej potrzebuje.

– Twoja córka ma tu dobrą opiekę – odparł Malinowski.

– Nie przeczę. Ale Basia chce być z dzieckiem.

– Ceny jedzenia rosną codziennie, a ja mam do wyżywienia was wszystkich! – Stary rękawicznik uderzył pięścią w stół.

– Na litość boską, Apoloniuszu! – jęknęła ciotka Maria.

– Może niech Paulina pójdzie do pracowni? Nawet nie zajmuje się dzieckiem! – Janek w końcu wybuchł. Wstał z krzesła i stanął naprzeciwko ojca.

– Ani słowa o Paulinie! – Ciotka Maria władczy gestem położyła dłoń na ramieniu podopiecznej.

– Nie próbuj mi rozkazywać ani wprowadzać swoich rządów w moim domu – oświadczył Malinowski, patrząc ze złością na syna. – Dobrze radzę.

W salonie zapadła niezręczna cisza. Jedyne dzieci zupełnie się tym nie przejęły. Bawiły się na dywanie drewnianymi klockami. Basia zerknęła z ukosa na Paulinę, która siedziała nieporuszona, obejmując dłońmi filiżankę herbaty.

– Basia będzie się zajmowała naszą córką – odparł twardo Janek. – Ja zaraz idę do pracowni. Jeśli ojcu to nie odpowiada, możemy się wynieść choćby dzisiaj.

Chłopak bał się, czy nie przeszarżował. Wiedział, że teraz, gdy zabrakło Poldka, jest potrzebny ojcu, jednak legendarny ośli upór starego rękawicznika mógł wziąć górę nad logiką. Żeby nieco ostudzić nastroje i dać ojcu szansę na wyjście z konfliktu z twarzą, usiadł na swoim krześle i podniósł do ust kromkę chleba.

– Nawet w tak ciężkich czasach umie ciotka upiec najlepszy chleb w całej Warszawie – oświadczył szarmancko. Uśmiechnął się do Marii, która natychmiast się rozpromieniła.

Wiedział, że trafił w czuły punkt. Ciotka była szalenie dumna ze swojej pracy, a przecież nie otrzymywała zbyt wielu komplementów od Apoloniusza, który uważał, że jedzenie ma się pokazywać o określonych porach na stole i tyle.

– Idziemy do pracowni – powiedział Malinowski, wstając z krzesła. – Niech baby same się tu urządzają. Męską rzeczą jest zarobić na te ich idiotyczne fanaberie.

Basia ścisnęła męża za nadgarstek. Wiedziała, że jest w gorącej wodzie kąpany i mógłby powiedzieć coś głupiego. Tymczasem oświadczenie teścia w jej odczuciu było częściową kapitulacją. I wolała tego nie burzyć.

\*\*\*

Poldek z bezsilną wściekłością patrzył przez okno domu wiejskiego doktora. Śnieg nie przestawał sypać. Miejscami sięgał już do okiennych parapetów. Wypuścić się w podróż byłoby szaleństwem nawet dla zdrowego człowieka, a co dopiero dla rekonwalescenta. Nie miał nawet odpowiedniej odzieży, o butach zimowych nie wspominając.

Doktor Kazimierzak bardzo się o niego troszczył i nawet słowem nie wspomniał, że Poldek jest dla jego dwuosobowego gospodarstwa ciężarem.

– Co się tak kawaler zamyślił? – Głos gosposi wyrwał Poldka z zadumy. – Panna jakaś pewnie po głowie chodzi? – Zośka roześmiała się dobrodusznie i puściła do chłopaka oko.

– Ja myślę tylko o pani Zosi. Gdzieżby mi jakie panny były w głowie, kiedy pani Zosia mi tak gotuje – odparł żartobliwie. Uśmiechnął się do korpulentnej kobiety. Bardzo ją polubił. Miała pogodną twarz i nieduże ciemne, zawsze wesołe oczy. Od niej się dowiedział, że wioska, w której utknął, znajduje się pod Przasnyszem. Pociuszające było to, że nie miał stąd daleko do Warszawy.

– Niezły z kawalera dowcipniś – odparła. – Ale teraz, zamiast się gapić za okno, gdzie niczego ciekawego nie ma, kawaler dokończy obieranie ziemniaków. Doktorowi już nogi widać, więc się trzeba spieszyć z obiadem.

Poldek bez dyskusji wrócił do pracy. Wiedział, że mizerna to pomoc, lecz próbował się jakkolwiek odwdzińczyć swojemu wybawcy.

– Straszny znów mróz. Oby doktor wrócił jak najszybciej – powiedział.

– Najlepiej, jakby wcale nie wyjeżdżał na taką pogodę, ale chorzy nie mogą czekać. Żeby tylko sanie gdzieś w zaspie nie utknęły. Takiej zimy to już dawno nie było. Pan Bóg worek nieszczęść nam nad Polskę wysypuje. Oby później nam te cierpienia jakoś wynagrodził. Słyszałam, że Niemcy strasznie się panoszą. U nas na razie spokój. Nawet oni zimą nie wygrają, lecz w miastach i miasteczkach głód, strach i morderstwa. – Gospodyni pociągnęła nosem, po czym odwróciła się w stronę kuchni węglowej, na której gotowała się zupa cebulowa. – Niech kawaler kończy z tymi ziemniakami, jeśli nie chce jeść surowych – poleciła Poldkowi.

– Chciałbym być bardziej pomocny – mruknął pod nosem.

– Nie cierpię obierania ziemniaków, więc jest kawaler bardzo pomocny – roześmiała się.

– Przyjdzie czas, że i drewna, młodzieńcze, narąbiesz! – W drzwiach izby stanął doktor w obsypanym śniegiem baranim kozuchu. Choć starał się Poldkowi dodać otuchy, minę miał markotną.

– Stało się co? – zareagowała natychmiast gospodyni.

– Niemcy weszli do klasztoru. Aresztowali wszystkie siostry. Mają je zabrać do Sztutowa. Obóz jakiś organizują, ale nikt nie wie, co tam jest. W klasztorze ma powstać więzienie – odparł przygnębionym głosem.

– Boże, miej nas w swojej opiece. Takie świętokradztwo! – Kobieta przeżegnała się. Na jej twarzy odmalowała się zgroza.

– Mam wrażenie, że zaraz wezmą się i za nasze wioski. Już nigdzie nie będzie bezpiecznie. Słyszałem, że jak co się Niemcom nie podoba, to potrafią wszystkie zabudowania puścić z dymem albo do domów nawrzucać granatów, nie bacząc na kobiety i małe dzieci. – Doktor przysiadł na zydlu i zaczął masować skronie.

– Najpierw zadbajmy, żeby do pana doktora się żadne przeziębienie nie przyplątało. – Gosposia podeszła do niego i łagodnie, lecz stanowczo pomogła mu zdjąć wierzchnie okrycie.

– Chłopcze, tu już nie będzie bezpiecznie – doktor zwrócił się do Poldka. – Musimy pomyśleć nad jakimś rozwiązaniem.

– Wyjadę natychmiast, nie chcę, żeby pan doktor miał przeze mnie nieprzyjemności. Nie darowałbym sobie, gdyby okupanci... – Poldek urwał, nie bardzo wiedząc, co tak właściwie chciał powiedzieć.

– Nie po to cię tyle kurowałem, żeby teraz na zatracenie oddać. Żal by było – zażartował doktor. – Niech mróz zelżeje, wtedy załatwimy podwodę.

Poldek wiedział, że Kazimierczak ma rację, lecz i tak nie zmniejszało to jego zniecierpliwienia. Od miesięcy nie był w domu, nie miał żadnych wiadomości o bliskich i teraz jeszcze te straszne wieści z klasztoru. Zakonnice uratowały mu dwukrotnie życie, a teraz same znalazły się w ogromnym niebezpieczeństwie. A on zupełnie nic nie mógł na to poradzić. Nie widział żadnego Niemca od czasów bitwy, w której niemal nie stracił życia, więc w jego wybujałej wyobraźni urosli do złych diabłów czający się wszędzie poza chałupą doktora. Demonizował ich, zupełnie nie wiedząc, czego się można po nich spodziewać, gdy staną człowiekowi na drodze. Na pewno niczego dobrego.

– Siadajcie do stołu. Zaraz podam supę – oświadczyła gosposia, wytrącając Poldka z zadumy. – Znów cebulowa – dodała przepraszającym tonem.

– Bardzo lubimy cebulową. Pożywna i zdrowa – zapewnił doktor.

– I spod rączek pani Zosi najsmaczniejsza na świecie – dołączył się do pochwał Poldek.

Spojrzał z roztargnieniem w okno, co robił kilkadziesiąt razy dziennie, jakby za tym następnym razem miał ujrzeć topniejący śnieg. Niestety, zima trwała w najlepsze, mróz malował na szybach fantazyjne kwiaty. Pozostawało tylko czekać w nadziei, że pręcej pogoda się poprawi, niż Niemcy wtargną do podprzasnyskich wiosek.

\*\*\*

W lutym w szpitalu na Czystem nie poprawiły się warunki socjalne, w dodatku lodowate zimno usiłowało się wciskać w niedogrzone pomieszczenia każdą szparą. Liche wyposażenie, jakie zostało po konfiskacie sprzętu, sprawiało, że coraz trudniej było komukolwiek pomóc. Choć personel dwoił się i troił, epidemie tyfusu w przepełnionym szpitalu wybuchały regularnie, odcinając go od reszty świata na całe tygodnie, a pacjenci umierali jeden po drugim. Pracy zresztą i tak było tyle, że brakowało czasu na wyjście ze szpitala, więc pracownicy niemal nie odczuwali przymusowej izolacji.

Akurat za światem Michał nie tęsknił. O tym, co działo się w Warszawie, nawet nie chciał myśleć. A już szczególnie o tym, jakie upokorzenia spotykały Żydów na każdym kroku. Zdeptana ludzka godność bolała bardziej niż krwiak, jaki mu pozostał na głowie po spotkaniu z kolbą niemieckiego karabinu.

Szczegóły pobicia zacierały się w jego wspomnieniach, lecz dobrze pamiętał gorące pragnienie, żeby ów karabin raz na zawsze wyzwolił go od upokorzeń, pozwolił zasnąć spokojnym snem i zapomnieć o okupacji, o będącym siedliskiem rozpaczy szpitalu i o Konradzie, który okazał się niegodny uczuć, jakimi Michał go darzył.



Z drugiej strony skóra cierpła mu na myśl, że był o krok od wyzionięcia ducha na śródmiejskim chodniku. Jego głowa gniłaby pomiędzy butami obojętnie mijających go przechodniów, gdyby nie to, że natknął się na niego dozorca kamienicy na Zgodzie. Rozpoznał doktora, choć ten miał twarz zalaną krwią, i zaciągnął go do antykwariatu. Ten fragment Michał znał tylko z opowieści. Ocknął się na wersalce w mieszkaniu Heleny kilka godzin później.

– Tak się bałam! – wykrzyknęła, gdy tylko otworzył oko. Na drugie, całkowicie spuchnięte, jeszcze przez kilka dni nic nie widział. – Co się stało?

– Chciałem umrzeć, ale nawet tego nie chcą mi dać – odparł, niezupełnie przytomny.

– Co ty mówisz? – wyszeptwała ze zgrozą. – Nawet nie próbuj robić niczego głupiego. Jesteś mi potrzebny, rozumiesz? Bez ciebie nie umiałabym żyć. Zwłaszcza teraz, gdy nie ma już ze mną Mani.

– Mani? A co z Manią? Stało się coś? – zaniepokoił się.

– Wyprowadziła się dla własnego bezpieczeństwa. Tego by tylko brakowało, żeby ktoś ją uznał za Żydówkę. U Konrada będzie jej lepiej. – Helena pożałowała nadmiernej szczerości, gdy tylko dokończyła zdanie.

Michał nie skomentował. Westchnął i zamknął oczy. Nie wiedziała, czy znów stracił przytomność, czy po prostu usnął. Helena uznała, że w obecnych warunkach najskuteczniejszą pomocą będzie zostawienie go w spokoju. Cóż z tego, że przewiozłaby go do macierzystego szpitala, skoro nie został w nim żaden sprzęt diagnostyczny?

– Panie doktorze! Kolejna rodzi! Chyba jest krwotok. – Uczennica szkoły pielęgniarskiej wyrwała Michała z zamyślenia.

– Już idę – odparł. Nie mógł nic poradzić na to, że w jego głosie zabrzmiała rezygnacja. Pomyślał, że okupacja potrafi wyssać radość nawet z cudu narodzin. Obecnie zamiast szczęścia pojawienie się dziecka oznaczało kłopoty oraz troskę o jego przyszłość. Pomimo wojny dzieci się rodziły, a życie trwało dalej.

Mieszkańców Warszawy trapiły różne troski. Wieczny niedostatek jedzenia, bowiem przydział chleba wynosił pół kilograma na dwa dni dla jednego mieszkańca, chłód w niedogrzanych mieszkaniach z racji ograniczonych zapasów węgla, który grupy młodocianych złodziejasków rozkradały na każdym kroku, oraz strach podpełzający dzień po dniu coraz wyżej do gardła.

W niemieckiej okupacji objawiała się pedantyczna konsekwencja i zimna strategia odarcia warszawiaków ze wszystkiego. Z dnia na dzień zmniejszano racje żywności, zakazywano kolejnych działań, ograniczano swobody obywatelskie i nakładano podatki oraz opłaty za wszystko, co tylko się dało. Obywatel miał karmić się strachem zamiast chlebem i niewolniczo pracować, nie zadając pytań.

– Doktorze!

Michał w pierwszej chwili nie zareagował na głos dobiegający z za jego pleców.

– Kuzynie, do ciebie mówię! O czym tak myślisz, że mijasz własną krewniaczkę i nawet jej nie poznajesz? – Helena roześmiała się cicho.

– Biegnę do trudnego porodu – wyjaśnił.

– Zatem nie zatrzymuję cię. Chciałam tylko zapytać, czy mogę dzisiaj wcześniej wyjść? Mam ważną sprawę – wyjaśniła.

– Nie musisz mnie o to prosić. Harujesz po godzinach za darmo. Poza tym jest niedziela! Liczę, że potem opowiesz, co to za ważna sprawa – odparł Michał. Uśmiechnął się do Heli i pobiegł w stronę sali porodowej.

Helena ściągnęła z wieszaka płaszcz i odruchowo sprawdziła, czy opaska z gwiazdą Dawida dobrze się trzyma. Starając się nie zwracać uwagi na jęki pacjentów, poszła do wyjścia. Zalana słońcem ulica powitała ją białymi chodnikami i wysokimi zaspami śniegu. Takiej zimy nie było w Polsce od lat. Brnąc w stronę Marszałkowskiej, zanurzyła się we wspomnieniach. Przypomniała sobie grudniowe popołudnie sprzed ponad czterech lat, gdy spotkała się z Poldkiem przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Przed dworcem kolejowym stała choinka udekorowana elektrycznymi, kolorowymi lampkami, z nieba prószył śnieg. Dziewczynę naszła refleksja, jak wiele rzeczy wydarzyło się później w jej życiu i jak bardzo zmienił się świat.

Szybki marsz i promienie słońca rozgrzały Helenę. Dzień był piękny, bezwietrzny, mróz wyraźnie zelżał, więc pełna nadziei, że tym razem dojdzie do upragnionego spotkania, poszła w stronę Ogrodu Saskiego. Śnieg iskrzył, oślepiając przechodniów, a z parku dobiegały śmiechy dzieci. Hela uśmiechnęła się bezwiednie.

– Czego suszysz zęby, Żydówko? – Dozorca ogrodu stanął przed nią, zatarasowując furtkę. – Żydom wstęp wzbroniony!

– Ale tylko w chałatach – odparła Helena. Nauczona doświadczeniem, wbiła wzrok w ziemię. Takich typów nie należało prowokować, nie teraz, gdy życie człowieka z opaską z gwiazdą Dawida znaczyło dla takich mniej niż nic. Ciche przyzwolenie Niemców wyzwalało w niektórych najgorsze instynkty. – Umówiłam się z kimś, więc proszę mnie przepuścić. – Helena skrzywiła się z zażenowania, gdy usłyszała własny uniżony ton. Wiedziała jednak, że inaczej nic nie ugra.

– No, no. Taka ładna panna i tak grzecznie prosi. Aż żal, że Żydówka. – Dozorca zarechotał oblesnie, lecz odsunął się na bok.

– Dziękuję – powiedziała Helena, uśmiechając się grzecznie, choć rozsadzała ją wściekłość. Najchętniej naplułaby mężczyźnie w twarz, ale miała zbyt wiele rozsądku. Liczyło się tylko spotkanie.

Ogród Saski w zimowej odświeżeniu sprawiał bajkowe wrażenie. Roześmiane dzieci rzucały się śnieżkami, starsze ciągnęły na sankach młodsze, a dorośli spacerowali niespiesznie alejkami. Helena nie zwracała na nie uwagi, rozglądając się wokół niecierpliwie.

– Helu! – usłyszała za plecami, więc natychmiast się odwróciła. Tuż przed nią stał uśmiechnięty od ucha do ucha Janek. – Wreszcie się spotykamy! Ileż to czasu upłynęło! –

powiedział. Chwycił Helenę w objęcia, ucałował w oba policzki.

– Za dużo czasu upłynęło – przyznała. – Stanowczo za dużo.

Szczerze ucieszyła się na jego widok, lecz nic nie potrafiła poradzić na to, że jej wzrok natychmiast zaczął błędzić za jego plecami. Serce podeszło jej do gardła na widok dwóch dziecięcych wózków stojących obok Basi. Wyminęła Janka bez słowa i jak zahipnotyzowana podeszła do przyjaciółki. Nawet nie spojrzała na nią ani wózek z Alinką. Przypadła do drugiego i nachyliła się nad nim.

– Polduś! – szepnęła z uczuciem. – Boże, synu, ile czasu marzyłam o tej chwili. – Dziecko spojrzało na nią rozszerzonymi ze zdumienia oczami i przestraszone zapłakało. Helena natychmiast się odsunęła, choć serce chciało jej pęknąć z żalu. – Nie pamiętasz mnie – powiedziała smutno.

– To nic, Helu, to nic. Szybko się przyzwyczai – powiedziała pokrzepiająco Basia. – Jest jeszcze malutki.

Wprawnie wyjęła dziecko z wózka i przytuliła. Kołysała je łagodnie.

– Zna lepiej ciebie, choć dopiero wróciłaś do miasta. – W tonie Heleny zabrzmiała gorycz. – Przepraszam, nie powinnam mówić takich rzeczy – zmitygowała się natychmiast. Nie spuszczała oczu z Poldusia.

– Nie masz za co przeproszać, Heleno. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co przeżywasz. – Basi udało się uspokoić dziecko i stanęła bokiem do Heli, tak żeby mały mógł ją widzieć i przyzwyczajać się do jej widoku.

Hela uśmiechnęła się do niego na próbę, choć ten uśmiech wiele ją kosztował, a łzy spływały jej po twarzy i zamarzały na kołnierzu płaszcza.

– Będziemy tu przychodzić w każdą niedzielę, Helu. Nie pozwolę, żeby znów was rozdzielili. – Janek położył jej dłoń na ramieniu w pokrzepiającym geście.

– Jeśli Paulina pozwoli – odparła markotnie.

– Paulina jest bezwolna jak lalka. Nie wiem, co się z nią dzieje, lecz nic jej nie interesuje. Ciotka Maria nawet słowa o tym nie mówi, lecz wiem od ojca, że po ślubie leczyła się psychiatrycznie. Wątpię, by nawet zauważyła, że bierzemy małego na spacer. A ojcu to pasuje. Uważa, że to zacieśni więź pomiędzy mną i jego upragnionym małym spadkobiercą. – Mówiąc o ojcu, Janek miał minę, jakby napił się octu.

– Współczuję jej – powiedziała Helena.

– Kobiecie, która zabrała ci dziecko? – zdziwiła się Basia.

– Och, Basieńko, żeby to było takie proste. Ja nic tej Paulinie za złe nie mam. Raczej ją powinnam prosić o wybaczenie za to, jak ją skrzywdziłam. To ona jest żoną Poldka, który przyniósł jej do domu nieślubne dziecko. Moje dziecko.

– Jeśli ktokolwiek tu kogoś skrzywdził, to tylko mój ojciec. Wszystkie nieszczęścia, jakie cię spotkały, są jego winą – powiedział z mocą Janek. – Gdyby nie wmieszał się pomiędzy ciebie i mojego nieszczęsnego brata, wszystko potoczyłoby się inaczej. Więc

nigdy nie bierz żadnej winy na siebie. To moja rodzina powinna na kolanach błagać cię o wybaczenie, rozumiesz?

– Poldek nigdy nie chciał mnie skrzywdzić – odparła cicho.

– Ale zrobił to! Mógł zachować się jak mężczyzna, lecz tego nie uczynił.

– Łatwo jest ferować wyroki, gdy się przez lata mieszkało na drugim końcu Polski. – Basia spojrzała z wyrzutem na męża. – Poza tym o zmarłych źle nie należy mówić.

– Zmarłych? Przyszedł list? – Helena pobladła i zachwiała się. Janek otoczył ją ramieniem i podprowadził do ławki.

– Nie przyszedł żaden list – zapewnił gorliwie.

– Przepraszam, Helu. Mam jak zwykle niewyparzony jeźor. Po prostu sądziłam, że skoro od tyłu miesiący nie dał znaku życia, wszyscy uznali za pewnik... – Basia umilkła, nie dopowiedziawszy zdania.

– Wiem, że to głupie, ale ja ciągle noszę w sercu nadzieję – powiedziała Helena.

– Ty go wciąż kochasz. Po tym wszystkim nadal go kochasz. Niebawale – zdziwił się Janek.

– Daj spokój – ofuknęła go Basia. – Już dość wrażeń na dzisiaj. Przejdźmy się po parku. Heleno, weźmiesz wózek z Poldusiem?

– Bezpieczniej będzie, jeśli Janek weźmie – odparła.

– Ależ mały zaraz uśnie. Poza tym zobacz, że już nie płacze, tylko przygląda ci się z zaciekawieniem. – Basia pogłaskała dziecko po plecach.

– Nie w tym rzecz. Lepiej, żeby nikt nie pomyślał, że jest żydowskim dzieckiem – wyjaśniła.

Zapadła cisza. Janek spojrzał na Helenę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Odruchowo skupił wzrok na jej ramieniu.

– Właśnie dlatego Polduś zostanie z Pauliną – powiedziała Hela. – Już teraz zdaniem Niemców Żydzi są odpowiedzialni za całe zło tego świata, łącznie z tyfusem. Od tego tylko krok, by ogłosić, że właściwie nie jesteśmy ludźmi. Dziecku będzie lepiej bez tego kłopotliwego bagażu – dodała z goryczą.

– Helu! Boże mój, jak mi strasznie przykro. – Basia podała dziecko Jankowi, a sama podeszła do przyjaciółki, usiadła obok niej i zamknęła w objęciach. – Jeszcze kiedyś wróci normalność, zobaczysz. Skończy się ten zły sen. Bo przecież żadne zło nie może wygrać z dobrem.

– Zaraz pewnie Anglicy przystąpią do wojny, a Hitler już coś kombinuje przy granicy z Belgią. Rozzłoszczą się zachodnie mocarstwa i wreszcie dadzą mu łupnia, zobaczysz – powiedział Janek. – Pogonią z Polski Niemców, a potem ruskich. Trzeba tylko wytrzymać do tego czasu.

– Obyś miał rację – odparła Basia, choć w głębi duszy wiedziała, że jej mąż nie wierzy w rychłe oswobodzenie.

\*\*\*

Krysia była podekscytowana. Umówiła się z Ignacym tuż po tajnych kompletach z biologii i chemii. Zwykle bardzo uważała na zajęciach, doceniając poświęcenie nauczycieli, lecz dzisiaj nie mogła skupić uwagi. Na szczęście profesor prowadził wykład i nie wrywał żadnego z pięciorga uczniów do odpowiedzi. Gdy tylko ogłosił koniec zajęć, Krysia pożegnała się i nie czekając na koleżanki, wyszła w pośpiechu z kamienicy przy Nowogrodzkiej.

Ignacy już czekał, oparty o ścianę domu po przeciwnej stronie ulicy. Tak jak jej wcześniej kazał, nie podeszła do niego, lecz ruszyła w dół ulicy, nie oglądając się za siebie. Zrównał się z nią dopiero wtedy, gdy skręciła w boczną uliczkę.

– Chodź, pojedziemy tramwajem – powiedział.

Krystyna spojrzała na niego z ukosa. Gdyby tylko wypadało, gapiłaby się na niego otwarcie całymi godzinami, a i tak nie nacieszyłaby się jego widokiem. Ignacy był przystojnym mężczyzną, jego regularne rysy twarzy i potężna postura z pewnością podobały się wielu pannom. Krysia ogromnie żałowała, że nie ma jego fotografii, lecz byłoby głupio o nią prosić. Przypomniała sobie tamten spacer po Nowym Świecie sprzed prawie dwóch lat. Modliła się wówczas w duchu, żeby któryś z utrapionych lajkarzy zrobił im z zaskoczenia zdjęcie, lecz osobnicy z aparatami jak na złość się nie pojawili.

– Dokąd jedziemy? – zapytała, głównie po to, żeby przerwać ciszę.

– W stronę Puławskiej – odparł i ruszył na przystanek tramwajowy. – Zobacz, właśnie jakiś tramwaj nadjeżdża.

– Do tego nie wolno wsiadać. To tramwaj linii „0”, tylko dla Niemców. Jeździ z dzielnicy rządowej do policyjnej – wyjaśniła Krysia.

– Znaleźli się władcy Warszawy, psia ich mać – zaklął Ignacy. – Zagrabili najpiękniejsze budynki miasta i jeszcze prywatną linię urządzają.

– Mnie to też doprowadza do wściekłości. Panoszą się jak u siebie i z każdej strony wmawiają człowiekowi, że to sprawiedliwe, że im się należy, że są lepsi. Chyba najbardziej dokuczają mi bezsilność – powiedziała. – Chcę robić cokolwiek!

– Cierpliwości.

Przejechali w milczeniu kilka przystanków, a Krysia czuła się coraz bardziej niezręcznie. Ignacy patrzył przez okno i zupełnie nie zwracał na nią uwagi. A ona z całej siły powściągała język, choć najchętniej zalałaby towarzysza nerwową paplaniną.

– Nasz przystanek. – Ignacy przerwał w końcu ciszę.

Krystyna z ulgą wysiadła i rozejrzała się wokół po obcym krajobrazie. Niezbyt często zapuszczała się do Mokotowa. To tylko pogłębiło jej podenerwowanie. Chłopak poprowadził ją do wysokiej kamienicy. Nie zdążyła policzyć, ile ma pięter, bo pociągnął ją przez otwartą bramę do podwórka studni. Odruchowo zadarła głowę i wysoko nad sobą zobaczyła skrawek pogodnego nieba, obramowany betonem ostatnich pięter otaczających ją budynków.

– To tutaj – powiedział Ignacy, przystając przed wejściem do klatki schodowej. – Wejdiesz na trzecie piętro, drugie drzwi z lewej strony. Zadzwoń cztery razy, ale bardzo krótko.

– Nie idziesz ze mną? – zdziwiła się Krysia.

– Nie mogę. Zasady konspiracji – wyjaśnił.

– Ale ja nawet nie wiem, po co tu jestem. – Dziewczyna poczuła, że wpada w panikę.

– Wszystko jest w porządku – uspokoił ją Ignacy. – Prędeż rękę bym sobie odciął, niż naraził cię na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. A teraz bywaj, Krysiu. Lepiej za długo tu nie wystawać. Sąsiedzi nie muszą zbyt dokładnie nam się przyglądać.

– Kiedy się zobaczymy? – zapytała spontanicznie. Natychmiast pożałowała wyrywności.

– Nie wiem, ale będę czekał z niecierpliwością – odparł. Uchylił czapki i szybko odszedł.

Krysia walczyła ze sobą. Najchętniej uciekłaby, gdzie pieprz rośnie, lecz przecież sama prosiła Ignacego, żeby skontaktował ją z kimkolwiek, kto działa w konspiracji. Stchórzenie byłoby zwyczajną dziecinadą. Z ociąganiem pchnęła drewniane drzwi, które ustąpiły z niechętnym zgrzytem. Idąc po schodach, przypomniała sobie słowa Ignacego, że nigdy nie naraziłby jej na niebezpieczeństwo. To dodawało, rzecz jasna, otuchy, lecz gorące młode serce zabiło żywiej z innego powodu. Zależało mu na niej! Dziewczyna uśmiechnęła się bezwiednie i dziarsko pomaszerowała na trzecie piętro. Zgodnie z poleceniem Ignacego zadzwoniła krótko cztery razy. Nawet nie zdążyła się zastanowić, co powinna powiedzieć, bo drzwi otworzyły się natychmiast.

– Wchodź! – szepnął dziewczęcy głos. Jakaś ręka wciągnęła Krysię do pogrążonego w półmroku przedpokoju. Drzwi zatrzasnęły się natychmiast, a ona mimowolnie się wzdrygnęła. – Krystyna, tak?

– Tak – odparła. Próbowała dojrzeć twarz drugiej dziewczyny, lecz oczy wciąż nie przyzwyczyły się do ciemności. Głos wydał się znajomy, lecz kompletnie nie umiała sobie przypomnieć, skąd go zna.

– Wejźmy do pokoju. Reszta dziewcząt już jest.

Krystyna poszła posłusznie za gospodynią do widnego salonu. Już w progu rozpoznała swoją zastępową z hufca. To natychmiast przypomniało jej pamiętne lato, gdy Ignacy uratował ją, kiedy tonęła w jeziorze, a druhna Honorata, w ramach podziękowania, zaprosiła męski obóz na ognisko. Krysia powiodła spojrzeniem po zgromadzonych w pokoju harcerkach i rozpoznała kilka twarzy. Niektóre z koleżanek pomachały do niej entuzjastycznie. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, lecz nic nie mogła poradzić na to, że natychmiast zrzędała jej mina. Spodziewała się czegoś tajnego, sekretnych misji z narażeniem życia, tymczasem Ignacy zakpił z niej i zaprowadził do dawnych koleżanek z harcerstwa.

– Wbrew pozorom zajmujemy się tutaj bardzo poważnymi sprawami – powiedziała uspokajająco druhna, widząc jej zawiedzioną minę.

– Ja przecież... – Krysia próbowała się wytłumaczyć, lecz Honorata tylko machnęła ręką. – Zanim wtajemniczymy cię w cokolwiek, musisz złożyć przysięgę.

– Jestem już harcerką, dawno złożyłam przysięgę – odparła.

– Przysięgę na wierność służbie Polskiemu Państwu Podziemnemu – wyjaśniła druhna. – Unieś prawą dłoń i powtarzaj za mną.

Krysia posłusznie uniosła rękę i wyrecytowała uroczyście słowa przysięgi. W pokoju panowała cisza, dziewczęta w milczeniu przyglądały się całej scenie.

– W porządku. Teraz znów jesteś jedną z nas – oświadczyła druhna.

Rozległy się ciche brawa, kilka koleżanek podeszło do Krysi i uściskało ją serdecznie. Dziewczyna z pewnym oszołomieniem odpowiadała na pytania, co się u niej działo przez pół roku okupacji. W pierwszej chwili sądziła, że Ignacy sobie z niej zakpił, lecz teraz zmieniła zdanie. Poczula się tak, jakby po wielomiesięcznej samotnej tułaczce zdołała odnaleźć stado.

## ROZDZIAŁ 9

1940

Zobaczysz, kawalerze, jeszcze trochę i znajdziesz dość sił, żeby wrócić do domu! – Gospodyni odebrała od Poldka naręczce porąbanych szczapek.

– Szkoda, że pan doktor nie pozwala mi siekierą machać, tylko woła chłopaka od sąsiadów. A ja tylko nosić mogę i nie więcej niż po pięć. Pamiętam przestrogę doktora.

– Już tak sobie kawaler nie szkodzi – roześmiała się Zośka. – A list jakiś był dzisiaj? – zaciekała się.

– Gdzieżby. Wciąż zima nas ściska, a i drogi pewnie nieprzejezdne.

– Jak roztopy przyjdą, lepiej nie będzie. Kiedyś ten list do domu napisał? – zapytała.

– Będzie dwa tygodnie, jak doktor przez znajomego podał do Warszawy. Ale ciągle nic, żadnej odpowiedzi! – Chłopak zmarkotniał.

– To jeszcze nic nie znaczy. Czekaj cierpliwie. W końcu coś przyjdzie. A teraz chodź, ziemniaków ci nałożę.

Poldek nie zdążył usiąść, bo z zewnątrz dobiegł jakiś hałas. Drzwi do izby otworzyły się z impetem i do środka wraz z lodowatym podmuchem wpadł syn sąsiadów. Wciąż trzymał w dłoni siekierę. W zestawieniu z jego przerażoną miną sprawiało to makabryczne wrażenie.

– Diabła żeś zobaczył? – ofuknęła go gospodyni.

– Niemcy! Jadą przez wioskę, wszystko palą, a do ludzi strzelają! – wyjąkał chłopak. Rozglądał się bojaźliwie na boki, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić.

– Odłóż siekierę – poleciała mu Zośka. – Tylko ją zobaczą i zastrzelą jak amen w pacierzu!

Chłopak odruchowo rzucił narzędzie na ziemię. Ostrze wbiło się w bieloną podłogę, a trzonek lekko zadrżał. Chwilę później syn sąsiadów umknął w popłochu. Poldek przypadł do okna.

– Dym idzie z chałup! – powiedział.

– Co robić? – wymamrotała pobielałymi ustami gospodyni. Chwyliła gar z ziemniakami przez fartuch i niezdecydowana rozglądała się po kuchni. Nie było pewne, czy szuka dla niego bezpiecznego miejsca, czy chce wykorzystać jako broń.

– Lepiej wiejmy do lasu – powiedział Poldek. – Nasza chałupa ostatnia, dalej tylko choinki. Może budynek oszczędzą, ale lepiej się schować. Niech się pani Zofia ubierze



ciepło!

– Uspokójcie się! – Do izby wszedł doktor Kazimierczak. – Jestem jedynym medykiem w całej okolicy. Nie odważą się nic zrobić! Siedźcie spokojnie, ja do nich wyjdę.

– Płonie kolejny dom. – Poldek ponownie wyjrzał przez okno. – Nie sędzę, żeby Niemcy byli w nastroju do rozmów.

– Może są brutalni, ale to też ludzie. Muszą mieć choć odrobinę rozsądku. Lekarze są potrzebni wszędzie – odparł Kazimierczak.

– To się dobrze nie skończy – zdenerwował się chłopak.

Pod dom podjechała ciężarówka z Niemcami. Kilku wyskoczyło na zaśnieżone podwórko i coś do siebie głośno krzyczeli. Ze swojego punktu obserwacyjnego, zza zasłonki, Poldek zobaczył doktora, który poszedł w ich stronę z uniesionymi w górę rękoma. Coś do nich mówił.

Doktor postawił ledwie kilka kroków, gdy padły strzały.

– Jezu Chryste! – wrzasnęła z przerażeniem gosposia, patrząc na doktora, który zachwiał się i zwałił na ziemię twarzą w śnieg.

– Uciekajmy! Póki nie będzie za późno! – ponaglił ją Poldek. Chwycił z kołka przy drzwiach palto kobiety i zarzucił jej na plecy.

– Już jest za późno – jęknęła.

Nie wdając się w dalsze dyskusje, Poldek zaciągnął kobietę do swojego pokoju, otworzył okno na oścież i wyskoczył na zewnątrz. Z sąsiedniego pomieszczenia już dochodziło dudnienie oficerek.

– No szybciej! – Wyciągnął ręce do kobiety i pomógł jej się wydostać. Jej ciężar prawie zwałił go z nóg, lecz dzielnie wytrzymał.

– *Halt!* – dobiegł go szczekliwy rozkaz, lecz nawet sekundy się nie wahał. Objął gosposię w pasie i niemal ciągnąc, pobiegł w stronę sosnowego młodnika. Od linii drzew dzieliło ich kilkadziesiąt kroków.

Z okien domu padły strzały. Poldek odetchnął z ulgą, gdy udało im się dotrzeć do lasu. Towarzyszka ciążyła mu coraz bardziej, lecz tylko uchwycił ją mocniej.

– Zatrzymaj się – wychrypiała.

– Jeszcze trochę – powiedział błagalnie. – Ukryjmy się głębiej.

– Trafili mnie. – Zośka osunęła się na ziemię. Z jej ust pociekła krew. – Uciekaj! – zdołała jeszcze wybełkotać, po czym ucichła na dobre.

Zszokowany Poldek patrzył na kobietę, niezdolny do ruchu. Ocknął się dopiero, gdy usłyszał kolejne strzały i ujadanie psów. Pobiegł w las najszybciej jak umiał i nie zatrzymywał się, dopóki nie odezwał się ból w prawie zagojonej ranie. Oparł się o pień i oddychał głośno, puszczając z ust obłoki pary. Spanikowany rozglądał się wokół, ciesząc się, że wciąż jest jasno. Na myśl o spowitym ciemnościami lesie ogarniał go jeszcze większy strach, co było o tyle irracjonalne, że właśnie doświadczył potwornej grozy wśród

ludzi. Mrok w lesie nie mógł mu wyrządzić takiej krzywdy jak oni. Był tu bezpieczny. Oczywiście jeśli nie pojawią się wygłodniałe wilki.

Poldek poczuł dreszcze. Wiedział, że to pokłosie straszliwych wydarzeń, lecz potęgowało je zimno opanowujące spocone po nadludzkim wysiłku ciało. Mokra koszula pod chłopskim kożuchem przyklejała się do ciała, do drewniaków nasypał się śnieg. Chłopak zaczął się oklepywać dłońmi po ramionach, lecz niewiele to pomagało.

Od strony wsi dobiegały krzyki ludzi, ujadanie psów i wystrzały. Także z broni maszynowej. W pierwszym odruchu Poldek chciał poderwać się do dalszej ucieczki, lecz uświadomił sobie, że nawet nie wie, gdzie jest. Jeśli zabłądzi, do rana umrze z wyziębienia albo zajmą się nim dzikie zwierzęta. Stał niezdecydowany tuż przy pniu rosnącej sosny i nasłuchiwał. Przypominał spiętą do ucieczki sarnę z niepokojem nasłuchującą najcichszego dźwięku.

Później, gdy zapadła cisza, przymknął z ulgą oczy, lecz poczuł zwodnicze ciepło i senność, więc natychmiast je otworzył. Nie miał pojęcia, jak długo jest w lesie. Zaczynało już zmierzchać, więc pewnie upłynęły godziny. Poldek postąpił kilka kroków, znów stanął i starając się oddychać najciszej jak się da, próbował łowić dźwięki od strony wsi. O dziwo, panowała kompletna cisza.

Kryjąc się za drzewami, chłopak dotarł do linii lasu. Już z daleka widział łunę. Wystawił ostrożnie głowę zza pnia. W gęstniejącym mroku czerwone płomienie aż biły po oczach, lecz kłęby czarnego dymu były coraz mniej widoczne. Pożar objął częściowo dom doktora Kazimierczaka, ale zabudowania, spaliwszy się jedynie w połowie, stały okopcone i przesycone smrodem spalenizny. Ogień nie pochłonął ich całkowicie, ponieważ stały ostatnie w szeregu, tuż pod wysokimi świerkami. Żar bijący od płomieni stopił czapy śniegu. Woda ugasiła dach budynku i stłumiła pożar.

Poldek wślizgnął się do zrujnowanego domu. Poruszając się po omacku, odnalazł pokój doktora. Miał częściowo zawalony dach, lecz szafa cudownym zrządzeniem losu ocalała. Otworzył ją i odnalazł wysokie oficerki Kazimierczaka. Lekarz pokazywał mu je z dumą, gdy w świąteczny wieczór opowiadał o swoim udziale w Bitwie Warszawskiej. Chłopakowi było głupio rabować dobytek doktora, lecz wiedział, że w chodakach po śniegu daleko nie zajdzie. Już teraz kompletnie stracił czucie w nogach. Bezceremonialnie podarł lniany obrus na nieduże kwadraty i naprędce przygotowanymi onucami owinął stopy.

Przejrzał szafę metodycznie, dzięki czemu znalazł jeszcze futrzaną czapę, którą doktor zakładał w niedzielę do kościoła, oraz parę ciepłych łapek. Po dotyku poznał, że wykonano je z baraniej skóry, więc natychmiast przypomniał sobie pracownię rękawicniczą na Solcu. Po koszmarze, jaki przeżył, rodzinny zakład wydał mu się rajem i ziemią obiecaną.

Poldek odetchnął głęboko kilka razy, starając się uspokoić. Nerwy, a tym bardziej panika, nie pomogą, jeśli ma wyjść z opresji cało. Poszedł do kuchni, czy raczej do ruiny, która niegdyś nią była, i odwaliwszy na bok belkę sufitową, zdołał odnaleźć w zniszczonym

kredensie kilka cebul i płócienne zawiniątko z chlebem. Skrupulatnie poupychał zdobycze po kieszeniach.

– I co teraz? – powiedział do siebie. Zdziwił się, jak obco zabrzmiał jego własny głos.

Podszedł ostrożnie do wyrwy, jeszcze niedawno będącej drzwiami frontowymi. Zwłoki doktora leżały w tym samym miejscu. Poldek widział ich zarys w gęstniejącym mroku. Dalej, jak okiem sięgnąć, wiejska droga była zupełnie pusta. Ani żywego ducha. Dwa skrajne uczucia targały chłopakiem. Z jednej strony chciał jak najszybciej odejść z tego miejsca, z drugiej przerażała go myśl o tym, co napotka w drodze. Spokoju nie dawało mu też ciało biednego doktora. Wiedział, że ziemia jest tak zmrożona, że nie ma najmniejszych szans na wykopanie choćby płytkiego dołu, lecz serce ścisnęło mu się na myśl, że mógłby zostawić Kazimierczaka na pastwę dzikiej zwierzyny czy bezpańskich psów.

Po namyśle postanowił wciągnąć zwłoki do domu. Choć doktor był szczupłym mężczyzną, Poldek solidnie się zmęczył, a wciąż nie całkiem zagojona rana pulsowała tęnym bólem. Ułożył ciało na ocalałym łóżku w pokoju gospodarza i nakrył okopconym kocem. Z komórki za domem przyniósł kilka smolnych szczap i zaproszył ogień. Choć tyle mógł zrobić dla mężczyzny, który uratował mu życie. Obejrzał się ostatni raz za siebie, po czym wyszedł na wiejską drogę oświetloną łunami pożarów.

Dość szybko zorientował się, dlaczego we wsi nie ma żywego ducha. Wszystkich mieszkańców spędzono pod ścianę stodoły sołtysa i rozstrzelano. Poldek przystanął jak wryty na widok stosu ciał kobiet, dzieci i mężczyzn. Niewinnych, bezbronnych ludzi. Po policzkach popłynęły mu łzy, lecz natychmiast je otarł, zawstydzony. Ojciec skutecznie wbił mu paskiem do głowy lekcję, że maż się tylko baby.

Niemcy po dokonaniu rzezi musieli pojechać w pośpiechu dalej, więc w całej płonącej wiosce Poldek był jedyną żywą istotą. Choć chciał wrzeszczeć z wściekłości, wziął się w garść i ruszył prędkim krokiem dalej. Nawet się nie zastanawiał, w którą stronę powinien iść, w tej chwili chodziło wyłącznie o to, żeby wydostać się z wioski.

Na wysokości przedostatniej zagrody dopalały się już zgliszcza. Zwalczywszy pokusę obejrzenia się za siebie, przyspieszył kroku i z trudem utrzymał równowagę, gdy coś wyskoczyło mu pod nogi.

– Zostałeś sam, biedaku? – powiedział na widok małego, burego kociaka, który przypadł do jego stóp i miauczał żałośnie. – Nie mogę cię wziąć, cóż bym z tobą począł?

Kot nie dawał za wygraną. Wspinał się po nogawce Poldka i choć ten próbował delikatnie wyplątywać ostre pazurki, zwierzak natychmiast do niego przywierał. Wreszcie udało się i chłopak postawił kociaka na drodze, lecz on usiadł mu na bucie i zaczął miauczeć jeszcze głośniejsze i bardziej żałośnie.

– No już! Nie płacz, kolego. Chodź, wezmę cię do najbliższej wsi, może tam się ktoś nad tobą ulituje. – Pochylił się i podniósł kota. Zwierzak był tak mały, że mieścił mu się w dłoni. Drżał na całym ciele, a gdy Poldek uchylił pazuchy, natychmiast schował się na

wysokości lewej piersi nowego opiekuna. – No to chodźmy dalej – mruknął pod nosem Poldek i ruszył w stronę pól oświetlonych upiornie białym światłem księżyca.

\*\*\*

– Moja droga pani Mieciu, wygląda szanowna pani kwitnąco. – Konrad Werner poderwał się zza kawiarnianego stolika i szarmancko ucałował dłoń Ćwiklińskiej.

Sześćdziesięcioletnia aktorka, ubrana w fartuszek kelnerki, uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

– Nie schlebiaj mi, chłopcze, bom gotowa uwierzyć! – roześmiała się wdzięcznie.

– Szczerą prawdę mówię, jak Boga Kocham! Zachodzę do Café Bodo jedynie po to, żeby złożyć pani uszanowanie. – Konrad prawił komplementy, lecz mówił szczerze. Uwielbiał i podziwiał talent aktorki. Pani Miecia jako jedna z nielicznych gwiazd niemego kina doskonale odnalazła się w produkcjach dźwiękowych i choć z racji wieku grała głównie role drugoplanowe, jej kreacje zwykle przyćmiewały głównych bohaterów. Wdzięku tej wspaniałej damie też nie można było odmówić.

Jako jedna z pierwszych postanowiła zatrudnić się w kawiarni Eugeniusza Bodo, gdy okazało się, że Niemcy zamierzają zniszczyć polską kulturę, a znanych aktorów filmowych i teatralnych przeciągnąć na swoją stronę i wykorzystać dla celów propagandowych. Żaden szanujący się Polak nie miał zamiaru brać w tym udziału. Zatrudnienie się w kawiarni w roli kelnerki czy też szatniarza, jak zrobił to wybitny reżyser Juliusz Osterwa, było rodzajem manifestacji. Ani Ćwiklińska, ani on nie potrzebowali pieniędzy. Warszawiacy byli zachwyceni postawą swoich idoli i gdy tylko pozwalały im na to fundusze, przychodzili na szklanekę podłej kawy do Café Bodo.

– Żartowniś z pana, panie Konradzie! Ale dość o tym. Co zamawiacie? – Ćwiklińska spojrzała na towarzyszącą aktorowi Idę Wolińską, jak zwykle ćmiącą papierosa z długiej fifki.

– Będziemy wdzięczni za dwie kawy i dwa małe koniaczki – odparł Konrad i ponownie zgiął się w ukłonie. Być może Mieczysława Ćwiklińska kelnerowała w kawiarni, lecz nadal bił od niej majestat.

– Służę uprzejmie! – odparła z błyskiem w oku. Celowo wymodulowała głos, by zdanie wybrzmiało jak kwestia filmowa.

– Usiądź wreszcie i przestań szczyrzyć kły jak idiota – ofuknęła go Ida. – Wystarczy już popisów. Nie potrzebujemy świateł scenicznych lamp. Zwłaszcza że niejeden tu patrzy na nas złym okiem.

– Złym okiem? – powtórzył Konrad.

– Ja się prowadzam ze szkopskim majorem, a ty... – Ida umilkła i zaciągnęła się papierosem. – Pamiętasz Franka Robertsona?

Konrad spochmurniał. W kręgu niemieckich wojskowych był rozchwytywany. Umiejętności aktorskie miał niezgorsze, więc uchodził za duszę towarzystwa. Magia ekranu też przydawała mu atrakcyjności, zwłaszcza że przed wojną grywał w produkcjach niemieckich, więc niektórzy z okupantów kojarzyli go już wcześniej. Nie bez znaczenia było również to, że Konrad posługiwał się płynnie niemieckim. Ojciec i macocha stanowczo na to nalegali, ona zresztą najczęściej mówiła do pasierba i syna w ojczystej mowie.

Na jednym z rautów w kasynie Konradowi przedstawiono lejtnanta Franka Robertsona z Wehrmachtu. Postawny, niebieskooki blondyn w skrojonym na miarę mundurze oficerskim z zielono-srebrnymi patkami wyglądał jak ucieleśnienie snów Hitlera o aryjskiej rasie panów.

– Już wcześniej chciałem pana poznać, Herr Werner. – Oficer uściśnął na powitanie dłoń Konrada. – Zapewne to pana zdziwi, ale jestem wielbicielem kinematografii i ludzi kina.

– Miło mi poznać, Herr Robertson – odparł uprzejmie Konrad. – Wiele dobrego można powiedzieć o niemieckiej kinematografii. Ot choćby o... – zawahał się. Chciał skomplementować Marlenę Dietrich, niemiecką gwiazdę, która podbiła Hollywood, lecz w ostatniej chwili przypomniał sobie, że aktorka potępiła nazizm i zrzekła się niemieckiego obywatelstwa, odcinając się tym samym od zbrodni wojennych Hitlera. – ... Leni Riefenstahl.

– W istocie, utalentowana reżyserka – przyznał lejtnant. – Ulubienica naszego Führera. Wiedział pan, że odwiedziła Warszawę?

– Przyznam, że nie miałem o tym pojęcia.

– W październiku trzydziestego dziewiątego przyleciała wraz z Adolfem Hitlerem do Warszawy na paradę zwycięstwa. Niestety nie udało mi się jej nawet poznać, bowiem wizyta była bardzo krótka. Jeszcze tego samego dnia polecili dalej.

– Rzeczywiście, ogromna szkoda – przyznał grzecznie Konrad. Pomyślał, że sam chętnie znalazłby się w pobliżu Hitlera i jego propagandzistki, lecz po to, by obojgu skrócić karki.

– Pana nazwisko, Herr Robertson, zdaje się jest angielskie? – zapytał od niechcena.

– Szkockie. Mój dziadek ze strony ojca pochodził z tamtych stron – wyjaśnił oficer. Patrzył na aktora z zainteresowaniem, jakby taksował rozmówcę. – Jest pan spostrzegawczy i dociekliwy.

Konrad miał wrażenie, że w wypowiedzi Robertsona wybrzmiało ostrzeżenie. Natychmiast przybrał radosną minę salonowego wesołka i wzniosł w stronę rozmówcy kieliszek z szampanem.

– Pańskie zdrowie, Herr Robertson – powiedział uprzejmie. – Za miłe spotkanie.

– Za to z przyjemnością wypiję. – Oficer uniósł kieliszek do ust. Nie spuszczał przy tym wzroku z Konrada.

Od tamtego spotkania minęło kilka dni, więc list od Robertsona bardzo go zdziwił. Wręczyła mu go przy śniadaniu Mania, po czym poderwała się z krzesła i pobiegła do

pracy w pobliskim sklepie spożywczym. Konrad otworzył kopertę i ze zdumieniem przeczytał krótki liścik. Lejtnant podawał w nim swój adres i numer telefonu wraz z zaproszeniem do kawiarni.

– Niedoczekanie – mruknął i zgniótł kartkę.

Do sprawy już nie wracał, a Robertsonowi nie poświęcił nawet jednej myśli. Dlatego niepomnie się zdziwił, że Ida o nim wspomina.

– Pamiętam, lecz zupełnie nie rozumiem, skąd ty o nim wiesz i dlaczego właśnie teraz o nim mówisz.

– Ja nic więcej nie wiem – odparła. – Mam tylko przekazać, że powinieneś zacieśnić znajomość z tym człowiekiem najmocniej jak się da.

– Odrzuca mnie od niego – powiedział cicho.

– Od czego twój profesjonalizm, mój drogi? Talent aktorski z pewnością ci pomoże, skoro i mnie pomaga. – Ida skrzywiła się na wspomnienie lepkich łap niemieckiego majora.

– Przekaż temu swojemu Kapitanowi, że nie mam zamiaru niańczyć Robertsona. Ten facet to płotka. Idę, mam jeszcze jedno ważne spotkanie – powiedział i wstał. – Do zobaczenia.

Konrad wyszedł na ulicę Pierackiego. Zawsze przypominała mu pamiętny szaleńczy bieg w dół skarpy do domu Malinowskich i starego rzemieślnika, który obiecał dać Helenie alibi po zamachu na Chmielnej. Jak czas pokazał, właśnie to stało się początkiem wszystkich kłopotów dziewczyny.

Okłamał Idę, że idzie na spotkanie. Miał zamiar wrócić prosto do domu, lecz nagle zmienił zdanie. Poszedł w stronę Zgody, żeby zajrzeć do Heleny. Ulica Chmielna, już przed wojną okryta złą sławą ze względu na lupanary poukrywane w labiryntach podwórek, teraz wyglądała jeszcze mniej zachęcająco. Miejscami walał się gruz, wciąż jeszcze nieuprzątnięty po wrześnieowych nalotach, a w ocalałych bramach wystawały podejrzane typki. Gdzieś leżały jeszcze kupy brudnego śniegu, chodniki znaczyły kałuże. Zima wreszcie się poddawała. Konrad przyspieszył kroku i zaczął się zastanawiać, czy Warszawa zawsze była niebezpieczna, czy też on, obecnie pozbawiony swojego ukochanego samochodu, patrzy na miasto z innej perspektywy.

Na widok byłego antykwariatu ścisnęło mu się z żalu serce. Jak nigdzie odczuwał tu nieubłagany koniec pięknych, przedwojennych czasów. Zamiast stosów książek w witrynie wisały zakurzone filizanki, a nad wejściem zamiast szyldu z nazwiskiem pana Józefa widniała byle jak przykręcona tabliczka z napisem „Bar”. Tuż obok niej, zgodnie z zarządzeniem gubernatora, wisała gwiazda Dawida, informująca, że interes jest prowadzony przez Żyda.

Konrad pchnął drzwi i wszedł do środka. Przy jednym z trzech stolików siedziało dwoje ludzi pochylonych nad talerzami zupy. Za ladą stała jakaś dziewczyna, którą widział pierwszy raz w życiu. To mu uzmysłowiło, że dawno tu nie zaglądał i w gruncie rzeczy wie

o Helenie tylko tyle, ile przekazywała mu w zdawkowych rozmowach Mania. Ona, codziennie pracując od rana do popołudnia w sklepie, też nie miała wielu okazji do spotkań z kuzynką.

– Dzień dobry, czy zastałem Helenę? – zapytał grzecznie.

– Nie ma – odparła dziewczyna, nie przerywając wycierania blatu niezbyt czystą ścierką.

– A można wiedzieć, kiedy wróci?

– Nie wiem, zapyta pan szefową. – Dziewczyna wsadziła głowę na zaplecze i powiedziała cicho kilka słów.

Do sali weszła Sara Gutman i uśmiechnęła się. Konrad na śmierć zapomniał, że w dawnym antykwariacie rządzi teraz matka Michała. Na jej widok poczuł się nieswojo, lecz zachowywała się przyjaźnie. Zresztą z jej perspektywy nie istniał żaden powód, by miała się do niego odnosić wrogo. Chyba że dotarły do niej plotki o jego związkach z okupantem.

– Co za miła niespodzianka. Dawno się nie widzieliśmy – przywitała go Sara. – Helena ma nocny dyżur, więc dzisiaj już jej nie będzie. Może przekazać jakąś wiadomość?

– Dziękuję, ale nie trzeba. Może tylko tyle, że u Mani wszystko w porządku. Ale to Hela pewnie wie. Wpadłem bez konkretnego powodu, ot przywitać się, bo przechodziłem tuż obok.

– Dobrze, że Mania teraz w Mokotowie mieszka. Szlachetne to z pana strony, że ją do siebie przygarnął. Niech Aryjka się tu teraz nie kręci – powiedziała Sara.

– Żydzi, Aryjczycy. Świat zwariował z tymi podziałami. Jakby już nie liczyło się, że po prostu jesteśmy ludźmi. – Konrad odruchowo spojrział na opaskę na ramieniu Gutmanowej.

– Cóż zrobić – westchnęła.

– A pani nie na Kercelaku? – zmienił temat.

– Dogałdam interesu codziennie, spokojna głowa. Tu przychodzę na trochę, głównie wtedy, gdy Heleny nie ma. Dawno pan nie zaglądał na bazar – zauważyła.

– Muszę to koniecznie nadrobić – odparł wymijająco. Konrad doskonale wyczuwał ukrytą aluzję, lecz nie zamierzał się tłumaczyć, dlaczego nie wpada wraz z Michałem do baru matki.

– Serdecznie zapraszam – odparła.

– Dziękuję uprzejmie. A interesy dobrze idą?

– Tutaj nie bardzo – westchnęła. – Gdyby nie Helena... – Sara urwała w pół słowa. – Na Kercelaku prawie bez zmian. Nie wiem, co musiałoby się stać, żeby nasz bazar przestał istnieć – roześmiała się. – Jest tylko więcej kieszonkowców.

– Jeszcze więcej? – Konrad uniósł zabawnie brew. – Będę się zbierał, nie zajmuję więcej czasu. Proszę przekazać Helenie pozdrowienia. – Uchylił kapelusza i się pożegnał.

Do przystanku tramwajowego na Marszałkowskiej szedł zatopiony w niewesołych myślach. Spotkanie z matką Michała otworzyło bolesną ranę. Prawda była taka, że Konrad nie radził sobie z rozstaniem. Wielokrotnie wychodził z domu, zdecydowany zrezygnować

z konspiracji i biec pod szpital na Czystem błagać Michała o drugą szansę. Nigdy się na to nie odważył.

Tramwaj podjechał dość szybko, jak zwykle niemiłosiernie zatłoczony, lecz udało mu się dostać do środka. Stał z nosem niemal rozplaszczonym na szybie i mimowolnie obserwował umykające widoki. Zauważył dziwny pojazd sunący bokiem ulicy. Składał się z roweru i zamontowanego kosza z siedziskiem. Rowerzysta w kaszkiecie na głowie wprawiał machinerię w ruch, a z przodu siedział dziwnie znajomo wyglądający pasażer.

– Ignacy? – szepnął do siebie Konrad. Odwracał głowę jak tylko się dało, lecz pojazd już zniknął za budą ciężarówki dostawczej. Uznawszy, że coś musiało mu się przywidzieć, zatopił się w myślach o Michale.

Gdy tramwaj dojechał do Mokotowa, wysiadł z ulgą, choć przed jednym z końcowych przystanków tłok w pojeździe znacznie się przerzedził. Konrad przeszedł obok budynku Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i skierował się w stronę domu.

Drzwi otworzyła mu Mania z bardzo przejętą miną.

– Stało się coś? – zapytał.

– Kuzynie, masz gościa – ogłosiła.

Konrad natychmiast się zdenerwował. Mania nigdy go tak nie nazywała, wręcz obsesyjnie starała się zachowywać formę bezosobową, ponieważ krępowało ją mówienie do starszego od siebie mężczyzny na ty, a on zabronił jej mówienia per pan. Bajeczka o kuzynostwie została wymyślona wyłącznie dla wścibskich sąsiadów. Właśnie to obudziło w nim czujność i obawę, kogo może zastać we własnym domu. Oczami wyobraźni widział już zbirów z Gestapo, którzy przejrawszy jego podwójną grę, przyszedli go aresztować.

– Ubierz się i idź na spacer – polecił jej spokojnie, odwiesił płaszcz i kapelusz, po czym poszedł do salonu.

Niezapowiedziany gość wpatrywał się w okno balkonowe. Gdy usłyszał kroki, odwrócił się, a na Konrada spłynęła ulga, gdy zobaczył Kapitana.

– Proszę wybaczyć najście w domu, lecz przychodzę ze sprawą pilną i najwyższej wagi – oświadczył gość. – Usiądźmy. – Nie czekając na reakcję, zajął miejsce za stołem. Konradowi nie pozostało nic innego niż pójść w jego ślady. – Nie będę ukrywał, że bardzo mnie zasmuciła pańska odmowa współpracy przy inwigilacji Franka Robertsona. Czy mogę wiedzieć, jakie powody panem kierowały?

Konrad myślał gorączkowo. Nie przychodziło mu do głowy żadne logiczne wyjaśnienie. Dotarło do niego, że chyba nie doceniał związków Idy z Muszkieterami. Minęło zaledwie kilka godzin od ich spotkania, a ona już zdążyła powiadomić zwierzchnika o jego rezultatach. Wniosek nasuwał się sam: Ida była w bezpośrednim kontakcie z Kapitanem. Niewykluczone, że porozumiewali się telefonicznie. A to kazało przypuszczać, że sceniczna koleżanka tkwi w strukturach organizacji znacznie głębiej, niż sądził.

– Nic szczególnego mną nie kierowało – powiedział w końcu. – Jeśli miałbym zgadywać, to irracjonalna niechęć do tego człowieka jest wzmocniona przekonaniem, że



zwykły lejtnant nie jest wart zachodu.

– A co, jeśli powiedziałbym, że to nie jest zwykły lejtnant? – zapytał Kapitan. Choć należałoby raczej zrugać podwładnego za niesubordynację, uznał, że tłumaczeniem wskóra znacznie więcej. Werner nie był zwykłym pionkiem w organizacji, chociaż z racji tego, że obracał się wśród Niemców, dowództwo skąpiło mu ważnych wiadomości. W tym przypadku musiał poznać fakty.

– Cóż ma pan na myśli?

– Frank Robertson należy do niemieckiego wywiadu. Abwehra, mówi to coś panu? Dotarliśmy do informacji, że jest zaangażowany w tworzenie ośrodka wywiadowczego w Sulejówku. Ich działania są wymierzone w Sowietów, więc interesują nas podwójnie.

– W Sowietów? Czyżby sojusz Stalina z Hitlerem nie był aż tak silny, jak mówią? – zdziwił się Konrad.

– W mojej ocenie to chwilowy związek z rozsądku. Wracając jednak do naszego drogiego Franka, jest więcej niż prawdopodobne, że ma dostęp do bardzo interesującej nas wiedzy na temat szkoleń agentów. Sprawa z organizacją szkoły i ośrodka jest świeża, więc niewiele tak naprawdę wiemy.

– Dlaczego ja? – Konrad spojrzął twardo na zwierzchnika.

– Robertson z własnej inicjatywy nawiązał z panem kontakt. Wie pan dlaczego?

– Ot, przedstawiono nas sobie w kasynie, zamieniliśmy kilka słów. Nic nadzwyczajnego, nieprawdaż?

– Czy pamięta pan swój ostatni pobyt w Berlinie? – Kapitan odpowiedział pytaniem.

– Owszem, lecz to było przeszło sześć lat temu i zupełnie nie pojmuję, co ma do rzeczy. Kręciliśmy tam film. Zdjęcia trwały trzy tygodnie, a potem wróciliśmy do Warszawy.

– Dotarliśmy do informacji, że już wtedy Robertson usiłował się z panem skontaktować. Nie dopuszczono go wówczas do pana, jak zresztą wielu innych osób w trakcie pańskiej kariery. Cichych wielbicielek pewnie nikt nie zliczył, lecz mężczyznę jawnie adorującego drugiego, wybaczy pan szczerą, dość łatwo zapamiętać. I tak też było, a wiemy to od garderobianego, który się panem zajmował w Berlinie. – Kapitan spojrzął badawczo na rozmówcę.

– Nie musi pan już nic więcej mówić. Zrozumiałem tę szytą grubymi nićmi aluzję – odparł Konrad.

– Zatem rozumie pan, dlaczego osobiście wybrałem pana do misji... zaprzyjaźnienia się z lejtnantem Robertsonem?

– Aż za dobrze rozumiem. – Konrad zacisnął szczęki, żeby nie powiedzieć nic więcej.

– Zatem pożegnam się już. Od dzisiaj melduje pan wszystko bezpośrednio mnie.

– Jak mam się zatem kontaktować? Mieszkanie przy placu Zbawiciela?

– Nie, „Zbawienie” jest dość gorącym adresem. Nie należy nadużywać uprzejmości hrabiny. Proszę zapamiętać ten numer, a kartkę spalić. – Kapitan wręczył Konradowi zwitek papieru. – To jest kontakt do kuriera, który odbierze wiadomość w razie potrzeby.

Wystarczy zadzwonić i zamówić usługę prania dywanu. Proszę o potraktowanie sprawy z lejtnantem z najwyższą powagą. – Kapitan uścisnął dłoń Konrada i ruszył w stronę wyjścia.

– Ten Robertson...

– Tak? – Kapitan zatrzymał się.

– Powiedział, że jego dziadek pochodził ze Szkocji. Czy jest zatem możliwe, że ma coś wspólnego z wywiadem brytyjskim?

– Frank Robertson jest zagorzałym, by nie powiedzieć fanatycznym nazistą. Z całą pewnością nie ma tu żadnego romantycznego drugiego dna. Jest oddany Hitlerowi, a do tego niegłupi. Nie ma straszniejszego połączenia niż człowiek inteligentny całym sercem zaangażowany w sprawę, w którą wierzy. Niech pan nigdy o tym nie zapomina.

Konrad zamknął drzwi za gościem i westchnąwszy ciężko, poszedł do sypialni, będącej jednocześnie domowym gabinetem. Z kosza obok biurka, na szczęście jeszcze nieopróżnionego, wyciągnął zgnieciony w kulkę list od Robertsona. Rozprostował go i odnalazł adres.

– Mam cię, sukinsynu – mruknął pod nosem. – A teraz się zabawimy.

Konrad był przerażony. Nie chodziło nawet o to, że obawiał się o swoje życie, lecz o własne reakcje. Wiedział, dlaczego od pierwszej chwili, gdy poznał Robertsona, myślał o nim z niechęcią. Lejtnant pociągał go fizycznie, a to sprawiało, że Konrad czuł do samego siebie pogardę.

\*\*\*

## Współcześnie

Za oknami archiwum zapadał zmierzch, lecz Julia i Filip siedzieli nieporuszeni nad dziennikiem Krystyny. Był obszerny, pisany schludnym, dziewczęcym pismem, lecz bardzo drobnym. Szło więc wolno, zwłaszcza że właściwie każdy wpis był zaproszeniem do internetowego śledztwa w poszukiwaniu dalszych wiadomości. Filip doskonale orientował się w historii dwudziestego wieku, lecz nawet jego zawartość dziennika prababci parę razy zaskoczyła.

– Im więcej czytam o tych Muszkieterach, tym bardziej tajemniczo się robi – powiedziała Julia. – Wiedziałaś, że sama Mieczysława Ćwiklińska wiele lat po wojnie powiedziała, że przeżyła tylko dlatego, że nigdy nikomu nie wyjawiała swoich związków z Muszkieterami? Ciekawe, czy ten Konrad Werner wiedział, że byli w jednej organizacji?

– Tego oczywiście nigdy się nie dowiemy, ale Werner był prawdopodobnie szeregowym współpracownikiem, podczas gdy Ćwiklińska przyjaźniła się z Kapitanem, czyli Stefanem Witkiewiczem, założycielem i szefem Muszkieterów. Na tej podstawie przypuszczałbym,

że Ćwiklińska mogła wiedzieć o Wernerze, ale Werner pewnie nawet się nie domyślał, jak wiele dla organizacji znaczyła jego starsza sceniczna koleżanka.

– Zwykle ludzie i tak się znają, jeśli przynależą do jednej grupy – zauważyła Julia.

– Nie w tym wypadku. Tak jak mówiłem, Kapitan był świetnym konspiratorem, więc zorganizował Muszkieterów w system piątek, żeby zminimalizować ryzyko, że któryś ze złapanych przez Gestapo nieszczęśników wsypie pozostałych podczas tortur.

– System piątek?

– Każda pięcioosobowa grupa miała swojego przywódcę i tylko on znał ich nazwiska. Jednocześnie tylko on kontaktował się z wyższymi dowódcami i miał do nich dostęp – wyjaśnił.

– No dobrze, wracamy do czytania, bo pewnie zaraz nas stąd wypędzą, a przeczytaliśmy mniej niż jedną trzecią dziennika – powiedziała Julia.

*12 marca 1940*

*Zaczynam mieć nieśmiałą nadzieję, że w końcu przyjdzie wiosna. Na wspomnienie tej strasznej zimy mam aż dreszcze na plecach. Jakby nas mało Bóg Niemcami pokarał. Za mniej niż dwa tygodnie będzie Wielkanoc, ale i na te święta nikt nie ma nastroju. Oczywiście oprócz matki. Gdyby mogła, to leżałaby całymi dniami krzyżem w kościele i nawet nie wracała do domu.*

*Z Ignacym nie widziałam się od dnia, gdy zaprowadził mnie na tajne spotkanie harcerek. Nie powinnam tego pewnie pisać, ale jestem teraz w Szarych Szeregach. Tak nazywa się konspiracyjne harcerstwo pod okupacją. Na początku czułam złość do Ignacego, że zakpił ze mnie, lecz teraz rozumiem, jak naiwna byłam, sądząc, że dadzą mi karabin albo jakieś bardzo ważne zadanie i ramię w ramię z Ignacym pójdę walczyć o odzyskanie niepodległości. Teraz już wiem, że ta walka będzie długa, a każdy z nas jest tylko małym trybikiem, który osobno nie znaczy nic, lecz wprzęgnięty w wielki mechanizm kiedyś poruszy posady tego miasta. Ciężko tylko na to cierpliwie czekać, zwłaszcza że na każdym kroku wszystko przypomina o niemieckim zwyrodnialstwie.*

*Niedaleko Targowej widziałam dzisiaj ekshumacje grobów z września zeszłego roku. Ledwie ziemia zaczęła rozmarzać, grupy robotników wzięły się do rozkopywania kopców na trawnikach i wyjmowania stamtąd ciał poległych. Straszny to widok, lecz nie potrafiłam oderwać oczu, gdy robotnicy zakładali na nogi trupa pętlę ze sznura i wyciągali oblepione gliną zwłoki. I tak trup za trupem. Mężczyznom przeglądano kieszenie w poszukiwaniu dokumentów, kobietom rozcinano z przodu sukienki. Nie wiem, po co to robili, ale przypomniałam sobie, że przecież wtedy trwało ciepłe lato, a one, te kobiety, usnęły na zawsze w swoich letnich fatałaszkiach na środku chodników. Dokąd szły? O czym pomyślały, zanim dosięgła je bomba albo seria karabinu z niemieckiego myśliwca? Na te pytania już nikt nigdy nie odpowie.*

– Filipie, nie wiem, jak ty, ale ja mam na dzisiaj serdecznie dość – powiedziała Julia, odsuwając dziennik.

– Masz rację, chodźmy się przejść, dobrze nam to zrobi. Zapraszam cię na lody, co ty na to?

– Bardzo chętnie przyjmę trochę cukru na poprawę humoru – odparła z bladym uśmiechem.

– Byłbym zapomniał! Dziadek Bolesław, usłyszawszy twoją opowieść, jest wielce tobą zaintrygowany. Kazał mi błagać cię, dopóki się nie zgodzisz, żebyś dała się zaprosić na obiad w następną niedzielę. U nas, na Ząbkowskiej. To jak? Masz ochotę wpaść? – zapytał Filip.

– Z przyjemnością! Bardzo chętnie poznam twojego dziadka. Dziękuję!

– Zatem jesteśmy umówieni.

## ROZDZIAŁ 10

1940

Dorożka toczyła się niespiesznie przez most Kierbedzia. W powietrzu pachniało już wiosną, a w miejscach, w których jakimś cudem przetrwały miejskie klomby, pojawiły się żółte główki żonkili.

– Krysiu, popraw warkocze, zaraz ci się zsunie kokarda. Do ludzi idziesz! – Teresa Melner przechyliła głowę i wpatrywała się w córkę, jakby lustrując, do czego jeszcze można się przyczepić.

– Daj dziewczynie spokój, lepiej się zastanów, jak się szybko wymówić z tego całego świątecznego obiadu – ofuknął ją January. – Miałem lepsze zdanie o Apoloniuszu.

– Cóż tobie znów nie pasuje? – zdziwiła się Teresa.

– A nie pasuje mi, żeby w święto katolickie z Żydem przy stole siedzieć. To mi nie pasuje! Przed wojną mi nie pasowało, a teraz tym bardziej! – odparł Melner.

– O czym ojciec opowiada, nie wiesz, Krysiu? – W głosie Teresy słychać było jawną kpinę.

Krystyna nie znosiła, gdy któreś z rodziców próbowało ją wciągać w kłótnie i zmuszać, by stanęła po jego stronie. Poza tym miała głęboko w nosie obiad u Malinowskich, a także samych Malinowskich i ich gości. Najchętniej wcale by nie szła na przyjęcie. Tym bardziej że okoliczności niespecjalnie sprzyjały świętowaniu. Ale Apoloniusz Malinowski zawsze lubił się pokazać. Nawet jeśli miał wydać krocie na żywność dostępną wyłącznie na czarnym rynku.

– Ojciec mówi zapewne o majstrze Blumanie, najbliższym współpracownikowi pana Malinowskiego – odparła i niegrzecznie wzruszyła ramionami, lecz jej matka nawet nie zwróciła na to uwagi.

– Otóż to – wtrącił się January. – Ryzykować w dzisiejszych czasach siedzenie z Żydem przy jednym stole? Po co? To nawet nie ich święto.

– Mają i oni swoją Wielkanoc. Książd mówił – powiedziała Teresa.

– No to niech po swojemu świętują! A nie do naszych domów się wpychają – skwitował January.

– Kiedy pan Bluman jest samotnym człowiekiem. Nie ma nikogo bliskiego. Zresztą to bardzo miły człowiek. I nie wygląda jak Żyd. Choć mnie osobiście nie przeszkadza, jeśli ktoś wygląda – odparła z ironią Krysia. – Poza tym, kiedy zmusili Polaków, żeby zwolnili

z pracy Żydów, pan Malinowski wpadł podobno we wściekłość i zaczął trzymać majstra jeszcze bliżej. Na złość Niemcom. Zwłaszcza teraz, po tych zamieszkach. Rozbijali Żydom szyby, bili na ulicach.

– Wszyscy wiedzą, że to niemiecka prowokacja – odparł Melner.

– Może i niemiecka, ojciec, ale Polacy niespecjalnie się tym przejęli.

– Nic nam do tego, mężu, kogo Apoloniusz do siebie zaprasza. Jego dom, jego decyzje – dodała Teresa.

– Ale podobać mi się to nie musi – odburknął. – Dlatego zabierzemy się stamtąd najszybciej jak się da, więc zawczasu wymyśl dobrą wymówkę. Zupełnie nie wiem, jak łączysz tę pobłażliwość dla Żydów z chęcią bycia folksdojczką, Tereso – zadrwił.

– A co ma piernik do wiatraka? Co mnie Żydzi obchodzą? A do Niemców chciałam, żebyś się zapisał, ze względów praktycznych.

– Ech, ty durna babo – skwitował January i machnął ręką.

Przed kamienicę na Solcu dojechali skłócen i w złych humorach. Krysia żałowała, że zawczasu nie wymigała się od wizyty, symulując przeziębienie, lecz było już za późno. Ojciec wziął pod pachę paczkę z pętem kiełbasy i butelką samogonu, a Teresa poprawiła na głowie kapelusz i podażyła za mężem.

W mieszkaniu Malinowskich na pierwszym piętrze okazało się, że cała kłótnia była bezpodstawna. W salonie, do którego osobiście wprowadził ich pan domu, czekał już młody syn Malinowskich z żoną i Paulina, lecz żydowskiego majstra nie było. Na podłodze bawiły się dzieci pod czujnym okiem Basi. W pokoju czuło się zapach świeżo pastowanych podłóg i pieczonego mięsa.

– Witaj, Mario – przywitała się Teresa, gdy od strony kuchni nadciągnęła szwagierka Malinowskiego. – Cóż za cudowne zapachy! A jak stół pięknie nakryty – skomplementowała. – Zupełnie jakby wojny nie było.

– Robię, co mogę, kochana Tereso – westchnęła ciotka.

– Czy jeszcze na kogoś czekamy? – January zwrócił się do Apoloniusza.

– Ach nie, już jesteśmy wszyscy.

– Dobrze wiedzieć, dobrze wiedzieć – odparł Melner i zerknął na żonę, która obrzuciła go złym spojrzeniem.

– Miał być jeszcze mój majster, ale chory, więc nie przyjdzie – wyjaśnił Malinowski.

– Wielka szkoda – powiedział obłudnie January, a Krysia nie była w stanie powstrzymać się od przewrócenia oczami.

– Prawda jest taka, że pan Mosze się wymówił, żeby nie robić kłopotu, a poza tym się bał. W tych dniach można za sam fakt noszenia żydowskiej opaski dostać w mordę na ulicy – szepnęła Basia wprost do ucha Krysi.

– Wcale mu się nie dziwię – mruknęła dziewczyna.

Krysia polubiła żonę Janka bardziej, niż była skłonna to przyznać. Imponował jej olimpijski spokój, z jakim tamta znosiła wieczne szykany ze strony Marii i nadętego

Malinowskiego. Krzepiące było również to, jak Polduś przylgnął do Basi, a ona, jak się zdawało, traktowała dziecko na równi z własną córeczką.

Odruchowo spojrzała na siostrę. Kiedyś miała nadzieję, że Paulina zaczyna odzyskiwać równowagę psychiczną, lecz okazała się ona złudna. Siostra nadal trwała w milczeniu i apatii. Jakby jej mózg był otoczony gęstą mgłą.

– Siadajcie do stołu, moi mili – zaprosiła Maria. W jej głosie brzmiała duma.

Krysia musiała oddać sprawiedliwość gospodyni. Czego na tym stole nie było! Aż wierzyć się nie chciało, że udało się to wszystko zdobyć. Gotowana szynka, jaja w prawdziwym majonezie, a nawet biały chleb. Jak ciotka Maria zdobyła mąkę pszenną, pozostawało zagadką, zwłaszcza że jej produkcja podobno została wstrzymana zaraz po rozpoczęciu okupacji. Na stole nie zabrakło rzeżuchy, baranka z prawdziwego masła, a podkuchenna właśnie dostawiła półmisek z kiełbasą przyniesioną przez Januarego. Na środku stołu stał wazon z ledwie pączkującymi witkami wierzbowymi.

– Strasznie drogie bazie w tym roku. – Teresa spojrzała na dekorację. – U nas na Pradze chcieli po trzydzieści groszy za mały bukietek.

– W Śródmieściu po pięćdziesiąt – odparła Maria. – Ale przecież nie wydam tyle na byle gałązki! Wysłałam Gienię nad Wisłę, żeby nacięła.

Krysia oczami wyobraźni ujrzała podkuchenną brodzącą w nadrzecznym błocie, żeby jej pracodawczyni mogła zaoszczędzić kilkanaście groszy. Nigdy nie potrafiła zrozumieć kobiet takich jak Maria czy jej własna matka, które w kościele leżały krzyżem, na tacę chętnie rzucały pieniądze, lecz służące traktowały gorzej niż bezańskiego psa.

– Słyszałeś, January, jak szkopy się odgrażają, że mają się za Danię wziąć? Oj rozzuchwalił się ten Hitler! – zagał Malinowski.

– Apoloniuszu, święta są, nie wypada... – wtrąciła się Maria. – Poza tym ściany mają uszy.

– Jak mają uszy, to niech pilnie nastawiają, bo ja milczeć nie zamierzam!

– A jak miał się nie rozzuchwalić? – Melner zignorował narzekania Marii. – Od samego początku wojny gra naszym pozał się Boże sojusznikom na nosie. Wystarczy zobaczyć, co dzieje się na froncie zachodnim.

– A co się dzieje? Nic! Żabojady i Anglicy siedzą w swoich okopach, a szkopy w swoich. I przecież od początku wojny nawet jeden strzał tam nie padł. Odważni tacy! – zawtórował mu Apoloniusz.

– Kto wie, może na święta z okopów wyleźli i sobie nawzajem życzenia składają – zarechotał January. – A najgorsze, że bezpowrotnie stracili szansę skutecznego ataku na Rzeszę w czasie, gdy Hitler był zajęty Polską. Zobaczysz, jeszcze Francuzi gorzko pożałują tego tchórzostwa.

– Skoro o życzeniach mowa, to powinniśmy teraz podzielić się jajkiem. – Ciotka Maria stanowczo ucięła polityczne dysputy.

Wstała zza stołu, wzięła w dłoń talerzyk z cząstkami jajek i kawałkami chleba ze święconki. Podeszła do Apoloniusza, by podać mu święcone jako pierwszemu, lecz w tej samej chwili ktoś głośno załomotał w drzwi.

– A któż to może być? – Maria odstawiła drżącą dłonią talerzyk na stół. – Boże święty, żeby nie Gestapo.

– A czego by od nas chcieli? Nic złego nie zrobiliśmy. Nie gadaj bzdur, kobieto – ofuknął ją Malinowski.

– Jak to nic? Przecież to wszystko z czarnego rynku! – ciotka wskazała ręką półmiski.

– Pewno Bluman się jednak namyślił i postanowił do nas dołączyć – uspokoił ją Apoloniusz.

Na wzmiankę o majstrze January posłał żonie kwaśną minę.

– Synu, idź otwórz! Zanim ciotka tu ze strachu nam zemdleje – zarechotał Malinowski.

Janek posłusznie wstał i poszedł do przedpokoju. Reszta zgromadzonych w salonie osób umilkła. Wszyscy z niepokojem nasłuchiwali odgłosów.

– Boże! To niemożliwe! – dobiegł od strony drzwi krzyk Janka. W jego głosie było coś bardzo dziwnego, więc stary Malinowski natychmiast poderwał się z krzesła i z szybkością, o jaką trudno go było nawet podejrzewać, pobiegł do syna.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, na kogo patrzy, lecz po chwili ugięły się pod nim z wrażenia nogi. Zakołatało mu serce, więc odruchowo przycisnął dłoń do piersi.

– Poldek! Ty żyjesz! – powiedział zdrtwiałymi ze wzruszenia wargami.

– Witaj, ojcze. – Zmęczony, wychudzony chłopak uśmiechnął się blado. Stał w nędznym podartym kożuchu, zza którego poły wystawała głowa niedużego kociaka.

\*\*\*

Kwiecień wreszcie przyniósł wiosenną pogodę. Warszawa plotkowała o napaści Niemców na Danię i neutralną Norwegię, ale też z zaciekawieniem obserwowała budowę murów w różnych punktach miasta. Mówiło się, że Niemcy rozkazali ich wzniesienie w celu powstrzymania szerzącej się epidemii tyfusu. Helena, na co dzień pracująca w szpitalu, gdzie ogniska choroby powstawały co chwilę, doskonale wiedziała, że Niemcy panicznie boją się tej choroby, lecz uważała, że to tylko pretekst.

Szła w stronę Nalewek i bezwiednie się uśmiechała. Nic nie mogłoby dzisiaj zakłócić jej radosnego nastroju. Błękit nieba i coraz cieplejsze promienie słońca dawały nadzieję na udaną niedzielę, zresztą nawet gorsza pogoda nie powstrzymałaby Heli od cotygodniowych spotkań z Basią i dziećmi. Nie mogła się doczekać także dlatego, że przez Święta Wielkanocne nie udało się im umówić w poprzednią niedzielę. Ulicą przejechała riksza prowadzona przez Żyda. W koszu siedziała kobieta w eleganckim granatowym płaszczu i pasującym do niego kapeluszu. Opaskę z gwiazdą Dawida miała zsuniętą prawie do nadgarstka, więc Helena nie od razu ją zauważyła.



Sama robiła tak samo. Opuszczała opaskę, żeby aż tak nie rzucała się w oczy. Wcale nie chodziło o to, że wstydziła się swojego pochodzenia, po prostu oszczędzało to mnóstwa kłopotów i ograniczało liczbę gapiów. Wielu Żydów postępowało podobnie, a opaski podciągano pospiesznie, gdy na horyzoncie pojawiał się jakiś Niemiec. W tę okolicę zresztą niewielu ich się zapuszczało. Skutecznie odstraszały ich ostrzeżenia przed tyfusem.

Helena ujrzała w połowie ulicy otwarty szlaban z polskim i niemieckim napisem: „Obszar zagrożony tyfusem. Dozwolony tylko przejazd”. Rikszarz, nic sobie z tego nie robiąc, minął Helenę i pojechał dalej. Rzuciła tylko okiem na wysoki drewniany płot częściowo zamykający wlot ulicy i skręciła w prawo, do parku Krasińskich. To właśnie tutaj umawiała się z Basią po nieprzyjemnej konfrontacji z dozorcą Ogrodu Saskiego. Park Krasińskich był jeszcze przed wojną odwiedzany tłumnie przez Żydów w chałatach, stając się tym samym miejscem spotkań tej społeczności.

Wokół bramy ozdobionej czterema masywnymi kolumnami kręciło się kilku lajkarzy, lecz balonikarz, stojący tu w każdą niedzielę przed wojną, gdzieś zniknął. Hela poszła główną aleją parku w stronę pałacu i głównego klombu. To tam zwykle spotykała się z Basią i Jankiem, a później spacerowali niespiesznie mniej uczęszczanymi ścieżkami. Teraz też zobaczyła przyjaciółkę po drugiej stronie klombu i pomachała do niej energicznie.

– A gdzie Janek? – zapytała, gdy już uściskały się na powitanie, a Helena ucałowała delikatnie czoło śpiącego Poldusia.

– Dzisiaj jestem bez Janka – odparła enigmatycznie Basia.

– Sama ciągnęłaś dwa wózki przez pół miasta? Siłaczka z ciebie! – zażartowała Helena.

– Basiu, stało się coś? – zapytała, widząc, że przyjaciółka zerka nerwowo w prawo i raz za razem oblizuje usta.

– Tylko się nie denerwuj, nie mdlej ani nic z tych rzeczy, dobrze?

– Mówże, o co chodzi, bo teraz mnie zdenerwowałaś i gotowam właśnie zemdleć – odparła Helena.

– Poldek wrócił do domu. Znalazł się! – wypaliła Basia. – Wiem, jak to niedorzecznie brzmi, ale to prawda!

– Wiedziałam. Czułam, że żyje. Nie mógł tak po prostu umrzeć. Moje serce wiedziałoby o tym. Jest zdrow? Nic mu nie dolega? Gdzie się podziewał tyle czasu? – Helena zarzuciła przyjaciółkę pytaniami i patrzyła na nią z oszołomieniem.

– Jest zdrow. A resztę chętnie opowie ci sam. Jeśli zgadzasz się, żeby do ciebie podszedł.

– On tu jest? – Helena zaczęła rozglądać się na wszystkie strony.

– Jest. A więc zgadzasz się? – zapytała Basia.

– Tak!

Basia spojrzała ponad ramieniem przyjaciółki i nieznacznie skinęła głową. Helena natychmiast odwróciła się w tym kierunku. Jej serce zaczęło łomotać z całych sił. Kilkadziesiąt kroków dalej stał Poldek. Ubrany w szary płaszcz, wydawał się znacznie

szczuplejszy niż przed wojną, twarz miał wymizerowaną. Mimo to jego usta rozciągnęły się w uśmiechu i nie mogąc się powstrzymać, podbiegł do Heleny. A ona, choć targały nią różne rozterki, po prostu wyciągnęła do niego ręce i pozwoliła się wziąć w ramiona.

– Heleno! – powiedział zachrypniętym z emocji głosem.

– Och, po prostu mnie przytul i nic nie mów – odparła.

Objął ją ciasno ramieniem, prawą dłoń położył na jej rozwianych włosach i przycisnął głowę Heli do piersi.

Helena poczuła, że świat zawirował, zniknęli wszyscy ludzie, całe zło i koszmar wojny. Istnieli tylko oni.

\*\*\*

Konradowi nie przychodził do głowy żaden wyimaginowany świat, w który chciałby uciec. Próbował przypomnieć sobie fabuły komedii, w jakich odgrywał główne role. Usiłował poczuć radość beztroskich dni na planie w Zakopanem albo w Gdyni, lecz wysiłki spełzały na niczym. Wciąż tkwił w sypialni Franka Robertsona i popijał wino z kryształowego kieliszka. Już tylko to było absurdem. Wokół ludzie przymierali głodem, podczas gdy on ot tak siedział w pachnącej lawendą pościeli i spoglądał przez okno na Łazienki Królewskie.

Widział je pierwszy raz od wybuchu wojny. Ukochany park warszawiaków od momentu włączenia go do dzielnicy niemieckiej nie był już dostępny dla mieszkańców miasta. Wspomnienie wspólnych z Michałem spacerów wokół stawu i pałacu Na Wyspie wprawiło go we wściekłość. Zamiast koncentrować się na niebezpiecznym zadaniu, snuł mrzonki, zatracił się w przeszłości, która nigdy nie wróci. Im bardziej próbował się odciąć od Michała, tym częściej wracał do niego obraz wspólnych dni.

Konrad rozejrzał się bacznie po sypialni. Urządzona gustownie barokowymi meblami powinna raczej należeć do jakiegoś majora albo generała, a nie zwykłego lejtnanta. Kapitan miał rację, Frank Robertson nie był osobą, za którą się podawał. Już sam fakt, że dostał przydział na osobne, dwupokojowe mieszkanie w najbardziej prestiżowej części dzielnicy niemieckiej, tuż przy Alejach Ujazdowskich, kazał się zastanawiać, jakimi względami darzyli go przełożeni.

Z drugiej strony, jeśli faktycznie był cennym pracownikiem Abwehry, nie obnosiłby się tak ze swoim statusem. Chyba że arogancja okupantów była tak dalece posunięta, że nie widzieli potrzeby starannego maskowania swoich działań wywiadowczych przed mieszkańcami Warszawy. Poza tym Polacy nie mieli wstępu do niemieckiej dzielnicy.

– Zaraz wróczę, wezmę tylko szybki prysznic! – Z łazienki dobiegł głos Robertsona.

– Nie spiesz się, poczekam! – odparł Konrad, nie spuszczać oczu z przysadzistego biurka z licznymi szufladami.

Marzył o tym, żeby dobrać się do jego zawartości, lecz wiedział, że należy działać rozważnie. Jeśli Frank rzeczywiście był takim asem wywiadu, z pewnością nie pozostawiał niczego przypadkowi. Z łazienki dobiegł szum wody. W pierwszym odruchu Konrad chciał się poderwać z łóżka i przejrzeć zawartość chociaż jednej szuflady, lecz się zawahał. Położył się wygodnie z rękoma pod głową. Wyglądało to tak, jakby rozmyślał o czymś ze wzrokiem wbitym w sufit, lecz oczy miał utkwione w drzwiach łazienki. Prawie uśmiechnął się triumfalnie, gdy na tle mlecznej szybki ujrzał cień głowy. Klamka poruszyła się cicho, a drzwi uchyliły bezszelestnie. Szum wody stał się głośniejszy.

– Zapomniałem o ręczniku – oświadczył Robertson, wchodząc do sypialni.

– Och, trzeba było powiedzieć. Z chęcią bym podał – odparł pogodnie Konrad.

– Następnym razem będę pamiętał. – Frank spojrzał na kochanka, a w jego oczach malował się zachwyt.

Gdy drzwi zamknęły się ponownie, Konrad odetchnął z ulgą. Niewiele brakowało, a dałby się złapać w prymitywną pułapkę jak pierwszy lepszy amator. Wiedział, że zainteresowanie lejtnanta jest prawdziwe, lecz to nie musiało przecież znaczyć, że gdy się znudzi romansem, da mu spokój. Dlatego nawet na chwilę nie wolno było tracić czujności. Konrad był świetnym aktorem, obserwował też wielu równie dobrych kolegów po fachu i dobrze pamiętał, jak przekonująco umieli odgrywać swoje role. Frank Robertson mógł władać podobnymi umiejętnościami, a jego żywe zainteresowanie kinematografią kazało Konradowi przypuszczać, że być może niegdyś marzył o karierze scenicznej, a teraz wykorzystuje talent w zupełnie innej grze. Takiej, której stawką jest prawdziwe życie, nie tylko aktorska gaża.

Konrad usiadł i przez chwilę gorączkowo myślał. Podjąwszy decyzję, powędrował do łazienki. Otworzył drzwi. W zaparowanym pomieszczeniu ledwie dostrzegł zarys wanny i zasłony prysznicowej. Nie była całkowicie zasunięta, więc widział umięśnione ciało Robertsona, po którym płynęły potoki wody. Konrad zatrzymał się niezdecydowany.

– Chcesz dołączyć? – zapytał Frank, nie odwracając się.

– Chętnie – odparł Konrad. Dobrze wiedział, po co wszedł do łazienki, lecz i tak poczuł dreszcz emocji. Odgrywanie zakochanego wychodziło mu świetnie, głównie z tej przyczyny, że Robertson pociągał go fizycznie. To wiele ułatwiało.

Nieco później Konrad zaczął zbierać się do wyjścia. Założył marynarkę i przysiadł na fotelu w salonie, by wzuć buty. Leżały na dywanie od poprzedniego wieczoru, gdy Frank odstawił szklanekę z drinkiem na stół i zaczął całować kochanka, rozpinając mu jednocześnie koszulę.

– Będę się zbierał. Dziękuję za miły wieczór – powiedział, wstając.

– Wieczór i poranek. – Robertson się roześmiał. – Musisz iść?

– Prosisz, żebym tu zamieszkał? – zażartował Konrad.

– Dopiero by ludzie zaczęli plotkować.

Konradowi nie umknęło, że Frank od razu spoważniał. Oczywiście wszyscy mężczyźni z ich kręgu dbali o dyskrecję, inaczej się nie dało, lecz odniósł wrażenie, że w oczach kochanka zobaczył strach.

– Tutaj czuję się swobodnie, lecz między ludźmi bardzo dbam o zachowanie pozorów – odparł, dobrze maskując triumf z odkrycia, że nawet Frank Robertson, fanatyczny nazista, czegoś się boi.

– Może pójdziemy na kolację? Do Adrii? – zaproponował porucznik.

– Wejście tylko dla Niemców – odparł lakonicznie Konrad.

– Przecież jesteś Niemcem. – Frank posłał mu twarde spojrzenie.

– Jestem, oczywiście, jednakże formalnie...

– Czas zmienić papiery. Ojczyzna potrzebuje takich synów jak ty. Ten powrót na jej łono jest konieczny.

– Tak, pewnie masz rację. Po prostu nigdy nie przywiązywałem wagi do papierów. Wiesz, wariactwa bohemy – roześmiał się, próbując rozładować atmosferę.

– Mimo wszystko nie powinienes zaniedbywać wpisania się na volkslistę – odparł Frank z przyganą.

– Naturalnie, nie powinienem – zgodził się dla świętego spokoju.

– Zatem co z tą kolacją? – powoził Frank i uśmiechnął się czarująco. – Możemy się umówić na ósmą wieczorem?

– Zjawię się z największą przyjemnością – odparł Konrad.

– Mój kierowca cię odwiezie. W innym przypadku będziesz gęsto się tłumaczyć strażnikom przy szlabanie.

Konrad nie protestował. Doskonale wiedział, że Robertson ma rację. Dzielnica niemiecka była dobrze strzeżona. Mimo to nie pozwolił się odwieźć do samego domu. Poleciał kierowcy, by ten zatrzymał się na rogu Puławskiej i Rakowieckiej. Wsiadł z samochodu i przeszedł przez tory tramwajowe. Ruszył w stronę domu pogrążony w myślach. Dotarło do niego, że nerwy ma napięte do granic wytrzymałości. Przez cały czas, jaki spędził z Frankiem, podświadomie czekał na chwilę, gdy ten wyceluje w niego broń i powie, że od początku wiedział, że Konrad pracuje dla Muszkieterów. Teraz, gdy wreszcie mógł odetchnąć z ulgą, do głosu zaczęły dochodzić inne uczucia. Przede wszystkim wstyd i zażenowanie. Konrad nie pierwszy raz uwikłał się w romans, lecz jeszcze nigdy nie wykorzystał swojego ciała dla osiągnięcia celu. A to sprawiało, że czuł się brudny. I nawet poczucie dobrze wykonanego rozkazu w żaden sposób nie mogło zmyć wyrzutów sumienia.

Dopiero dwie przecznice dalej poczuł się bezpiecznie. Już w domu, ledwie odwiesił płaszcz, od razu pobiegł do łazienki. Choć wziął z Frankiem wspólny prysznic, poczuł, że musi natychmiast zmyć z siebie dotyk jego rąk.

Konrad kompletnie nie miał ochoty na wieczorne spotkanie, lecz nawet nie brał pod uwagę możliwości, żeby się od niego wykręcić. Skoro zabrnął tak daleko, już nie było

odwrotu. Do Adrii pojechał riksą. Wsiadł wcześniej, przy Marszałkowskiej, żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi dość egzotycznym środkiem transportu. Z Robertsonem umówił się na rogu ulicy.

Już z daleka go zobaczył i pomachał. Ubrany w zapięty na ostatni guzik mundur Niemiec zdawał się nie zauważać, że umykający przed godziną policyjną przechodnie omijają go możliwie szerokim łukiem z oczami wbitymi w chodnik.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniłem – zapytał z niepokojem Konrad, gdy podszedł do Robertsona i przywitał się z nim krótkim uściskiem dłoni.

– Skądże, to ja mam niepraktyczny zwyczaj przychodzenia przed czasem – odparł Frank.  
– Idziemy? Przyznam, że jestem głodny jak wilk, a w Adrii karmią wcale nieźle jak na wojenne warunki. Nie jest to piwiarnia w Berlinie, kiełbasek z kapustą też nie podają, ale da się wytrzymać.

– Rzeczywiście, w Berlinie można dobrze zjeść – przytaknął Konrad. Dla siebie zostawił przemyślenie, że porównywanie zwyczajnych knajpek z piwem do wykwintnej Adrii świadczy o kompletnej arogancji niemieckiej i bucie każącej stawiać to, co niemieckie, na pierwszym miejscu, choćby nawet było to całkowicie absurdalne.

Ruszyli wolno chodnikiem, gawędząc, gdy z naprzeciwka nadszedł ciemnowłosa mężczyzna z głęboko nasadzonym na głowę kapeluszem i żydowską opaską na przedramieniu. Konradowi aż zabrakło tchu, gdy rozpoznał Michała. Bezwiednie przystanął. On także go zobaczył. Obrzucił krótkim spojrzeniem Robertsona w niemieckim mundurze i ponownie wbił wzrok w ziemię.

– Kłaniam się – powiedział Michał, a w jego głosie zabrzmiała kpina. Schylił się w parodii dworskiego ukłonu, po czym odszedł pospiesznie.

– Dobry wieczór – wyjąkał Konrad, lecz Michał już ich wyminął.

– Znasz tego Żyda? – zdziwił się Frank. – Kto to?

– Nikt. To był nikt – odparł drętwo Konrad.

– Też tak uważam. Dlatego trzeba ich tępić jak robactwo. Miażdżyć niemieckim butem. – Robertson rzucił niedopałek na chodnik i sugestywnie go rozgniół. – Ale już niedługo – dodał złowieszczco. – Już niedługo.

– Co masz na myśli? – zapytał Konrad, próbując odzyskać równowagę psychiczną.

– Zobaczysz – odparł. – Cierpliwości.

\*\*\*

Mieszcząca niegdyś aptekę, na wpół zburzona kamienica czynszowa na rogu Chmielnej może nie była zbyt malowniczą scenerią, lecz rekompensowała to wspaniałą lokalizacją. Ignacy wślizgnął się na tyły budynku, usiadł na stercie pomarańczowych cegieł i cierpliwie czekał. Wiedział doskonale, że czas spotkania zawsze wyznaczano nieco wcześniej, tak żeby zwierzchnik docierał na miejsce drugi, pojawiając się znienacka i równie szybko

znikając. Zbyt wielkie było ryzyko niemieckiej zasadzki. Na widok zbliżającego się mężczyzny w średnim wieku Ignacy wstał niespiesznie. Nie miał w zwyczaju zrywać się na równe nogi i przeżyć przed dowódcą.

– Spocznij! – Dowódca spojrział na Ignacego z lekką przyganą, a w głosie dało się usłyszeć drwinę. Nie skomentował lekceważącej postawy podwładnego. Zbyt wysoko cenił jego umiejętności, zdążył się już zorientować, że chłopak jak kot chodzi swoimi ścieżkami, stosuje własne metody i jest zadziwiająco skuteczny. – Jak poszło ostatnie zadanie? – zapytał.

– Melduję, że zadanie wykonane. – Ignacy nieznacznie się skrzywił na wspomnienie wyniosłej hrabiny, którą polecono mu eskortować do podmiejskiej rezydencji w Falenicy. Złościły go takie rozkazy. Posiadał znacznie większy potencjał i mógł się przydać Związkowi Walki Zbrojnej na wiele lepszych sposobów niż niańczenie jakichś starych bab.

– Znakomicie. Kierownictwo ustaliło, że najwyższa pora ukrócić samowolę pomniejszych grup w akcjach odwetowych na Niemcach i kapusiach. Tylko Państwo Podziemne ma prawo wydawać wyroki, szczególnie śmierci. Należy wprowadzić dyscyplinę. – Dowódca spojrział spod kapelusza na Ignacego, jakby badał, czy chłopak zgadza się z jego słowami, jednak ten milczał, zachowując kamienną twarz. – Postanowiono powołać do życia siatkę likwidatorów. Zostałeś wyznaczony na jednego z dowódców. Dostaniesz trzyosobową grupę ludzi, którzy będą przed tobą odpowiadać, a ty będziesz ich jedynym łącznikiem ze mną. Żadnych egzekucji na własną rękę, rozumiano?

– Zrozumiano.

– Zlecenie w formie ustnej będziesz otrzymywać wyłącznie ode mnie. Nikt inny nie ma do tego prawa. Nigdy nie będziesz o nic pytał, lecz za każdym razem usłyszysz ode mnie uzasadnienie wyroku. To niezbędne, żebyś wiedział, że cel nie jest niewinną ofiarą.

– Tak jest – odparł Ignacy. Czuł narastające podniecenie. Wreszcie działo się coś godnego uwagi. – Nie zawiodę.

– W to nie wątpię – mruknął dowódca z wyraźną dezaprobatą.

– Czy zrobiłem coś nie tak?

– Powiedzmy, że dowództwo wie o twojej nocnej... działalności. I nie jest nią zachwycone. Szczególnie sprawą z kobietą z dzielnicy policyjnej.

Ignacy nie był w stanie ukryć zaskoczenia. Skąd dowódca o tym wiedział? Był obserwowany, takie znalazł jedyne wytłumaczenie.

– Mam ogon? – zapytał.

– A jak myślisz? Niczego nie można pozostawiać przypadkowi, a moje doświadczenie mi mówi, że każdy ma w sobie jakąś zagadkę. Nie myliłem się, prawda? No więc powiedzmy, że zamierzam twoje nietypowe zainteresowania wykorzystać w bardziej przemyślany sposób niż nocne łowy na przypadkowych Niemców.

– Tak jest! – odparł Ignacy entuzjastycznie, lecz gorączkowo myślał, jak to się stało, że nie zauważył szpicla. Odpowiedź była prosta: nie przyszło mu do głowy, że ktoś może go śledzić. Ufał w swoją anonimowość i chciał wierzyć, że jest dla organizacji mało interesującym trybikiem. Jak widać, to myślenie okazało się bardzo naiwne. – Czy mogę sobie dobrać podwładnych? – zapytał.

– Jesteś pierwszym z dowódców, który zadał takie pytanie. Oczywiście mogłem się tego spodziewać. – Szef wbrew sobie nieznacznie uśmiechnął się pod wąsem. Nic nie mógł na to poradzić, ale lubił chłopaka. Właściwie powinno go przerażać, że z własnej inicjatywy poluje na Niemców pod osłoną nocy, lecz dobrze wiedział, jak wojna działa na młodych ludzi. Okupanci też znacznie ułatwiali zadanie. Siejąc terror i śmierć, sami wystawiali się na wściekłość i żądę zemsty chłopaków. Umysł człowieka w takich sytuacjach dehumanizuje przeciwnika, więc zabijanie staje się znacznie łatwiejsze.

– Po prostu chciałbym ludzi, na których mogę polegać. – Ignacy wzruszył ramionami.

– Dobrze więc. Jednego chłopaka wybiorę ja, a ty drugiego i dziewczynę. Raczej ładną. Jeśli przedstawiś mi kandydatury, a ja je zaakceptuję, wówczas sprawdzimy ich możliwości bojowe. Nowych rekrutów nigdy dość – oświadczył kapitan.

– Dziewczynę? Do grupy likwidatorów? – zdziwił się Ignacy.

– Oczywiście. Bywają bardziej skuteczne, bowiem nikt się po nich nie spodziewa ataku. Poza tym świetnie sprawdzają się do wystawiania ofiar albo likwidowania celu w mniej oczywiste sposoby niż strzelanie. Mężczyzna raczej nie podsunie wrogowi trucizny, a ładna kobieta bez trudu doda jadu do herbatki.

Rozmowa z dowódcą dała Ignacemu do myślenia. Odczekał przepisowy kwadrans, zanim jako drugi wyszedł spośród pokruszonych ceglanych murów i wetknąwszy jak uliczny łobuz ręce do kieszeni, pomaszerował w stronę Solca, zastanawiając się w duchu, skąd weźmie dziewczynę dość odważną, by sprostała zadaniu. Całkowicie wykluczał rezygnację z zadania, o które na własne nieszczęście sam się prosił. W połowie drogi zatrzymał się niezdecydowany a potem zawrócił w stronę przystanku tramwajowego. Pojechał na Mokotowską, do mieszkania drużynowej oddziału harcerek. Dokładnie tam, gdzie kilka tygodni temu zaprowadził Krysię.

Do drzwi zapukał umówionym sygnałem, więc otworzyły się niemal natychmiast. Zdziwiony Ignacy stanął z Krystyną twarzą w twarz.

– To ty! – powiedzieli jednocześnie, więc dziewczyna natychmiast się zapłoniła, a Ignacy odchrząknął z zakłopotaniem.

– Witaj, Krystyno – przywitał się po chwili. – Ja do Honoraty. Zastałem może?

– Wejść, dobrze trafiłeś, właśnie skończyłyśmy zbiórkę, więc z pewnością znajdzie czas.

– Dziewczyna otworzyła szerzej drzwi, zapraszając go do środka. – Nie odzywałeś się. Dawno się nie widzieliśmy – wyrwało jej się, więc znów się zaczerwieniła.

– Dawno, to prawda – potwierdził z roztargnieniem. Spoglądał ponad ramieniem Krysi, próbując wypatrzeć drużynową.

– Och, spieszysz się pewnie, a ja tu niepotrzebnie plotę od rzeczy – zreflektowała się.

– Ależ to nie tak. Mam pilną sprawę, lecz później chętnie porozmawiam. – Ignacy poczuł wyrzuty sumienia. – Może pozwolisz się odprowadzić do domu?

– Chętnie. – Krysia od razu poweselała.

Przy jadalnianym stole siedziało kilka dziewczyn z głowami pochylonymi nad książkami. Drużynowa stała przy oknie i uchyliwszy firankę, bacznie obserwowała przejazd bramny do wnętrza podwórka od strony Mokotowskiej.

– Jest czysto – powiedział cicho Ignacy, stając obok dziewczyny. – Sprawdziłem dokładnie.

– Ignacy! Miło cię widzieć. – Drużynowa, nieco zaskoczona, spojrzała na chłopaka, lecz uśmiechnęła się promiennie. Chociaż był młodszy o dwa lata, już wtedy, podczas obozu harcerskiego, wpadł jej w oko. Poufałym gestem pogłaskała go po ramieniu. Nawet jeśli go to zaskoczyło, nie dał nic po sobie poznać.

Krysia obserwowała scenę z drugiego końca pokoju i momentalnie spochmurniała. Zawsze wiedziała, że Ignacy nie traktuje jej poważnie, ale takie jawne zaloty Honoraty wywołały w niej wściekłość. Zaciśnęła szczęki z irytacją, po czym wyszła ostentacyjnie z salonu. Zbiórka właściwie już się skończyła, dziewczęta zajmowały się czytaniem romansów z biblioteczki drużynowej, więc uznała, że nic tu po niej. Zamknęła za sobą bezszelestnie drzwi mieszkania i zbiegła na podwórko. Majowe słońce grzało mocno, po długiej i srogiej zimie wiosna wybuchła ze zdwojoną mocą. Krysia powędrowała w stronę bramy z zamiarem przejścia pieszo kilku przystanków. Pogoda była piękna i zamierzała się cieszyć jej urokami.

– Krysiu! Poczekaj! Chryste, pędzisz, jakby cię sam diabeł gonił! – Ignacy pokonał sprintem dzielący ich dystans i zatrzymał się tuż przy boku dziewczyny. – Dlaczego tak nagle wyszłaś? Już się bałem, żeś zasłała albo o coś masz żal. A może masz? – zaniepokoił się.

– Nie mam – odparła naburmuszona i uniosła z godnością podbródek. – Wracaj do drużynowej, niech cię jeszcze pogłaszczę.

– Ty jesteś zazdrosna! – Ignacy wyszczerzył zęby w sztubackim uśmiechu.

– Nie jestem! – odburknęła.

– Krysiu, czy ty chcesz z Mokotowa iść pieszo na Pragę? – zdziwił się, gdy zobaczył, że dziewczyna mija przystanek tramwajowy.

– Być może – odparła enigmatycznie.

– W porządku, możemy iść – zgodził się gładko. – Ale nie będę cię nosił, jeśli te trzewiki obetrą ci stopy. Żeby nie było, że nie ostrzegałem! – zażartował.

– Nic mi nie będzie – odparła.

Szli w stronę Śródmieścia, przekomarzając się, a Krysia czuła, że za chwilę pęknie ze szczęścia. Ignacy wydawał się rozluźniony i zachowywał się zupełnie jak nie on. Zwykle zaciskał szczęki, próbował przybierać srogą minę i stronił od żartów, a dzisiaj



przechodził sam siebie. Dziewczyna nie wiedziała, czemu zawdzięcza tę przemianę, lecz nowa odsłona Ignacego bardzo jej się podobała.

– Może jednak podjedziemy tramwajem? – zaproponował, gdy dochodzili do Wilczej. – Do mostu Kierbedzia jeszcze kawał drogi.

– Nie czuję zmęczenia, a Warszawa, mimo wszystko, jest piękna w maju. Bzy tak pięknie kwitną.

– Pośród ruin zbombardowanych przez wroga kamienic – mruknął.

– Staram się ich nie widzieć, oszukiwać oczy i mamić je piękną wiosną. Tego Niemcy nam zabrać nie mogą – powiedziała.

– To prawda. Jednak zabrali parki, żebyśmy za mocno tej wiosny nie poczuli, w dodatku na prawie wszystkie plaże Polakom wstęp wzbroniony. Ale masz rację, nie myślmy o tym. Jeśli chcesz, pójde z tobą na spacer aż do samej Gdyni – zażartował.

Krysia chciała powiedzieć coś dowcipnego, lecz od strony Mokotowskiej podniósł się rwetes.

– Ludzie, uciekajcie! – krzyknął jakiś mężczyzna. Biegł w ich stronę, przytrzymując kapelusz na głowie.

– Co tam się dzieje? – zdziwiła się dziewczyna.

Ignacy nie bawił się w wyjaśnienia. Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. Wbiegli w Wilczą i stanęli dezorientowani. W głębi ulicy, jakieś trzysta metrów przed nimi, w poprzek drogi stały wojskowe ciężarówki.

– Tutaj! – Brama kamienicy uchyliła się ze zgrzytem i w szczelinie pokazała się czyjaś dłoń. Machała w ich stronę ponagłająco. – Szybciej!

Tym razem Krysia przejęła inicjatywę. Ruszyła w stronę furtki, a chłopak pobiegł za nią. Wrota otworzyły się szerzej, dłoń dosłownie wciągnęła ich do środka i odepchnęła pod ceglana ścianę. Starszy mężczyzna w fartuchu dozorca naparł na ciężką furtę i zatrzasnął ją, po czym zaryglował.

– Zdążyliście w ostatniej chwili – powiedział. – Chodźcie stąd, tu też nie jest bezpiecznie. Schronicie się w moim mieszkaniu. – Wskazał wejście do dozorcówki.

– Dziękujemy – szepnęła Krysia, gdy już weszli do środka.

Ignacy uchylił lekko firankę i w milczeniu obserwował ulicę. Od strony Mokotowskiej szli warszawiacy z dłońmi założonymi na karki, a żołdacy pędzili ich jak stado baranów. Niektórzy celowali w plecy bezbronnych ludzi lufami karabinów, a inni trzymali na skórzanych smyczach ujadające wściekle owczarki.

– Co tam się dzieje, wie pan? – zapytał Ignacy.

– Nie słyszałeś pan? – zdziwił się dozorca. – Niedawno się zaczęło. Chwytają ludzi na ulicach. Idziesz pan do sklepu albo wracasz z pracy, a oni zgarniają jak bydłatka do ciężarówek i zabierają.

– Dokąd zabierają? – wtrąciła się Krysia.

– A kto ich wie? – Dozorca wzruszył ramionami. – Jedni gadają, że zamykają w obozie, inni, że wywożą na roboty do Rzeszy. Nic dobrego człowieka nie spotka, jak w niemieckie łapy wpadnie.

– Ale za co tak? – zdziwiła się dziewczyna. – Może kenkarty nie mają?

– Gdzie tam. Nawet na nie nie patrzą. Nic ich nie obchodzi. Pakują do bud i tyle.

Krysia podeszła do Ignacego. Razem obserwowali dantejskie sceny na ulicy. Pomimo zamkniętych okien w mieszkaniu wyraźnie było słychać płacze, lamenty i krzyki. Jakiś wyrostek poderwał się do ucieczki, lecz żołnierz natychmiast położył go serią z karabinu. Psy rozszczękały się jeszcze głośniejsze, jakby podrażnione zapachem krwi.

– Jezu... Jezu... – szeptała Krysia, niezdolna do sformułowania sensownego zdania. Jak zresztą odnaleźć jakiś sens w tym, że jedni ludzie miażdżą wolę innych, nie zważając na to, że biedacy pod lufami karabinów są czującymi istotami. – Boże, to nie może się dziać naprawdę.

Ignacy, nie zastanawiając się nad tym, co robi, otoczył Krysę ramieniem i przygarnął do siebie. Niemal zmusił, żeby odwróciła twarz od koszmarnych scen za oknem, i mocno przytulił, przyciskając jej głowę do piersi. Czuła, jak szybko bije mu serce, lecz paradoksalnie podziałało to na nią pokrzepiająco.

– Panienska się napije, to ukoi nerwy. – Dozorca podszedł do kredensu i wyjął z niego butelkę samogonu i trzy kieliszki. Nalał nieco drżącą ręką wódki i podał swoim gościom.

Ignacy niechętnie odsunął się od Krysi, lecz nadal otaczał ją ramieniem. Przyjął poczęstunek od gospodarza i podał dziewczynie. Nie trzeba było jej namawiać. Przechyliła głowę i wypijała wódkę na raz. Rozkaszała się, lecz po chwili poczuła, że nieco się uspokaja.

– Dziękujemy za ratunek. Jestem pańskim dłużnikiem – Ignacy zwrócił się do dozorca.

– Nic żeś mi pan nie winien. Ot pomagać sobie trzeba. Bez tego Niemce nas rozgniotą na miazgę – odparł mężczyzna.

– To prawda – przytaknął Ignacy. – Mimo to nie brakuje szumowin, które na ludzi donoszą albo zapisują się na volkslistę.

– A bo to kiedy w narodzie skurwysynów brakowało? Wybacz panienska – zreflektował się.

– Nie szkodzi – odparła Krysia. Kiedy minął pierwszy szok, poczuła narastającą wściekłość. Dyszała żądzą odwetu na okupancie, lecz nic nie mogła zrobić. Bezsilność dodatkowo potęgowała jej frustrację.

– Już po łapance – ogłosił dozorca, patrząc w okno.

– Łapance? – powtórzył Ignacy.

– Ktoś ponoć przy pierwszej biegł ulicą i krzyczał, że łapanka. I się przyjęło – wyjaśnił mężczyzna. – Pasuje.

– Pasuje – potwierdziła ponuro Krysia.

Gdy godzinę później wyszli z bramy na ulicę, rozejrzeli się czujnie dookoła. Szli, co chwilę oglądając się za siebie. Za każdym razem, kiedy gdzieś rozległ się jakiś głos, przystawali niczym spłoszona zwierzyna gotowa zerwać się do biegu, gdy tylko ktoś krzyknie „Łapanka!”. Krysia zrozumiała, że od teraz już zawsze, gdy wyjdzie z domu, będzie się zastanawiać, czy dane jej będzie do niego wrócić. Niemcy, po odarcu ludzi z godności i zagłodzeniu, właśnie odbierali warszawiakom ostatnią cenną rzecz, jaka im została: przynależność do ukochanego miasta.

– Nie zgadzam się na to! – Krystyna przystanęła na środku chodnika. – Po prostu nie!

Ignacy o nic nie pytał. Wiedział doskonale, co Krysi gra w duszy. Stanął przed nią i położył jej dłonie na ramionach w pokrzepiającym geście. Spojrzała na niego z udręczoną miną. Drżała jej broda i przygryzała wargę, żeby się nie rozpląkać.

– Krysiu! – Chłopak przygarnął ją do siebie. Świadomość tego, że mogli właśnie jechać wojskową ciężarówką ku nieznanemu przeznaczeniu, sprawiła, że nie chciał już dłużej powściągać uczuć.

Dziewczyna zarzuciła mu dłonie na kark i nie zważając na oburzone spojrzenia przechodniów, zmusiła Ignacego, żeby się pochylił. Rozchyliła usta i pocałowała go pierwsza. Nie za bardzo wiedziała, co ma dalej robić, lecz Ignacy przejął inicjatywę i wpił się w jej wargi. Zakręciło jej się w głowie, zniknął wrogi świat, a ona poczuła euforię pomieszaną z żalem, że przyszło im żyć w tak strasznych czasach.

– Chcę coś zrobić. Ale coś prawdziwego. Nie uśmiecha mi się chodzić na tajne zbiórki i czekać nie wiadomo na co! – poskarżyła się, gdy poszli dalej. – Ignacy, ten świat nie wybaczy nam czekania. Będzie tylko gorzej.

– Chyba miałbym coś dla ciebie. Ale to wymagałoby nie lada odwagi – powiedział powoli.

– Odwagi mi nie brak – odparła. Napotkała jego sceptyczną minę, więc nieco się zmieszała. – Następnej łapanki już się nie przestraszę. Od teraz już zawsze będę czujna i przygotowana – perswadowała gorliwie.

– Strach wcale nie jest zły i nie ma nic wspólnego z odwagą, Krysiu. Można się bać, lecz wykonywać rozkazy. Tylko głupcy bez wyobraźni się nie lękają. Strach pomaga zachować rozwagę, ale trzeba pilnować, żeby nie sparaliżował przytomności umysłu – powiedział poważnie i wziął ją za rękę.

Ramię w ramię poszli przez most Kierbedzia. Wiosenna zieleń praskiego brzegu i lazurowe niebo wydały im się kpiną z ogarniętej terrorem Warszawy. Ignacy obiecał sobie w duchu, że za strach Krysi zapłaci życiem jakiś cholerny Niemiec. Jeszcze dzisiejszej nocy. A potem ścisnął pokrzepiająco dłoń dziewczyny i uśmiechnął się do niej łagodnie.

# ROZDZIAŁ 11

1940

Pod koniec czerwca Warszawa zwykle się wyludniała. Kto mógł, wyjeżdżał na letniska, a dzieci tłumnie korzystały z organizowanych przez państwo kolonii. Tego lata wyjechało niewielu warszawiaków. Żydzi nawet nie mogli pomarzyć o jakichkolwiek podróżach, szczególnie że gubernator Frank jeszcze wczesną wiosną wydał zakaz zmian adresu dla całej społeczności. Nie wolno im było korzystać ze stołecznych plaż, podobnie zresztą jak i pozostałym warszawiakom. Dlatego tak wielkim powodzeniem w tych dniach cieszyły się dzikie plaże podwarszawskie, znacznie bardziej malownicze niż miejskie, lecz trudniej osiągalne ze względu na dojazd. Mimo to amatorów wody i słońca nie brakowało.

Poldek spojrział na Paulinę i próbował przybrać przyjazny wyraz twarzy, jednak podobne wysiłki zupełnie nie miały sensu. Jego żona przyjmowała rzeczywistość z obojętnością, choć zdaniem Basi w jej zachowaniu w ostatnich dniach nastąpiła pewna zmiana. Co jakiś czas ogarniał ją irracjonalny strach, zaczynała drżeć na całym ciele, a jej twarz oblewała się potem.

– Czyżby denerwowało ją to, że wróciłem? – zapytał szwagierkę, gdy szli na cotygodniowe spotkanie z Heleną, pchając wózki z dziećmi.

– Mogę tylko zgadywać, że tak. Ale z drugiej strony jej stan powinien się poprawić. Wszyscy się ucieszyli z twojego powrotu. Twojemu ojcu jakby dwadzieścia lat ubyło – powiedziała w zamyśleniu. – Chociaż oczywiście nadal jest sobą – dodała z przekąsem. Nie miała łatwego życia z teściem, lecz musiała też uczciwie przyznać, że był bardzo dobrym dziadkiem, a Alinkę zaakceptował bezwarunkowo i nawet faworyzował w porównaniu z Poldusiem.

– Oczywiście, że ojciec jest sobą – westchnął Poldek. – Co ciekawe, przestało mnie to aż tak obchodzić. Zbyt wiele przeżyłem i widziałem... – załamał mu się głos.

– Wiem. Nie wracaj do tego. Nie pomagasz tym sobie. – Basia poklepała go pokrępiająco po ramieniu. – Paulinie też się poprawi. Zastanawiałeś się, co z tym ambarasem zrobić? – zapytała, ostrożnie dobierając słowa.

– Codziennie, od rana do nocy – przyznał z goryczą. – I za każdym razem dochodzę do wniosku, że jesteśmy z Heleną w pułapce bez wyjścia.

– Zawsze jest jakieś wyjście, Poldku.

– Czyżby? – zapytał ze smutkiem. – Rozejrzyj się wokół siebie. Zobacz, jak traktuje się Żydów. Każdego dnia Niemcy odbierają im po kawałku życia. Nędza jest niewyobrażalna. Nie mówię, że my mamy dobrze, ale sama wiesz, jak jest. Odejść z Heleną? Dokąd? Zabrać dziecko? Czy będzie bezpieczne? Helena nawet nie może zmienić adresu. Za to grozi jej śmierć. Wyobrażasz to sobie? Poza tym przeszkodą w ucieczce jest sama Helena.

– Helena? – zdziwiła się Basia.

– Powiedziała, że choć kocha Poldusia nad życie, nie zgadza się na zabranie go spod opieki Pauliny.

– Powiedzmy, że to opieka...

– Basiu, Helena mówi, że dopóki mały jest w polskim domu, nie grozi mu nic złego. I obawiam się, że ma rację. Jesteś matką. Zrobiłabyś wszystko, żeby zapewnić bezpieczeństwo Alince. Spójrz na siebie. Wróciłaś na Solec, chociaż wiedziałaś, że nie będziesz tu miała łatwego życia. Ale bezpieczeństwo córki okazało się ważniejsze niż jakieś tam niewygody, prawda?

– Prawda – odparła. – Och, to jest rzeczywiście sytuacja bez wyjścia. Tak mi przykro. Co więc zamierzasz?

– Trwać w tym dziwnym układzie z nadzieją, że gdy wojna się wreszcie skończy, będę mógł wziąć rozwód z Pauliną i ożenić się z Heleną. Tylko tego pragnę.

– Kiedyś się skończy – bąknęła bez przekonania Basia.

– Tylko kiedy?

– Powinniście z Helą jechać w przyszłą niedzielę na wycieczkę za Warszawę. Może z dala od tego wszystkiego przyjdą wam do głowy jakieś rozwiązania. A jeśli nie, to przynajmniej zaznaczcie chwili normalności.

Wbrew rozsądkowi Poldkowi plan podobał się coraz bardziej. Wizja spędzenia chwil sam na sam z Heleną rozpałała go do czerwoności.

– Mamy blisko do stacji Most, a stamtąd można pojechać kolejką do Otwocka.

– Świetny pomysł. Słyszałam, że linia działa bez zarzutu – podchwyciła Basia.

Poldek już jej nie słuchał. Układał w myślach plan, a jego najważniejszym punktem było doprowadzenie ciotce Marii kluczy od jej wiejskiego domku w Świdrze. Od lat w nim nie mieszkała, lecz co jakiś czas jeździła, żeby przewietrzyć i zetrzeć kurze.

W niedzielę czekał wraz z Poldusiem na stacji tuż przy Wiśle. Czerwcowy upał dawał się we znaki, lecz on nie zwracał na to uwagi. Helena niebawem nadeszła. Szła w jego stronę ubrana w białą sukienkę w niebieskie kwiaty. Nie miała opaski na ramieniu. Musiała ją zdjąć, zanim weszła na stację. Kruczoczarne włosy upięła modnie w lok nad czołem i poruszała się z gracją, a lekki wiatr od Wisły podwiewał jej sukienkę powyżej kolan. Wyglądała zjawiskowo. Nad wodą skrzeczały mewy, a Poldkowi przypomniało się lato w Juracie. Z wrażenia zaschło mu w gardle.

Polduś wyciągnął rączki do Heleny, a jej przemknęło przez myśl, że gdy dziecko zacznie mówić, sprawy ponownie się skomplikują. Poza tym wiedziała, że choć prosiła, by Poldek

nazywał ją w obecności małego ciotką, to rozwiązanie było tymczasowe. Jedyna nadzieja w tym, że wojna skończy się, zanim Polduś zacznie rozumieć więcej.

– Wyglądasz pięknie, Heleno. – Poldek patrzył roziskrzonym wzrokiem.

– Dziękuję – odparła i puściła do niego oko. – Już jest kolejka, zobacz!

Z każdym kilometrem napięcie między nimi rosło. Byli dorośli. Wiedzieli, do czego ta cała wycieczka ich zaprowadzi, i choć było to szaleństwem, obydwójce byli zdeterminowani, żeby paść sobie w ramiona. Polduś cicho gaworzył, koła pociągu monotonnie stukotały i choć w zatłoczonym wagonie trudno było swobodnie odetchnąć w obezwładniającym upale, Helena po raz pierwszy od bardzo dawna czuła, jak znika żelazna obręcz strachu, zwykle ściskająca jej pierś. Było to o tyle zagadkowe, że kolejką jechali niemieccy żołnierze, a stacja w Otwocku powitała ich widokiem flag ze swastykami i pracownikami kolei w niemieckich mundurach. Z polskiego personelu zostali jedynie tragarze i tylko oni przypominali przedwojenne czasy.

Wraz z nimi wysiadło mnóstwo ludzi. Większość z nich objuczona była koszykami, workami, niektórzy wieźli ze sobą łopaty. Widmo głodu podczas kolejnej zimy zmobilizowało mieszkańców stolicy do gromadnych wypraw poza miasto, by uprawiać warzywa na podmiejskich działkach. W samej Warszawie też nie brakowało grządek i zagonów. Dosłownie wszędzie ludzie sadzili co tylko się dało. Poprzedniego dnia Mania opowiedziała Heli, że eleganckie patio osiedla Konrada zmieniło się w pole uprawne. Wypielegnowane trawniki zaorano, po czym aktorki i hrabiny ruszyły zgodnie do wkopywania sadzonek pomidorów uprawianych wcześniej na parapetach. Na końcu osiedla pojawił się kurnik, a pas zieleni przed wejściem do bram ozdobiły obecnie liście ziemniaków. Koszmar głodu, jaki pamiętano z ciężkiej zimy, mobilizował wszystkich i wyzwalał nieprawdopodobne pokłady kreatywności.

– Aż żal, że tu wszystko odłogiem leży – powiedział Poldek, gdy dotarli pieszo do posesji ciotki Marii. Wysokie trawy porastały podwórko, lecz na nieco zaniedbanych drzewkach pojawiły się już zawiązki owoców.

– Można jeszcze wykarczować i nasadzić ogórków – odparła Hela. Pochyliła się w stronę Poldka i troskliwie poprawiła kocyk przy buzi śpiącego Poldusia.

Nie wzięli wózka, żeby nie ograniczał ich w podróży, więc właściwie przez cały czas dziecko dźwigał ojciec.

– Na początek znajdziemy bezpieczne miejsce, żeby odłożyć tego kloca – roześmiał się cicho Poldek. – Słowo daję, że rośnie jak na drożdżach, dosłownie z dnia na dzień.

– Jak tu pięknie. – Oczarowana Helena przeprawiła się przez wysokie trawy i minęła niewielką chałupę z zielonymi okiennicami, które wręcz błagały o odmalowanie. Podeszła do piaszczystego brzegu rzeczki Świder płynącej tuż obok. – Jak ciotka mogła stąd wyjechać? – zapytała, odwracając się do Poldka. Miała roziskrzone oczy i tryskała szczęściem.

– Tego nie wiem. Pamiętam to miejsce z dzieciństwa. Ojciec nigdy nie chciał tu siedzieć, ale przywoziła nas matka. Ta rzeczka! – Poldek parsknął śmiechem.

– Co z nią?

– Sięga pewnie do kostek, jednak pamiętam ją jako bezkresny ocean! Razem z Jankiem spędzaliśmy przy niej długie godziny, a potem ciotka wołała nas na posiłek. Dawała nam żur z ziemniakami z duchówki, a potem pajdy chleba posmarowane śmietaną i posypane cukrem.

– Zaraz zgłodnieję od tych opowieści!

– Myślałem, że bardziej się przejmujesz brakiem kołyski dla dziecka, ale skoro szanowna pani zgłodniała, to zdaje się, że podwędziłem ciotce trochę chleba i słoik dzemu. Spokojnie, mleko dla dziecka też jest. Basia zapakowała.

– Jest ciepło. Połóżmy małego na piasku w cieniu szuwarów. I nie, nie jestem głodna. – Helena spojrzała na Poldka, a jemu się zdało, że oczy dziewczyny pociemniały jeszcze bardziej.

Delikatnie odłożył śpiące dziecko na nagrany brzeg strumienia i podszedł do Heli. Parsknęła śmiechem, zsuła pantofle i pończochy, po czym wbiegła do Świdra.

– Ciepła! Chodź! – zawołała cicho. Zerknęła na Poldusia, który spał w najlepsze.

Poldek ściągnął buty, podkasał spodnie i wszedł do wody. Helena miała rację. Była ciepła, płynęła leniwie i błyskała refleksami słońca. Przejrzysty nurt pozwalał dostrzec liczne kijanki i podwodne rośliny wyciągające łodygi w stronę rzeczego prądu.

– Nie chlap! – roześmiała się w głos, gdy krople wody rozbłysły w słońcu i zmoczyły dół kwiecistej sukienki. Hela uniosła ją wyżej, lecz na nic się to nie zdało. Poldek, brodząc po łydki w wodzie, podszedł do niej i gwałtownie wziął w ramiona.

Helena spoważniała, przymknęła oczy. Pragnęła tej chwili od dawna. Tylko dzięki marzeniom o kochanku przetrwała więzienie, śmierć ojca i początek okupacji. Czytała list od niego tak często, że w końcu przepisała go, żeby nie zniszczyć oryginału. Choć niemal wypłakała oczy, gdy Malinowscy ogłosili, że zginął w kampanii wrześniowej, nie chciała w to wierzyć. Ale czym innym jest wiara w powrót najukochańszej osoby, a czym innym pojawienie się wyczekiwanego człowieka. To wyższy poziom abstrakcji, gdy świat pochował człowieka, lecz wierne serce podsycane wspomnieniami wątpy płomyk nadziei. Dlatego tak trudno było pojąć, że Poldek rzeczywiście istnieje tu i teraz.

– Przestań! – Przywarł do jej szyi i zaczął ją delikatnie całować.

– Co mam przestać? – spytała.

– Nie myśl o przeszłości. Po prostu w ogóle nie myśl! – powiedział, z trudem powstrzymując śmiech.

– Ale...

Poldek zbliżył usta do jej warg.

– Helu! Marzyłem o tym. Tylko to mnie trzymało przy życiu.

– Nie wiem, jak bym przeżyła więzienie, gdyby nie widok wody, plaży i myśli o tym, że kiedyś znów się spotkamy.

Kochankowie zatopili się w swoich ramionach, a świat chociaż ten jeden raz nie przeszkadzał im w chwili kradzionej od losu rozkoszy. Poldek chwycił Helę za rękę, chcąc zaprowadzić ją na plażę, lecz ona uśmiechnęła się przewrotnie i powiodła go głębiej w nurt płytkiej rzeczki.

– Zmoczymy ubrania! – Poldek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– I cóż z tego?

Nie dyskutował. Zdarł z Heleny sukienkę i odrzucił na brzeg. To samo zrobił z własną koszulą, której guziki rozpięły niecierpliwie dłonie dziewczyny. Nawet nie pamiętał, jak wylądowali w wodzie. Helena otoczyła go udami, a jej dłonie głaskały jego mokre włosy. Naparł na nią z pasją i zatracił się w ciele jedynej kobiety, jaką kiedykolwiek kochał. Odległy grzmot burzy nie przerwał tańca ciał aż do chwili, gdy grube, nagrzane krople deszczu spadły na wąską piaszczystą plażę.

– Dziecko! – Helena wywinęła się z objęć kochanka i rozchlapując wodę, pobiegła do syna.

– Nie rozpuści się! – zażartował Poldek, ale w tej samej chwili chmura oberwała się nad sielską rzeczka. Chwycił ubrania oraz kosz z prowiantem i ponagliwszy Helę, zaprowadził ją do domku ciotki Marii.

Klucz na szczęście pasował, więc otworzył drzwi bez zgrzytu. Wpadli do środka, umykając przed rześystym deszczem, który bębnił głucho w dach budynku. Zagrzmiało, a za brudnym oknem przetoczyła się błyskawica, lecz nawet ona nie obudziła śpiącego smacznie dziecka. Helena oparła się o drzwi i przekrzywiła głowę, patrząc na Poldka, który otulił troskliwie ich syna kocykiem i z czułością pogłaskał po policzku.

– Chodź do mnie – powiedziała. Na policzkach miała rumieńce, a oczy błyszczały. Wyciągnęła ręce i oplotła nimi kochanka. Gdzieś na zewnątrz przetoczył się po niebie kolejny grzmot, lecz nie zwrócili na niego uwagi.

Gniewne niebo wielu warszawiakom przypominało pomruki niemieckich samolotów z września ubiegłego roku. Dzieci płakały, dorośli odruchowo chcieli chować się do piwnic. Z kolei każdy rześysty deszcz wywoływał westchnienie ulgi.

Helena i Poldek niechętnie wracali do miasta, lecz nie było wyjścia. Rozstali się na stacji kolejowej, obiecując sobie, że jeszcze wybiorą się do domku w Świdrze. Lecz ponieważ zdawali sobie sprawę z ogromnego ryzyka w czasach, gdy Żydom zabroniono podróżowania pociągami, nigdy więcej się to nie udało.

Musieli też zapomnieć o spotkaniach w parku, gdy w lipcu zakazano Żydom wchodzenia do parków i siadania na ławkach w przestrzeni publicznej. Poldek odwiedzał Helę w antykwariacie na Zgodzie. Pomimo przeciwności losu próbowali chwycić okruchy szczęścia, żyjąc w mieście pełnym strachu i gruzów.



\*\*\*

– To jest tak absurdalne, że nie wiem, co powiedzieć! – Michał Gutman zgniótł propagandową niemiecką ulotkę i cisnął do kosza. – Tyfus jest w całej Warszawie, nie tylko w dzielnicy północnej. Czy ci durni Niemcy nie pojmują, że to nie Żydzi są przyczyną epidemii, tylko koszmarnie warunki sanitarne, jakie nam serwują?

– Kuzynie, czy ty bierzesz na poważnie niemieckie brednie? – zapytała Hela.

– Nie zastanawiam się nad tym – odburknął. – Chcę jedynie leczyć ludzi, lecz za chwilę będę musiał sięgnąć po średniowieczne metody. – Michał próbował zachować fason, lecz głos mu się załamał.

– Judenrat z pewnością zrobi wszystko, żeby ochronić placówkę, na którą gmina żydowska łoży od dziesiątek lat. Miej wiarę. – Hela uśmiechnęła się blado i dopięła pielęgniarski fartuch.

– Jak się miewa Polduś? – Michał zmienił temat.

– Rośnie i coraz więcej rozumie. Jeśli nic się nie zmieni, wkrótce będę musiała ukrócić te spotkania. Bezpieczniej będzie u Polaków.

– Powinienem z uprzejmości zaprzeczyć, ale przyznaję ci rację. Niech Poldek trzyma dzieciaka jak najdalej od nas. Swoją drogą, nigdy nie sądziłem, że tak łatwo Warszawa podzieli się na dwa obozy, a ludzie wychowujący się na tych samych ulicach nagle staną się wrogami – powiedział z goryczą.

– Podziały były zawsze, chociaż nie chciałam tego widzieć. Ale Niemcy roztrzaskali most pomiędzy nami i chyba ogromnie ich to cieszy.

– Pokłócony naród łatwiej wziąć pod but. A odbieranie nam po trochu wszystkiego i sianie strachu sprawia, że ludzie wariują i nie potrafią właściwie ocenić sytuacji. – Michał zaczął nerwowo krążyć po gabinecie.

– Co u twojej matki? – zapytała cicho Hela.

– Musi się zabierać z Kercelaka, bo wypadł za mur getta. Nie mam pojęcia, co zamierza.

– Najważniejsze, żeby była bezpieczna. A co z... dziadkiem Szmulem?

– Synagoga wchodzi w obręb murów, więc dla niego nic się nie zmienia. Wstaje rano, drepcze do świątyni i odprawia modły. – Michał z trudem powstrzymał się od przekleństw. W domu wciąż było strasznie. Dziadek się modlił, a ojciec pił. Łączyło ich jedno: nie uznawali Heleny za swoją rodzinę. Matka co prawda próbowała budować mosty, lecz nie na wiele się to zdało. Nawet teraz, gdy podziały stały się jaskrawe, Helena była dla ich rodziny intruzem.

– U mnie też dziwnie – zwierzyła się Hela. – Bar zamknięty na amen, ale to pewnie wiesz od matki. Cały czas martwię się o Manię. Podobno radzi sobie dobrze, lecz wolałabym ją mieć przy sobie. Ale nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że ma coś wspólnego z Żydami. Dlatego wysłałam ją do Mokotowa. – Helena westchnęła ciężko.

– Do Mokotowa? – podchwycił Michał.

– Mieszka u Konrada – odparła. Bacznie wpatrywała się w kuzyna, który z zakłopotaniem obejrzał własne paznokcie, a potem odwrócił głowę w stronę okna i zapatrzył się na pierwsze żółknące liście. – Jestem mu za to wdzięczna – dodała.

– Czyli jeszcze zostały w nim jakieś ludzkie odruchy. Wiele mogę znieść, ale to, że Konrad prowadzi się z Niemcami, zwyczajnie nie mieści mi się w głowie.

– Nie rozumiem jego zachowania – przyznała Helena. – Żałuję, że to się tak potoczyło.

– Ja też. – Michał potarł ze znużeniem skronie. Tuż przed nim na blacie biurka stała szklanka z herbatą, już całkiem wystygłą. Sięgnął po nią, wypił jednym haustem i skrzywił się. – Krążą mi po głowie same czarne myśli, Heleno. Może to i lepiej, że Konrad trzyma się od nas z daleka? Nie rozumiem jego zachowania, ale to nie znaczy, że życzę mu źle. Swoją drogą, zobacz, jak wiele osiągnęli Niemcy! – W głosie Michała zabrzmiała ironia. – Bez trudu odebrali nam wszystkich bliskich. Mnie Konrada, a tobie Poldusia i Manię.

– Lecz wrócił Poldek – powiedziała cicho.

– Jak się między wami układa?

– W normalnych czasach byłoby mi wstyd, że spotykamy się ukradkiem i bez ślubu, ale teraz tłumaczę sobie, że zwyczajnie chwytny okrucy szczęścia.

– Nie robisz niczego złego. Jesteś ostatnią osobą na świecie, którą bym o to oskarżał. Po tym wszystkim, co przeszłaś, zasługujesz na szczęście jak nikt inny.

– Dziękuję ci za te słowa – odparła. – Wracajmy do roboty. – Helena mimowolnie się skrzywiła. Lubiła swoją pracę, lecz wyzwania, z jakimi personel szpitala na Czystym mierzył się od początku wojny, przypominały pasmo udręki i niekończący się koszmar. Czowała cichą wściekłość na własną niemoc, by skutecznie pomagać pacjentom.

Rytm życia Heleny wypełniały niedzielne spotkania z Poldkiem i synem. Basia najczęściej przychodziła wraz z nimi, lecz dyskretnie się ulatniała, dając zakochanym czas dla siebie. Niekiedy Poldkowi udawało się wyrwać z domu w ciągu tygodnia i biegł wtedy na Zgodę, by spędzić kilka upojnych chwil z kochanką, lecz najczęściej Helena spędzała wieczory samotnie. Mieszkanie wraz ze sklepem było zbyt duże dla jednej osoby, a do tego w każdym kącie czaiły się wspomnienia. Hela wielokrotnie myślała o tym, żeby wziąć lokatorów albo podnająć sam sklep od frontu, lecz zupełnie nie miała czasu się tym zająć. Wystarczył tydzień od rozmowy z Michałem, żeby kwestia lokalowa rozwiązała się sama.

– Słyszałeś? – zapytała Poldka podczas niedzielnego spaceru po Marszałkowskiej. Polduś dreptał nieporadnie po chodniku i bawił się opadłymi żółtymi liśćmi.

– Tak. Heleno, gubernator Warszawy to kanalia. Zabiłbym go gołymi rękami, gdyby tylko ktoś dał mi taką sposobność! Trzeba coś wymyślić, przecież to niedorzeczne!

– Fischer nie daje Żydom wyboru – odparła Helena. – Wszyscy mają się pozbyć mieszkań i wraz z całym dobytkiem przenieść poza te mury, które Niemcy kazali Judenratowi zbudować jako ochronę przed tyfusem. Poldku, oni otoczyli ogromny kawał miasta. Po co?

– Nie wiem – powiedział zrezygnowany. Ujął dłoń Heleny i uściśnił ją pokrzepiająco. – Od rana chodzę i myślę, co począć. Może schronisz się w domku w Świdrze? Ja będę tam przyjeżdżał i dbał o wszystko.

– Nie wolno mi wyjechać z Warszawy, a poza tym to niewielka wioska, wszyscy się tam znają. Jak sądzisz, ile czasu upłynie, zanim ktoś na mnie doniesie? Poza tym co z moją pracą? Nie porzucę szpitala. Odeszło wiele osób, a liczba pacjentów rośnie z dnia na dzień. Michał potrzebuje pomocy.

– A co ze mną? I z małym? – zapytał Poldek.

– Przeprowadzę się jedynie. Nic więcej się nie zmieni.

– Mój ojciec mówi, że jest kwestią czasu, kiedy zamkną Żydów za tymi murami, i to tylko mydlenie oczu, że są otwarte bramy.

– Mamy obietnice Judenratu. Nic takiego się nie wydarzy. Zresztą szpital jest poza murami, jakoś do pracy muszę chodzić. Martwię się tylko, jak szybko pozbyć się mieszkania i nie stracić na tym. – Helena podeszła do Poldusia, który właśnie próbował ugryźć klonowy liść. – Tego nie można jeść, dziecinko – powiedziała miękko i wzięła go na rękę. Dziecko uśmiechnęło się od ucha do ucha i chwyciło rączką pasmo jej długich czarnych włosów.

– Mama! – powiedział malec i roześmiał się perliście.

– Słyszałaś to? – Poldek podszedł do nich i otoczył ramieniem Helenę. – To dobry znak. Może trwa wojna, ale przecież nasza mała rodzina musi przetrwać. Helu! To o nas powinnaś myśleć, a nie o szpitalu i Michale.

– Zapominasz o jednej rzeczy.

– Jakiej?

– O tym! – Hela szarpnęła opaskę naciągniętą na rękaw beżowego jesiennego płaszcza. – Czegokolwiek byśmy nie zaplanowali, jestem dla was zagrożeniem. Jako odrażająca Żydówka roznosząca tyfus. Bo wiesz? Pochodzenie etniczne lepiej roznosi bakterie. Brzmi sensownie? – Helena roześmiała się z goryczą. – Najbardziej mnie złości, że ta szyta grubymi nićmi propaganda jest tak głupia, że wszystko się w człowieku buntuje. I wyć się chce, że bezczelnym szkopom uchodzi to na sucho.

Poldek westchnął i przytulił Helę mocniej. Pocałował ją przelotnie w czoło i widząc sapiące z oburzenia matrony przechodzące obok nich, natychmiast się odsunął.

– Nadal uważam, że nie powinnaś się przeprowadzać – powiedział.

– Nie mam wyboru – odparła.

Poldek nie znalazł na to odpowiedzi. Doskonale wiedział, że nie może prosić ojca o wsparcie. Właściwie nikt oprócz Janka i Basi nie stał po stronie Heleny. Sprowadzenie znienawidzonej przez Apoloniusza Malinowskiego kochanki na Solec zakrawało na absurd. Poza tym była Paulina.

– Może Werner coś zaradzi? – zapytał. – Choć nadal uważam, że powinniśmy uciec do Świdra.

– Piękne marzenie, mój kochany, ale sam dobrze wiesz, że nic z tego nie wyjdzie – odparła ze smutkiem. – Ale masz rację, znów się zwrócę do Konrada. Zadaje się z Niemcami, lecz dobry z niego przyjaciel.

Helena nie zdążyła poprosić wpływowego aktora o pomoc. Musiała błyskawicznie sprzedać antykwariat na Zgodzie jakiemuś typowi spod ciemnej gwiazdy w naciągniętym na czoło kaszkiecie. Wypłacił jej gotówką w pięćdziesięciozłotówkach należność, która nie miała nic wspólnego z rzeczywistą wartością lokalu. Nie wybrzydzała, bo miała obiecane małe mieszkanie w getcie. Spakowała, co mogła, ciesząc się w duchu, że wcześniej pozbyła się cennych woluminów ojca, które być może przetrwają wojnę w troskliwych rękach.

Wyładowany wóz przeprowadzkowy czekał przed wejściem. Hela usiadła na koźle obok woźnicy i po raz ostatni odwróciła się w stronę antykwariatu na Zgodzie. Z wozu prawie spadł wyblakły szyld z napisem „Józef Małecki – Antykwariat”, lecz Hela go przytrzymała. Kawałek kolorowej blachy był wszystkim, co jej zostało po szczęśliwym dzieciństwie.

\*\*\*

Apoloniusz Malinowski chodził po pracowni jak lew w klatce. Niezapięte klapy staroświeckiego surduta zwisały niechlujnie, gdy rękawicznik z zaciśniętymi szczękami prześlizgiwał się niewidzącym spojrzeniem po stanowiskach pracy. Szwaczki i krojczy już dawno wyszli, bowiem nowe czasy nie pozwalały na nadgodziny. Godzina policyjna nie była żartem. Ledwie w zeszłym tygodniu jedna z dziewcząt, wyszkolona w szyciu laszówką, nie zdążyła do domu na czas i już nigdy więcej nie wróciła do pracowni. Żaden z pracowników nie wiedział, co się z nią stało.

Najbardziej bolała strata majstra Blumana. Apoloniusz próbował sobie tłumaczyć swój żal problemami w pracowni, nawet w głębi zatwardziałej duszy nie przyznając się do właściwego powodu smutku.

– Nie przyszedłeś na kolację! – Do pracowni weszła Maria. Spracowane dłonie schowała w kieszenie czarnej sukni. Wstydziła się ich. Sylwetkę natomiast miała zgrabną i gdyby oddać ją w ręce dobrego fryzjera oraz subiekta w sklepie z damską odzieżą, mogłaby wyglądać jak hrabina. Oczywiście pod warunkiem, że zrezygnowałaby z cierpiętniczej miny.

– Nie jestem głodny. Martwi mnie brak Blumana, Mario. To mój najlepszy krojczy – odparł. Usiadł na krześle i zaczął przeglądać dokumenty.

– Wiesz, co się z nim dzieje?

– Sprzedał za bezcen jakiemuś sukinsynowi mieszkanie na Szarej i przeniósł się do getta.

– Znasz jego nowy adres? – zapytała.

– Wspominał, że zatrzyma się na Chłodnej – odparł Apoloniusz.

– Przecież oni mogą stamtąd wychodzić, więc nie rozumiem, dlaczego nie przychodzi do pracy. Zwłaszcza że teraz zatrudniasz go po cichu – Maria wzruszyła ramionami.

– Powiedział, że znajdzie sobie tam coś. Jak to ujął, nie chce narażać mojej rodziny na kontakt z Żydem. Też coś. Z niego taki Żyd...

– Ale mądrze mówi – ucięła ciotka. – Czasy są takie, że lepiej uważać, z kim się człowiek zadaje. Masz rodzinę i to o nią trzeba się troszczyć. Kto wie, czy jakiś pracownik by nie podkablował, że wbrew zakazowi Bluman wciąż pracuje.

Apoloniusz nie odpowiedział. Następnego dnia po śniadaniu, zamiast udać się do pracowni, poszedł na róg Solca z Tamką i wsiadł do dorożki. Kompletnie nie miał zaufania do riksza, a nawet uważał, że człowiek w nich wygląda śmiesznie i niegodnie.

– Dokąd jedziemy, proszę szanownego pana? – zapytał dorożkarz.

– Na Pańską. Prosta droga, przez Świętokrzyską i gotowe. – Apoloniusz zawsze chwalił się znajomością warszawskich ulic, na wypadek gdyby jakiemuś dorożkarzowi przyszło do głowy kluczyć ulicami i naciągać pasażera na koszty.

– Dawno się chyba szanowny pan nie zapuszczał w tamte okolice. – Dorożkarz roześmiał się i zaciął konia. – Teraz to albo jedziemy Królewską, albo od strony Chmielnej. Mur przeszkadza, żeby jechać prosto, i do bram getta nam trzeba. Skaranie boskie, co ci Niemcy wymyślają. Miasto podzielone murami, jeździć coraz ciężiej. Niech łaskawy pan się teraz spróbuje wybrać ze Śródmieścia na Kercelak! Pół miasta dookoła trzeba objechać. I na co to komu potrzebne? Niemcy gadają, że to Polacy tacy dla Żydów groźni, więc ich trzeba przed nami ochronić murami. Dobrze sobie – prychnął dorożkarz.

– Oficjalnie jest mowa o zagrożeniu tyfusem – mruknął pod nosem Malinowski.

– Ech, szkoda nawet gadać, co się w tym mieście wyprawia – odparł ze zrezygnowaniem dorożkarz.

Brama wjazdowa na teren nowej dzielnicy żydowskiej miała podniesione do góry szlabany, więc ruch pieszych i riksza odbywał się płynnie, choć pod okiem uzbrojonych po zęby strażników. Apoloniusz rozglądał się z zaciekawieniem. Nie zapuszczał się nigdy w te rejony miasta, więc wysoki ceglany mur ciągnący się po obu stronach wejścia zrobił na nim spore wrażenie. Nie mniejszy niż duże białe tablice ostrzegające przed zagrożeniem tyfusem.

– Spory tu ruch – zauważył. – I jakoś nikt się zarazków nie obawia – dodał z przekąsem.

– A kto się będzie przejmował tyfusem, jak wszyscy cały dzień robią wszystko, żeby mieć co do gęby włożyć. Z żywnością coraz trudniej zwłaszcza pośród tej bezrobotnej biedoty – rzekł dorożkarz.

Malinowski nie odpowiedział. Dorożka toczyła się wolno po brukowanej ulicy, a wokół jak okiem sięgnąć pełno było przechodniów, przekupek z ubogim towarem i handlarzy naręcznych. Gdy mijali Sienną, zauważył kolumnę pejsatych Żydów w chałatach z łopatami w dłoniach. Poganiani przez esesmana szli prawym brzegiem ulicy, więc gdy dorożka zrównała się z nimi, Apoloniusz miał robotników na wyciągnięcie ręki. Jeden

z nich, z zaczesanymi na brylantynę włosami, ubrany w prążkowaną marynarkę, od razu przyciągnął jego uwagę. Wyglądał surrealistycznie pośród ubranych w chałaty pobratymców.

– Mosze? – krzyknął Malinowski, lecz przez zgiełk uliczny tamten nie usłyszał. – Pan się zatrzyma za rogiem! Zobaczmy, dokąd pędzą tych ludzi, a potem wolno pojedziemy za nimi – zwrócił się do dorożkarza. – Nie martw się pan, zapłacę więcej, niż było umówione.

Jak okazało się kwadrans później, kolumnę robotników zapędzono na mały skwerek. Robotnicy zajęli się porządkowaniem gruzów, a Niemcy stali nieopodal i paląc papierosy, rozmawiali, co jakiś czas wybuchając śmiechem.

– Zatrzymaj się pan tutaj – polecił Apoloniusz.

Dorożka stała osłonięta poźółkłymi krzewami. Malinowski wysiadł i niespiesznie przeszedł chodnikiem wzdłuż skweru. Mosze zauważył go dopiero, gdy tamten zawrócił w stronę dorożki. Przywitał się krótkim skinieniem głowy i wtedy Apoloniusz spostrzegł, że jego majster ma fioletowy siniec wokół oka. Podszedł dwa kroki bliżej, lecz Bluman pokręcił przecząco głową i natychmiast wrócił do pracy. To wystarczyło, żeby jeden z nadzorców uniósł karabin i krzyknął coś po niemiecku w ich stronę.

– Odejdź jak najszybciej! – wyszeptał Mosze.

Malinowski nie dyskutował. Odwrócił się na pięcie i szybkim marszem oddalił się od skweru. Serce mu łomotało ze strachu i ostatkiem sił powstrzymał odruch, by się odwrócić.

– Chyba trzeba wiać, szanowny panie – powiedział dorożkarz, kręcąc się na koźle niespokojnie. – Patrz pan, szkop tłucze tego Żyda kolbą. Aż żal patrzeć.

– Jedź na sąsiednią ulicę. Tam pomyślę, co dalej – nakazał Malinowski. – I nie bój się pan, zapłacę naprawdę dobrze.

– Służę uprzejmie! – Dorożkarz odjechał pospiesznie. Dopiero za rogiem ulicy zwolnił. – Co teraz?

– Objedź pan kwartał, a ja się zastanowię.

Gdy godzinę później wrócili w pobliże skweru, robotników i ich nadzorców już nie było. Malinowski rozejrzał się bacznie wokół, lecz nie zauważył żywego ducha. Mimo to coś kazało mu ponownie wysiąść z dorożki i rozejrzeć się po okolicy. Mosze leżał nieruchomo na boku. Wciąż zasłaniał ramionami zakrwawioną głowę.

– Chryste Panie, co ten bydlak ci zrobił? – mruknął pod nosem Apoloniusz. Gwizdnął głośno, a dorożka na umówiony sygnał podjechała bliżej. – Pomóż mi pan!

– Panie szanowny, za to czapa jest. Nie wolno pomagać Żydom. Mnie tam życie miłe – zaprotestował dorożkarz.

– Pięćset złotych, jak pan pomożesz, i drugie, jeśli dowieziesz nas na Solec. – Malinowski nie był rozrzutny, lecz miał doskonałe rozeznanie, kiedy można sobie pozwolić na negocjacje, a kiedy od razu wyjąć asa z rękawa. Tysiąc złotych, szczególnie

z perspektywy niezbyt majątnego dorożkarza, było kwotą, dla której warto zaryzykować, i kilkakrotnie przekraczało jego miesięczne zarobki.

– Zgoda. Ale w razie wpadki powiem, że mnie szanowny pan zmusił – zastrzegł się.

– Niech i tak będzie. Pomóż pan!

Wspólnymi siłami zatargali rannego do dorożki i położyli na podłodze. Dorożkarz wyjął z kufra końską derkę i okrył go łącznie z głową. Malinowski rozsiadł się na siedzisku. Dla pewności rozpiął płaszcz i jego poły rozrzucił najszerzej jak się dało.

– Najbliższą bramę mamy w stronę Królewskiej. Jedźmy tam, bo nadchodzi godzina policyjna, to będą więcej kontrolować – powiedział dorożkarz.

– Wiesz pan lepiej – zgodził się Apoloniusz.

Strach podszedł mu do gardła, gdy dojechali do podniesionych szlabanów i wartowników. Dorożka w takim miejscu musiała przykuwać spojrzenia, lecz okazało się, że pod latarnią bywa najciemniej. Strażnik spojrzał na Malinowskiego i zawahał się. A potem machnął karabinem, pokazując, że ma jechać dalej.

– Musiał pomyśleć, że szanowny pan to jakiś Niemiec albo przynajmniej folksdojcz – powiedział z ulgą dorożkarz, gdy wyjechali z dzielnicy żydowskiej. – Jak by nie było, ważne, że się udało.

– Nie chwał pan dnia przed zachodem słońca. – Malinowski siedział jak na szpilkach, a gdy dorożka wtoczyła się na podwórze przed rodzinną kamienicą, nadal miał nerwy napięte jak postronki. – Podjedź pan do pracowni najbliżej jak się da. Z tyłu są drzwi do magazynu – polecił cicho. – Ludzie już po robocie, więc może nikt nie zauważy.

Nie bez trudu zatargali Blumana do środka i położyli na podłodze. Majster nie odzyskał przytomności.

– Pewnie już wyzionął ducha, biedaczyna – zawyrokował dorożkarz.

– Może nie – odparł sucho Malinowski. Najchętniej przygadałby tamtemu, że mieli jęzorem po próznicy, lecz wolał sobie nie robić wroga. – Masz pan tutaj swoją dolę – powiedział i wyciągnął banknoty. Po namyśle dołożył do umówionej kwoty jeszcze sto złotych. – A to, żebyś pan dostał chwilowych kłopotów z pamięcią.

– Ja już nic nie pamiętam, proszę szanownego pana. – Dorożkarz skłonił się lekko i pospiesznie wyszedł.

Malinowski podszedł do Moszego. Stary majster wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Cały zakrwawiony, z twarzą tak spuchniętą, że gdyby nie miał na sobie charakterystycznej prążkowanej marynarki, Apoloniusz nie potrafiłby go rozpoznać.

– Wytrzymaj, przyjacielu. Idę po doktora.

## ROZDZIAŁ 12

1940

Dzielnica żydowska, coraz częściej nazywana przez jej mieszkańców i Aryjczyków po drugiej stronie murów gettem, sprawiała na Helenie przygnębiające wrażenie. Ogólny chaos związany z wyprowadzkami i napływem nowych mieszkańców powoli się kończył, lecz nadal widok wozów konnych wyładowanych lichymi meblami i pobrzękującymi garnkami nie należał do rzadkości. Strumienie ludzkie płynęły z getta na aryjską stronę i wracały, by zdążyć przed godziną policyjną.

Helena, podekscytowana czekającym ją spotkaniem z Poldkiem i synem, opuściła swoje maleńkie mieszkanko na Krochmalnej i poszła w stronę bramy prowadzącej na Królewską. Zwykle spotykali się w niedzielę, lecz tym razem udało im się umówić na sobotę. Im bliżej była bramy, tym gęstszy stawał się tłum. Ktoś nadepnął jej na stopę, więc odskoczyła i spojrzała na mężczyznę z oburzeniem.

– Proszę uważać! – powiedziała szorstko.

– Panienska wybaczy, to niechcący. Tłum taki...

– Co tu się właściwie dzieje? – Helena wskazała brodą bramę. – Wszyscy w sobotę postanowili przejść na aryjską stronę?

– Dzieje się coś dziwnego – odparł mężczyzna. – Nie wiem, jak panienska, ale ja stąd umykam, zanim stratuja. Niech pani zobaczy, za nami coraz gęstszy tłum, zaraz nas zgniotą.

Helena była zbyt niska, żeby zobaczyć to, co znacznie od niej wyższy towarzysz dojrzał ponad głowami innych ludzi, lecz odczuwając coraz większy ścisk, zaczęła się wycofywać, trzymając się pleców mężczyzny. Odetchnęła z ulgą, gdy wydostała się z tłumu, który właśnie zaczynał falować, a wokół poniosły się głosy oburzenia i powtarzane z ust do ust wiadomości.

– Co tam się dzieje? – Mężczyzna rzucił pytanie do stojących przed nim osób.

– Panie, zamknięte! Tak mówią ci z przodu. Nikogo nie wypuszczają!

– Jak to nie wypuszczają? – zdziwiła się Helena. – A kiedy zaczną?

– Pewnie nigdy – odparł ponuro mężczyzna. – W każdym razie jeśli miała pani jakieś plany, to radzę skorzystać z telefonu i je odwołać. Dopóki jeszcze jakieś telefony działają – roześmiał się z goryczą.

– Ależ to nie ma sensu! Ja pracuję poza gettem, jak niby mam się dostać do szpitala?



– Może dadzą jakieś przepustki. Ale o spacerkach do miasta raczej można zapomnieć.  
– Jak oni tak mogą? Przecież to się w głowie nie mieści! Czy my jesteśmy jakimś bydłem, żeby zamykać nas jak w zagrodach? – Helena, nie czekając na odpowiedź, wściekła odwróciła się na pięcie i odeszła. Wolała się nie zastanawiać, kiedy znów będzie mogła spotkać się z Poldkiem i zobaczyć syna.

Za nic nie odważyłyby się zadzwonić do kamienicy Malinowskich, więc zamiast tego skontaktowała się z Michałem, a ten uspokoił ją, że z pewnością będzie mogła w poniedziałek iść do pracy na podstawie kenkarty.

Helena nie wiedziała, co zrobić z wolnym dniem. Listopadowa aura nie zachęcała do spacerów, powrót do ciasnego, ponurego mieszkanka na Krochmalnej też nie przedstawiał się zbyt atrakcyjnie. Na kawiarni nie zamierzała wydawać pieniędzy. Ceny w getcie były jeszcze wyższe niż w pozostałych dzielnicach Warszawy, a przecież i tam Heli nie było stać na wizytę w lokalu. Inna sprawa, że polscy restauratorzy mieli zakaz obsługiwania żydowskiej klienteli.

Dziewczyna szła ulicami getta, zatopiona w niewesołych myślach. Minęła budynek sądów, o którym słyszała, że stojąc na granicy dzielnicy żydowskiej i strony aryjskiej, służy jednocześnie obu społecznościom. Jedno wejście, od Leszna, było dla Żydów, a brama na stronę aryjską wychodziła na ulicę Ogrodową. W budynku ludzie mieszały się dość swobodnie. Żadna segregacja nie mogła być bowiem ważniejsza od litery prawa.

Za sądami już z daleka widać było strzelistą wieżę kościoła Świętego Augustyna. Hela pod wpływem impulsu poszła w jego stronę. Była ciekawa, czy w dzielnicy żydowskiej wciąż mogą funkcjonować katolickie kościoły. Przecież wielu nowych mieszkańców getta było ochrzczonych i praktykujących. Choć od śmierci ojca Helena ani razu nie była w kościele, to gdy weszła do cichej świątyni, poczuła ulgę. Usiadła w pustej ławce i zapatrzyła się w ołtarz. Nawet nie do końca go dostrzegała. Jej myśli całkowicie wypełniał Poldek i ich dziecko. Helena zatopiała twarz w dłoniach i zaczęła bezgłośnie płakać.

\*\*\*

Ignacy rozejrzał się bacznie po zaśniewonym parku Sieleckim. Nerwy miał napięte do granic możliwości i co chwilę wyrzucał sobie, jakim idiotą był, wciągając Krysię do organizacji. Trzeba było zostawić ją w spokoju, niechby realizowała względnie bezpieczne zadania łączniczki w Szarych Szeregach. Skąd w ogóle pomysł, żeby szkolić ją na likwidatora? Wiedział, że działał pod wpływem wzburzenia, gdy jej to zaproponował, miał też świadomość, że dziewczyna podczas szkolenia wykazała się wieloma talentami, ot choćby strzeleckim. Umiejętnościami zdobytymi w krótkim czasie mogłaby zawstydzić niejednego chłopaka. Nie brakowało jej też opanowania, odwagi i roztropności. Jednak umysł Ignacego odrzucał te wszystkie argumenty, które wcześniej wydawały się

racjonalne. Co więcej, działał na własną rękę. Dowództwo nie miało pojęcia, że to właśnie Krysia wymierzy do skazańca. Ona miała jedynie go wystawić. Ignacy uznał jednak, że dla sfrustrowanej Krysi to za mało, że jeśli nie zgładzi wroga własnoręcznie, w dalszym ciągu będzie uważała, że nie pomaga należycie sprawie.

A teraz bał się o to, jak Krysia poradzi sobie z zadaniem. Do tej pory mierzyła jedynie do tarczy i kukieł. Tym razem miała zastrzelić z premedytacją prawdziwego człowieka. Wszystko mogło pójść nie tak.

Sama ofiara też nie ułatwiała zadania. Był nią uroczy, przystojny młody człowiek o aparycji cherubina. Falowane jasne włosy otaczały piękną twarz, a błękit oczu aż zapraszał, żeby w nich zatonać. Ignacy wiedział oczywiście, że na Krysi ów mężczyzna nie robił najmniejszego wrażenia, w końcu dla szmalcowników żaden porządny człowiek nie ma cienia litości, lecz czy w kluczowym momencie dziewczyna się nie zawaha?

Ignacy osobiście zadbał o to, żeby Krystyna bardzo dokładnie wiedziała, z kim ma do czynienia i jakimi zbrodniami łajdak podpisał na siebie wyrok podziemia.

– Niemcy zamknęli getto zaledwie dwa miesiące temu, a ten sukinsyn zdążył już zadenuncjować kilkadziesiąt osób uciekających przez sądy na Lesznie. Ja wiem, że szmalcowników kręci się tam wielu i każdy zasługuje na kulkę, jednak prawie każdy z nich po prostu chce pieniędzy. Większość ofiar ma wykupne, więc sporo Żydów się ratuje, ale nasz chłopaczek zbyt pilnie słuchał nauk swojego idola Hitlera. Robi to z czystej, niczym niezmaconej nienawiści do Żydów. Jest nieprzekupny – wyjaśnił, gdy spacerowali po Marszałkowskiej tydzień wcześniej.

– Co za hiena! – odparła wstrząśnięta dziewczyna.

– Właśnie. Dla takich nie ma miejsca na świecie. – Ignacy pogłaskał dłoń Krysi na swoim ramieniu.

Choć wszystko, co jej powiedział, było prawdą, część faktów zataił. Nie miały znaczenia dla jej zadania, a być może wpłynęłyby na jej ocenę sytuacji. Szmalcownik, choć niewątpliwie zasługiwał na śmierć, z pewnością nie stanowił ważnego obiektu z punktu widzenia dowództwa. Na celowniku pojawił się dlatego, że jego gorliwość mogła zagrozić w spotkaniach ważnych osób z dwóch stron muru. Los zwyczajnych Żydów, którzy wpadali w łapy socjopatycznego blondyna, nie interesował dowództwa z prostego powodu: nie miało to wpływu na działania podziemia.

Z kolei on nalegał, żeby to właśnie jemu i Krysi przydzielono tę akcję. Szmalcownik nie był wyszkolonym agentem, nikim, kto miałby do czynienia z bronią lub choćby ćwiczył kiedyś boks. Zaatakowany bezpośrednio nie zacznie się instynktownie bronić. To dawało Krysi przewagę. Szmalcownik miał być w miarę pewnym chrztem bojowym. Oczywiście ubezpieczający ją Ignacy trzymał się jak najbliżej, w każdej chwili gotów włączyć się do akcji.

Serce zabiło mu mocniej, gdy w alejce ukazała się dziewczyna. Szła pod rękę ze szmalcownikiem i śmiała się zalotnie w odpowiedzi na słowa towarzysza. Ot, urocza

para spacerująca boczną alejką parku, z dala od ludzkich oczu. Poderwanie szmalcownika nie zajęło Krysi zbyt wiele czasu. Wystarczyła wizyta w jego ulubionej kawiarni, zaaranżowane oblanie go kawą i gorące przeprosiny wraz z zaproszeniem na ciastko w ramach zadośćuczynienia. Dzisiejszy spacer był efektem ich drugiego spotkania.

– Nigdy nie sądziłam, że można tak fortunnie oblać kogoś kawą. Przecież gdyby nie to, nie spacerowalibyśmy teraz w tej uroczej scenerii. Czy pan również lubi taką bajkową zimę? – Krysia, szczebiocząc słodko, przeszła tuż obok Ignacego, skrytego za krzewami. Wiedziała, że tam jest, lecz nie wykonała najmniejszego ruchu głową, żeby go nie zdradzić. – Ach, może podejźmy nad staw? Jeszcze mróz nie zdążył ściąć wody, ale pewnie wkrótce będzie tu niezłe lodowisko – roześmiała się perliście.

Szmalcownik tylko potakiwał wpatrzony cieleco w Krysię. Wbrew wszelkiej logice Ignacy poczuł zazdrość i mocniej zacisnął palce na rękojeści pistoletu. Tymczasem para podeszła do brzegu spokojnego stawu. Dziewczyna przykucnęła i wskazała palcem na coś w lustrze wody. Jej towarzysz spojrział zaciekawiony, a ona strąciła mu z głowy kapelusz, który upadł pod jego stopy. Przychylił się, by podnieść zgubę, a Krysia prześlizgnęła się jak wąż za jego plecy i wyciągnęła wyćwiczonym gestem pistolet.

– W imieniu Polski podziemnej skazuję cię na karę śmierci za zdradę ojczyzny – powiedziała. Nawet nie zadrżał jej głos. Strzeliła szmalcownikowi w tył głowy, gdy tylko przebrzmiało echo ostatniego słowa. Mężczyzna runął twarzą do wody.

Dopiero teraz do Krysi dotarło, co zrobiła. Zamiast uciekać, opuściła pistolet i patrzyła bez ruchu na krew barwiącą wodę.

– Wiejemy! – Ignacy zareagował natychmiast. Odebrał jej broń i wcisnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Pociągnął Krystynę za rękę w stronę zarośli. Pamiętając o śladach, kluczył chwilę w świeżym śniegu w stronę przeciwną do kierunku dalszej ucieczki. Dopiero gdy się upewnił, że mogą bezpiecznie wyjść na odśnieżony chodnik, zwolnił kroku i zmusił Krysię do tego samego. Po głównej alei parku spacerowało nieco ludzi, więc szli powoli wśród nich w stronę wyjścia.

– Udało się! – powiedziała Krysia triumfalnie, gdy tylko wyszli za bramę.

– Nie zatrzymuj się, nie zwracaj na siebie uwagi. Za rogiem rozdzielamy się i każdy idzie do domu okrężną drogą – Ignacy sucho wydał rozkaz.

– Ale chyba jesteś ze mnie dumny? – Przekrzywiła z przekorą głowę.

– Jestem – odparł i nieznacznie się uśmiechnął.

\*\*\*

Święta u Malinowskich jak zwykle musiały być ponad stan. O ile jeszcze Wigilię spędzili w gronie najbliższych, ze względu na godzinę policyjną utrudniającą spotkania towarzyskie, o tyle na śniadanie w pierwszy dzień świąt jak zawsze zaproszono rodzinę Melnerów. Stół uginał się od mięs, sałatek i ciast.

– Na co nam to wszystko, Apoloniuszu? – westchnęła Maria. – Toż to obraza boska tak się objadać, kiedy ludzie umierają wokół z głodu.

– A to Bóg zagląda ludziom do spizarek? – zażartował Malinowski. – Nie będę rodziny głodził dlatego, że gdzieś jacyś biedacy nie mają co do gara włożyć. Ty też sobie tym głowy nie zaprzataj, tylko się ciesz, że masz w domu dostatek.

– Cieszę się, ale ludzie zaczną w końcu gadać. Nie powinniśmy obnosić się z tym, że mamy pieniądze. Nie w dzisiejszych czasach. W końcu ktoś nas, nie daj Boże, napadnie i okradnie.

– Przestań krakać, babo! – ofuknął ją Apoloniusz.

Ciotka podniosła oczy do nieba i poszła do kuchni przypilnować bigosu. Malinowski spojrzał na Poldka siedzącego po jego prawicy. Nic nie mógł na to poradzić, lecz widok chłopaka rozrzewniał go od czasu cudownego ocalenia. Pomimo koszmaru wojny, piętrzących się komplikacji urzędowych przy prowadzeniu przedsiębiorstwa i rosnących podatków Malinowskiemu żyło się całkiem znośnie. Choć jeszcze rok temu jego jedyną rodziną był tylko mały Polduś, teraz miał przy sobie obydwu synów i wnuczkę. Łaskawie się los obszedł z jego rodziną.

– Coś taki markotny, synu? – zapytał.

– Nie, wszystko w porządku, wydaje się ojcu – odparł pospiesznie Poldek i uśmiechnął się z przymusem. Nie mógł przecież wyjaśnić, że spojrzał na syna, który przez ostatnie miesiące urósł i zmienił się tak bardzo, że Helena z pewnością by się zdziwiła. Nie widziała Poldusia od dnia, gdy zamknęły się bramy getta. Czasami Poldkowi udawało się zobaczyć kochankę pod szpitalem na Czystem, lecz zazwyczaj jedynie z daleka. Grupa pielęgniarek i uczennic szkoły pielęgniarskiej zwykle szła do pracy w zwartym szyku, a on nie miał pewności, czy nie napyta Helenie biedy, gdy podejdzie. Podziwiał więc dumnie wyprostowane kobiety w granatowych, szerokich pelerynach. Te należące do uczennic podszyto granatowym sukniem, a instruktorek niebieskim. Bywało, że szła na ich czele dyrektorka. Jej płaszcz miał czerwoną podszewkę. Pielęgniarki roztaczały wokół siebie aureę majestatu, a ich schludne, odprasowane mundurki przywodziły na myśl minione czasy. Przechodnie przystawali na ich widok, niektórzy pozdrawiali kolumnę kobiet, uchylając kapelusza.

Raz Poldkowi udało się podejść do Heleny, gdy jedna z uczennic poślizgnęła się na lodzie i niefortunnie upadając, złamała rękę. Zrobiło się zamieszanie, które Poldek natychmiast wykorzystał.

– Helu! U Poldusia wszystko dobrze, zdrów i rośnie jak na drożdżach. A co u ciebie? – zapytał pospiesznie.

– Nie jest źle. Noszę ten list od dawna, z nadzieją, że będę mogła ci go przekazać. – Helena błyskawicznie wsunęła mu w rękę złożoną kartkę papieru. Przytrzymał jej palce, czując, jak zalewa go fala wzruszenia.

– Napiszę odpowiedź. Będę tu przychodził, kiedy tylko się da. Helu, Kocham cię. Słyszysz? Nigdy o tym nie zapominaj! – szepnął.

– I ja cię Kocham – odparła. – Ale teraz lepiej już odejść. Jeszcze jakiś szmalcownik nas wypatrzy.

Poldek zacisnął na chwilę powieki, żeby odgonić niewesołe wspomnienia. Przy świątecznym stole było gwarno i wesoło, a on marzył tylko o tym, żeby się stąd wynieść. Dobrze, że przynajmniej nie musiał dzielić pokoju ze swoją obojętną na wszystko żoną. Choć wszyscy liczyli, że powrót Poldka wpłynie na nią pozytywnie, nic takiego się nie wydarzyło. Chłopak patrzył z zazdrością na Janka i Basię, wiecznie spoglądających na siebie z miłością, na ich czułe przelotne gesty i bezgraniczne oddanie małej Alince.

– Na smutki najlepszy kieliszek wódki – powiedział ojciec. Wstał, odchrząknął i uniósł kieliszek w stronę Melnera. – Drogi January, twoje zdrowie i naszej wspólnej rodziny – oświadczył uroczyście.

– Przede wszystkim zdrowie naszego gospodarza, drogi przyjacielu. – Melner również wstał i podszedł do Apoloniusza. Przepili do siebie, a potem ucałowali się w oba policzki i zaczęli poklepywać po plecach. – Wesołych świąt! – January zwrócił się do wszystkich.

– Nie masz wrażenia, że oni się zachowują, jakby nie było żadnej wojny? – Basia nachyliła się do Krysi.

– Owszem. I ze zdumieniem odkryłam, że to nawet dodaje otuchy. Przynajmniej dzisiaj – odparła Krystyna. – Chociaż tej wystawności nie pochwalam. Nie teraz, gdy w getcie taki głód. Mój Boże, nawet nie chcę myśleć, co tam się teraz dzieje. Słyszałam, że strzelają do małych dzieci za próbę przemylenia czegoś do jedzenia.

– Bardzo ciekawa, jak po czymś takim cholerne szkopy mogą sobie spokojnie śpiewać niemieckie kolędy – prychnęła Basia. Na myśl o Helenie jak zwykle ścisnęło jej się serce. Matkowała małemu Poldusiowi z całych sił, choć oczywiście ciotka Maria wtrącała się absolutnie we wszystko. Mimo to zawsze miała dla dziecka ciepłe słowo i traktowała je na równi z rodzoną córką.

Jedynym pocieszeniem dla Basi było to, że dzieci chowały się zdrowo, rozwijały się prawidłowo i żyły się jak prawdziwe rodzeństwo. Cóż z tego, skoro Hela nie mogła w tym uczestniczyć? Basia nie widziała przyjaciółki od jesieni, a jedyne wieści, jakie miała, to półsłówka Poldka z jego wypraw na Czyste. Im więcej o tym myślała, tym bardziej wątpiła, że kiedyś wróci normalność. Niemcy nie mieli w zwyczaju poluzowywać żadnych nakazów, a każdy kolejny miesiąc okupacji pokazywał, że może być tylko gorzej. Skoro zamknęli Helę za murami, to co będzie następne? Tym bardziej że nie zanosilo się na wyzwolenie Polski. Niemcy odnosili sukcesy na wszystkich wojennych frontach, co warszawiaków nieustannie przygnębiało.

Gdy przyjęcie wreszcie dobiegło końca i Apoloniusz pożegnał się wylewnie z Melnerem, Poldek odetchnął z ulgą, lecz wkrótce okazało się, że przedwcześnie.

– Chcę porozmawiać z tobą i Jankiem – oświadczył Malinowski. – Dzisiaj.

– Ojczy, Alinka jest zmęczona, chcieliśmy z Basią już wrócić do siebie. – Janek próbował się wymigać.

– Niech pójdzie i się zajmie dzieckiem, w końcu to babska powinność – odparł obcesowo Apoloniusz. – Ty też się synem nie przejmuj. Maria się nim zajmie, bo na Paulinę raczej nie ma co liczyć – westchnął. – Idziemy do pracowni.

– Do pracowni? – zdziwił się Poldek, puszczając mimo uszu przytyk do żony. – Chce ojciec iść do roboty w pierwszy dzień świąt?

– Ej, głupiś – roześmiał się stary rzemieślnik. – Tam nam baby nie będą brzęczały nad głowami. A i coś dobrego do wypicia się znajdzie. Tylko trzeba jakąś zagrychę zabrać.

– A dałby ojciec spokój z zagrychą. Już nic mi się nie zmieści – jęknął Janek. Nie przepadał za alkoholem i najchętniej umknąłby wraz z Basią na poddasze. Ale ojciec był nieprzejednany.

Poldek wzruszył ramionami i zaczął zgarniać na serwetkę plasterki pieczeni. Apoloniusz tylko cmoknął z niezadowolenia. Złapał talerz, nałożył wszystkiego po trochu i nakrył drugim.

– Trzymaj! I lepiej nie upuść – polecił Jankowi.

Obaj synowie ruszyli w milczeniu za ojcem do pracowni. Szli w ciemnościach, nie chcąc alarmować sąsiadów, zwłaszcza że niedługo zaczynała się godzina policyjna. Apoloniusz zapalił małą lampkę w pakamerze, podszedł do okna i sprawdził, czy jest szczelnie zasłonięte czarnym papierem. Na koniec pociągnął za klamkę, by się upewnić, że drzwi są zamknięte, choć chwilę wcześniej starannie je zaryglował. Jego synowie spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

– Poldek, wyjmij no z szafki flaszeczkę – nakazał Malinowski. – Tam, za dokumentami – dodał, widząc, że chłopak patrzy zdezorientowany. – Słuchajcie chłopcy. Każde słowo, jakie tu padnie, będzie przeznaczone tylko dla waszych uszu, absolutnie niczego nie wolno powtórzyć, zwłaszcza babom. To bardzo ważne. Zrozumiano?

– Zrozumiano – powtórzył Janek, a Poldek mu zawtórował. Obydwaj czekali, aż ojciec zacznie coś mówić, lecz on z zadziwiającą łatwością przesunął masywny regał z teczkami dokumentów. – Mój pomysł – pochwalił się. – Tyle lat stał nieużywany, a teraz jest jak znalazł.

– Co ojciec... – bąknął zbity z tropu Poldek. Zaczął podejrzewać, że stary oszalał, lecz on odchylił regał mocniej, a za nim pojawił się w ścianie otwór. Ze środka wyszedł człowiek.

– Witajcie, chłopcy – powiedział nabrzmiałym ze wzruszenia głosem.

– Pan majster! – Janek pierwszy doskoczył do Blumana i zamknął go w niedźwiedzim uścisku.

– Ostrożnie! – ofuknął go Malinowski. – Mosze miał złamaną rękę. Dopiero dochodzi do siebie.

– Przepraszam, panie Bluman – stropił się Janek.

– Nic nie szkodzi, Janku. Nic mi nie będzie, Apoloniuszu. – Majster uśmiechnął się do Poldka, który nie śmiał pójść w ślady brata, więc tylko szczyrzył zęby. – Witaj, miły chłopcze. Jaka to ulga widzieć cię całego i zdrowego.

– Dokładnie to samo chciałem powiedzieć, panie majster – odparł Poldek.

– Już wiecie, dlaczego macie trzymać język za zębami? – ponowił Malinowski. – Biłem się z myślami, czy wam mówić, ale jeśli mnie szlag trafi, to musi być ktoś, kto zadba o Moszego. Nie może stąd wyjść, dopóki trwa ta cholerna wojna.

Choć argument brzmiał racjonalnie, Poldek nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w głosie ojca zabrzmiała autentyczna troska. Spojrzał na niego uważnie i po raz pierwszy w życiu dopuścił do siebie myśl, że ten uparty, zniechęcony despota może nosić w sobie ziarenko człowieczeństwa. I to było zdecydowanie szokujące odkrycie. By nie powiedzieć – świąteczny cud.

\*\*\*

Konrad stał przed lustrem w mieszkaniu Franka i uśmiechał się do swojego odbicia. Kochanek objął go i położył mu głowę na ramieniu. Obydwaj byli przystojni, pasowali do siebie, lecz świat nigdy nie zobaczy ich jako pary.

– Byłem ciekawy polskich potraw świątecznych, więc poprosiłem gosposię, żeby przygotowała dla nas niespodziankę – powiedział Robertson. – Ale nie wiem, czy cokolwiek teraz zjem – roześmiał się. – Za dobrze wyglądasz w moim mundurze.

– Ty wyglądasz lepiej – mruknął Konrad. Odwrócił się od własnego odbicia, by nie patrzeć na mundur Wehrmachtu. – Wyjedźmy do Zakopanego, co ty na to? Mam serdecznie dość Warszawy.

– Chciałbym, lecz nie mogę. – Frank wyraźnie posmutniał.

– Dlaczego? Są święta.

– W tak niebezpiecznym miejscu nikt nie dostaje urlopów, mój kochany.

– Niebezpiecznym? Cóż więc powiedzieć o reszcie Europy? – Konrad ugryzł kochankę lekko w ucho, potem zsunął usta na jego szyję.

– Tam nikomu nie grożą rusek – odparł Frank.

– Przecież to sojusznicy. – Konradowi zabiło żywiej serce, lecz z całych sił powściągnął entuzjazm i zaczął od niechcienia muskać palcami umięśniony tors Robertsona.

– Polacy wiedzą najlepiej, jacy to sojusznicy – roześmiał się.

– Aż za dobrze – mruknął Konrad. – Ale przecież sojusz niemiecko-sowiecki wydaje się pewny.

– W życiu nie ma nic pewnego – westchnął Frank.

– Za dużo pracujesz, wiesz? A ja chcę zapomnieć o tej cholernej wojnie. Skoro nie da się robić filmów, to chcę żyć i wyjechać. Do Zakopanego – powiedział stanowczo. Wiedział, że nie powinien naciskać. Cierpliwością więcej osiągnie. Natarczywe dopytywanie się

o stosunki niemiecko-sowieckie tylko ściągnie na niego podejrzenia. Robertson był szczywanym lisem.

– Najchętniej zabrałbym cię do Bawarii.

– Ale utknęliśmy w Generalnej Guberni, więc mamy znacznie mniej możliwości. – Konrad z premedytacją zsunął dłonie na biodra Franka. Doskonale potrafił wcielać się w rolę. Nawet w takie, którymi głęboko pogardzał.

– Zatem dobrze! Pojedźmy do Zakopanego. Większość tamtejszych sprzyja naszej sprawie i wielbi Hitlera. Przynajmniej tam żyją rozsądni ludzie – odparł uradowany Frank.

– I jest tam kilka świetnych hoteli. Mam nadzieję, że wciąż przyjmują gości. – Konrad niemal się roześmiał, słysząc, że Niemcy mają nadzieję na ugłaskanie polskich górali. Nawet jeśli paru niemieckich oficjeli ugoszczono serdecznie u podnóża Tatr, nadal każdy z gazdów najchętniej wbiłby niemieckim żołdakom ciupagę prosto w łeb.

– Wybierz jakiś – powiedział dobrotliwie Robertson.

– Najpiękniejszy? – zapytał Konrad. – Taki dla nas?

– Tak!

Aktor wyplątał się z munduru i napał z pasją na kochanka. Gdzieś na szczycie miłosnej pasji nawiedziła go wizja Michała w mokotowskiej willi, lecz odpędził ją. I nie mógł nic poradzić na to, że jego miejsce zastąpiła smutna twarz Heleny.

Nigdzie jednak nie wyjechali. Pięknie jest marzyć i podróżować palcem po mapie, lecz rzeczywistość zwykle to boleśnie weryfikuje. Przez kolejne dwa tygodnie Frank wymawiał się od spotkań. Przepraszał i mówił, że ma mnóstwo pracy.

Konrad miał uczucia ambiwalentne. Z jednej strony cieszył się, że nie musi grać w tę pełną pożądania grę, w której coraz częściej się zatracił i nie potrafił zrozumieć własnych uczuć, z drugiej natomiast coraz mocniej niepokoił się, że Robertson go od siebie odsuwa.

Jego podenerwowanie wzrosło, gdy jakiś dzieciak przyniósł mu do domu karteczkę z nazwą miejscowości i godziną spotkania na stacji kolejowej. Smarkacz nic nie powiedział, tylko uchylił czapki i zbiegł z tupaniem po schodach.

– Podkowa Leśna? – mruknął pod nosem Konrad. – Dalej się nie dało?

Miejscowość była modna wśród dobrze sytuowanych warszawiaków. Wielu polityków, aktorów i arystokratów miało tu swoje wille otoczone ogrodami. Osiedlowe uliczki ułożone na planie półkola skrywały prawdziwe perełki architektoniczne.

W oznaczonym dniu Konrad czekał na stacji w Podkowie Leśnej. Choć wiadomość nie zawierała żadnych wskazówek, doskonale wiedział, że pochodziła od Muszkieterów. Pomimo wczesnej pory popołudniowej i bladego słońca na bezchmurnym niebie, było coraz chłodniej. Przed budynkiem dworca piętrzyły się górki brudnego śniegu, pozostałości po noworocznej śnieżycy. Wszyscy pasażerowie już dawno poszli w sobie tylko znanym kierunku, a Konrad sterczał samotnie przed wejściem do poczekalni. Właśnie miał zamiar do niej wejść, by choć trochę się ogrzać, gdy podszedł do niego



kolejny malec i gorączkowo gestykulując, nakłonił go, by się przychylił. Wyszeptał mu wprost do ucha adres.

– Gdzie to jest? Wiesz? – zapytał Konrad.

Chłopaczek wskazał drugą stronę uliczki i obsypane śniegiem sosny. Konrad poszedł we wskazanym kierunku i po krótkim marszu dotarł do posesji. Otoczona siatką, obsadzona wysoką roślinnością, nie wyglądała na zamieszkaną. Na próbę nacisnął klamkę furtki, a ta ku jego zdziwieniu ustąpiła bez jednego zgrzytu. Za nią rozpościerał się pokryty śniegiem rozległy ogród. Dostrzegł ślady wiodące poza zarośla. Domyślił się, że tędy wiodła alejka, lecz nikt jej nie odsńieżył. Wzruszył ramionami i klnąc w duchu na mokry śnieg, który sypał mu się do butów, poszedł w głąb posesji. Wkrótce dotarł do willi skrytej za kolejnym szpalerem drzew. Wszedł po kamiennych schodkach i zapukał do drzwi frontowych. Te otworzyły się natychmiast. Młoda służąca w odprasowanym fartuszk dygnęła przed nim i gdy tylko wszedł, odebrała od niego kapelusz i płaszcz.

– Państwo proszą do salonu – oznajmiła, wskazując dłonią kierunek.

Konrad uśmiechnął się do niej i podziękował uprzejmie, a dziewczyna aż się rozpromieniła. Było pewne, że rozpoznała w nim aktora filmowego. Jej mocodawcy musieli jej ufać, skoro zapraszali rozpoznawalnego człowieka do matecznika organizacji i pozwalali jej otwierać drzwi. Najwyraźniej mieli pewność, że nie rozplotkuje niczego wśród służby z sąsiednich domów. Nikt nie wyjaśnił Konradowi, że to miejsce jest ważne dla Muszkieterów, lecz intuicyjnie to odgadł. Dokładnie tak jak się spodziewał, w gustownie urządzonym salonie czekał na niego Kapitan i hrabina. Obydwoje wstali, gdy wszedł, i przywdziali profesjonalne uśmiechy.

– Przepraszamy za niedogodności, lecz musimy być ostrożni. Mam nadzieję, że nikt szanownego pana nie śledził? – zagaіła hrabina, podstawiając Konradowi pod nos dłoń w białej rękawiczce z miękkiej skórki. Było niemal pewne, że arystokratka kupiła je przed wojną w sklepie Malinowskiego na Nowym Świecie.

– Ależ zupełnie nie ma za co pani hrabina przepraszać. Środki ostrożności są zrozumiałe. Całuję rączki – odparł szarmancko Konrad. Chciał jeszcze dorzucić parę banałów, żeby zachować konwenanse, lecz Kapitan odchrząknął znacząco.

– Ostatni raport – powiedział i wskazał Konradowi kanapę. Obok niej stał intarsjowany, staromodny stolik, a nad nim unosiła się para z imbryka z kawą.

– Co z nim? – zapytał.

– Jest wspaniały, proszę nie brać tego do siebie. Słowa Robertsona, które był pan łaskaw w nim przytoczyć, potwierdzają nasze domysły. Są bezcenne – powiedział Kapitan.

– Nie do końca rozumiem – powiedział ostrożnie Konrad.

– Sowieci. Lejtnant Frank Robertson potwierdza doniesienia naszych ludzi. Mówiłem panu, że ten człowiek jest arcyważny dla naszej organizacji, dlatego za wszystko, co pan dla nas robi, odwdzięczymy się z nawiązką. Wystarczy poprosić. – Kapitan wstał z kanapy i zaczął krążyć po pokoju. – Te kilka słów z pańskiego raportu potwierdził wywiad na

najwyższym międzynarodowym szczeblu. Niemcy już wiedzą, że na Sowieciech nie można polegać. Stworzyli więc w Sulejówku tajną szkołę agentów, których przerzucają w głąb radzieckiej Rosji.

– Co to oznacza dla Polski? – Konrad spojrzął na zwierzchnika.

– Zapewne nic dobrego – westchnął Kapitan. – Da pan wiarę, że założyli tę swoją szkołę szpiegowską w rodzinnym domu świętej pamięci marszałka Piłsudskiego?

– Podobna bezczelność pasuje do butnych nazistów.

Pełna pogardy mina Wenera nie umknęła Kapitanowi.

– Jak pan sobie radzi z... zadaniem? – zapytał.

– Radzę sobie – odparł spokojnie. – Choć nie ukrywam, że z utęsknieniem czekam na jego koniec.

– Chciałbym móc powiedzieć, że już wkrótce, lecz obydwaj wiemy, że to niemożliwe. Pańska operacja jest jedną z najcenniejszych dla Muszkieterów.

– Przecież ja właściwie jak dotąd niczego sensownego nie zrobiłem – zaprotestował Konrad.

– Najlepsze dzieła potrzebują czasu – odparł Kapitan sentencjonalnie. – Wierzę, że pańska działalność już wkrótce okaże się dla organizacji bezcenna.

Konrad skinął krótko głową na znak, że przyjął jego słowa do wiadomości. Dowódca wysłał mu pokrępiający uśmiech, lecz to tylko pogorszyło sprawę. Do Wenera dotarło, że czeka go sporo zawirowań w życiu.

\*\*\*

W styczniu stało się w końcu coś, na co wszyscy w placówce na Czystem czekali, choć do końca nikt w to nie wierzył. Zapowiadane od listopada przeniesienie szpitala do nowych budynków w głąb getta weszło w fazę realizacji. Oczywiście bez najmniejszego poszanowania potrzeb pacjentów. Helena współczuła chorym, lecz jej myśli były zaprzątnięte własnymi kłopotami. Ewakuacja szpitala za mury oznaczała, że już więcej nie będzie ukradkowych spotkań z Polkiem, który wiernie niczym pies czekał za każdym razem, gdy szła do pracy. Wsuwali sobie ukradkiem do kieszeni liściki, z których Hela czerpała całą wiedzę o świecie poza gettem. Ona pisała do ukochanego o trudach życia, głodzie i coraz większej biedzie, lecz zawsze starała się przedstawić swoją sytuację w nieco lepszym świetle. Poldek głupi nie był, poza tym sporo wieści o tragicznej sytuacji w dzielnicy żydowskiej, jak upierali się ją nazywać Niemcy, docierało na stronę aryjską. Za każdym razem, oprócz liściku, w kieszeni Heleny lądowały niewielkie paczuszki z jedzeniem, o jakim w getcie mogłaby tylko pomarzyć. Najczęściej zjadała tylko część, ponieważ miała zapewniony posiłek w szpitalu, a resztę oddawała synowi sąsiadki. Chłopiec miał dwanaście lat, rósł, a przy tym był chudziutki jak trzcina. Poważne oczy na tle wymizerowanej buzi wydawały się nienaturalnie wielkie. Pomimo wychudzenia jego

brzuch napęczniał, lecz Hela wiedziała, że to opuchlizna będąca efektem choroby głodowej.

– Helu, dla ciebie mam szczególne zadanie – Michał spojrzał na kuzynkę. – Jak dobrze wiesz, nasza szkoła pielęgniarek ma w tej chwili niebywałe znaczenie. Pomijam oczywisty fakt, że siostry są teraz na wagę złota, lecz jest jeszcze jedna ważna rzecz. Placówka stanowi ostatnią legalną szkołę żydowską. Nie ma już żadnej innej, więc za chwilę urośnie do rangi symbolu. Szkoła musi trwać, żeby pokazać naszą niezłomność. Zobaczysz, wkrótce wszystkie rodziny będą chciały za wszelką cenę umieścić tu swoje córki.

– Na czym więc ma polegać moje zadanie? – zapytała Helena.

– Chciałbym, żebyś jako instruktorka zamieszkała w szkolnym internacie. Dziewcząt zaczniesz przybywać i będą potrzebowały życzliwej duszy. Myślę, że i tobie będzie różnie. Co o tym sądzisz?

– Zgadza się – odparła bez wahania. – Ale tylko pod warunkiem, że będę mogła pracować w szpitalu, jak do tej pory.

– Oczywiście. Wiesz, jak mi zależy, żebyś nie czuła się osamotniona. – Michał uśmiechnął się smutno.

Choć nie padło między nimi na ten temat nawet słowo, Helena doskonale wiedziała, że troska kuzyna wynika ze wstydu za zachowanie dziadka. Szmul nadal uparcie odmawiał poznania wnuczki i zaproszenia jej do domu. Na nic zdały się też perswazje matki. Sara próbowała przemówić upartemu starcowi do rozsądku, lecz ten nie chciał nawet słuchać.

Z Poldkiem ani z Basią nie było żadnego kontaktu. Podobnie z Manią, o którą Hela bardzo się martwiła, choć wiedziała, że dziewczyna jest pod dobrą opieką. Po raz kolejny pogratulowała sobie pomysłu oddania jej pod opiekę Konrada Wernera. Próbowała nie myśleć o tym, że jej przyjaciel zadawał się z Niemcami, choć w obecnym układzie paradoksalnie właśnie to zapewniało Mani bezpieczeństwo.

Jednak najbardziej dojmująca była tęsknota za Poldusiem. Cieszyła się, że jest poza gettem, za nic w świecie nie chciałaby go teraz odzyskać, lecz serce i tak ścisnęła jej rozpacz.

## ROZDZIAŁ 13

1941

Helena zatraciła się w pracy tak mocno, że gdy postanowiła spotkać się z ciotką Sarą, ze zdumieniem odkryła, że jest czerwiec. Pogodny, ciepły, choć w getcie się tego nie zauważało. Skąpa ilość ulicznej roślinności sprawiała, że właściwie każda pora roku w tym zapomnianym przez Boga miejscu była jednakowo szara i smutna. Jedynie nieba okupantowi nie udało się odebrać Żydom, a patrząc w nie, można było na chwilę uciec od rzeczywistości.

Niemcy znów zmniejszyli racje żywności, szmugiel zza muru był utrudniony, ludzie marli z głodu na chodnikach. Podobni do wysuszonych mumii, opierali się o mury kamienic, a obojętni na wszystko przechodnie mijali ich bez słowa.

Ciotka Sara jak kot zawsze spadała na cztery łapy. Przedsiębiorcza krewniaczka prowadziła teraz kawiarnię, co stanowiło niesłychany kontrast z biedą na zatłoczonych ulicach. Przez niewielką witrynę można było zobaczyć paterę z ciastkami, więc niejeden dzieciak stał z nosem przyklejonym do szyby, oczywiście do czasu, aż przepędził go stróż.

Wesoły dzwoneczek rozdzwięczał się, gdy Helena pchnęła drzwi. Ku jej zdumieniu wszystkie stoliki były zajęte, unosił się nad nimi zapach kawy. Dziewczyna nie miała pewności, lecz wydawało jej się, że prawdziwej. Klientela niewychudzona, w eleganckich ubraniach jadła niespiesznie, a Hela odniosła wrażenie, że przeniosła się w czasie do przedwojnia. W getcie wciąż byli majętni ludzie, którzy jakoś sobie radzili. To właśnie z myślą o nich ciotka urządziła lokal.

– Heleno! – Sara dojrzała ją od progu. Stała obok kontuaru i bacznie obserwowała salę. – Chodź, dziecko, na zaplecze. Schudłaś! Nie karmią cię w tej szkole?

– Karmią, ciociu. Tylko jakoś apetytu nie mam – zażartowała.

– Siadaj. – Kobieta skinęła głową kelnerce i przed Heleną pojawiły się pączki. Pachniały prawie tak dobrze jak te od Bliklego, na które dziewczyna chodziła w niedziele z ojcem. – Słyszałaś? Niemcy zaatakowali Sowiety. A taki to miał być odwieczny sojusznik – zadrwiła.

– Wszyscy słyszeli. I widzieli. Ruskie samoloty z czerwoną gwiazdą już sypnęły bomby na Warszawę.

– Ja ci powiem, że szkopy już jakiś czas to musieli szykować. Bo i po co by nam znów kazali zaciemniać papierem okna? – powiedziała z zadumą Sara. – Hitler oszalał. Zaatakował Grecję, Afrykę, a teraz się na ruskich rzucił.

– I niestety wszędzie wygrywa – westchnęła Helena. – Ma też innych sojuszników, więc Sowietom mu widać niestraszni.

– Nikt nie ma mocy, żeby zdobyć cały świat. Cała nadzieja w tym, że w końcu się przeliczy, a karta się odwróci. Oby. Ten koszmar nie może przecież trwać wiecznie.

– Ale tutaj w kawiarni całkiem jak w normalnym świecie... – zauważyła Helena i natychmiast zrobiło jej się głupio, bo uwaga zabrzmiała jak wyrzut.

– Staram się związać koniec z końcem – westchnęła Sara.

– Szefowa taka skromna, nawet się nie przyzna, że mamona z utargu idzie na żywienie matek i dzieci w stacji opieki – wtrąciła się kelnerka.

– A ty, Dorka, roboty nie masz, że tak tu stoisz i miałisz jęzorem po próznicy? – ofuknęła ją Sara.

Dziewczyna czmychnęła do sali, a Hela uśmiechnęła się do ciotki. Może i była szorstka w obyciu, co wymusiły na niej lata spędzone na Kercelaku, lecz w gruncie rzeczy Sara Gutman miała gołębie serce. Nie dziwił też wybór miejsca, do jakiego przekazywała wsparcie. W stacji opieki jej własny syn walczył o życie dzieci dotkniętych chorobą głodową. Helena też tam bywała z uczennicami szkoły i za każdym razem wychodziła bliska łez.

– Co słysząc u dziadka Szmula? – zapytała jak zwykle Helena. Nie miała pojęcia, dlaczego zachowywała się jak bity pies łaszący się do nóg okrutnego właściciela.

– Bez zmian. Modli się, jakby od tego zależało przetrwanie w getcie – powiedziała Sara z przekąsem.

– Jeśli mu pomaga...

– Powiedz lepiej, kochana, jak sobie radzisz z opieką nad dziewczętami? Sama jeszcze jesteś taka młodzietka, a już taką odpowiedzialność na siebie wzięłaś. Co to za czasy!

– Ciocia zapomina, że jestem już dorosła, a nawet urodziłam syna. Nie jestem już małą dziewczynką – uśmiechnęła się Helena.

– Dzieci stanowczo zbyt szybko rosną. – Sara nagle spoważniała. – Masz jakieś wiadomości zza muru? Wiesz, co u Poldusia?

– Nic nie wiem. Od miesięcy cisza. – Helena posmutniała. Skubała palcami pączka, lecz gula w gardle nie pozwalała przełknąć nawet kęsa.

– Napisz list. Spróbuję przeszmugłować na aryjską stronę. Nic nie obiecuję, ale może się uda.

– Naprawdę? Dziękuję cioci! Zaraz idę napisać!

– Ale może najpierw zjedz ciastko? – Sara pogłaskała ją po włosach i cofnęła dłoń, jakby zawstydzona własną wylewnością.

Helena wracała podniesiona na duchu. Przez całą drogę zastanawiała się, co napisze Poldkowi. Budynek szkoły przy ulicy Mariańskiej przed wojną należał do ubezpieczalni społecznej i dzięki staraniom Judenratu został przyznany pielęgniarcom. Żeby się do niego dostać, należało nacisnąć dzwonek, a drzwi otwierała dyżurująca uczennica. Za wejściem

wisiała ciężka kotara. Zawsze gdy za nią wchodziła, Heli wydawało się, że zasłania nędzę getta. Szkoła była przystanią normalności w tym nienormalnym świecie. W korytarzu, dobrze wyeksponowany, wisiał ogromny portret prekursorki pielęgniarstwa, Florence Nightingale. Na parterze znajdował się gabinet dyrektorki rządzącej szkołą żelazną ręką. Rygor w niczym nie odbiegał od tego przedwojennego. Sprawiało to wrażenie, jakby zwierzchniczka nie przyjęła do wiadomości, że szkołę przeniesiono do getta. Helę nieco to dziwiło, lecz po namyśle uznała to za krzepiące.

Na parterze szkoły, oprócz gabinetu, mieściła się sala wykładowa, a na dwóch piętrach sypialnie uczennic. W każdej z nich stało w rzędach dziesięć łóżek, regulaminowo posłanych bez najdrobniejszej fałdki. Najstarszy, trzeci rocznik spał na drugim piętrze, młodsze dziewczęta na pierwszym. Cisza nocna zaczynała się już o ósmej wieczorem.

Gdy Helena weszła do budynku, właśnie zakończył się wykład i uczennice opuszczały salę. W korytarzu zapanował harmider, lecz część dziewcząt ociągała się z wyjściem. To mogło oznaczać tylko jedno.

– Michał! – mruknęła pod nosem Hela.

Weszła do sali wykładowej i prawie się roześmiała na widok cielejących oczu wpatrzonych w chirurga. Helena musiała obiektywnie przyznać, że jej czarnowłosa kuzyn o błękitnych oczach mógł się podobać kobietom, a już na pewno zawrócić w głowie niejednej smarkuli. Otaczały go teraz wianuszkami i zarzucały pytaniami, jakby nie dość im było wiedzy z wykładu. Michał ze stoickim spokojem odpowiadał i zdawał się nie zauważać pełnych zachwyty spojrzeń. Helenę wypatrzył natychmiast.

– Serwus – przywitał się. – To już wszystko na dzisiaj, moje panny, dziękuję – pożegnał stanowczo uczennice i podszedł do kuzynki.

– To musiał być niezwykle interesujący wykład – skomentowała Hela z błyskiem w oku.

– Słuchały jak zaczarowane. – Michał wyszczerzył się w uśmiechu, lecz niemal natychmiast spoważniał. – Rozmawialiśmy o wszach. Gdzie ich szukać i czym grozi ich plaga. Tyfus szaleje, Heleno. Obawiam się, że już przestajemy sobie z nim radzić. Co nie jest dziwne, zważywszy na opłakane warunki w getcie.

– Nie wiem, co nas wykończy pierwsze, głód, Niemcy czy ten cholerny tyfus – odparła. – Idziesz już? Mogę cię odprowadzić kawałek. Wracam właśnie od twojej matki.

– Chętnie, ale jeszcze nie idę. Najpierw muszę porozmawiać z dyrektorką. – Michał rzucił niespokojne spojrzenie w stronę drzwi gabinetu.

– Czyżbyś się obawiał naszej Krowy? – szepnęła Helena.

– Tak ją nazywasz? – Parsknął śmiechem.

– Nie ja. Uczennice. Chociaż muszę przyznać, że pasuje jak ulał. Z całym szacunkiem dla jej ciężkiej pracy oczywiście. A po cóż idziesz na dywanik do jaśnie dyrektorki? Przeskrobałeś coś?

– Obawiam się, że dopiero przeskrobie. Nawet nie tyle ja, ile zarząd szpitala. Wiesz co, Helu? Ona cię bardzo lubi, więc chodź ze mną. Nic nie musisz gadać, wystarczy, że

wprowadzisz ją w dobry nastrój.

– Lubi? – zdziwiła się Hela. – Jakoś nie zauważyłam. – Zachichotała. – Ale dobrze, prowadź. Rodzinie wsparcia nie odmówię.

Luba Blum może i rządziła twardą ręką, lecz z pewnością nie zasługiwała na złośliwe przezwisko, jakie dla żartu nadały jej uczennice. Prowadziła szkołę wzorowo, a poświęcenie, z jakim o nią walczyła, wzbudzało powszechny szacunek. Wstała zza biurka, by przywitać gości.

– Dziękuję, że poświęca pan czas moim uczennicom, doktorze – powiedziała.

– To wyjątkowo mądre panny. Ma pani niezwykły instynkt, jeśli chodzi o dobór uczennic. – Michał skłonił się kurtuazyjnie.

– Dziękuję. – Dyrektorka wstała zza biurka i podeszła do okna. Zaczęła obserwować ulicę. – Ci ludzie cisnący się w tłumie... To mrowie kompletnej beznadziei doprowadza mnie do wściekłości. Na okupantów. I na mnie samą, bowiem nie potrafię ocalić tych umierających na ulicy dzieci.

– Możemy ocalić choć parę osób – powiedział Michał. – Trzeba jedynie przymknąć oko na dostarczane do szkoły metryki.

– O czym pan mówi? – zapytała dyrektorka.

– Gdyby udało się zaniżyć wymogi rekrutacji. Jest wiele dziewcząt, które może przyjąć szkoła. Problem w tym, że nie mają matury, a niektóre pewnie tylko skończyły przed wojną szkołę powszechną.

– Pan chce, żebym przyjęła tu dzieci?

– Dokładnie coś takiego proponuję – odparł spokojnie Michał. – Uchrońmy choć część tych dziewczynek przed brakiem edukacji. Nieśmy oświatę w jedyny sposób, jaki jest teraz możliwy.

– A co pani o tym myśli? – Dyrektorka spojrzała na Helenę.

– Dam z siebie wszystko, żeby nowe wychowanki znalazły tu bezpieczny dom – powiedziała Helena.

– Zgadzam się i popieram z całego serca – odparła dyrektorka. – Ale, panie doktorze, niech to nie będzie pospolite ruszenie, bo niepotrzebnie skupi uwagę Niemców na naszej placówce. Nie da się pomóc wszystkim, choć bardzo bym chciała. Poza tym muszę chronić uczennice ze starszych klas.

– Naturalnie, pani dyrektor. O wszystkim decyduje pani – odparł Michał.

– Zatem trzeba będzie zmienić metryki ubiegającym się o przyjęcie dziewczętom, żeby w dokumentacji wszystko się zgadzało. A ja udam, że nie widzę zbyt dziecinnych twarzy. Oczywiście utrzymanie w ryzach nowych wychowanek będzie dodatkowym obowiązkiem instruktorek. – Dyrektorka spojrzała surowo na Helę. – Zatem zaczynamy nabór na przyszły rok szkolny. Pańska w tym głowa, doktorze, żeby nie rozpętała się wokół tej sprawy żadna afera.

\*\*\*

Ciotka Maria jak co rano dołała łyżeczkę laudanum do kubka z mlekiem. Wymieszała płyn, buteleczkę z wywarem z opium schowała do kieszeni fartucha, po czym poszła obudzić Paulinę.

Do sypialni weszła jak zwykle bez pukania. Dziewczyna nadal spała sama w pokoju. Poldek zajął małą służbówkę i odmawiał dzielenia łóżka z żoną. Apoloniusz albo odpuścił temat, widząc, że sprawa jest beznadziejna, albo miał głowę zaprzątniętą czymś innym. Dziecka pod opieką niezrównoważonej Pauliny nie można było zostawić, więc spało w pokoju dziecięcym pod okiem służącej.

– Wstawaj, śpiąca królowo – powiedziała szorstko ciotka. – Czas na poranne mleko.

Paulina niechętnie otworzyła oczy, lecz usiadła posłusznie i wypła zawartość kubka. Działając jak automat, wstała z łóżka i poszła do łazienki. Ciotka Maria z westchnieniem spojrzała na kłęb ubrań ciśnięty niedbale na krzesło. Odnotowała w pamięci, żeby przysłać podkuchenną do sprzątania, kompletnie nie dbając o to, że nie leży to w zakresie jej obowiązków.

– No więc co ciotka dołała mojej żonie do mleka?

Maria odwróciła się gwałtownie i stanęła oko w oko z Poldkiem. Patrzył na nią zimno, dłonie miał zaciśnięte w pięści.

– Ogłuchła ciotka? – zapytał ze złością. – A może mam iść po policję, żeby sprawdziła, co ciotka wyprawia?

– Nie ośmieliłbyś się! – wyjąkała Maria, czując, że po raz pierwszy w życiu grunt osuwa jej się spod nóg.

Rozjuszony chłopak przycisnął ciotkę do ściany i wyszarpnął z jej kieszeni buteleczkę laudanum.

– Jak długo ciotka ją podtruwa? – wrzasnął. – Jeśli ktoś tu ma problemy psychiczne, to ciotka, a nie Paulina.

Do pokoju wszedł Apoloniusz, zwabiony wrzaskami.

– Poldek! Oszalałeś? Zostaw ją natychmiast! – krzyknął na syna. – Co tu się wyprawia, do ciężkiej cholery?

– Niech ojciec patrzy, co sekretnie ciotka podaje Paulinie. – Poldek podsunął ojcu pod nos butelkę.

– Mario! Możesz to jakoś wyjaśnić? – Malinowski spojrzał srogo. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Tylko raz. Wyjątkowo niespokojna wczoraj była – broniła się ciotka.

– Nieprawda, ojcze! – powiedział Poldek. – Obserwowałem ją przez kilka dni, żeby się upewnić. Za zasłoną w kuchni. Od dawna podejrzewałem, że z Pauliną jest coś nie tak. A ojciec zbyt łatwo uwierzył, że pogrzyżała się w smutku z powodu mojego zniknięcia. Tymczasem wróciłem, a poprawy żadnej nie było!

– Lepiej, żebyś miała dobry powód... – Rozsierdzony Malinowski podszedł krok bliżej.



– Musiałam coś zrobić, słyszysz? Musiałam! Dość wstydu się najedliśmy, gdy podcięła sobie żyły. Kiedy zniknął Poldek, bałam się, że ta wariatka znów sobie coś zrobi. Co sąsiedzi by o nas pomyśleli? A później, gdy Poldek się szczęśliwie odnalazł... – Maria umilkła.

– ...bała się ciotka przestać, żeby Paulina nie zaczęła kojarzyć, co tu się dzieje.

– A co się dzieje? – Z łazienki wyszła Paulina. W białej nocnej koszuli, z potarganymi włosami i nienaturalnie bladą twarzą wyglądała jak duch.

– Chodź! Pomogę ci się ubrać. Pojedziemy do twoich rodziców – powiedział miękko Poldek i wziął żonę za rękę.

– Nie odważysz się! – Malinowski wyglądał na przestraszonego. – Jeśli January się dowie...

– Paulina nie zostanie w tym domu ani chwili dłużej – odparł twardo Poldek. – A ciotka niech nawet nie podchodzi, bo pójdę na policję. Nie żartuję!

Apoloniusz Malinowski jeszcze nigdy nie widział syna tak wściekłego, a jednocześnie zdecydowanego, by postawić na swoim.

– Zabierz ją więc do matki, niech odpocznie kilka dni pod jej troskliwą opieką, ale na miłość boską nic nie mów, jeśli nie chcesz skłócić naszych rodzin! – spróbował negocjacji.

– Na to już za późno, ojczu. Paulinę musi obejrzeć lekarz. Kto wie, jakiej krzywdy narobiła ciotka tym podtruwaniem.

– Ja nie chciałam – szepnęła Maria. – Boże, jaki wstyd. Co ludzie powiedzą?

– Jakby to było najważniejsze na świecie! – huknął Poldek.

Godzinę później dorożka stanęła pod kamienicą Melnerów. Choć trwał ciepły sierpniowy dzień, Paulina była przeraźliwie blada, a gdy Poldek pomagał jej wsiąść, zauważył, że ma lodowate ręce. Wiedział, że czeka go ciężka przeprawa z Melnerami, lecz nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby zataić przed nimi tę sprawę. Nie kochał Pauliny, nie mógł na nią patrzeć, ale życzył jej dobrze i chciał się zachować przyzwoicie. Tak, jak nakazywała uczciwość.

Zgodnie z przewidywaniami Teresa zaczęła lamentować i wznosić ręce do niebios, Melner z kolei nerwowo gładził wąsy i z punktu poczerwieniał na twarzy, gdy Poldek powiedział, z czym przychodzi.

– Zamilcz wreszcie, kobieto, i córką się zajmij, zamiast mi tu histerie urządzać! Wyślij kogoś po doktora, niech dziewczynę przebada. – Melner ofuknął żonę. – Myśli skupić się nie da!

Gdy Teresa objęła córkę i wyszła z pokoju, January podszedł do barku i wyjął z niego butelkę samogonu i dwa kieliszki.

– Siadaj! – Wskazał zięciowi brodą krzesło. – Zaraz będziemy gadać, ale najpierw trzeba lufę wypić na uspokojenie nerwów.

Poldek nie oponował. Wprawdzie za alkoholem nie przepadał, ale teraz poczuł, że też chętnie by się napił.

– Jak Apoloniusz mógł do tego dopuścić? – zapytał Melner, gdy przełknął zawartość kieliszka.

– Nie wiedział. Nikt nie wiedział. Wszyscy myśleli, że to melancholia, ale uznałem, że zbyt długo to trwa.

– Moja wina. Za rzadko córkę odwiedzałem, nic nie zauważyłem! – January uderzył pięścią w stół.

– To wyłączna wina ciotki – odparł twardo Poldek. – Tylko co dalej robić?

– Paulina zostaje tutaj. Wróci na Solec tylko pod warunkiem, że Apoloniusz wyrzuci Marię z domu. To w ogóle nie podlega dyskusji – oświadczył Melner i ponownie nalał wódki do kieliszków.

\*\*\*

Krysia zamknęła pamiętnik i wsunęła go do torebki. Odkąd Paulina wróciła do ich wspólnego panińskiego pokoju, uciekała z niego najczęściej jak się dało. Na szczęście zajęcia na tajnych kompletach zajmowały jej pół dnia, a resztę czasu pochłaniała konspiracja. Po wykonaniu wyroku w parku Sieleckim nie otrzymała jak dotąd rozkazu udziału w likwidacji kolejnego zdrajcy, więc uznała, że z jakiejś przyczyny dowództwo nie było z niej zadowolone. Ignacy, gdy zwierzyła mu się z tych obaw, tylko się roześmiał.

– Krystyno, dobrych ludzi nie wykorzystuje się ot tak, tylko trzyma na specjalne okazje – powiedział. – Masz wygląd niewinnej dziewczynki, więc akurat o uznanie dowództwa nie musisz się martwić. Byli pod wrażeniem tego, jak poradziłaś sobie z zadaniem – skłamał. Zwierzchnicy nigdy nie dowiedzieli się, że to Krysia pociągnęła za spust.

Słowa dodały jej nieco otuchy, lecz mimo wszystko wolała być bardziej przydatna dla sprawy. Nieraz zastanawiała się, czy coś z nią nie tak, że zabicie człowieka właściwie nie odbiło się na jej psychice. Oczywiście, że niechętnie przywoływała z pamięci tamte obrazy, lecz nie nękały jej koszmary ani wyrzuty sumienia.

Krystyna wstała z ławki, gdy zobaczyła Ignacego zmierzającego w jej stronę sprężystym krokiem. Jak zwykle na jego widok oblała się rumieńcem, a serce zaczęło mocniej bić.

– Serwus! – przywitał się chłopak. – Spóźniłem się? – zapytał z niepokojem.

– Nie, skądże. Przyszłam wcześniej, bo nie mogę znieść siedzenia z siostrą w jednym pokoju.

– A co z nią? Lepiej już? – zainteresował się Ignacy.

– Na szczęście lepiej. Jakies zadanie na dzisiaj? – Krysia aż paliła się do udziału w akcji.

– Być może – odparł tajemniczo. – Chodźmy!

– Dokąd? – zapytała, ruszając za nim.

– Zobaczysz, niespodzianka. – Ignacy się roześmiał.

Krystyna spojrzała na niego z ukosa. Zawsze spięty, nerwowy, dzisiaj tryskał humorem, a na jego ustach błąkał się uśmiech. Ta wersja Ignacego podobała jej się jeszcze bardziej

niż chmurny buntownik wojujący z całym światem.

Bez dyskusji wsiadła do tramwaju i nie zadając żadnych pytań, pozwoliła się wywieźć aż za Żoliborz. Szli przez jakiś czas piaszczystą drogą, przekomarzając się i śmiejąc z byle czego.

– Lasek Bielański? – zdziwiła się Krysia, widząc przed sobą linię gęstych drzew. – Ignacy, jeśli przyszedł tu na akcję, to myślę, że najwyższa pora, żebyś mi powiedział, co właściwie mam robić.

– Cierpliwości. Już zaraz wszystko się wyjaśni.

Wrześniowy las szumiał zachęcająco, pachniał ziołami i kwiatami. Jakże łatwo było w takim otoczeniu zapomnieć o brutalnym świecie. I o tym, że Niemcy prą na wschód, w głąb Związku Radzieckiego, w dalszym ciągu niezwyrodnieni, siejąc wokół dzieło zniszczenia.

Mimo to Krystyna coraz bardziej spięta spoglądała na Ignacego. Uwielbiała być w jego towarzystwie, z każdym dniem utwierdzała się w przekonaniu, że zakochała się po uszy, jednak najczęściej ich spotkania miały związek z jakąś ryzykowną akcją, więc nie było nawet czasu pomyśleć o własnych uczuciach. Zresztą Ignacy od tamtego pamiętnego pocałunku po łapanie w Śródmieściu nigdy więcej się do niej nie zbliżył.

– Powiesz wreszcie, co się dzieje? – zapytała, gdy po kwadransie spaceru weszli na zaciszną polankę porośniętą fioletowymi wrzoscami.

Zamiast odpowiedzieć, Ignacy zanurkował za najbliższy krzak, a po chwili wyjął zza niego zwinięty w rulon koc i papierową torbę.

– Zapraszam pannę Krystynę na letni piknik – oświadczył z dumą. – Mamy wino owocowe i trochę jabłek.

– Nie mogłeś od razu powiedzieć? – Krysia bezwiednie uśmiechnęła się, gdy poczuła spływającą na nią ulgę.

– To by niespodzianki nie było – odparł.

– Ale nie szłabym do lasu z myślą, że zaraz mamy kogoś kropnąć. – Roześmiała się.

– Czujnym trzeba być zawsze. Nigdy nie wiadomo, czy się nie trafi jakaś robota – zażartował Ignacy i puścił do dziewczyny oko. – A teraz siadaj i poudawajmy, że spędzamy wakacje na Mazurach. Tylko jeziora brak, ale od czego człowiek ma wyobraźnię.

– Jeziora to akurat pamiętać nie chcę. Wiesz, że od tamtego dnia, gdy mnie uratowałeś, już nigdy więcej nie weszłam do wody? – zapytała.

– Nie dziwię się – odparł poważnie. – Nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdybym nie poszedł wtedy posiedzieć nad jeziorem.

– Nigdy byś mnie nie poznał.

– Nie potrafię sobie wyobrazić okropniejszej rzeczy – odparł.

– Dziwnie to brzmi, kiedy siedzimy w okupowanej Warszawie, gdzie w każdej chwili może stać się coś złego, ale doceniam, że to mówisz. – Roześmiała się.

– Mówię szczerą prawdę. Nie wyobrażam sobie świata bez ciebie. – Ignacy przysunął się na kocu bliżej dziewczyny, ujął delikatnie jej dłoń i pocałował nadgarstek. – Jesteś jedyną osobą, przy której czuję, że nie jestem zły do szpiku kości. Wydobywasz me głęboko ukryte i wątpliwe zalety.

– Ignacy, przecież ty jesteś dobrym człowiekiem – zaprotestowała.

– Tylko czy ty mnie tak do końca znasz? – Ignacy przypomniał sobie niemieckiego urzędnika poczty, któremu w zeszłym tygodniu skręcił kark nad Wisłą i obciążywszy mu kieszenie kamieniami, wepchnął do wody.

– Moje serce zna – odparła.

Ignacy przychylił się i pocałował Krysię. Świat zawirował, gdy objął ją ramionami i zaczął głaskać szczupłe plecy. Dłoń i ciało dzieliła jedynie cieniutka warstwa letniej jasnozielonej sukienki.

– Och, nie przestawaj! – powiedziała, gdy Ignacy z ociąganiem oderwał usta.

– Nie wystawiaj mnie na takie próby, dziewczyno, bo z kamienia nie jestem – ostrzegł żartobliwie.

– A może ja chcę cię wystawić na próbę? – odparła z przekorą.

Ignacy ponownie wpił się w jej usta, a pieszczoty z chwili na chwilę robiły się coraz bardziej żarliwe. Krysia oddychała ciężko, jej brązowe oczy pociemniały z pożądania. Nie protestowała, gdy męskie dłonie wsunęły się pod sukienkę i zaczęły wędrować w górę jej ud. Poczowała falę gorąca i cicho jęknęła. To otrzeźwiło Ignacego. Natychmiast się odsunął i przeczesał dłonią potargane jasne włosy.

– Stało się coś? – zapytała zdezorientowana.

– Nie chciałem posuwać się za daleko. Wybacz – bąknął zawstydzony.

– Ale ja się wcale nie gniewam. Chociaż trochę się gniewam, że przestałeś.

– Krystyno, za bardzo cię szanuję, żeby w ten sposób... – Ignacy umilkł, nie do końca wiedząc, jak dobrać słowa. – Na wszystko przyjdzie czas. Jesteś jeszcze bardzo młoda, a poza tym...

– Co poza tym?

– Nic. Już nic więcej nie chcę powiedzieć – odburknął. Jak mógł powiedzieć dziewczynie, która nawet nie zadeklarowała uczuć do niego, że na miłość cielesną przyjdzie czas po ślubie? Zresztą kto w czasie wojny planował małżeństwo? Liczyło się to, żeby przeżyć, a nie zakładać rodzinę.

\*\*\*

Wczesną jesienią szkoła pielęgniarek w getcie zapełniła się nowymi uczennicami. Wszystkie bardzo niedojrzałe, młodziutkie, choć z fałszowanych metryk wynikało, że każda rzekomo zdała maturę. Dyrektorka, tak jak obiecała, przymknęła oko na wiele spraw, więc w szkolnym budynku dokazywały nawet dwunastoletnie dziewczynki.

Szacowna placówka, a przede wszystkim pracujące w niej instruktorki musiały nieźle się natrudzić, żeby utrzymać młódki w ryzach. Nie chodziło już nawet o sprostanie wymaganiom dyrektorki, choć te, niezależnie od okoliczności, były wyśrubowane, lecz żeby zachować pozory w przypadku inspekcji. Zbyt wiele było do stracenia, gdyby fortel się wydał.

– Czy ja dobrze zrozumiałam, że nowe uczennice urządziły wojnę na poduszki w sypialni na pierwszym piętrze? – Dyrektorka zaczepiła Helenę, gdy ta szła z naręczem gazików do sali wykładowej na parterze. Szykowała dla dziewcząt pokaz opatrywania ran, a później zaplanowała robienie zastrzyków lalce treningowej będącej na wyposażeniu szkoły. Domięśniowych, oczywiście, jako że dożyłne mogli wykonywać jedynie lekarze.

Helena spojrzała na dyrektorkę i ostatkiem sił powstrzymała się od parsknięcia śmiechem. Kobieta wyglądała na autentycznie wstrząśniętą, że kilka smarkul odważyło się wymyślić niewinną zabawę w wojnę na poduszki. Przełożona ze stoickim spokojem zносиła prawdziwą wojnę za oknem internatu, a do palpacji serca doprowadzały ją przekrzywione koce i pomarszczone prześcieradła.

– Rzeczywiście, miał miejsce haniebny incydent, lecz sytuacja została całkowicie opanowana – odparła Helena, zachowując kamienną twarz.

– Prześcieradła nie mają prawa mieć choćby jednej fałdki, a panny powinny zachowywać się godnie! Wprowadzam całkowity zakaz przebywania w sypialniach poza godzinami nocnego spoczynku – oświadczyła dyrektorka.

– Oczywiście, pani dyrektor. – Helena wyszczerzyła zęby, gdy tylko zwierzchniczka odwróciła się na pięcie i oddaliła się z godnością w stronę swojego gabinetu.

Dziewczyna doskonale rozumiała, dlaczego tak ważne jest okiełznanie dokazujących uczennic, lecz nic nie mogła poradzić na to, że ich śmiech był jedynym pocieszeniem, a dziecięce psoty wносиły w ponure życie getta okruczność normalności. Trzeba było zresztą uczciwie przyznać, że wszystkie panny, być może pouczone przez zatroskanych rodziców, przykładały się do nauki, pomagały chorym, gdy zabierano je na praktyki do dziecięcego szpitala na Lesznie i zakaźnego na Stawkach. Dopytywały o konkretne przypadki, głęboko współczuły chorym głównie z niedożywienia maluchom i z poświęceniem oklepywały im plecy spirytusem.

Dni wypełnione pracą mijały jeden za drugim, uczennice wciąż wspinały się na wyżyny pomysłowości, jaką psotę jeszcze urządzić, a niektórym udawało się nawet wymykać po ciszy nocnej, żeby odwiedzić swoje rodziny. Proceder był niezwykle niebezpieczny, bo funkcjonariusze policji żydowskiej mieli rozkaz wyłapywania ludzi nieprzestrzegających godziny policyjnej. To, wszechobecny głód i szerzący się wciąż tyfus były zresztą w ostatnich miesiącach najważniejszymi bolączkami mieszkańców getta. Niemcy zazwyczaj nie wtrącali się do wewnętrznych spraw, na ulicach panował względny spokój, co było dziwne i wzbudzało w ludziach zwodnicze poczucie bezpieczeństwa. Helena wielokrotnie zastanawiała się, jak to możliwe, skoro śmierć głodowa wyglądała zza

każdego rogu ulicy. Być może brak strzelanin i łapanek wystarczał, żeby poczuć nadzieję na przetrwanie?

Drzwi wejściowe zatrzasnęły się, ciężka kotara opadła na miejsce z charakterystycznym szelestem, więc Hela natychmiast poszła sprawdzić, co się dzieje. Przy wejściu dyżurowała wprawdzie uczennica, lecz ostatnimi czasy lepiej było mieć oczy naokoło głowy.

Ciotkę Sarę poznała już z daleka, choć ta musiała ostatnio zrezygnować z tlenionych włosów i wróciła do ciemnych. Ucieszona spotkaniem Hela przyspieszyła kroku i uściskała krewniaczkę serdecznie.

– Pięknie tu – powiedziała Sara, rozglądając się po eleganckim wnętrzu. – Można zapomnieć o tym, co za drzwiami – dodała, nieświadoma faktu, że właściwie każdy, kto przekraczał próg szkoły, miał identyczne spostrzeżenie.

– Ciociu, co za niespodzianka! Zejdźmy na dół do kuchni, przygotuję coś do picia.

– A może to i dobry pomysł. Szłam szybko, to w gardle zaschło.

– Czy coś się stało? – zaniepokoiła się Hela.

– Chodź, na osobności pogadamy – odparła enigmatycznie Sara.

Kuchnia i jadalnia szkoły pielęgniarskiej mieściły się w suterenie budynku i na przekór trudnościom żywnościowym starały się trzymać fason. Ubogie racje chleba podawano więc uczennicom na eleganckich talerzykach stojących co rano na śnieżnobiałych obrusach czteroosobowych stolików. Ciotka rozejrzała się z uznaniem i pokiwała głową.

– Coś się stało? – ponowiła pytanie Helena, spodziewając się jakichś złych wieści. W getcie raczej trudno było liczyć na dobre.

– Przyszedł list do ciebie. Nie chciałam tak na oczach ludzi wyjmować. Teraz nikomu nie można ufać, Helu. Mam nadzieję, że uważasz na siebie i masz co jeść? Znów schudłaś! – Ciotka cmoknęła z dezaprobatą.

– List! Mówiła ciocia o liście! – zniecierpliwiła się Helena.

– No tak, faktycznie – zreflektowała się Sara. – Za rzadko się widzimy i dlatego mówię o wszystkim naraz. Nie odbieraj tego jako wypominania, dziecko. Wiem, że ciężko pracujesz. Proszę, to dla ciebie. – Wręczyła Helenie pomietą kopertę. Była otwarta, lecz dziewczyna nawet nie zwróciła na to uwagi. W czasach, gdy za byle co można było dostać kulkę, żaden posłaniec nie podejmował się misji przeniesienia korespondencji bez sprawdzenia treści.

– To od Poldka – wyszeptała bez tchu. – Czyli musiał dostać mój list.

– Trochę to trwało, ale jak widzisz, dotrzymałam słowa. – Sara przekrzywiła głowę i spojrzała filuternie na siostrzenicę.

– Dziękuję. Ciocia jest najlepsza na świecie – wyznała z niemal dziecinnym zachwytem.

– A na pewno w całym getcie. – Ciotka mrugnęła i poklepała Helę po ramieniu. – Pójdę już. Pewno nie możesz się doczekać, żeby przeczytać.

– Niech ciocia jeszcze zostanie – zaprotestowała gorąco dziewczyna, lecz nie spuszczała oczu z koperty.

– Odwiedź mnie niedługo w kawiarni, dziecko. Byłabym zapomniała! – Sara wyjęła z kieszeni zawinięte w serwetkę ciastko i wsunęła Heli do ręki. – Bywaj, kochana.

Helena pożegnała ciotkę, wsunęła słodki podarunek do kieszeni fartucha, a potem przysiadła na krześle stojącym obok jadalnianego stolika i zaczęła gorączkowo czytać.

## ROZDZIAŁ 14

1941

January Melner nawet nie ściągnął zimowego palta ani butów, tylko od razu wszedł do salonu, wymachując „Nowym Kurjerem Warszawskim”.

– To teraz wreszcie szkopy będą się miały z pyszna! – ogłosił triumfalnie.

– January, bój się Boga, podłogi już pastowane na święta, a ty w ubłoconych buciorach włączysz? – rozdarła się Teresa.

– I jeszcze tę gadzinówkę ojciec przynosi – mruknęła Paulina.

Krysia spojrzała na siostrę. Z każdym dniem coraz bardziej przypominała dawną siebie. Nadal bywała rozkojarzona, lecz w końcu oprzytomniała i zaczęła o siebie walczyć. Oczywiście Krystyna nie była zachwycona, że znów nie ma pokoju tylko dla siebie, lecz postępy siostry na drodze do odzyskania zdrowia ją cieszyły.

– A co tak ojca uradowało? – zapytała.

– Otóż wyobraź sobie, moje dziecko, że Ameryka w końcu wypowiedziała szkopom wojnę! Tym razem obłąkany Hitler chyba nie docenił przeciwnika! – zarechotał Melner.

– To samo mówiłeś, jak Niemcy zaatakowali ruskich – wtrąciła się Teresa.

– A daj spokój, na polityce się nie znasz. Idź lepiej te swoje potrawy na święta szykuj. Trzeba się pokazać u Malinowskich – odparł January z roztargnieniem i podał Krysi gazetę.

– U Malinowskich? – Lodowaty ton żony przykuł uwagę Melnera. – Chyba sobie żarty stroisz. Nie chcę tych ludzi widzieć więcej na oczy.

– Maria ma wyjechać na święta do Świdra. A stosunki trzeba naprawić. Paulina musi przecież kiedyś wrócić do męża i dziecka.

– To nie jest nawet jej dziecko, tylko tej puszczalskiej Żydówki! – warknęła Melnerowa.

– Niech mama się uspokoi. Kocham to dziecko jak swoje – powiedziała cicho Paulina. – I tęsknię za nim, choć ostatnio nie byłam dobrą matką.

– Wiadomo, że nie byłaś! Prawie cię ta suka otruła na śmierć, więc jak byś mogła zajmować się tym żydowskim pomiotem. – Wściekła Teresa miotała obelgami i nie potrafiła się opanować. Nagromadzona złość przypominała erupcję wulkanu.

– Uspokój się, Tereso! – napomniał ją mąż, lecz minę miał nietęgą. Jeszcze nigdy nie widział żony w takim stanie.



– A co dziecko winne? – wtrąciła się Krysia. – Poza tym co Polduś ma wspólnego z Żydami? Oszalała matka?

– Nie wiesz, o czym mowa, więc się nie wtrącaj – zganił ją Melner.

– Zresztą ja im już święta urządziłam! – Teresa roześmiała się mściwie. – Oj gęsto się będą tłumaczyć policji, a to i tak za mała kara za wszystko, co uczynili Paulinie.

– Coś ty zrobiła? – January spojrzał z przerażeniem.

– Ot doniosłam, że tam się chyba w kamienicy jakiś Żyd chowa. Znaleźć szwaby nic nie znajda, ale Malinowscy tłumaczyć się będą!

– Dziewczynki, trzymajcie mnie, bo ją zaraz uduszę – wrzasnął Melner. – Czy ty sobie w ogóle zdajesz sprawę, co grozi nawet za samo podejrzenie? Oszalałaś?

– Dziecku nic nie grozi, urodziło się przed wojną, więc nawet gdyby coś znaleźli, to nie mają paragrafu! Wiem, bo księdza pytałam – odparła triumfalnie Teresa. – A trochę strachu za mój lęk o Paulinę im się należy.

– Długoś tę swoją durną zemstę szykowała? – zapytał z rezygnacją Melner.

– Tam jest Żyd – powiedziała Paulina.

W salonie praskiego mieszkania zapadła dźwięcząca cisza. Wszyscy spojrzeli na Paulinę, która opuściła wzrok na koronkową serwetę leżącą na stole i zaczęła skręcać w palcach jej frędzle.

– Co powiedziałaś? – zapytał January. Przejęty grozą pobladł i usiadł ciężko naprzeciwko córki.

– Dopiero teraz zaczyna do mnie wracać znaczenie różnych rzeczy. Ja wcześniej wiele widziałam i słyszałam, ale zupełnie nie rozumiałam, co się dzieje. Oni często traktowali mnie jak głuchoniemą idiotkę, bardziej mebel niż człowieka.

– Zabiję! – jęknęła Teresa i zanosła się szlochem.

– Zamilcz w tej chwili! – warknął Melner. – Mów dalej – zwrócił się do córki łagodniejszym tonem.

– Kiedyś w kuchni, jak nie było ciotki, Poldek z Jankiem zaczęli mówić o majstrze Blumanie. Siedzi ukryty od miesięcy w tajnym pokoiku w pracowni rękawicniczej – powiedziała Paulina i zatopiła twarz w dłoniach. – To takie trudne, wszystko mi się jeszcze miesza – poskarżyła się.

– Nie przemęczaj się, idź się położyć. – Melnerowa przypadła do córki i objęła ją ramieniem.

– Zabiją ich. Zabiją ich wszystkich. Także dzieci. Niech cię szlag trafi, Tereso! – January wstał, gwałtownie przewracając krzesło.

– Może jeszcze zdążę. – Krysia podeszła do ojca i spojrzała na niego poważnie.

– Zaraz zacznie się godzina policyjna – odparł.

– Niech ojciec się nie boi. Wiem, jak unikać patroli.

Krystyna wybiegła z mieszkania, nie oglądając się za siebie. Z duszą na ramieniu pognęła w stronę mostu, ciesząc się z panujących wokół ciemności rozprasanych

nielicznymi działającymi latarniami. Wiedziała, że nie ma czasu do stracenia, i modliła się w duchu, żeby nie było za późno. Nie miała pojęcia, jak szybko niemiecka policja sprawdza podobne donosy, ale miała nadzieję, że nie od razu.

Czuła, że z wysiłku zaraz pękną jej płuca, lecz ani na chwilę nie zwolniła. Przebiegła przez Solec, wpadła do kamienicy Malinowskich i przystanęła na chwilę przed drzwiami, próbując wyrównać oddech. Zapukała głośno, a drzwi uchyliły się ostrożnie. Otworzył Poldek.

– Wpuść mnie natychmiast – powiedziała i bezceremonialnie wepchnęła się do środka.

– Stało się coś? – zapytał zdumiony chłopak.

– Gestapo wie, że ukrywacie Żyda – szepnęła. – Nie przyszli jeszcze? No pewnie, że nie, bo już by było po was. Szybciej, nie ma czasu do stracenia!

– Jezu, co robić? Gdzie go przenieść? – Poldek pobladł i poczuł, że wpada w panikę.

– Bierz brata. Mam pewien pomysł. Ale rusz się! – ponagliła.

Mosze Bluman w lot ocenił sytuację, gdy troje rozgorączkowanych młodych ludzi wpadło do sekretnego pokoju za pracownią. Wstał, zdjął z wieszaka płaszcz i kapelusz, po czym uśmiechnął się pokrzepiająco.

– Dam sobie radę, nie ryzykujcie. Gdzieś się ukryję – powiedział.

– Nie ma mowy, panie majster – zaprotestował Janek. – Krystyna ma pomysł, a nam czasu brakuje. Szkopy mogą wpaść w każdej chwili.

Majster nie dyskutował. Doskonale wiedział, że za ukrywanie Żyda Niemcy mogą rozstrzelać wszystkich mieszkańców kamienicy. Pospiesznie wyszedł za młodymi, obrzucając tęsknym spojrzeniem ukochaną pracownię, w której spędził wiele lat spokojnego życia.

– Dokąd teraz? – zapytał Poldek.

– Dosłownie parę kamienic dalej mieszka ktoś, kto nam pomoże – odparła Krystyna. – Poczekacie w bramie, a ja po niego pójdę.

– Rezulutna i odważna panna – powiedział Mosze, odprowadzając ją spojrzeniem. – Ale niepotrzebnie dla mnie ryzykujecie. Młodzi jesteście, powinniście życie bardziej szanować.

– Szanujemy, panie majster – odparł Janek.

– Wiadomo chociaż, co dokładnie się stało? – zapytał Bluman.

– Nie było czasu na wyjaśnienia – powiedział Poldek.

– Właściwie to pewnych rzeczy nawet lepiej nie wiedzieć – odparł z zadumą majster.

Po podwórzu poniósł się odgłos cichych kroków. Poldek spojrzął w ich kierunku i bezwiednie zacisnął dłonie w pięści. Rozpoznał Ignacego z daleka, choć ten przez lata, kiedy się nie widzieli, wydorósł i jeszcze bardziej zmężniał.

– To ty – wycedził zimno, gdy chłopak podszedł w towarzystwie Krysi. Chciał się na niego rzucić, lecz Janek go powstrzymał.

– Oszalałeś? – Krysia spojrzała na Poldka z wyrzutem. – To mój szwagier – zwróciła się do Ignacego. – Nie mam pojęcia, co w niego wstąpiło.

– My się znamy – odparł spokojnie Ignacy. – I nie żywię urazy.

– Ja chyba czegoś nie rozumiem – poskarżył się Janek.

– Nie było cię jakiś czas w mieście, więc trochę sensacyjnych wydarzeń cię ominęło – powiedział Poldek. – Przez tego bydlaka Helena trafiła do więzienia.

– To miło, że tak sobie tu gawędzimy, ale przypominam, że nie jesteśmy na herbatce u ciotuchny – zadrwił Ignacy.

– Jeśli dobrze pamiętam, nie przepada szanowny pan za Żydami, dlaczego więc chce mi pomóc? – zapytał Bluman.

– A ja sobie nie przypominam, żebyśmy się już poznali. – Choć Ignacy mówił neutralnym tonem, wybrzmiało to impertynencko.

– Miałem wątpliwą przyjemność oglądać proces panny Heleny – wyjaśnił Mosze.

– Ignacy, ja nie wiedziałam, że wy się znacie. Nawet nie wiem, kim jest ta panna Helena. Przepraszam, nie chciałam, żeby wyszła jakaś afera. Chcę tylko pomóc panu Blumanowi, a teraz to już nie wiem, co robić. – Krysia uśmiechnęła się przepaszająco.

– Bez obaw. Wiesz przecież, że dla ciebie zrobiłbym wszystko – powiedział miękko Ignacy. – A teraz doszedł drugi powód. Spłacę swój dług – oznajmił i spojrzał na Poldka, który nadal zaciskał pięści i patrzył na niego z nienawiścią. – Chodźmy! – zwrócił się do Blumana. – Od teraz zakaz kontaktów. Najgłupsze, co można zrobić, to wrócić na stare śmieci. Gestapo często obiecuje sąsiadom nagrody, jeśli doniosą, że Żyd pojawił się w okolicy. Wielu tak wpadło – wyjaśnił.

– Dokąd go zabierasz? – zapytał Janek.

– W bezpieczne miejsce. Włos z głowy mu nie spadnie i przeczeka, aż to wszystko się skończy. Tyle musisz wiedzieć. Wracajcie wszyscy do domu. Ty Krysiu też. Im nas mniej, tym łatwiej omijać patrole – powiedział Ignacy.

– Do zobaczenia, panie majster – szepnął Janek i objął Moszego na pożegnanie. To właśnie on był z nim zżyty najbardziej. Od dziecka dreptał za nim po pracowni i marzył, by to Bluman był jego ojcem.

– Jeszcze się spotkamy. Bywaj, Janku, bywaj, Poldku. Dziękuję panie Krystynie za wszystko. – Majster skłonił się dziewczynie, a potem odwrócił się i wraz z Ignacym ruszył chodnikiem w głąb Powiśla.

– Wojna tworzy dziwne sojusze – powiedział Janek, odprowadzając majstra spojrzeniem.

– Wracajmy do domu. Krysiu, powinnaś iść z nami i przeczekać do rana. Poza tym chcielibyśmy wiedzieć, co właściwie się wydarzyło.

– Idę do siebie. Jak wytłumaczysz szkopom, że tam jestem? Od razu będą wiedzieli, że was ostrzegłam – zauważyła trzeźwo. – I nic nie będę wam gadać. Im mniej wiecie, tym lepiej dla wszystkich. Wszystko w swoim czasie. Serwus!

Krystyna skinęła głową na pożegnanie i odeszła sprężystym krokiem.

– Nawet nie zauważyłem, kiedy ona tak wyrosła – powiedział ze zdumieniem Poldek. – I co ma wspólnego z tym sukinsynem Ignacym?

– To widać przecież na kilometr. Mają się ku sobie. I idę o zakład, że oboje należą do konspiracji.

– Wracajmy. Trzeba uprzedzić ojca i wyjaśnić, co się stało z majstrem.

Gestapo wpadło do kamienicy następnego dnia rano. Wrzaski i tupot żołnierskich butów obudziły mieszkańców, którzy z przerażeniem obserwowali, jak Niemcy przetrząsają każdy kąt, rozrzucając przy tym rzeczy i przewracając meble. Struchlała ze strachu Maria stała z dłońmi przyciśniętymi do piersi, a Poldek cieszył się w duchu z pomysłu Janka, który jeszcze poprzedniego wieczoru umieścił Basię i dzieci u piekarza z sąsiedniej kamienicy. Człowiek słynął z dyskrecji, więc wynajął pokój, nie zadając żadnych pytań. Nawet o to, dlaczego Janek umieszcza żonę po drugiej stronie ulicy ani jaki jest powód, że przychodzi z tym w czasie godziny policyjnej.

Niemcy przeszukali kamienicę od piwnic aż po dach, a także sprawdzili metodycznie każdy kąt pracowni. Tłukli szkło, rozdzielali materiały i rozrzucaли bele skór, których zapas Malinowski posiadał jeszcze sprzed wojny. Bał się, że gestapowcy będą mu kazali wyjaśniać, skąd je ma, lecz nie zwracali uwagi na towary, skupieni na jednym zadaniu.

– Dzięki ci Boże, że już poszli. – Maria przeżegnała się, po czym usiadła ciężko na krześle.

– Poldek, zbieraj się. Wychodzimy – zarządził stary Malinowski.

– Dokąd idziemy, ojczy? – zdziwił się chłopak.

– Pojedziemy na śniadanie do Melnerów. Coś mi się widzi, że mamy do pogadania.

Jak było do przewidzenia, January nie ucieszył się nadmiernie z wizyty, choć nie wyglądał na specjalnie zaskoczony. Wpuścił zięcia i swojego starego druha do środka, w milczeniu zaprosił gestem do salonu.

– Dziękujemy – powiedział oficjalnym tonem Apoloniusz. – Przede wszystkim przychodzę do twojej młodszej córki, January, żeby podziękować jej za ocalenie. Gdyby nie jej odwaga, pewnie wszyscy moi najbliżsi, łącznie z wnukami, leżeliby martwi pod murem kamienicy. A przy okazji chciałbym się dowiedzieć, skąd Krystyna wiedziała, że przyjdzie do nas Gestapo?

January westchnął ciężko i podrapał się z zakłopotaniem po głowie. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło, lecz opowiedział o wszystkim, co zrobiła Teresa i w jaki sposób głupia zemsta przerodziła się w śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Można powiedzieć, że durne baby wyrównały rachunki – westchnął Apoloniusz. – Pozwól, że jeszcze raz przeproszę cię za krzywdę, jaką Maria wyrządziła Paulinie.

– A ja, drogi przyjacielu, z serca przepraszam za Teresę – odparł Melner. – Wiesz, co sądzę o Żydach, ale przecież nigdy bym nie naraził...

– Wiem. Nie musisz mówić. Zgoda?

– Zgoda! – powiedział January i uściśnął mocno dłoń przyjaciela.

– Przy okazji, mój syn chciał poprosić swoją żonę, żeby zechciała wrócić do domu – oświadczył Apoloniusz.

Poldek zamrugnął z niedowierzania. Znów dał się zwieść ojcu.

– Jeśli Paulina nie jest gotowa, to przecież nie będę naciskał – bąknął pod nosem. Nie mógł powiedzieć nic więcej, żeby nie urazić teścia, lecz nie palił się do powrotu żony.

– Jestem gotowa – oświadczyła Paulina, stając w drzwiach. – Ale pod jednym warunkiem. Ciotka Maria zniknie z tego domu. – Spojrzała twardo na Apoloniusza.

– Maria wyprowadzi się jeszcze dzisiaj – powiedział Malinowski, a Poldek popatrzył na ojca ze zdziwieniem. – Jutro mąż po ciebie przyjedzie. Pora najwyższa, żebyś wróciła do swojego syna. I zajęła należne ci miejsce w domowym gospodarstwie.

\*\*\*

1942

Helena spojrzała z troską na talerze stojące w jadalni. Porcje chleba, będące całodniowym wyżywieniem uczennic, znów się uszczupliły, a kradzieże powtarzały się coraz częściej, nawet pomimo wart zaciąganych przez dziewczęta. Głód, choć trudno było w to uwierzyć, był jeszcze większy, a czarnorynkowe ceny żywności z narażeniem życia szmuglowanej zza muru osiągały zawrotne ceny.

– Trzeba powiedzieć dyrektorze. – Helena zwróciła się do instruktorki, z którą pilnowała tego dnia dziewcząt w stołówce. – Sprawa zaczyna być poważna. Niektóre uczennice nie mają przez te kradzieże co włożyć do ust przez cały dzień.

– To mów. Ja nawet nie podchodzę do gabinetu Krowy – odparła tamta.

Hela też nie miała na to najmniejszej ochoty. Dziewczęta pracowały solidnie, z pełnym poświęceniem pomagały chorym, tak jak pozwalały na to skromne środki. Głód z kolei doprowadzał do obłądzenia i popychał ludzi do niecznych czynów. Słyszało się plotki o aktach kanibalizmu, lecz Helena nawet nie chciała się zastanawiać, czy były prawdziwe. Z drugiej strony kradzieży nie można było tolerować, a każda z dziewcząt miała prawo do swojej skromnej porcji chleba.

Odłożywszy rozważania moralne na później, zebrała swoją klasę, poleciła uczennicom, by jak zwykle ustawiły się w pary. Poprowadziła swoje stadko ubrane w nienagannie czyste białe-różowe uniformy w stronę szpitala dziecięcego na Śliskiej.

Za dziewczętami każdy się oglądał. Wydawały się nierealnymi istotami, wrózkami z innego, lepszego świata. Wiosenne słońce opromieniało nędzne i brudne ulice getta i choć grzało coraz mocniej, nie wydawało się, by ktokolwiek cieszył się wiosną. Szczuplutkie, lecz czyste pielęgniarki przypominały odartym nędzaczkom stłoczonym za murami, że kiedyś istniała normalność.

– Każda wie, jakie ma zadania? – zapytała Helena, gdy weszły do trzypiętrowego budynku.

Dziewczęta przytaknęły gorliwie i rozeszły się do szpitalnych łóżek. Helę fascynowało, z jakim zaangażowaniem opiekowały się szkielecikami dzieci. Im nie dało się już pomóc, a jednak uczennice troskliwie do nich przemawiały, opowiadały bajki albo zwyczajnie oklepywały plecy. W tym wszystkim była jakaś upiorna rutyna codziennego dnia praktyk. Dzieci w oczach uczennic były zadaniem do zrealizowania i chociaż dziewczęta rozumiały definicję śmierci, wyrzucały ją ze świadomości. A to sprowadzało umierające maleństwa do roli szkolnych podręczników. Z drugiej strony, czy można było mieć pretensje do kilkuletnich dziewczynek wyrwanych z rodzinnych domów, że usiłują zachować równowagę w tym piekle? Nawet jeśli racjonalizowały bezsensowną, okrutną śmierć?

Helena nie znajdowała odpowiedzi na te pytania. Podobnie jak podopieczne, próbowała się skupić na zmianie prześcieradeł, dodawaniu otuchy i zajmowaniu się czymś pożytecznym. Miała zresztą własny rytuał dodający jej sił; przy każdym łóżku powtarzała sobie w myślach jak mantrę, że to nie Polduś. Że jej syn jest bezpieczny za murem i ma kochających rodziców. Widząc ogrom śmierci, przyłapywała się na tym, że myślała z wdzięcznością o Paulinie, która przyjęła jej dziecko i wychowywała jak własne. Bo cóż miałyoby za życie tutaj? Zapewne leżałoby na jednym z łóżek, a ona zastanawiałaby się, czy szybciej wykończy je głód, czy tyfus plamisty.

– Przedwojenny grosik za twoje myśli, kuzynko – powiedział Michał, stając przy niej.

– Nie chcesz ich znać – roześmiała się ponuro. – Lepiej powiedz, jak przebiegają badania nad chorobą głodową.

– Nie tutaj – syknął. – Chodź do dyżurki.

Helena poszła za Michałem. Choć pracowali w tych samych placówkach, najczęściej się mijali. Obydwoje mieli pełne ręce roboty. Znacznie więcej niż w szpitalu na Czystem. Nawet czas bombardowania budynków na początku wojny wspominali z sentymentem. Wtedy przynajmniej był sprzęt medyczny i lekarstwa, a opieka nad chorymi przypominała prawdziwe leczenie. Teraz to było pilnowanie, by śmierć dzieci uczynić możliwie lekką.

– Emil Apfelbaum wraz z naszym gronem lekarskim skupia się na badaniach szpiku i krwi. To nieprawdopodobne, jakie spustoszenie we wnętrzu człowieka robi głód. Czy musiało dojść aż do takiej tragedii, żeby wyciągać naukowe wnioski z cierpienia tych dzieci? Nikomu o tym nie mów. Niemcy nigdy nie pozwoliliby na pokazanie światu tych badań. W ich świecie propagandy Żydzi spędzają za murami sielski urlop. Chcemy wkrótce wysłać zgromadzoną dokumentację na aryjską stronę. Miejmy nadzieję, że się uda.

– Staram się trzymać w garści, ale to wszystko zaczyna mnie przerastać – szepnęła Hela.

– Leżę nocami w łóżku, słucham płaczu głodnych dziewcząt i zatapiam się w myślach o naszym lecie w Juracie, filmie z Konradem i Idą Wolińską, w którym Poldek wystąpił jako statysta. Wiesz? Zwykle przewracam się z boku na bok i przypominam sobie jedzenie,

jakie podawano nam w tych pięknych miejscach, w których spędzaliśmy beztrosko czas. Rosół w Adrii, smażone flądry w jurackim kasynie, schabowe ciotki Kasi w Sopocie... Czy to nie jest dziwne, że zamiast myśleć o synu, marzę w środku nocy o porcji mięsa albo o czulencie?

– Pamiętasz rosół z klopsikami, który mi kiedyś ugotowałaś w mieszkaniu na Zgodzie? – rozmarzył się Michał.

– Pewnie, że pamiętam – roześmiała się cicho. – Nie umiem sobie radzić z tęsknotą – przyznała. – Mogę ci zadać pytanie?

– Pytaj.

– Nie tęsknisz za Konradem?

– Tęsknię każdego dnia, Heleno. Nie ma nocy, żebym nie usypiał z jego obrazem pod powiekami. Pamiętasz te niedorzeczne fotosy, które dawno temu zostawił w antykwariacie wuja Józefa? Kiedyś jeden zwinąłem i oglądam codziennie.

– Też mam jeden. – Hela wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Jest na nim taki wymuskany, z włosami kapiącymi brylantyną i zapięty na ostatni guzik. Zupełnie jak nie on. To nieodmiennie mi przypomina, że pozory mylą. Brakuje mi go. Kiedy myślę o Konradzie, widzę kolory dawnego życia.

– Szkoda tylko, że zmienił te kolory na barwy niemieckich mundurów – odparł Michał.

– Nigdy tego nie zrozumiałam. On przecież był takim patriotą. Właściwie czasem to aż mi się z tego chciało śmiać. Chociaż raz... – Hela zawahała się i umilkła.

– Mówże.

– Kiedyś, przed wojną, krótko po tym, gdy go przypadkowo poznałam, zabrał mnie na wystawę motoryzacji i tam z zachwytem wyrażał się o niemieckim postępie. Ale to przecież nic nie musi znaczyć – powiedziała.

– Nie musi. Czyny lepiej o nim świadczą – odparł z goryczą Michał.

– Lecz i tak za nim tęsknisz, jak ja za Poldkiem.

– To prawda. Nie umiem wyrzucić go z głowy i karmię się wspomnieniami. A teraz chodź, chcę cię poznać z patologiem, który po kryjomu robi sekcje w szopie obok cmentarza. Jeśli komukolwiek należy się uznanie przy tych badaniach, to właśnie jemu.

– To tyle, jeśli chodzi o romantyczne wspomnienia reperujące zdrowie psychiczne – westchnęła Helena. – Chodźmy do roboty, skoro wciąż mamy jeszcze przywilej pracy.

\*\*\*

Konrad ogolił się starannie przy lustrze łazienkowym, zastanawiając się w duchu, jak to w ogóle możliwe, że jeszcze może patrzeć sobie samemu w oczy. Coraz trudniej było mu zrozumieć, kim naprawdę jest i co ma myśleć. Przed zanurzeniem się w kompletnym szaleństwie powstrzymywała go jedynie świadomość, że wciąż jest potrzebny Muszkieterom.

Życie w sekretnym związku z Frankiem Robertsonem wymagało ciągłej gry aktorskiej, a Konrad zatracił się w niej tak bardzo, że czasem z przerażeniem łapał się na odruchowym solidaryzowaniu się ze sprawą niemiecką. Latem czterdziestego drugiego roku łatwo było być Niemcem. Rzesza odnosiła sukcesy na wszystkich frontach. Zachodnia Europa i Afryka leżały na łąpach, a na wschodzie Wehrmacht posuwał się w stronę Moskwy.

W Warszawie na każdym słupie, murze czy ścianie kamienicy wisały plakaty propagandowe „Niemcy wygrywają na wszystkich frontach”. A litery „V” jak victoria wymalowywano wszędzie, łącznie z chodnikami. Przed Dworcem Głównym w Alejach Jerozolimskich, a także w innych widocznych miejscach miasta okupant ustawił wykonane z drewna litery „V” i płał się we własnych zwycięstwach. W tych dniach hitlerowska buta stała się dla mieszkańców Warszawy jeszcze trudniejsza do przełknięcia.

Dzięki znajomości z Frankiem Konrad wiódł wygodne życie, lecz tak często jak tylko się dało wykręcał się od rautów w towarzystwie niemieckich oficerów. Wiedział, że stąpa po cienkim lodzie, od czasu, gdy polskie podziemie wydało wyrok na Igo Syma, który tak jak on był aktorem. Za współpracę z okupantem został zastrzelony we własnym mieszkaniu jeszcze poprzedniego roku, a sprawa odbiła się głośnym echem w całym mieście. Konrad nie bał się śmierci, po stracie Michała i romansie z nazistą byłaby dla niego nawet ukojeniem, lecz po zamachu na Syma aresztowano wielu aktorów i ludzi ze środowiska. Ot, choćby Stefana Jaracza, dyrektora teatru Ateneum. I to samo stałoby się, gdyby podziemie zleciło egzekucję Konrada. Frank Robertson z pewnością wzięłby za nią odwet. Niewykluczone, że zemsta dotknęłaby Idy Wolińskiej. Było rzeczą powszechnie znaną, że przyjaźnili się, przez pewien czas uchodzili za kochanków i nakręcili wspólnie kilkanaście kasowych filmów.

Szczyściem w nieszczęściu było to, że Frank od dawna nie należał na wspólne wyjścia. Obsesyjnie bał się choćby posądzenia o związek intymny z mężczyzną. Konrad myślał, że dowódca Muszkieterów będzie niezadowolony z takiego obrotu rzeczy, lecz ten na kolejnym spotkaniu w Podkowie Leśnej powiedział, że zdjęcia dokumentów, jakie udaje się Konradowi robić w mieszkaniu Franka, są na tyle cenne, że nawet nie ma sensu, by Konrad ryzykował, nawiązując kolejne znajomości wśród Niemców.

Upalny lipiec dawał się we znaki całemu okupowanemu miastu. Konrad nawet nie potrafił sobie wyobrazić, co muszą znosić Żydzi stłoczeni za murem getta. Bardzo rzadko pozwalał sobie na myśli o Michale i Helenie, żeby się nie dekoncentrować podczas wykonywania misji. Bał się, że wypadnie z roli, a to mogłoby być zgubne.

– Sam się oszukujesz – szepnął do lustrzanego odbicia. – Po prostu wypychasz ich z głowy, żeby nie znienawidzić się jeszcze bardziej.

– Kuzynie, z kim rozmawiasz? – Zza drzwi rozległ się głos Mani.

Konrad od razu wziął się w garść. Dziewczyna zwracała się tak do niego tylko wtedy, gdy chciała go przed czymś ostrzec lub zwrócić jego uwagę. Na wścibską sąsiadkę albo na



intruza w domu.

– Z nikim, Maniu. Potrzeba ci czegoś, kuzyneczko? – zapytał pogodnym tonem.

– Chciałam tylko powiedzieć, że przyszedł pan Frank Robertson i oczekuje w salonie. Czy mam przygotować coś do picia?

– Jeśli byłąbyś tak uprzejma. Ja dosłownie za minutę wychodzę i idę przywitać naszego gościa – odparł, starając się zignorować gwałtowne bicie serca. Frank nigdy nie przychodził do Szarych Domów, więc jego wizyta była zaskakująca.

Jeszcze bardziej zaskakujące okazały się jego słowa, gdy Konrad przywitał go serdecznie.

– Mam propozycję. Chociaż właściwie to bardziej rozkaz – oświadczył poważnie, lecz Konrad zdołał go już na tyle poznać, że od razu dostrzegł błakający się na jego ustach uśmiech świadczący o tym, że Frank żartuje.

– A więc stawiam się na rozkaz, Herr Robertson – odparł z błyskiem w oku.

– Nie masz dość tego upału? – zapytał ze znużeniem Frank. – Bo ja, przyznam szczerze, mam go po uszy. Warszawa zrobiła się całkowicie nieznośna, a tak się ciekawie złożyło, że właśnie oddelegowano mnie na dwutygodniowy urlop. Masz ochotę wyrwać się stąd choć na chwilę?

– Jeszcze jak – westchnął Konrad.

– No to jedziemy! – ożywił się Frank. – Zdołasz się spakować w kwadrans?

– Mówisz poważnie?

– A cóż takiego trzyma cię w Warszawie? Oprócz chwilowego braku samochodu?

– Chwilowego?

– Och, ten upał chyba rozleniwia twój rozum, Konradzie – roześmiał się Robertson. – Zadajesz pytania jak dziecko. No, zabawiłem tu trochę, a jeszcze sprawy wzywają. Bądź łaskaw spakować rzeczy na wyjazd i zjedź jak najszybciej przed kamienicę. Tam już się dowiesz reszty. – Robertson skinął przyjaźnie głową i wyszedł sprężystym krokiem z pokoju.

Zaintrygowany Konrad spakował się pospiesznie.

– Stało się coś? – Zdenerwowana Mania zajrzała do jego sypialni. – Aresztował cię?

– Nie, spokojnie. Nic złego się nie dzieje, ale obawiam się, że muszę wyjechać na kilka dni.

– A dokąd? – zdziwiła się.

– Nie wiem – stropił się. – Dam znać, gdy dowiem się więcej. Gdyby ktoś o mnie pytał... – Konrad urwał.

– Tak?

– Właściwie to głupstwo. Nikt nie będzie pytał, a przecież wkrótce sam się odezwę. Do zobaczenia, Maniu, serwus!

Obezwładniający upał niemal zwałił go z nóg, gdy wyszedł z chłodnej klatki schodowej. Frank miał rację. Zrobiło się jeszcze goręcej, od nagranych murów i chodników aż bił żar.

Konrad chwycił mocniej rączkę walizki i wyszedł z podwórza. Tuż przed bramą stał czarny mercedes z odsuniętym dachem, o jego bok opierał się młody szeregowiec z Wehrmachtu. Na widok Konrada wyprężył się służbiście i wyrzucił przed siebie rękę w nazistowskim salucie.

– Spocznijcie, szeregowy. Ja jestem zwykłym cywilem – odparł pospiesznie Konrad. Miał nadzieję, że żaden z sąsiadów nie obserwuje z okna tej żenującej i niebezpiecznej sceny.

– Tak jest! – Młodzian strzelił obcasami. – Tu są pańskie kluczyki, a teczka z dokumentami leży na przednim siedzeniu. Życzę panu szerokiej drogi.

Konrad starał się nie okazywać zdumienia. Bez słowa wziął kluczyki od żołnierza, a ten ponownie zasalutował i odmaszerował w stronę Łowickiej. Samochód nie należał do ekskluzywnych, lecz Konrad pogłaskał kierownicę z zachwytem, a na plecach poczuł dreszcz podniecenia. Brakowało mu tego. Kochał maszyny, lecz jeszcze bardziej wolność, jaką dawało ich posiadanie. Stłumił wyrzuty sumienia i sięgnął po zieloną teczkę leżącą na sąsiednim fotelu. Ze zdumieniem znalazł w niej przepustkę otwierającą mu właściwie wszystkie drzwi i list.

*Spotkajmy się w Kasino-Hotel w Zoppot. Masz numer zarezerwowany na swoje nazwisko. Przepustka zagwarantuje Ci bezpieczeństwo. Do zobaczenia, F.*

– Tylko nie Sopot – jęknął Konrad.

Miejsce przywoływało mnóstwo wspomnień. Głównie złych, choć przecież mimo wszystko był wtedy szczęśliwy. Z westchnieniem rezygnacji uruchomił silnik i odjechał spod domu. Zatopiony w myślach przejechał ulicami Warszawy na północ, ledwie zwracając uwagę na nieliczne pojazdy. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej dziwił się Frankowi, że zadbał aż o takie środki ostrożności. Miał tylko nadzieję, że podczas samotnej jazdy na Wybrzeże nie spotkają go żadne przykre niespodzianki. Wbrew sobie z każdą minutą podróży czuł się coraz bardziej zaintrygowany, a gdy wyjechał z miasta pomiędzy łąki i lasy, poczuł narastającą radość. Im dalej odjeżdżał, tym bardziej czuł wolność, jakiej nie doświadczył od dawna. Ze zdumieniem się zorientował, że nie opuszczał miasta od prawie trzech lat.

Sopot wyglądał złowieszczo znajomo. Te same pensjonaty, urokliwe zaułki i elegancka promenada wiodąca aż do drewnianego mola. Nie zmieniło się nic, a Konrad, klucząc uliczkami kurortu, zorientował się, że brak tu jakichkolwiek ruin, do których przyzwyczała swoich mieszkańców okupacyjna Warszawa.

Gdy zatrzymał się przed hotelem, usłużny boy natychmiast przejął jego bagaż i gnąc się w ukłonach, wskazał drogę do recepcji. Konrad z trudem powstrzymał się od przetarcia oczu z niedowierzania. Wszystko w tym miejscu wyglądało tak, jakby czas się zatrzymał, a do Sopotu nigdy nie dotarła wojna. Próżno było tu szukać Polaków, zewsząd dochodziły

ożywione rozmowy prowadzone po niemiecku, ale nawet to nie wyjaśniało, dlaczego Konrad czuł się tutaj tak osobiście. Dopiero po chwili zrozumiał, że nie widzi żadnych niemieckich mundurów. Poszedł do recepcji, starając się ukryć podenerwowanie. Co robi, jeśli to jakiś podstęp?

– Konrad Werner, dzień dobry – rzucił z największą nonszalancją, jaką udało mu się wykrzesać.

– Herr Werner, oczekiwaliśmy pana. Pokój już jest przygotowany – ogłosił służbiście recepcjonista. – Proszę, to pański klucz. – Mężczyzna dał znak boyowi, a ten podniósł z podłogi wyściełanej dywanem walizkę i powiodł Konrada w stronę windy.

Lata przed wojną Konrad bywał w Kasino-Hotel, więc od razu zorientował się, że boy prowadzi go w stronę najbardziej reprezentacyjnych apartamentów z widokiem na morze. Chłopak otworzył drzwi zapraszająco.

– Życzę panu udanego pobytu – powiedział grzecznie i odstawivszy walizkę, niemal rozpląnął się w powietrzu.

Przestronny apartament składał się z saloniku, sypialni i komfortowo wyposażonej łazienki, lecz Konrad nie zwrócił na luksusy szczególnej uwagi. Zamiast tego podszedł do wysokiego okna, odsunął na bok mleczną firanę i z zachwytem spojrzął na błękitne morze. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu tego widoku kojącego oczy, otwartej przestrzeni i krajobrazu, który nie przypomina o wyniszczającej wojnie.

– Widzę, że się rozgościłeś, kochany – rozległ się głos Robertsona.

Konrad nie bez żalu oderwał wzrok od hipnotyzującej zieleni wody i przywołał na usta filmowy uśmiech, odwrócił się.

– Frank! Jesteś! Nie wiedziałem, co to za fortel, ale muszę przyznać, że przeszedłeś samego siebie – powiedział miękko i podszedł do kochanka.

Kolejne dni były dla Konrada nierealnie piękne i straszne jednocześnie. Na każdym kroku dopadały go wspomnienia, nakładając się i mieszając ze sobą. Wszystko w Sopocie kojarzyło mu się z Michałem i Heleną.

– Chodźmy na plażę – zaproponował Frank następnego dnia, po śniadaniu w hotelowej restauracji. Nie brakowało tam niczego, nawet pszennego chleba, jakiego w Warszawie nie można było dostać właściwie od wybuchu wojny. Bułeczki z prawdziwym masłem smakowały Konradowi tak bardzo, że nie potrzebował do nich niczego innego z bogatego bufetu. Rozkoszował się nimi na równi z prawdziwą kawą.

Tuż za hotelowym ogrodem rozciągała się szeroka piaszczysta plaża, a z prawej widać było molo, już o wczesnej porze oblegane przez spacerowiczów i amatorów łódek. Konrad spojrzął w miejsce, w którym kiedyś pocałował Michała, a później wylegitymował ich niemiecki patrol. Kto wie, jak by się to wówczas skończyło, gdyby nie brawurowa akcja Heli, dzięki której uciekli.

Konrad stał na brzegu i desperacko przywoływał umiejętności aktorskie, żeby nie wyglądać na spiętego. W głębi duszy pragnął wycić ze wściekłości na cholernych nazistach,

którzy rozdzielili go z ukochanym na zawsze.

– Pięknie tu – powiedział z zadowoleniem Frank, stając obok kochanka. – Prawdziwie niemiecki kurort i jednocześnie perła naszego Bałtyku. Wreszcie posiadamy go w całości. I tak powinno być. Hitler jest wizjonerem, a Rzesza pod jego przywództwem stała się największą światową potęgą.

– Rzeczywiście, pięknie tu – oświadczył radosnym głosem Konrad, czując, że jego dusza całkowicie umarła.

Pokoje Konrada i Franka dzieliła tylko ściana, a łączyły dyskretnie ukryte za kotarą drzwi, zwykle otwarte, gdy mężczyźni wracali do hotelu. Konrad przeszukał pobieżnie pokój kochanka, gdy ten wyszedł pierwszy do kasyna, lecz nie spodziewał się tu znaleźć niczego godnego uwagi. Robertson przyjechał na urlop, więc jaki sens miałyby ciągnięcie z Warszawy ściśle tajnych dokumentów i ukrywanie ich przed personelem?

Konrad uznał, że szpiegowanie dla Muszkieterów w sielskim, oderwanym od wojennej rzeczywistości Sopocie, w którym dzieci zanosili się śmiechem, wbiegając gromadnie do wody, zwyczajnie mija się z celem. Zdanie zmienił na dwa dni przed wyjazdem, gdy korzystał z łazienki Franka. W jego wannie zatkał się odpływ, a obsługa hotelowa ociągała się z odsieczą. Robertson wyszedł godzinę wcześniej, wymawiając się ważną sprawą, lecz nie zamknął drzwi łączących obydwie pokoje. Konrad uznał to za zaproszenie do korzystania z uroków całego apartamentu, więc wziął długą kąpiel i leżąc w wodzie z dodatkiem sopockiej soli morskiej, zastanawiał się, jak wytłumaczy Kapitanowi swoją nieobecność w Warszawie. Był też ciekaw, co dowódca powie na temat tak nieoczekiwanego zwrotu akcji. Bywało, że Konrad wpadał w paranoję, że Frank go uprowadził, właściwie bez świadków, na Wybrzeże i każe zlikwidować, bo odkrył jego związki z organizacją.

– Frank! Doprawdy, drogi przyjacielu, nie wiem, po co aż taka dbałość o dyskrecję. Rozejrzyj się! Tu nie ma wrogów ojczyzny. – W pokoju rozległ się głos obcego mężczyzny. Konrad napiął mięśnie, lecz nie wykonał najmniejszego ruchu.

– Och, to, że zlikwidowaliśmy w Zoppot Żydów i Polaków, nie oznacza braku szpiegów. Tego chyba nie muszę ci tłumaczyć, prawda? – odparł Robertson. – Poczekaj, zamknę drugie drzwi.

Konrad zastygł, nasłuchując kroków. Wiedział, że jest w pułapce, i gorączkowo analizował możliwości. Jedną z nich było narobienie hałasu, co wypłoszy Franka i jego rozmówcę z pokoju. Tyle tylko że gdyby ów intruz wpadł do łazienki, mógłby obnażyć sekretne życie Robertsona, a wówczas zemsta kochanka nie znałaby granic. Siedzenie cicho miało tę zaletę, że może uda się podsłuchać coś więcej, ale niosło ryzyko, że gdy Frank to odkryje, zastrzeli go z zimną krwią na miejscu.

– Jesteśmy potęgą. Nikt nam nie zaszkodzi, a nasze dzieło jest słuszne i podyktowane niemiecką racją stanu – powiedział obcy mężczyzna.

– Oczywiście. Tym niemniej skala jest ogromna, więc trzeba uważać, co się mówi. Chodzi o kilkaset tysięcy, a ty zaczynasz rozmowę w kasynie, jakbyśmy byli na herbatce.

Konrad uznał, że w tej sytuacji nie może się ujawnić, a jedynie, gdyby któremuś z mężczyzn przyszło do głowy sprawdzić łazienkę, wsunąć głowę pod wodę i udawać, że z zapalem ją płucze. Gorączkowo się zastanawiał, o jakich pieniądzach mówi Frank. Kwota wydawała się zawrotna, lecz nadal nie wyjaśniała jego poirytowanego tonu.

– Wmówi się Judenratowi, że to akcja przesiedleńcza. Nawet jeśli nie uwierzą, co nas to obchodzi? Nie mają wpływu na wywózki do obozów. Trzeba w końcu rozwiązać kwestię żydowską – odparł obcy Niemiec.

– Trzeba – westchnął Frank. – Lecz jeśli chcesz znać moje zdanie, powinniśmy jeszcze poczekać. Znacznie mniej kłopotliwe jest głodzenie ich na śmierć. Nie dzieje się nic spektakularnego, co mogłoby się wydostać i dostarczyć niepotrzebnych komentarzy na świecie.

– Po zabójstwie Reinharda Heydricha w Czechosłowacji ludzie pragną ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Przecież o tym wiesz. Wdzięczny naród pragnie pomścić głównego inżyniera zagłady tej nacji, a dowództwo nazwało operację jego imieniem. Frank! Chyba nie wątpisz w słuszność tych działań?

– Oczywiście, że nie. Martwię się jedynie, czy tak potężna operacja nie potrzebuje więcej czasu na dopracowanie. Ale masz rację. To decyzja Führera. Nie mnie osądzać jej słuszność – powiedział Frank. – Kiedy ma się zacząć czyszczenie getta z tych nosicieli tyfusu?

– Akcja „Reinhard” rozpocznie się za trzy dni, dwudziestego drugiego lipca – odparł anonimowy mężczyzna. – Akurat jak ci się skończy urlop. Swoją drogą, wielu dostało czas na odpoczynek.

– To prawda. Przejdź się po sielskiej plaży i zobaczysz samych naszych. Bez mundurów, gdy stawiają z dziećmi babki z piasku, nie wyglądają zbyt groźnie – roześmiał się Frank.

– Wypoczęci wezmą się z werwą do roboty – podsumował jego rozmówca. – Nie wiem, jak ty, ale ja mam ogromną chęć wypić dzisiaj kilka butelek wina i zapomnieć o pracy. Idziesz?

– A co na to Lotta? Nie będzie ci jutro suszyć głowy? W końcu przyjechałeś do niej i dzieci.

– Jest wojna, przyjacielu. Rodzina musi poczekać.

– Zatem chodźmy! Chętnie się rozerwę – odparł Frank.

Konrad odczekał, aż za mężczyznami zatrzasną się drzwi, i natychmiast wyskoczył z wanny. Wyjął korek, modląc się w duchu, żeby woda spłynęła jak najszybciej. Wtarł się świeżym ręcznikiem, a potem zaczął nim osuszać podłogę, umywalkę i krany. Gdy wanna była już pusta, przetrął także ją, żeby zatrzeć wszystkie ślady. Umknął chyłkiem do swojego numeru, lecz uznał, że musi jeszcze wrócić do pokoju Franka. Ze swojej łazienki

zgarnął nieużywane ręczniki, zaniósł je do łazienki kochanka i rozwiesił we wzorowym porządku. Mokre zabrał ze sobą.

Zastanawiał się, co powinien zrobić. Usiadł na łóżku, próbując wyrzucić z głowy przerażające informacje, żeby ponownie wczuć się w beztroski klimat nadmorskiego kurortu.

– Niech to kurwa szlag trafi! – wrzasnął i wstał ze stylowego łóża.

– Coś się stało? – Frank stanął na progu pokoju. Ubrany w białą koszulę podkreślającą miodową opaleniznę, z wypłowiałymi od słońca włosami i uśmiechnięty od ucha do ucha wyglądał jak młody bóg.

– Nic! – Konrad natychmiast wszedł w rolę. – Po prostu nie chcę wracać. Jest zbyt dobrze. Jest idealnie. A co nas tam czeka?

– Chodźmy na kolację, kochany. – Frank podszedł i zamknął go w objęciach.

– Zostańmy tutaj – zaprotestował Konrad. – Jedzenie możemy przecież zamówić do pokoju.

– Spędziłem ostatnie dwie godziny na picciu z koszmarnym dupkiem – zwierzył się Robertson. – Masz rację. Zostańmy tutaj i zapomnijmy o tej masie denerwujących ludzi za drzwiami.

Konrad uśmiechnął się i przytulił Franka. Przez chwilę zastanawiał się, czy udałoby mu się uciec, gdyby właśnie teraz wbił kochankowi w odsłoniętą szyję nożyk do owoców. A potem Robertson objął go ciaśniej i na Konrada spłynęła niechciana błogość wraz z irracjonalnym poczuciem bezpieczeństwa.

# ROZDZIAŁ 15

1942

Poldek czytał jedyny list otrzymany od Heleny tak często, że kartka zaczęła się rozpadać, a w jednym miejscu kompletnie się podarła. W końcu przepisał jego treść, a oryginał złożył na czworo i nosił w kieszeni koszuli.

Gorące lato dawało się we znaki wszystkim mieszkańcom kamienicy, szczególnie dzieciom. Marudziły, płakały, wybudzały się w nocy, co było najgorsze. Poldek przeniósł się do pokoju, który do niedawna zajmowała ciotka Maria. Właśnie tam stało łóżeczko jego syna. Siłą rzeczy przejął nocną opiekę, co i tak wydawało mu się lepszym losem niż powrót do sypialni Pauliny.

Trzeba było przyznać, że radził sobie nieźle, lecz poranki bywały koszmarne. Jednak wszystko okazywało się głupstwem, gdy chłopczyk wyciągał do niego rączki i gaworzył radośnie. Choć Poldek doskonale rozumiał swoje obowiązki wobec dziecka, żony i pracowni rękawiczniczej, każdy dzień zaczynał od myśli o Heli. Była najważniejszą osobą w życiu, mimo że nie widzieli się już od dawna.

– Co za koszmarny upał! – powiedział poirytowany Apoloniusz, wchodząc do kuchni. – Jest co do jedzenia? – zwrócił się do Poldka karmiącego syna jajecznicą i chlebem.

– Nie wiem. Ojciec sprawdzi – odparł.

– Co to za zwyczaje – oburzył się stary rzemieślnik. – Gdy mieszkała u nas Maria, coś podobnego było w tym domu nie do pomyślenia!

– Zawsze może ojciec przywołać ze Świdra ciotkę, żeby podtruła Paulinę raz jeszcze. Kto wie? Może za jednym zamachem podsunęłaby narkotyk Poldusiowi i Alince? – zakpił Poldek.

– Nikt nie przygotował choćby samowara – poskarżył się Malinowski. – Gdzie ta niecnota podkuchenna? Co to za czasy nastały!

– Trudne – zgodził się Poldek. – Ale jeśli ojciec chce znać moje zdanie, to ten samowar od zawsze nadaje się głównie do dekoracji. Jest przecież imbryk.

– Ale to nie to samo, synu. Twoja babka czuwała nad tym samowarem, potem matka i Maria. A gdzie podziewa się twoja żona? – zreflektował się nagle.

– Jeszcze śpi. Jak ojciec wie, odzyskuje zdrowie, ale musi sporo wypoczywać po tym, jak kochana cioteczka truła ją miesiącami – przypomniał usłużnie chłopak. Coraz częściej pozwalał sobie na ironiczne wypowiedzi wobec ojca. W Malinowskim po odejściu

Moszego i Marii ewidentnie coś pękło. Postarzał się w oczach, a do tego coraz częściej łapały go dziwne duszności, którym towarzyszył ucisk w klatce piersiowej.

– Niech śpi – mruknął Apoloniusz z niezadowoloną miną. – Może Barbara się zajmie gospodarstwem i dziećmi? Dobrze jej to wychodzi.

– Nagle szwaczka z Czerniakowa ma imię? – roześmiał się Poldek. – Niech ojciec da Baśce spokój, bo matkuje Poldusiowi jak może, a do tego pomaga w pracowni, kiedy znajdzie wolną chwilę.

– A jak się układają sprawy między tobą a żoną? – Malinowski puścił przytyk mimo uszu.

– Zwyczajnie – zbył go Poldek.

Nie zamierzał się zwierzać ojcu, lecz pytanie wywołało lawinę myśli. Paulina starała się odbudować ich relację, tak jakby miesiące trucizny laudanum wymazały z jej pamięci fakt, że żadnej relacji nigdy pomiędzy nimi nie było. Zachowywała się przyjaźnie, znów poświęcała dziecku wiele troski, a co gorsza, czyniła aluzje, by Poldek wprowadził się do jej sypialni. Tego nie zamierzał robić pod żadnym pozorem. Choć nic nie wróżyło szybkiego spotkania, chciał pozostać wierny Helenie i to z nią budować kiedyś swój świat. Jeśli w ogóle nadejdzie jakiś inny świat.

\*\*\*

– Dziewczęta, proszę się skupić! – powiedziała Helena do podopiecznych, poirytowana tym, że zamiast słuchać z uwagą o miejscach na ciele, gdzie należy szukać wszy, szepczą coś między sobą i co chwilę zerkają w stronę okien. – Co się dzisiaj z wami dzieje?

– Niech pani instruktorka sama zobaczy – odważyła się odezwać jedna ze śmielszych dziewcząt, drobna blondyneczka o imieniu Maria.

Helena złapała się na tym, że właściwie każdego mieszkańca getta ocenia na podstawie imienia i tego, jak bardzo aryjsko wygląda, czyli jakie szanse na przeżycie miałyby po drugiej stronie muru. Wiedziała, że ludzie uciekają, lecz pojęcia nie miała, jak sobie tam radzą. Zwłaszcza ci o typowo semickim wyglądzie, z wydatnymi nosami i ciemną oprawą oczu.

– Stójcie spokojnie! – poleciła uczennicom. – Zaraz wchodzimy do pacjentów.

Podeszła do okna i zobaczyła kolumnę ludzi idących pod karabinami w stronę północnej części dzielnicy. Nieśli walizki, ciągnęli za sobą dzieci, niektórzy trzymali nad głową ręce na znak, że się poddają i zamierzają bez sprzeciwu wykonywać rozkazy.

– Dokąd ich zabierają? – zapytała Marysia, gryząc końcówkę warkoczyka, który Hela zaplotła jej przed wyjściem z internatu na Mariańskiej.

– Nie wiem – odparła, próbując zachować spokój. – Pamiętajcie, moje drogie! Służyć chorym! To nasza najważniejsza zasada. Chodźmy! Z tego, co mi powiedziano, jest wielu nowych pacjentów.



Helena zacisnęła zęby, żeby się nie rozpłakać. Ta ich pełna poświęcenia pomoc nie miała już większego sensu, gdy ludzie marli jak muchy na chorobę głodową albo na tyfus. Ani na jedno, ani na drugie personel nie miał magicznego lekarstwa. Ta próba zachowania szkolnego drylu i pomaganie chorym coraz częściej przypominały farsę. Dokładnie taką jak udawanie, że życie w getcie rzeczywiście jest życiem.

– Jestem głodna – poskarżyła się cicho jedna z najmłodszych dziewczynek i rozpłakała się głośno.

– Idź do zabiegowego i napij się wody z kranu – odparła Helena, bowiem nic innego nie mogła powiedzieć. Jeśli użaliłaby się nad jedną ze ślaniających się z głodu uczennic, natychmiast morale całej grupy spadłoby do zera.

Jak długo się dało, personel szkoły zamierzał utrzymywać iluzoryczną formułę, w której uczennice miały wyżywienie i opiekę, a one odwdzięczały się pracą, wciąż eufemistycznie nazywaną praktykami. Heli zdawało się, że jedynie to pozwalało adeptkom pielęgniarstwa zachować względne zdrowie psychiczne, choć codziennie chodziły spać głodne. Wciąż w śnieżnobiałej pościeli, na co nalegała dyrektorka.

– Heleno, pozwolisz na słowo? – W ponure myśli dziewczyny wciąż się głoś Michała.

– Dziewczęta, proszę iść do sali chorych – rozkazała Hela i spojrzała z niepokojem na zatroskanego kuzyna. – Co się tam dzieje? Wiesz? – zapytała.

– Zaczynają się wywózki Żydów z getta na wschód – odparł. – Mówią, że tam się w spokoju osiedlą.

– Ciekawa jestem tego spokoju, skoro tam wciąż przechodzi front – odparła z przekąsem Hela.

– Ja też nie ufam Niemcom, ale co mamy zrobić? Słyszałaś, że na dniach trzeba będzie przenieść szkołę pielęgniarek do innej siedziby?

– Nic już mnie nie zaskoczy – szepnęła. – Wiesz dokąd?

– Załoga szpitala na Czystem i szkoła mają się przenieść na Gęsią. A nasze placówki ulegają likwidacji.

– Jezu, jak to?

– Mało masz wokół dowodów na to, że Niemcy chcą nas wytępić tak, jak my w szpitalach usiłujemy wytępić wszy przenoszące tyfus? Nie doszukuj się sensu, Heleno.

Nie odpowiedziała. To niewymowne zło, jakie sączyło się do getta, sprawiało, że racjonalnie myślący ludzie wariowali. Najgorsze było, że mieszkańcy, usiłując po prostu przetrwać, racjonalizowali nawet najbardziej okrutne zarządzenia. Wrażliwi, nie umiejąc poradzić sobie z sytuacją, często wychodzili na górne piętra kamienic, żeby skakać z okien, lub targali sznury na strychy i wieszali się, by uciec od ogromu okrucieństw.

– Co ci cholerni Niemcy zamierzają zrobić?

– To przecież oczywiste, Helu. Zamierzają zlikwidować getto – odparł Michał. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, wszyscy skończymy na Umschlagplatzu.

– Gdzie? – zapytała.

– Przeladunkowa stacja kolejowa na północnym końcu getta. Stacja docelowa jest zagadką.

– Przestań! Nie mogę tego słuchać!

– Wybacz, nie powinienem być tak obcesowy. – Michał poklepał kuzynkę po ramieniu, próbując dodać jej otuchy. – Musisz wiedzieć jeszcze jedno. Dziadek Szmul właśnie przybył na oddział. Ma objawy tyfusu. Będę wdzięczny, jeśli oddelegujesz do niego jakąś bystrą uczennicę.

– Oczywiście.

Helena weszła na oddział i jak zwykle zacisnęła szczęki, żeby powstrzymać szloch. Iluzja leczenia rozwiewała się za każdym razem, gdy pielęgniarki czuły bezsilność wobec śmierci zbierającej coraz większe żniwo. Od razu zauważyła, że od poprzedniego dyżuru przybyło pacjentów. Pod lewą ścianą leżał starszy mężczyzna z pejsami. Zwróciła na niego uwagę, bo trzymał w ręku książkę. Nie sama książka ją zdziwiła, lecz fakt, że w szpitalu leży ktoś, kto jeszcze jest w stanie utrzymać ją w ręku.

– Uważaj na niego, Helu, bo to straszny despota – szepnęła jej do ucha jedna z pielęgniarek, przystając tuż obok.

– Z kogo? – zapytała.

– Mówię o krewniaku doktora Michała, bo widzę, że mu się przyglądasz – odparła pielęgniarka.

– Co mu jest? – zapytała.

– To, co wszystkim, tyfus. – Pielęgniarka wzruszyła ramionami i poszła do pacjentów.

Helena zawahała się. W pierwszym odruchu miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec jak najdalej, lecz ciekawość wygrała. Podeszła do Szmula z uśmiechem. Starszy mężczyzna był wychudzony i wymizerowany. Poprawiła mu poduszki i przyłożyła dłoń do czoła, by sprawdzić temperaturę. Było gorące, lecz nie rozpalone.

– Nie kłopotz się, dziewczuszko – powiedział Szmul. – Dość już się męczę na tym świecie, by nie czekać z utęsknieniem na koniec ziemskiej drogi.

– Proszę tak nie mówić. Życie jest piękne.

– Dojdiesz do moich lat, to pojmiesz, że tylko dla młodych. Dobrze, że mam co czytać. Święta księga jest najlepszą pocieszycielką. Chodzisz do bożnicy, dziewczuszko?

– Nie... To znaczy tak... Czasem.

– Wahasz się, więc droga do prawdy jeszcze nie jest dla ciebie zamknięta – ucieszył się Szmul.

– Może nie jest – przyznała z zadumą Helena.

Poszła do następnych pacjentów z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszyła się, że po raz pierwszy w życiu porozmawiała z własnym dziadkiem, lecz z drugiej było jej przykro, że doszło do tej rozmowy tylko dlatego, że nie wiedział, kim ona jest. Jak bardzo można nie chcieć znać własnej wnuczki, by nawet nie wiedzieć, jak wygląda?

Rozgoryczona Helena przez resztę dyżuru omijała posłanie dziadka Szmula szerokim łukiem.

– Dziewczeta, proszę się ustawić w pary – zarządziła, gdy wszystkie uczennice zakończyły pracę. – Na ulicach jest niebezpiecznie, więc proszę, żebyście miały się na baczności i trzymały we wzorowym szyku.

Do internatu wracały w ciszy. Czuło się nerwowość wśród przechodniów, których było znacznie mniej niż zwykle. W zatłoczonym do granic możliwości getcie każdy próbował schronić się gdziekolwiek, żeby nie stać się celem łapanki. Nikt nie wiedział, dokąd Niemcy wywożą ludzi.

Kolejne dni pokazały, że rodzice uczennic wykazali się doskonałym instynktem, zabiegając o umieszczenie ich w szkole pielęgniarek. Jak ogłosiła na specjalnym zebraniu dyrektorka, znalazły się na liście ludzi niezagrożonych wywózką. Dopóki były przydatne w walce z epidemią, dopóty mogły chodzić bezpiecznie po ulicach getta. Pozorny spokój trwał do sierpnia, gdy za mur wrócili nieliczni uciekinierzy z transportów. Wyskakiwali z bydłowych wagonów wprost na tory, gdy pociągi zwalniały przed stacją końcową. Jednym z nich był Jakub, brat młodziutkiej Marysi. Wszyscy, łącznie z dyrektorką, przyszli wysłuchać opowieści.

– Kuba mówi, że do wagonu zapędzili tylu ludzi, że nie było jak oddychać – mówiła z przejęciem dziewczynka. – Ścisk okropny, żadnej wody do picia i upał tak straszny, że co chwilę ktoś mdlał. Mój brat jest bardzo chudy i do tego niski, więc krok po kroku przepychał się jakoś między ludźmi, by wreszcie dotrzeć do niewielkiego okienka. Jak się w nie wczepił, to już nie pozwolił się odpędzić. Gdy pociąg zwolnił, przecisnął się przez nie jakimś cudem. Mówi, że głos w głowie kazał mu tak zrobić. Więc wyskoczył. Nikt go nie zauważył, gdy przebiegł przez las i zapukał do pierwszych z brzegu drzwi. Otworzyła mu jakaś staruszka, lecz nie chciała wpuścić do środka. Dała mu wody, kawałek chleba i powiedziała, że to bardzo dobrze, że udało mu się uciec, bo w obozie męczą ludzi na śmierć i palą w wielkich piecach, a nieznośny czarny dym unosi się tam dzień i noc.

– A jak udało mu się wrócić do getta? – zapytała dyrektorka.

– Szedł pieszo kilka dni. Głównie lasami, starając się jak najrzadziej wychodzić do ludzi – wyjaśniła Marysia.

– Po co w ogóle wracał, skoro już udało mu się uciec? – zdziwiła się jedna z uczennic.

– A dokąd miał pójść? Gdzie by się podział? Prędzej czy później złapałby go jakiś patrol. Poza tym chciał do rodziny. Ty byś nie chciała? – zapytała Marysia.

Helena zastanowiła się nad słowami dziewczynki i zrozumiała, na czym polegał największy dramat ludzi skazanych na getto: mury istniały także w ich głowach i sercach.

\*\*\*

– Nigdy o nic nie prosiłem, choć pan najlepiej wie, że oddałem Muszkieterom życie i reputację – perswadował Konrad, kręcąc się niespokojnie na wyściełanym krześle stojącym w saloniku willi.

Podkowa Leśna w szczybie lata przypominała skąpany w kwiatkach i zieleni ogród. Świergot ptaków dopełniał idyllicznego obrazu.

– Praca dla organizacji nie uprawnia do targowania się o cokolwiek. To misja służby Polsce i oznacza pełne w nią zaangażowanie – odparł Kapitan.

– Chodzi o ludzkie życie. – Konrad nie mógł nic poradzić na to, że kwestia wybrzmiała jednocześnie dramatycznie i groteskowo. – Wiem, obecnie owo życie mocno potaniało, ale to ceniony doktor i uzdolniona pielęgniarka. Nie proszę o wiele. Tylko o to, żeby wyciągnąć dwie ważne dla mnie osoby zza muru. Pan przecież doskonale wie, co tam się dzieje. Wywózki trwają w najlepsze. Nie muszę tłumaczyć, jaki los czeka tych ludzi.

– Pracownicy służby zdrowia akurat są najmniej narażeni, panie Konradzie. Są potrzebni przy gaszeniu ognisk epidemii, więc Niemcy ich nie ruszą.

– Ale tylko dopóki będą żyli Żydzi, którzy tworzą owe ogniska epidemii – odparł z przekąsem Konrad.

– Nie wywiozą wszystkich. To niemożliwe. Pan wie, ilu tam jest ludzi? Nawet metodyczność niemieckich działań temu nie poddała.

– Dobrze więc. Czy może mi pan zagwarantować, że jeśli wydostanę ich na własną rękę, organizacja pomoże ich ukryć do czasu, aż będą bezpieczni? – Konrad zmienił strategię, widząc, że więcej nie wskóra.

– Na to ma pan moje słowo – zgodził się Kapitan.

– Dziękuję. Pan pozwoli, że się już pożegnám.

Konrad wyszedł z willi, gotując się ze złości. Już wcześniej wiedział, że organizacja wysysa z niego wszystko, nie dając nic w zamian oprócz górnolotnych frazesów. Zastanawiał się, gdzie podziewa się rodzina Kapitana i czy byłby równie chłodny i ferował rozsądne wyroki, gdyby chodziło o jego bliskich. Konrad troszczył się o Helę jak o siostrę, a choć od rozstania z Michałem minęło wiele czasu, wciąż myślał o nim jak o swojej drugiej połowie.

Gdy wrócił z Podkowy do Warszawy, miasto powitało go znajomym zaduchem i wszechobecnymi nazistowskimi flagami. Podjął decyzję, która mogła zdemaskować grę z Frankiem Robertsonem i narazić na niebezpieczeństwo Muszkieterów. Kapitan może mówić o pierwszeństwie misji, lecz przecież każdy w Warszawie miał swoją. Celem Konrada było uratowanie Michała i Heli.

Okazja nadarzyła się niespodziewanie szybko. Po upojnej nocy Frank obudził się, leżąc w ramionach Konrada, i uśmiechnął się do kochanka. Choć świat płonął, w pokoju panował miły chłód, a poranny wiatr od strony Łazienek poruszał leniwie mlecznobiałymi firankami okna balkonowego.

– Dostałem awans, Konradzie – powiedział miękko Robertson.

– To wspinała wiadomość! Dlaczego nie mówiłeś wczoraj? Byłoby co oblewać!

– Być może będę musiał przez to wyjechać na jakiś czas.

– A ja chętnie pojedę z tobą! – Konrad pogłaskał kochankę po ramieniu.

– Na wschód? – zapytał Frank. Nie udało mu się ukryć goryczy.

– Wszędzie, gdzie zechcesz – zablefował.

– Bardzo to doceniam, ale nie sądzę, żeby to było możliwe – odparł smutno Robertson. – Cieszę się jednak, że udało mi się tak wiele dobrego zrobić dla Warszawy. Ot choćby porządki w getcie. Nie przypisuję sobie zasług, rzecz jasna, lecz lubię myśleć, że moja wytężona praca pomogła choć trochę w ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej.

– Z pewnością, kochany. Choć to mnie trochę przygnębia.

– Martwisz się Żydami?

– Martwię się, że nigdyś obiecałeś mi wycieczkę do getta. Wiesz, z punktu widzenia człowieka kinematografii to wyjątkowa gratka. Tęsknię za światem filmu i terkotem kamer. Ale teraz, gdy trwa tam akcja specjalna, pewnie nie ma możliwości, żeby nakręcić albo choć sfotografować historyczny materiał o zwycięstwie niemieckiej cywilizacji nad zacofanym narodem. Słyszałeś kiedyś o Bronisławie Piłsudskim? Udało mu się nawiązać kontakt z nieznanym ludem Ainu i powstał bezcenny reportaż. Był bratem marszałka Piłsudskiego.

– Piłsudski był wielkim wodzem. Hitler go poważał. Wiesz co? Załatwię ci kamerę i wejściówkę do getta. To budujące, że chcesz wrócić do pracy. – Frank uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nie chcę robić kłopotu. Ot, tak mi przyszło do głowy – bąknął Konrad.

– Żaden kłopot. To wyśmienity pomysł. Weź jakąś ładną aktorkę. Załatwię gazę także dla niej. Pokażmy, że getto wcale nie jest takie złe, jak mówią nieżyczliwi ludzie, którzy zapominają, że Żydów zamknięto tam wyłącznie dla ich bezpieczeństwa.

– Znajdę aktorkę – odparł spokojnym głosem Konrad. Wszystko w nim buntowało się w reakcji na bzdury, jakie opowiadał Frank, lecz nie zdradził się nawet grymasem.

Kilka dni później udało mu się wejść do getta w towarzystwie Idy Wolińskiej, która na udział w fortelu zgodziła się bez oporu.

– Muszę to zobaczyć na własne oczy – powiedziała. – Ludzie opowiadają straszne rzeczy, na naszych ulicach widzi się sporo wychudzonych dzieci, uciekinierów stamtąd. Najczęściej są tak osłabione z głodu, że siedzą pod ścianami domów i tylko apatycznie patrzą przed siebie. Niemcy strzelają do nich jak do tarcz. Coś przerażającego. Nie myśl sobie, Konradzie, że idę tam wiedziona ciekawością. Po prostu uważam, że gdy ta koszmarna wojna się skończy, ktoś będzie musiał rozliczyć zbrodniarzy i właśnie wtedy przydadzą się świadectwa osób, które to widziały i opowiedzą o ludobójstwie na niewyobrażalną skalę.

– Najpierw obejdziemy szpitale – oświadczył Konrad. – Nie wiem, gdzie szukać Heleny, więc to będzie najprostsze.

– A co z filmem propagandowym? – zapytała Ida.

– Nie ma o czym w ogóle mówić. Nie narażę cię na to, żebyś stała się twarzą obrzydliwej nazistowskiej propagandy. Frank pojutrze wyjeżdża, wcale nie zapyta o materiał. A nawet jeśli, to powiem, że getto było tak odrażające, że zabiło we mnie możliwości twórcze. Tym nie martw się zupełnie. Skupmy się na znalezieniu Heleny.

– I Michała – podsunęła usłużnie Ida.

– I Michała – powtórzył.

Od przypadkowych przechodniów dowiedzieli się, że personel i pacjenci byłego szpitala na Czystym zostali przeniesieni na Stawki. Tam, tuż przy samym Umschlagplatzu Niemcy zezwolili także na otwarcie niewielkiego ambulatorium, w którym pracowały uczennice ze szkoły pielęgniarek.

– Myślałam, że okupacja po naszej stronie muru jest straszna, lecz to, co dzieje się w getcie, przechodzi najśmielsze pojęcie – powiedziała Ida, gdy szli pełną nędzarzy ulicą.

– Mam nadzieję, że zastaniemy Helenę i Michała całych i zdrowych – odparł niespokojnie, nie potrafiąc myśleć o niczym innym.

Plac załadunkowy znajdował się na samym skraju getta, więc musieli przejść przez prawie cały jego obszar, żeby się tam dostać. Szpital sąsiadował z Umschlagplatzem, a przy wejściu panował ożywiony ruch. Gdy weszli do środka, Konrada dopadła irracjonalna myśl, że pośród panującej tu nędzy są gośćmi z innego świata i przez to intruzami. Dopiero teraz do niego dotarło, że czyste, nieznoszone ubrania mogą aż tak bardzo zwracać uwagę.

– Przepraszam, szukam Heleny Małeckiej. Jest pielęgniarzką. – Konrad zaczepił ubraną w biało-różowy mundurek uczennicę.

– Pani instruktorka jest na sali chorych. – Dziewczyna wskazała kierunek i pobiegła do swoich zajęć.

– Możemy wejść? – zapytała niepewnie Ida.

– Sądzę, że mają tam większe zmartwienia niż przejmowanie się naszą obecnością – odparł Konrad.

Rzeczywiście, nikt na nich nie zwrócił uwagi, gdy weszli do sali chorych. Od progu buchnął przerażający odór. Chorzy, czy raczej obleczone pergaminową skórą szkielety, leżeli po kilku na dosuniętych do siebie łózkach i materacach, przykryci naprzemiennie czerwonymi i niebieskimi kołdrami. To ostatnie stanowiło barwny, zaskakujący akcent w tym pełnym niedoli miejscu.

– Boże – szepnęła Ida. – Przecież ci wszyscy biedacy umierają.

– A śmierć bywa wybawieniem. Właściwie szczęściem jest tutaj spokojne odejście, zanim kaci wrzucą nieszczęśnika do wagonu bydłęcego, żeby liczba wywożonych im się zgadzała – dobiegł ich z tyłu kobiecy głos.

– Heleno! – Konrad rozpoznał go natychmiast, zanim jeszcze się odwrócił. Chwycił dziewczynę za rękę. Zawsze drobne i szczupłe, teraz zdawały się znikać w jego dłoniach.

– Co tu robisz, Konradzie? – zapytała. – Witaj, Ido – przypomniała sobie o obecności aktorki. – Tu jest bardzo niebezpiecznie. Nie powinniście przychodzić. A jednak... – Helenie załamał się głos. – ...jednak ogromnie się cieszę, że was widzę – przyznała. – Nie sądziłam, że tego dożyję.

– Musisz się stąd wydostać – powiedział stanowczo Konrad. – Wszystko zorganizowałem, o nic nie musisz się martwić. Michał też powinien iść.

– Jesteśmy tu potrzebni – zaprotestowała Hela. – Nie możemy zostawić chorych. Bez nas...

– Umrą? – wtrąciła się Ida. – Kochanie, obawiam się, że ich los już został przypieczętowany, ale ty możesz żyć dalej.

– Chodziło mi o to, że bez nas będą bardziej cierpieć. O ratunku nikt z nich nawet nie marzy – odparła z rezygnacją Hela.

– Przepraszam, nie powinnam mówić takich rzeczy. Wybacz. Zwyczajnie nie potrafię zrozumieć, jak ty to wszystko wytrzymujesz. – Ida patrzyła na dziewczynę współczująco.

– Sama nie wiem. Codziennie wstaję z myślą, że muszę wziąć się w garść i robić swoje.

– Nie zostawię cię tutaj – zaprotestował Konrad. – Gdzie jest Michał? Może on wykaże się większym rozsądkiem i przemówi ci do rozumu.

– Chodźcie ze mną, zaprowadzę was do niego. – Helena ruszyła korytarzykiem w głąb prowizorycznego szpitala.

Na widok byłego kochanka, pochylającego ciemnowłosą głowę nad leżącymi na biurku papierami, Konrad poczuł, że jego serce zaczęło łomotać gwałtownie.

– To ty! – zdziwił się Michał. Wyglądał na oszołomionego, jakby nie dowierzał, że to spotkanie dzieje się na jawie.

– Chodźmy, Heleno. Dajmy im chwilę prywatności. – Ida błyskawicznie oceniła sytuację. Wyszły obydwie na korytarz.

– Nie wiem, co tu robisz, Konradzie, lecz to szalenie niebezpieczne. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku? – zapytał Michał z niepokojem.

– Cały ty. Choć tkwisz w piekle, wciąż martwisz się o innych. Jak twoja rodzina? Jak matka?

– Matka jakoś sobie radzi, ojca nie widziałem od dawna. Wzięli go do brygady robotników, więc chwilowo nie grozi mu wywózka. Dziadek leży tutaj na oddziale. Ma objawy zakażenia tyfusem. Tu wszędzie jest tyfus – ostrzegł. – Nie powinieneś ryzykować i tutaj przychodzić.

– Nic mi nie będzie – zbagatelizował Konrad. – Zresztą nie przychodzę bez powodu. Zorganizowałem dla ciebie i Heli przerzut za mur. Musicie się ratować, póki nie jest za późno.

– Nie zostawię szpitala i badań.

– A jak długo ten szpital będzie istniał? – zapytał z goryczą.

– Dopóki lekarze pozostaną na posterunku – odparł Michał.

– Naiwnym jest sądzić, że akurat lekarzy Niemcy oszczędzą.

– Wiem. Ale i tak nie mogę odejść. Dziadek w szpitalu, więc jak mógłbym go porzucić? Matki też nie zostawię.

– Może chociaż namów Helę? Musi żyć dla swojego syna! – Konrad nic nie mógł poradzić na to, że mówił poirytowanym tonem.

– Namówię. A przynajmniej się postaram. Czy mogę mieć do ciebie prośbę? – zapytał Michał. – Grupa doktorów bada w tajemnicy chorobę głodową i tyfus. Materiał jest bezcenny. Gdyby wpadł w ręce Niemców, stracilibyśmy wyniki ponadrocznej pracy. Czy mógłbyś wynieść choć część dokumentów na tamtą stronę i przekazać godnym zaufania lekarzom? Wiem, że proszę o wiele...

– Zrobię to. Mną się nie przejmuj. Nikt na bramie nawet nie odważy się mnie przeszukać.

Zapadła kłopotliwa cisza. Między mężczyznami zawisł niewypowiedziany zarzut współpracy Konrada z Niemcami. Powód, dla którego Michał zdecydował się na rozstanie.

– Pamiętasz nasze spotkania w mokotowskiej willi twojego ojca? – zapytał w końcu Michał.

– Oczywiście, że pamiętam. Zawsze będę pamiętał. – Konrad bezwiednie uśmiechnął się do najlepszych wspomnień.

– Pamiętasz, co wtedy szeptałeś mi do ucha?

– „Świat został za murami” – przypomniał sobie Konrad. – Działo kojąco na nas obydwu.

– Wtedy. Dzisiaj znaczy coś zupełnie innego. I jest smutnym podsumowaniem wszystkiego, co nas niegdyś łączyło. Ale musisz wiedzieć, że gdy jest mi ciężko, myślę o tamtych nas. – Michał westchnął.

– Jeszcze nic straconego. Możemy to ocalić, tylko pozwól sobie pomóc. Wydostanę cię stąd. Wojna kiedyś się skończy. Kto wie, co nam pisane? – powiedział z mocą Konrad.

– Pisane nam było rozstanie. Każdy z nas wybrał swoją drogę – odparł twardo Michał. – Namówię Helę, żeby stąd uciekała. Tyle mogę obiecać.

– A ja mogę obiecać, że dopilnuję, by te dokumenty trafiły w odpowiednie ręce. – Konrad upchnął teczkę na plecach pod marynarką. – Kłaniam się – wypowiedział ich dawne sekretne wyznanie.

– Życzę ci wszystkiego najlepszego. Z całego serca. – Michał uśmiechnął się smutno i ucisnął rękę Konrada na pożegnanie. – Przepraszam, ale muszę wracać do pracy.

– Poczekaj. Weź to. – Konrad wyciągnął zza pazuchy pistolet. – Nalegam.

– Nie odmówię. Dziękuję.

Ku rozpaczy Konrada także Helena odmówiła ucieczki. Wymógł jedynie na niej obietnicę, że jeśli zmieni zdanie, przekaze wiadomość przez opłaconego pośrednika. Słaba to była pociecha w sytuacji, gdy ów człowiek dzisiaj żył, a jutro mógł oczekiwać na transport do Treblinki. W getcie śmierć była częstsza niż jakiegokolwiek inne wydarzenie.



Hela patrzyła na przyjaciela odchodzącego w towarzystwie Idy Wolińskiej i przez chwilę walczyła z pokusą, żeby pobiec za nim, zostawić za sobą getto i uczennice, które miała pod opieką. Oczywiście nawet nie zrobiła kroku. Gdy Konrad zniknął za zakrętem, odwróciła się na pięcie, a potem, starając się nie myśleć zbyt wiele, poszła do swoich gasnących w oczach pacjentów. I dziadka Szmula, który, o dziwo, prawie zwalczył wirusa. Zdarzały się cuda nawet w tym zapomnianym przez Boga miejscu. A może staremu pomagała jego niezachwiana wiara?

\*\*\*

Ignacy czuł, że w strukturach Związku Walki Zbrojnej dzieje się coś dziwnego. Nie miał pojęcia co, lecz chaotyczne polecenia sprawiły, że już nie wiedział, komu i w co wierzyć. Może właśnie dlatego postanowił od dzisiejszej akcji odsunąć Krystynę. Nie miał zresztą większego wpływu na dobór współpracowników. Polecono mu ubezpieczać budynek na Wareckiej i pod żadnym pozorem nie wkraczać do akcji, chyba że coś poszłoby nie tak i skazany wyrokiem sądu podziemnego dzisiejszy obiekt likwidacji zdołałby się wywinąć silnej obławie. Ignacy niewiele wiedział o tym człowieku, co też było nietypowe. Zwykle przed akcją likwidacji miał wgląd w krótki życiorys i pełne uzasadnienie wyroku. Tym razem pokazano mu jedynie zrobioną z ukrycia fotografię i wspomniano, że obiekt jest inżynierem uwikłanym we współpracę z Abwehrą i Gestapo.

Ignacy uznał, że podano mu jedynie szczątkowe informacje właśnie dlatego, że miał się nie angażować bez konieczności. Ciepły wrzesień przypomniał mu o ostatnim pikniku w Lasku Bielańskim. Chodzili tam z Krysią w każdą niedzielę, a ich coraz bardziej śmiałe pieszczoty przyprawiały oboje o zawroty głowy. Mimo wyraźnej zachęty dziewczyny Ignacy stanowczo odmawiał, by posunęli się dalej. Twierdził, że nie splami honoru ukochanej i na wszystko przyjdzie czas. Tylko on wiedział, jak wiele samodyscypliny kosztuje go utrzymanie się w ryzach.

Na chodniku przed kamienicą pojawił się postawny mężczyzna w średnim wieku, ubrany w elegancki garnitur i krawat. Pobieźny rzut oka upewnił Ignacego, że ma do czynienia z obiektem. Natychmiast się skoncentrował i wyszarpnąwszy pistolet zza poły marynarki, zaczął obserwować mężczyznę.

Chwilę później z kilku stron padły strzały, lecz inżynier wykazał się refleksem. Uskoczył w bok, po czym błyskawicznie wbiegł do bramy, z której przed chwilą wyszedł. Ignacy ze zdumieniem spostrzegł, że w pogoń rzucają się mężczyźni ubrani w mundury niemieckiej żandarmerii.

– Co tu się, do jasnej cholery, dzieje? – wymamrotał pod nosem Ignacy.

Jakim cudem akcję przejęli Niemcy? Czy ktoś wsypał, czyli w organizacji był szpieg, który przekazał szczegóły wrogowi? Ale jaki to miałoby sens, żeby Niemcy likwidowali swojego człowieka, wyręczając podziemie w wykonaniu wyroku? Jeśli to chłopaki

z podziemia przebrali się za żandarmów, czemu miałyby służyć taka maskarada? Cała ta sprawa wydała się Ignacemu pozbawiona sensu i z gruntu podejrzana.

Z kamienicy dobiegło echo kolejnych strzałów. Ignacy miał pewność, że tym razem dosięgły tajemniczego inżyniera.

\*\*\*

Gwałtowne pukanie do drzwi zdziwiło Konrada. Pewien, że to Mania zapomniała kluczy, przeprosił na chwilę Franka, który po przyjeździe na przepustkę do Warszawy pierwsze kroki skierował do mokotowskiego mieszkania kochanka.

Ku zdumieniu Konrada za drzwiami stała Ida. Wyraźnie wzburzona, z potarganymi włosami, ciężko łąpała oddech po długim biegu.

– To już koniec! – powiedziała i nie zważając na rozpaczliwe znaki, jakie jej dawał, mówiła dalej gorączkowo. – Kapitan zastrzelony. Mówią, że przez niemiecką żandarmerię, ale to wyrok ZWZ, mówię ci! Zaczęły się aresztowania Muszkieterów. Schowaj się i nosa nie wystawiaj! Muszę lecieć, serwus!

Ida odwróciła się na pięcie i zbiegła po schodach, zostawiając oniemiałego Konrada na progu mieszkania.

– Zamknij drzwi i odwróć się powoli – dobiegł go głos Franka.

Werner wykonał polecenie. Nawet się nie zdziwił, widząc, że Niemiec celuje do niego z pistoletu.

– Spokojnie. Czy coś się stało? – Nawet sam Konrad słyszał, jak żałośnie zabrzmiały jego słowa.

– Wiem o wszystkim od początku, więc nie ma sensu się wypierać – powiedział Frank.

– To aresztuj mnie i tyle. Po co to przedłużać?

– A jaki to by miało sens, Konradzie? – zapytał Frank ze znużeniem. – Siatka Muszkieterów rozbita, a ty nie posiadasz żadnej wiedzy, jakiej Gestapo nie wyciągnie z innych.

– Cóż więc zamierzasz? – zdziwił się.

– Odejdę – odparł Frank.

– Tak po prostu?

– Tak. Jutro wracam na front wschodni. – Robertson schował broń do kabury i zdjął z wieszaka wojskową czapkę. Położył dłoń na klamce, lecz nie otworzył drzwi. Odwrócił się do Konrada i uśmiechnął się smutno. – Żałuję, że nie poznaliśmy się w zupełnie innych okolicznościach – powiedział. Wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi.

– Ja też żałuję – szepnęła Konrad.

# ROZDZIAŁ 16

1943

Patrząc na niemal wyludnione ulice getta, trudno było uwierzyć, że jeszcze kilka miesięcy temu panował na nich tłok. Nikt nie potrafił powiedzieć, ilu Żydów zostało przez ten czas wywiezionych, lecz na oko można było ocenić, że większość.

Helena szła, szczelnie owinięta granatową szkolną peleryną, a za nią podążało stadko wyjątkowo cichych uczennic. Tydzień wcześniej rozpoczęła się kolejna akcja wysiedleńcza i tym razem kilka dziewcząt ze szkoły zgarnięto w łapance. Nie pomogła przepustka i trafiły na Umschlagplatz. Każdy żydowski policjant miał obowiązek codziennego doprowadzania do pociągów siedmiu osób, a niewywiązanie się z tego mogło się dla niego i jego rodziny skończyć tragicznie. Trudno więc było się dziwić, że policjanci przestali się przejmować numerkami życia, jakie przy poprzedniej akcji wysiedleńczej otrzymały uczennice. Nic nie pomogło. Podzieliły los reszty i brutalnie wtłoczone do bydlęcego wagonu ruszyły w swą ostatnią podróż. Do obozu w Treblince.

W szpitalu sprawy też nie miały się lepiej. Pacjenci niejednokrotnie byli porywani do pociągów wprost ze szpitalnych łóżek, a wielu z nich pewnie nawet nie dożyło chwili, gdy brutalnie ciśnięto ich do wagonów.

– Proszę iść szybciej. – Helena ponagliła młodziutkie pielęgniarki. Bała się łapanek, lecz jeszcze bardziej siarczystego mrozu, kolejnego nieszczęścia pustoszącego getto.

W tej samej chwili ujrzała biegnącego w ich stronę policjanta. Znała go. Niejednokrotnie ją legitymował, czasem nawet wygłaszał jakieś żartobliwe uwagi. Helena instynktownie wyczuła, że tym razem mężczyzna nie miał przyjaznych zamiarów.

– Dziewczęta, natychmiast uciekajcie! – krzyknęła. – Gdzie która może, a potem do szpitala. Powiadomcie doktora Michała. No już!

Uczennicom nie trzeba było tego powtarzać. Ostatnie dni wystarczyły, by zrozumieć, że status pielęgniarki już nic nie znaczy. Rozpierzchły się na wszystkie strony, biegnąc najszybciej, jak potrafiły. Helena stała w miejscu. Wiedziała, że w ten sposób da dziewczętom przewagę. Nagle poczuła, że w jej dłoń wsuwa się drobna ręka. Spojrzała w tę stronę zdezorientowana.

– Marysiu! Dlaczego nie uciekaś? – zapytała wstrząśnięta widokiem najmłodszej wychowanki z jasnymi warkoczykami wystającymi spod beretu.

– Nie mogłam pani instruktorki zostawić samej – odparła dziewczynka. – Nikt inny już mi nie pozostał – dodała cicho.

– Och, dziecko – westchnęła Helena. Nie zdołała powiedzieć nic więcej. Na jej ramię spadła męska dłoń i mocno ścisnęła.

– Idziemy! – zarządził policjant. Helena z ponurą satysfakcją zauważyła, że mężczyzna nie umie spojrzeć jej w oczy. – Albo wezmę tylko małą. Dzisiaj więcej osób już nie potrzebuję. – Nagle zmienił decyzję.

– Nie, weź mnie, dziewczynkę puść – powiedziała twardo Hela. – Co panu dziecko zawiniło?

– Mnie tam nikt nie zawinił. Gdybym mógł kogokolwiek ratować, tobym ratował! No! Spadaj mała!

– Uciekaj, Marysiu, natychmiast! – krzyknęła Helena, a widząc, że dziewczynka się ociąga, odepchnęła ją od siebie brutalnie. – Chodźmy – zwróciła się do policjanta. – Skoro już tak, wolę mieć to za sobą.

– Nie tak prędko. Pani się cieszy, że ma ciepłe ubranie. Dzisiaj posiedzicie trochę na placu do odjazdu pociągu. A mróz coraz gorszy.

Policjant nie kłamał. Pośród nieodgarniętego śniegu Umschlagplatzu siedzieli na tobołkach stłoczeni ludzie. Nie odsuwali się od siebie, lecz szukali u siebie nawzajem choć odrobiny ciepła. Helena owinęła się szczelniej peleryną. Chciała usiąść gdziekolwiek, ale w tej samej chwili dojrzała ciotkę Sarę, stojącą prawie pod samym murem sąsiadującego z placem budynku szpitala.

– Jak ciotkę złapali? – Helena podeszła do krewniaczki i objęła ją z całej siły.

– Jak wszystkich. Wygarnęli nas z mieszkania.

– Nas? – zapytała niespokojnie Hela. – Michał też tu jest?

– Nie było go w domu, bez obaw. On jest bezpieczny. Pytanie tylko, jak długo – odparła ze smutkiem Sara. – Jest ze mną dziadek. Chodź, zaprowadzę cię do niego.

– Nie chcę przeszkadzać – bąknęła.

– Rzeczywiście chcesz się przejmować podobnymi bzdurami właśnie teraz, moje dziecko? – zdziwiła się ciotka. – Rozejrzyj się. Żadne zasady już nie obowiązują. – Roześmiała się z goryczą.

Helena nie odpowiedziała. Czuła dziwne rozluźnienie. Tak jakby gdy w końcu wydarzyło się to, na co każdy mieszkaniec getta powinien się przygotować, nie było już więcej czego się bać i pozostało jedynie w spokoju przyjąć nieuchronny los. Ciotka miała rację. Przejmowanie się humorami dziadka Szmula nie miało już sensu.

– To ja. Spotkaliśmy się jakiś czas temu w szpitalu – przywitała go Helena. Nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy. Życzenie komuś dobrego dnia zakrawałoby w tej sytuacji na kpinę.

Starzec siedział nieruchomo, owinięty kraciastym kocem, i mamrotał słowa jakiejś modlitwy. Spojrzał na Helenę bez wyrazu.

– Ach, więc i ciebie, dziewczuszko, na koniec schwytali – powiedział beznamiętnie.  
– Schwytali – przyznała.  
– Strasznie zimno. A jednak trudno czekać z niecierpliwością na pociąg. – Sara usiadła obok ojca i zerknęła na Helenę.

Jakby w reakcji na słowa ciotki, na rampę przy Umschlagplatzu wtoczyły się wagony. Tłum zafalował, rozległy się ożywione szepty, a niektóre kobiety zaczęły płakać, co natychmiast podchwyciły dzieci. Pomędzy siedzących na tobołkach ludzi wpadli mundurowi z psami i zaczęli brutalnie pospieszać więźniów.

– A więc to koniec – powiedział dziadek Szmul, podnosząc się ciężko ze zmrożonej ziemi.

– Niech tate tak nie mówi. Żaden człowiek nie wie, kiedy przychodzi koniec – warknęła na niego Sara. – Lepiej się zbierajmy.

W tej samej chwili na tyłach budynku szpitala rozległo się łomotanie w szybę. Helena spojrzała w kierunku okna. Po drugiej stronie stała Marysia w pielęgniarskim mundurku i gorączkowo gestykulowała.

– Lepiej tam idź! Może jeszcze uda ci się uratować skórę. – Sara pierwsza oceniła sytuację.

– Chodźmy wszyscy! – odparła dziewczyna.

– Nic z tego, zbyt wiele zamieszania. Powodzenia, kochanie. – Ciotka ujęła ojca pod rękę.

– Żegnaj, wnuczko – powiedział Szmul.

– Wiedziałaś, że to ja? – Helena była bliska płaczu.

– Zawsze – odparł. – Musisz też wiedzieć, że...

Na placu rozległo się ujadanie psów, padły strzały, na ziemię runął jakiś niedoszły uciekinier. Ludzie zaczęli wrzeszczeć, dzieci jeszcze głośniejsze płakać.

– Uciekaj, Heleno! – ponagliła ją Sara.

To przywróciło dziewczynie przytomność. Powoli, krok za krokiem cofała się za tłum w stronę ściany szpitala. Marysia już uchyliła okienko, a czyjeś silne dłonie wciągnęły Helenę do środka.

– Zamykaj, Marysiu! Szybko! – rozległ się stanowczy kobiecy głos.

Helena rozpoznała dyrektorkę i prawie się rozpłakała z ulgi.

– Nie czas na babskie lamenty. Idziemy! – zarządziła zwierzchniczka.

Wszystkie trzy wycofały się pospiesznie i pobiegły w głąb szpitala. Rozpacz mieszała się Helenie z radością z chwilowego ocalenia. Na pierwszym piętrze przystanęła przy zakratowanym oknie. Patrzyła na tłum, z którym jeszcze chwilę wcześniej dzieliła niedolę, i próbowała odnaleźć w nim ciotkę Sarę i dziadka Szmula. Bezskutecznie. Zastanawiała się, co chciał jej powiedzieć, zanim ciotka Sara pociągnęła go w stronę bydłowego wagonu. Teraz nie dowie się już nigdy. Marysia objęła ją w pasie, jakby wyczuwając rozpacz instruktorki, i przywarła do niej mocno.

– Dziękuję ci – szepnęła Helena i pogłaskała dziewczynkę po głowie. – Dziękuję za ratunek, Marysiu.

– Coś mnie ominęło?

Na szczycie schodów stał Michał i wyczekująco patrzył na kuzynkę. Helena westchnęła ciężko, a serce skurczyło się z bólu.

– Musimy porozmawiać – powiedziała w końcu. – Natychmiast.

Już w gabinecie lekarza łamiącym się głosem opowiedziała o tym, co właśnie wydarzyło się na Umschlagplatzu.

– Czy matka przekazała coś dla mnie? – zapytał, ocierając ukradkiem łzy.

– Nie zdążyła. W takich chwilach nie myślisz zbyt jasno. Ja też nawet nie pomyślałam o Poldusiu. – Mówiąc to, Helena ze zdumieniem uświadomiła sobie, że to prawda. Może w chwilach tak strasznego zagrożenia nie ma miejsca na nic więcej niż strach i obawa o to, co wokół?

– Zrozumiałe – uciął Michał. – Heleno, to pokazuje najdobitniej, że najwyższa pora, żebyś skorzystała z pomocy Konrada i uciekła stąd, póki jeszcze nie jest zbyt późno. Drugiej szansy od losu możesz nie dostać.

– Nie ma mowy! A co z uczennicami? Co z Marysią? – zaprotestowała.

– Także je mam na myśli, Heleno! Zbyt długo zwlekano z ich przetruceniem za mury. Rodzice dziewcząt do ostatniej chwili wierzyli, że ich córki są nietykalne. A teraz nie ma już nikogo, kto by się miał o nie zatroszczyć. Ich bliskich dawno wywieziono do Treblinki, a jak widzisz, same nie są już dłużej bezpieczne. Skończą wszystkie w bydłących wagonach, jeśli my im nie pomożemy. Ty i ja.

– Co masz na myśli?

– Musisz uciec za mur i z pomocą Konrada wydostać tyle dziewcząt, ile się uda.

– A co z tobą, kuzynie?

– Ja będę łącznikiem. Ktoś przecież musi koordynować ewakuację od środka – wyjaśnił.

– A później wyjdę i ja. Teraz, gdy moja matka... – Michałowi załamał się głos. – Nic mnie tu już nie trzyma – powiedział w końcu.

Gdy Helena wyszła z gabinetu, Michał usiadł na krześle i zagryzł zęby na ściśniętej dłoni, żeby nie krzyknąć z rozpacz.

\*\*\*

– Masz gościa – powiedział z przekąsem Malinowski do Poldka. – Powiedziałem, że nie jest tu mile widziany, lecz nalegał.

Zaintrygowany Poldek postawił synka na podłodze i odruchowo poszukał spojrzeniem Basi. Zmitygował się natychmiast i wzięwszy dziecko za rączkę, zaprowadził do siedzącej w fotelu Pauliny. Wciąż nie potrafił się przyzwyczaić, że jego żona znów zachowuje się jak pełnoprawny członek rodziny. Nadal unikał małżeńskiej sypialni i zbywał jakiegokolwiek

próby rozmowy ze strony Pauliny. Cóż mógłby jej powiedzieć? Że na przekór faktom jego głupie serce wciąż wierzyło w szczęśliwe życie u boku Heleny? Porzucił ponure rozważania i wbrew sobie zaintrygowany poszedł do przedpokoju. Nie widział Konrada od lat, więc tym bardziej dziwiła go ta wizyta.

– Witaj, co za niespodzianka! – przywitał się, wkładając maksimum uprzejmości w swoje słowa.

– Musimy pogadać – przerwał mu obcesowo aktor. Ubrany w eleganckie palto i nowy kapelusz wyglądał, jakby przybył z innego, lepszego świata. – Ubierz się, zapraszam na krótki spacer. – Konrad odwrócił się i wyszedł, pewny, że Poldek pójdzie za nim.

Nie pomylił się. Chłopaka zbyt mocno zaintrygowało zachowanie gościa, żeby go zignorować. Porwał z wieszaka płaszcz i zbiegł po schodach. Konrad stał tuż obok wejścia do klatki. Palił papierosa, a dym w połączeniu z parą z ust tworzył białe kłęby. Płatki śniegu wirowały w podmuchach wiatru.

– Jak wiele jesteś w stanie zrobić dla Heleny? – Konrad od razu przeszedł do rzeczy.

– Wszystko – zapewnił Poldek, czując, że oblewa go fala gorąca. – Wiesz coś o niej? Jak się miewa? – zaczął dopytywać gwałtownie.

– Uciekła z getta. Przebywa w lokalu, w którym chwilowo jest bezpieczna, lecz nie może tam długo zostać. Czy przychodzi ci do głowy miejsce, w którym mogłaby się ukryć? Ludzie, którzy mieli jej pomóc, nie żyją. – Konrad skrzywił się na wspomnienie Kapitana i reszty Muszkieterów, którzy przypłacili ofiarną służbę śmiercią wskutek niewyobrażalnej zdrady.

– Coś wymyślę – odparł Poldek. W jego głowie natychmiast zaczął się formować plan, by niezwłocznie poprosić o pomoc Krystynę.

– Nie może o tym wiedzieć nikt inny. Musisz działać wyłącznie na własną rękę. Ja chętnie ukryłbym ją u siebie w mieszkaniu, lecz tam nie jest obecnie bezpiecznie. Zbyt wielu kręci się tam... – Konrad umilkł. – W każdym razie – podjął po chwili – tam zostać nie może.

Poldek myślał gorączkowo. Werner z punktu storpedował jego pomysł, więc rozmowa z Krysią nie wchodziła w grę. Ukrycie Heli w pracowni na Solcu też odpadało. Ojciec doskonale znał kryjówkę, gdzie wcześniej umieścił Moszego Blumana, a ryzyko, że Niemcy będą wracali, by sprawdzić, czy w donosie Melnerowej nie kryje się ziarno prawdy, było zbyt wielkie.

– Za naszym sklepem na Nowym Świecie jest niewielki korytarzyk, dalej schody i dwie małe piwniczki. Stoją nieużywane od dawna. Ojciec kazał je zamknąć na klucz. Zbyt ryzykowne byłoby przechowywać tam towar ze względu na myszy. Nikt tam nie wchodzi, a drzwi są zastawione gablotą z damskimi rękawiczkami. Może tam?

– Bardzo dobry pomysł. Przynajmniej do czasu, gdy załatwię jej dokumenty – powiedział Konrad.

– Czy to znaczy, że ją zobaczę? – zapytał Poldek bez tchu.

– Przyrowadzę ją jutro wieczorem, więc urządz to tak, żebyś mógł czekać na nas w sklepie już po godzinie policyjnej. Dasz radę?

– Tak – odparł, choć nie miał pojęcia, jak to zorganizować.

– Spróbuj zapewnić jakieś poślanie. Koce, cokolwiek. I oczywiście coś do jedzenia, choć ja też na pewno przyszykuję, co będę mógł. Bywaj, Poldku. Do zobaczenia jutro. – Konrad uchylił kapelusza i pospiesznie zniknął w bramie.

Oszołomiony Poldek wrócił do mieszkania, lecz nie mógł sobie znaleźć miejsca. Ze zniecierpliwieniem odpowiadał Paulinie, szczebiotanie Poldusia drażniło go, a rozwiązanie nie przychodziło do głowy. Zajrzał do kuchni i ukradkiem wsunął do kieszeni kawałek chleba.

– Idę do Janka – oświadczył w końcu.

Wspiął się na poddasze kamienicy i zapukał. Nie bywał tu często. Mieszkanko przywoływało zbyt wiele wspomnień, a poza tym najczęściej to brat schodził na pierwsze piętro do ojca. Zza drzwi dobiegły śmiechy i wesoły rozgardiasz, charakterystyczne dla szczęśliwego domu. Poldek nasłuchiwał odgłosów. Wreszcie zdusił w sobie zazdrość i zapukał. Otworzyła uśmiechnięta Basia.

– Poldek! Jak miło, że wpadłeś – przywitała go ciepło.

– Co tam, bracie? Chodź do nas! – krzyknął z kuchni Janek. – Alinka na pewno się ucieszy. Coś ty taki poważny? – zapytał, gdy Poldek wszedł do środka.

– Jak ukrylibyście kogoś późnym wieczorem w miejscu, gdzie kręci się dużo patroli? – zapytał znienacka Poldek.

– Basiu, czy ty rozumiesz, o czym on mówi? – zdumiał się Janek.

– Za nic. Usiądź i powiedz, w czym rzecz – zwróciła się do szwagra, lecz on nawet nie ruszył się z miejsca.

– Helena uciekła z getta – powiedział.

– Jezu, wreszcie – szepnęła Basia. – Dobrze, że do nas z tym przyszedłeś.

– Chcę ją ukryć w piwnicy na Nowym Świecie. Już się tam umówiłem z Konradem Wernerem na jutro wieczorem. I pojęcia nie mam, jak to urządzić – przyznał żałośnie Poldek. – Przecież to pod samym nosem Niemców, obok tej ich cholernej dzielnicy rządowej. I jeszcze klucze. Zamykamy wieczorem na zmianę, więc wiesz, że potem musimy je oddawać ojcu. – Poldek spojrzał na Janka.

– Aż mnie korci, żeby zapytać, co ma z tym wspólnego Werner, ale są ważniejsze tematy. Trudna sprawa – zasepił się Janek. – I jeszcze godzina policyjna...

– Och, czasami mam wrażenie, że jesteście naiwni jak dzieci i nie macie nawet odrobiny sprytu – roześmiała się Basia. – Przecież to jest bardzo proste. Jutro pójdziecie zamknąć sklep obydwoj. Oczywiście wróci tylko Janek, a ty poczekaasz w środku. Gdy przyjdzie Konrad z Heleną, po prostu po cichu wpuścisz ich do środka od strony zaplecza. Przejdą przez podwórka, prawda?

– A skąd będą to wiedzieć? – zapytał Poldek.



– To akurat załatwię ja. Pojadę jutro do Mokotowa i wyjaśnię wszystko Wernerowi – odparła Basia.

– A co z kluczami? I czy ojciec nie nabierze podejrzeń, że Poldek nie wrócił na noc? – zapytał Janek.

– Poldek powie jutro ojcu, że będzie spał tutaj, bo chce porozmawiać z bratem i wypić flaszczkę samogonu. To do niego trafi, nieprawdaż? – Basia uśmiechnęła się bezwiednie, widząc, że obydwaj gorliwie potakują. – A rano Janek pobiegnie do sklepu i otworzy go przed subiektem. Potem to już wiadomo, wróćcie obaj do domu. I sprawa załatwiona.

– Nie wiedziałem, że jesteś taka sprytna. Nie chciałbym zostać ofiarą twoich forteli, zono. – Janek patrzył na Basię z podziwem.

– Gdybyś się urodził na Czerniakowie, to też byś musiał od dziecka ratować się cwaniactwem – odparła.

\*\*\*

## Współcześnie

Bolesław Melner zrobił na Julii miłe wrażenie. Miał wianuszek siwych włosów okalający błyszczącą łysinę, a na ustach nieodłączny uśmiech. Przypominał jej własnego dziadka. Wszyscy mili dziadkowie mieli coś charakterystycznego w wyglądzie. Może tę siateczkę zmarszczek na czole? Może łagodne oczy z wiecznie zaczerwienionymi spojówkami?

Dziadek Bolek zaprosił młodych do stołu, lecz Filip nawet nie chciał o tym słyszeć.

– Usiądź, dziadku, i porozmawiaj z Julią, a ja się wszystkim zajmę. Już dość się zmęczyłeś, szykując dla nas wyżerkę – powiedział.

– Żeby to jeszcze ja szykował – roześmiał się stary mężczyzna. – Wszystko zamówiłem u pani Joli w garmażerze, a szarlotkę upiekła sąsiadka.

– Mimo to pozwól, że teraz ja przejmę stery, dobrze? – zapytał łagodnie Filip. Julii nie umknęła czułość, z jaką zwracał się do dziadka. Było jasne, że ci dwaj są ze sobą bardzo zżyci. Poczowała lekkie ukłucie zazdrości. Jej własny dziadek przez wiele lat się do niej nie odzywał, nie utrzymywał kontaktów, a nowa więź wciąż była bardzo krucha. Dziewczyna wielokrotnie chciała zapytać dziadka albo ojca, co ich tak bardzo poróżniło, że nie rozmawiali ze sobą od lat, ale powstrzymywała ją obawa, że dowie się czegoś straszego, co diametralnie zmieni obraz jej własnej rodziny. A na to nie była gotowa.

– Może ja pomogę? – zapytała.

– W żadnym razie, moja droga. Ty pozabawiasz dziadka rozmową, a ja zaraz przyniosę zupę. Co tam mamy dzisiaj? – zapytał Filip.

– Rosół, oczywiście. Mam nadzieję, że panna lubi? – zagaił Julię.

– Uwielbiam! Będzie mi miło, jeśli będzie się pan do mnie zwracał po imieniu – powiedziała z zawstyżeniem.

– Z najwyższą przyjemnością, drogie dziecko – odparł. – Filip opowiadał mi o twoich postępach w rozszyfrowywaniu listu pradziadka. Dużo pracy w to włożyłaś – zauważył z uznaniem. – I pomyśleć, że ów list sprawił, że poznałaś mojego wnuka, a teraz siedzimy i rozmawiamy przy tym stole. Internet ma nadzwyczajną moc. Nie poruszam się w nim najlepiej, wiesz, nie te lata, lecz mimo to twierdzę, że jest najważniejszym wynalazkiem ostatnich stu, jeśli nie dwustu lat.

– Nie wierz dziadkowi! Śmiga po necie jak nikt! – zawołał z kuchni Filip.

– A ten jak zwykle przesadza – burknął starszy mężczyzna, lecz widać było, że schlebia mu pochwałą wnuka. – A jak wam idzie praca z dziennikiem mojej matki? – zainteresował się.

– W przeciwieństwie do mojego pradziadka, babcia Krystyna nie migąła się od lekcji kaligrafii – roześmiała się Julia. – Idzie sprawnie, a nawet już mamy pewne ciekawe odkrycie. Pana mama kochała się w czasie wojny w Ignacym, bracie sławnego aktora, Konrada Wenera.

– O proszę, to bardzo ciekawe. Nigdy nie opowiadała o tym mężczyźnie. Zresztą, jeśli dobrze pamiętam, nigdy nie opowiadała o żadnym. Odkąd pamiętam, samotnie mnie wychowywała. Nie wiem, kto jest moim ojcem, bo matka nigdy nie chciała o tym mówić. Może właśnie ów Ignacy? – zasępił się dziadek.

– Nic na to nie wskazuje, przynajmniej nie w dzienniku – powiedział Filip, wchodząc do salonu z wazą rosołu. – Ale przecież coś prababcia Krysia musiała opowiadać? Nic nie pamiętasz?

– Nie, zawsze ucinęła wszelkie pytania. A gdy byłem nieustępliwy, powtarzała, że bym zajął się przyszłością, a nie tym, co już dawno odeszło i nigdy nie wróci. Byłem grzecznym, spokojnym chłopcem. Uwierzyłem, że tak jest lepiej, i nigdy więcej nie pytałem.

– A pamięta pan swoją ciotkę Paulinę? – zaciekawiała się Julia.

– Jak przez mgłę – przyznał Bolesław Melner. – To nawet nie są wspomnienia, tylko takie ulotne obrazki. Była chyba blondynką. Zginęła dawno temu, jak wielu. A matka...

– Niech zgadnę: powiedziała, że nie należy wracać do przeszłości – dokończył Filip.

– Właśnie tak było – przyznał dziadek. – To przez tę zasadę, którą mi wpoila, nigdy nie przeczytałem jej dziennika i oddałem go do muzeum. Nie wiem, czy to brzmi sensownie, lecz w świetle jej nauk czułbym się tak, jakbym popełniał świętokradztwo.

– Brzmi bardzo sensownie – potwierdziła Julia.

Z ociąganiem żegnała się z Filipem i jego dziadkiem. Miała tak wiele pytań, jednak nie odważyła się ich zadać. Zdążyła się już zorientować, że grzebanie w przeszłości bywa bolesne, a ona za nic w świecie nie chciałaby zranić miłego starszego pana, który tak serdecznie ją przyjął.

Wyszła na ulicę Żąbkowską, powiodła spojrzeniem po odrestaurowanych kamienicach, po czym wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer dziadka Marka.

Nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą począć, Poldek chodził od jednej ściany sklepu do drugiej. Wszystkie światła w lokalu przezornie wygasił, więc widział jak na dłoni kolejne patrole przechadzające się pod latarniami Nowego Światu. Witryna z wymalowanymi literami i ekspozycja metalowych stojaków z rękawiczkami skutecznie maskowały obecność Poldka w sklepie. Drzwi odryglował, żeby ułatwić Konradowi jak najszybsze wślizgnięcie się do środka. Napięty do granic, czekał niespokojnie. Nic nie przygotowało go jednak na ciche trzaśnięcie drzwi, jakie rozległo się chwilę po pierwszej w nocy, tuż po tym, gdy kukułka wychyliła się z okienka, czemu towarzyszył pojedynczy gong zegara.

– Na ziemię! – syknął Konrad, pociągając chłopaka za rękaw. Usłuchał bez protestu i leżał nieruchomo, gdy światło latarki omiotło wnętrze sklepu. Zatrzymało się na chwilę na półkach z kobiecymi rękawiczkami, lecz zaraz zniknęło. – Minęliśmy się z nimi dosłownie o włos – szepnął. – Helu, nic ci nie jest? Przepraszam, że tak cię popchnąłem.

– Nic mi nie będzie – odparła cicho.

– Helena! – wykrztusił Poldek, słysząc głos ukochanej kobiety. Ileż nocy o niej marzył, by za dnia z trudem wierzyć, że istniała naprawdę.

Odpowiedział mu zdławiony szloch.

– Wszystko w porządku, Helu – rozległ się kojący głos Konrada.

– Chodźmy na dół – powiedział cicho Poldek. Choć wytrzeszczał oczy w ciemnościach, wciąż nie potrafił dojrzeć Heleny skrytej w barczystych ramionach Wenera.

– Nikomu nie mówiłeś? – zapytał Konrad.

– Nikomu – skłamał Poldek. To nie był dogodny czas na wyjaśnienia. Odsunął na bok regał z rękawiczkami i pchnął drewniane drzwi z łuszczącą się niebieską farbą. – Stopnie są nierówne, uważajcie – ostrzegł. Zapalił świeczkę. Chwiejny płomień oświetlił obskurny, wąski korytarzyk i strome ceglane schody prowadzące w głąb piwnic. Zszedł pierwszy, obsesyjnie nasłuchując odgłosu kobiecych stóp, lecz na stopniach rozległy się jedynie kroki Konrada.

Dzięki pomysłowości Basi w piwniczce leżał materac i kilka grubych koców, a pod ścianą stała lampa naftowa.

– Odsuń się – polecił mu szorstko Konrad. W piwnicznym półmroku jego potężna sylwetka zasłoniła migotliwy płomień świeczki.

Poldek przysiadł na schodku i posłusznie czekał na rozwój sytuacji. Z materaca rozległo się ciche westchnienie, Konrad z czułością pogłaskał ledwie widoczną w piwnicznych ciemnościach głowę.

– Jest wycieńczona i niedożywiona. Oby tylko to – powiedział Konrad. – Włosy ma ścięte, więc nie ma ryzyka, że wszy przeniosą tyfus.

– O czym ty mówisz? – wyjąkał Poldek.  
– Witaj w prawdziwym świecie – odparł Werner i wstał. – Wiesz, gdzie mnie szukać, gdyby była potrzeba. Możesz wysłać Barbarę, jak poprzednio.  
– Dziękuję.  
– Po raz ostatni powierzam ci Helenę. Zawaliłeś wielokrotnie, a ona nie wiezieć dlaczego wciąż cię kocha. Zabiję cię, jeśli zawiedziesz tym razem – warknął Konrad.  
– I mówi to folksdojcz – prychnął Poldek, prężąc muskuły.  
– Nigdy nie zapisałem się na volkslistę. Zapamiętaj to sobie – powiedział spokojnie aktor. – Poza pracownią twojego ojca dzieją się rzeczy, o których nie masz zielonego pojęcia. Zastanów się lepiej, gdzie szukać sojuszników dla siebie i Heleny, zanim zaczną żałować, że przyprowadziłem ją właśnie tutaj.  
– Nie! Dobrze zrobiłeś. – Poldek przełknął ślinę i spojrzał na tonący w piwnicznym półmroku materac. – Jedzenie i wodę też mam.  
Konrad nie odpowiedział. Spojrzał przelotnie na zawiniętą w granatową pelerynę Helę, która nie zważając na okoliczności, po prostu spała.  
– Jej życie od teraz leży w twoich rękach – powiedział w końcu. – Na dobre i na złe.  
Poldek zarygłował drzwi za Konradem i po cichu wrócił do Heleny. Nie poruszyła się. Spała twardo. Chłopak usiadł pod przeciwległą ścianą i czekał.

\*\*\*

– To dość krzepiące, mój Apoloniuszu, że znów mamy alarmy przeciwlotnicze – powiedział z zadumą January, nalewając kompanowi samogonu do kieliszka.  
– A cóż tak cię w tym krzepi, przyjacielu? – zdziwił się Malinowski.  
– Sowietci chyba poczuli się mocniejsi, może się karta Niemcom odwróci i zaczną wreszcie przegrywać? Jak dotąd rozpanoszyli się po świecie jak zielsko. A Stalingradu jednak nie zdobyli. Może Stalin spuści im wreszcie łomot?  
– Też mi powód do radości. Z ruskich nigdy nic dobrego Polsce nie przyszło i nie przyjdzie – westchnął Apoloniusz.  
– Zatem wypijmy za angielskie maszyny, które bombardują Berlin. Mówi się, że w odwecie za warszawskie łapanki i tę zlikwidowaną podziemną drukarnię. – January uniósł kieliszek w znaczącym geście.  
– Za to chętnie przepiję – zgodził się Malinowski.  
– A jak tam naszym dzieciom się układa? – zagaił Melner. – Paulina już zupełnie inaczej się zachowuje.  
– Wygląda na to, że doszła do siebie. January, ja cię tak strasznie przepraszam za Marię...  
– Nie trzeba, przyjacielu. To już dawno skończone. A wiadomo, jak Maria sobie radzi?

– Siedzi w rodzinnej chałupie w Świdrze. Jest zaradna, więc daje sobie radę – mruknął pod nosem Malinowski. Nie miał najmniejszego zamiaru zdradzać, że odwiedza tam szwagierkę po kryjomu i zawozi nieco jedzenia. Nie przyznałby się do tego nawet przed samym sobą, lecz tęsknił za kostychną starą dewotką, która dała mu namiastkę domu po śmierci żony i córki.

– Dzień dobry – przywitała się grzecznie Krysia, wchodząc do salonu. – Ja tylko chciałam ojcju powiedzieć, że wychodzę i już nie przeszkadzam. Matce bym powiedziała, lecz wyszła do kościoła.

– A dokąd to się wybierasz, moja panno? – zdziwił się January. – Ciemno już. Niedługo zacznie się godzina policyjna. Nie boisz się sama wychodzić na ulicę?

– Niech ojciec się nie martwi. Lepiej niech ulica się boi mnie – odparła buńczucznie Krystyna. – Serwus! – dodała lekceważąco i nim ojciec zdążył otworzyć usta, wyszła pośpiesznie z domu.

– Co ona taka harda się zrobiła? – zdziwił się Malinowski. – Dopiero co matkę za spódnicę trzymała, a teraz taka panna wyrosła!

– W czasie wojny dzieci szybciej dojrzewają – westchnął January. – A co ja mogę? W domu zamknę? Kiedy w domu też niebezpiecznie, ruska bomba może zlecieć. Podejrzewam, że Krystyna w podziemiu się udziela – wyszeptał. – A twoi synowie?

– Od rana do nocy im tyle roboty daję, że nie mają czasu o niczym ryzykownym pomyśleć – odparł Apoloniusz.

– Żebyś się nie zdziwił, przyjacielu – mruknął Melner. – Inna rzecz, że nadejdzie dzień, gdy nasze dzieci pójdą do walki z Niemcami. Nie ma na to rady. I lepiej, żeby były przygotowane.

\*\*\*

Poldek biegł do sklepu na Nowym Świecie jak na skrzydłach. Starał się wyrzucić z głowy karczemną awanturę, jaką urządziła mu po kolacji Paulina. Nawet jej nie winił. Z całych sił próbowała naprawić ich małżeństwo, lecz przecież to nie było możliwe. On zniknął na całą noc i myślał wyłącznie o Helenie. Wychudzonej, ogolonej i zaszczutej dziewczynie będącej miłością jego życia.

Chodził do sklepu prawie codziennie. Zakradał się tuż po zamknięciu, a wymykał rano, zanim przyszedł subiekt. Basia dyskretnie dorobiła klucze u ślusarza, więc wszystko układało się coraz lepiej. Piwnica pod sklepem wzbogaciła się o kolejną lampkę, kilka książek i czarny papier do zaciemnienia niewielkiego okratowanego okienka wychodzącego na wewnętrzne podwórze kamienicy.

Poldek rozejrzał się po wyludnionym Nowym Świecie. Roztopy nie zachęcały do spacerów, podobnie jak kolejne łapanki. Niemcy w przededniu wiosny wzmogli swoje zbrodnicze dzieło i trzebili ludność Warszawy bezlitośnie. Ulicą przejechał czarny

mercedes, wiozący zapewne jakiegoś ważniaka do dzielnicy rządowej. Ochlapał chłopakowi spodnie, lecz ten tylko uskoczył i schował się w bramie. Rozejrzał się bacznie, po czym wszedł do lokalu, starannie zamykając za sobą drzwi. Nawet nie zapalał światła. Drogę znał już na pamięć. Jedenaście kroków, przesunąć regał i otworzyć drzwi do piwnicy, zasunąć mebel za pomocą zmyślnego uchwyty, jaki przytwierdził do jego tyłu. Później dziewięć schodków, w tym trzy skręcające w lewo.

– Jesteś – powiedziała Helena. Stała przy zasłoniętym czarnym papierem piwnicznym okienku. – Zabawne, że teraz od Warszawy dzieli mnie tylko ten karton, a jednak niczym się trwałością nie różni od muru getta. A może więzienie to wytwór umysłu?

– Chorego niemieckiego umysłu – odparł Poldek. – Przyniosłem angielską herbatę. Znow były zrzuty nad Warszawą, więc pojawiły się nowe towary u handlarek.

– Chodziłeś na Kercelak? – ożywiła się Hela. – Co tam słyhać? Czasem wspominam nasze wyprawy do baru ciotki Sary. A teraz ciotki już nie ma – posmutniała. – Może chociaż budynek stoi?

– Nie chodzę tam, Helu. Na Kercelak strach teraz iść, bo tam ciągle łapanki, strzelaniny. Jeśli prosisz się o kłopoty, to idź na bazar koło muru – odparł. – Ja też pamiętam tamte wyprawy – powiedział miękko.

– To była inna Warszawa i inny świat. Wszystko takie kolorowe, pełne życia i zapachów. – Helena podeszła bliżej. Jej ogoloną, kształtną głowę oświetlił płomień świecy. – To już nigdy nie wróci.

– Nie mów tak. Jeszcze kiedyś będziemy szczęśliwi. – Poldek podszedł i chwycił ją za dłonie. Nie odsunęła się, lecz nie oddała uścisku.

– Martwię się o Michała i uczennice. Czy Konrad się odzywał? Pomoże im wydostać się z za muru? – zapytała cicho.

– Basia do niego chodziła ostatnio, ale nic nie mówił. Ja nie wiem, co się z nim dzieje, ale przypomina wrak dawnego bożyszczka tłumów.

– Chętnie bym o tym porozmawiała, ale w getcie mordują wszystkich. Niech Konrad coś zrobi i uratuje choć część dziewczynek. Michałowi też jest coś winny – prychnęła. – Tak pokochał tych Niemców, więc chyba wyrobił sobie u nich jakieś stosunki.

– Nie wiemy, co nim kierowało – odparł Poldek. Ostatnia rozmowa z Wernerem dała mu do myślenia. Trwała okupacja, mord stał się sprawą powszednią, więc każdy ukrywał przed światem co tylko się dało. Daleko nie trzeba patrzeć. Krystyna i jej dziwne powiązania z żalonym Ignacym. Poldek wreszcie skojarzył fakty. Jakie stosunki Konrad miał ze swoim niewydarzonym bratem, który przed wojną prawie zniszczył Helenę?

– Dyrektorka kazała dziewczynkom przekładać kołdry tak, żeby naprzemiennie leżały czerwoną i niebieską stroną. Jakby to miało jakieś znaczenie – powiedziała z zadumą Hela. Usiadła na posłaniu i skubała palcami róg kraciastego koca.

– Może chciała mieć cokolwiek pod pieczę?

– Pewnie tak było – odparła. – Te wszystkie dzieci umrą. Marysia też. Pewnie już nie żyją albo jadą bydłącym wagonem do Treblinki – rozszlochała się. – Najlepsze, co mogło się stać w moim życiu, to pobyt w więzieniu fordońskim.

– Helu, co ty mówisz? – Poldek patrzył z niepokojem na płaczącą dziewczynę.

– Dzięki temu twoja Paulina zaopiekowała się naszym synem i jest bezpieczny. Co by się z nim stało, gdyby został z moim ojcem?

– Polduś do ciebie wróci, obiecuję. Będziemy rodziną.

– A co z Pauliną? – Helena spojrzała na Poldka. – Już zawsze będzie jego matką. Pokochał ją. Jakie mam prawo mu to odbierać? Zresztą o czym my w ogóle mówimy? Zaledwie tydzień temu odbierałam poród w getcie. Matka z wdzięcznością całowała moje dłonie, gdy udusiłam zdrowego noworodka poduszką. Zdumiewające, że tam wciąż są poduszki. I kolorowe kołdry dyrektorki.

– Och, Heleno! – Poldek przypadł do dziewczyny i zatopił ją w objęciach. – Nie myśl o tym. Nie teraz.

– Jak nie myśleć? – wyszeptała mu do ucha. – Jak to zrobić?

Poldek pogłaskał jej głowę, na której już pojawił się ciemny, jedwabisty w dotyku meszek. Nie do końca wiedział, co ma odpowiedzieć. Chciałby pomóc w wydostaniu uczennic z getta, lecz nie miał pojęcia, jak się za to zabrać. Jedyne Konrad Werner przychodził mu na myśl, więc postanowił odwiedzić go w Mokotowie.

– Po prostu nie myśl. – Poldek przygarnął do siebie Helenę i objął silnymi ramionami. – Cokolwiek się stanie, zawsze będę przy tobie.

\*\*\*

Michał Gutman wyszedł na dach budynku. Nigdy wcześniej tego nie robił, nie interesował go też rozkład pomieszczeń. Po tym, jak Niemcy wyrzucili szpital z kompleksu na Czystem, zupełnie nie przykładał wagi do miejsca. Liczyły się jedynie badania i pacjenci. Obecnie leczenie legło w gruzach. Zapalił papierosa, jedyne, jakiego dostał jako podziękowanie za wystawienie nastolatkowi zaświadczenia, że jest chory na tyfus. Na niewiele zresztą dzieciakowi się to zdało, bo jeszcze tego samego dnia trafił na Umschlagplatz. Nad platformą przeładunkową świeciło poranne słońce i panował spokój. Dochodziła szósta rano, więc Niemcy jeszcze nie rozpoczęli kolejnego dnia zapędzania bezbronnych ludzi do wagonów. Musieli widocznie odpocząć po swym owocnym dziele ludobójstwa.

Zaledwie wczoraj Michał widział w tłumie kilka pielęgniarek i otulone pelerynami uczennice, tak ofiarnie doglądające pacjentów. Mignęła mu młodziutka, jasnowłosa Marysia, która tak polubiła Helenę. Teraz jechała do końcowej stacji swojego życia. Tyle młodych ludzi, tyle dzieci. Każdego życia było żal, lecz najbardziej tych, którym nie dano żyć tak naprawdę. Kilkuletnim dzieciom, które nie wiedzieć czym naraziły się Hitlerowi

i jego bandytom, nie pozwolono dorosnąć, posmakować pierwszej miłości czy radości z narodzin ich własnych dzieci. Lub skosztować śmietany. Na wspomnienie małego Icka z chorobą głodową, który zwierzył się Michałowi, że chciałby przeżyć, by móc jej spróbować, chciało mu się wyć z rozpacz. Icek niczego już nie spróbuje. Pojechał wczorajszym transportem. Michał zastanawiał się, czy boi się śmierci, lecz nie znajdował na to jednoznacznej odpowiedzi. Teraz, gdy jedyna osoba, o której bezpieczeństwo mógł się troszczyć, uciekła na drugą stronę muru, uważał, że jest gotowy na śmierć. Skąd jednak miał wiedzieć, co poczuje, gdy ta wreszcie nadejdzie?

Getto chyliło się ku ostatecznemu upadkowi, a udręczeni ludzie, tak oswojeni ze śmiercią, zaczęli ją traktować jako przywilej i ostateczne wyzwolenie. Godność całkowicie poległa w starciu z morderczą niemiecką machiną. Kto miał schowaną truciznę, właśnie teraz ją zażywał. Ucieczka ze świata na własnych warunkach stała się najwyższym przywilejem niedobitków likwidowanej dzielnicy żydowskiej.

– Jak świat może na to pozwalać?! – wyszeptał Michał i zaciągnął się papierosem.

Ze szczytu budynku miał niezły widok na okolicę. Pozostałości getta porażały niewyobrażalną wręcz nędzą. Od strony Gęsiej i bramy przy Nalewkach zaroiło się od żołnierzy. Nie trzeba było geniuszu, by się domyślić, że coś szykują. Jutro zaczynało się święto Pesach, a Niemcy zwykle celowali ze swoimi zbrodnictwami w specjalne okazje, być może chcąc dodatkowo zadzwonić ze swoich ofiar.

Gdy oddziały ruszyły w głąb getta, stało się jasne, że zaczęła się akcja ostatecznej likwidacji dzielnicy. Ku zdumieniu Michała od strony bramy rozległy się wybuchy, wystrzały, a żołnierze rozbiegli się w panice.

– Zaczęło się. Naprawdę się zaczęło – wyszeptał Michał.

Zbiegł po schodach na parter szpitala, w pośpiechu zdzierając z siebie fartuch. Cisnął go na podłogę.

– Dokąd pan tak biegnie, doktorze? – zapytała pielęgniarka.

– Do powstania. Żywcem mnie nie wezmą, siostró – odparł i wybiegł z budynku. Wyszarpnął zza pazuchy pistolet, który dostał od Konrada. W końcu miał się przydać. Do pierwszej grupki bojowników żydowskich dotarł parę minut później. Przyjęli go do oddziału bez słowa.

– Michał! – zawołał ktoś.

Odwrócił się i zobaczył ojca. Po raz pierwszy od wielu tygodni stanęli twarzą w twarz. Michał chciał mu opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. O matce i dziadku wywiezionych do Trebłinki, o Helenie, która zdołała uciec, jednak żadne słowa nie padły. Jakie fakty miały teraz znaczenie? Michał otworzył szeroko ramiona i uściskał ojca. Nie zgadzali się przez całe życie, ojciec pił, bił matkę, gdy syn jeszcze nie potrafił stanąć w jej obronie, lecz teraz to wszystko stało się odległe, nierzeczywiste. Liczyło się tylko to, że Michał nie zginie w tej walce o godność samotnie.

– Synu – powiedział zachrypniętym głosem ojciec. – Dobrze, że jesteś.



– Ja też się cieszę, że cię widzę, tate – odparł. I poczuł, że to szczerą prawdą.

## ROZDZIAŁ 17

1943

Getto płonęło. Kłęby czarnego dymu widać było nawet z odległych dzielnic Warszawy. Ku zdumieniu mieszkańców aryjskiej strony garstka powstańców wciąż stawiała opór. Wielkanoc w cieniu tej wielkiej tragedii odbierała ochotę na jakiekolwiek świętowanie, choć znalazło się wielu ludzi bez serca, którzy jawnie się cieszyli z tego, co Niemcy zwykli nazywać „ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej”. Konradowi w głowie się nie mieściło, że ktoś mógłby popierać ludobójstwo, lecz przecież bezmyślnych okrutników pozbawionych współczucia nie brakuje w żadnym narodzie.

Nie było dnia, by nie myślał o Michale. Czy jeszcze żył? Odpowiedź na to pytanie mogła być tylko jedna, lecz wszystko w nim się buntowało, by ją sformułować w głowie. Tak strasznie żałował, że nie zdołał go namówić na ucieczkę z getta. Teraz to było niemożliwe. Podobnie jak wydostanie uczennic szkoły pielęgniarskiej. Część dziewcząt pewnie zbiegła, w końcu wiele osób było zaangażowanych w przerzut ludzi zza muru, lecz większość uczennic wraz z innymi nieszczęśnikami z pewnością trafiła na Umschlagplatz. Czuł, że zawiódł Helenę, lecz nic nie mógł na to poradzić. Dzień po wybuchu powstania w getcie odwiedził go Poldek, by przekazać błaganie dziewczyny o pomoc w ratowaniu dziewcząt, a w szczególności małej Marysi.

- Czy Helena wie, co dzieje się za murem? – zapytał go Konrad, chodząc po pokoju.
- Nie mówiłem – przyznał Poldek. – Nie miałem serca.
- Ale będziesz musiał. Tylko dzięki temu zrozumie, że wydostanie uczennic jest sprawą beznadziejną. Kordon wojsk nie dopuści do getta nikogo. A co dopiero mówić o wyjściu.
- To ją załamie. Wiesz przecież, że tam jest jej kuzyn, Michał.
- Wiem. Ale nie ukryjesz tego przed nią. Wyobraź sobie, że ta cała straszna wiedza spadnie na nią, gdy wreszcie będzie mogła przestać się ukrywać – perswadował Konrad.
- Jeśli kiedykolwiek będzie mogła – mruknął Poldek.
- Naloty na niemieckie miasta dają odrobinę nadziei. Sowieci też odpierają szkopów. Okazuje się, że nie są aż tak niezwyciężeni, jak im się wydawało. I dla Warszawy nadejdzie ocalenie. Najważniejsze, żeby Helena do tego czasu nie wystawiała nosa na ulicę. Ale to nie znaczy, że masz ją trzymać w niewiedzy i izolacji.
- Gdybym mógł jakoś sam wy dostać tę Marysię... Ale jak, Konradzie?

– Nawet o tym nie myśl. Nikomu nie pomożesz, a sam życie stracisz. Co wówczas stanie się z Heleną? Z waszym synem?

Poldek z ociąganiem przyznał mu rację, lecz widać było, że nie całkiem porzucił pomysł zgrywania bohatera. Pożegnał się i powędrował w stronę drzwi.

– Jeszcze jedno. – Poldek odwrócił się i spojrzał na Konrada z uwagą. – Wiesz, że Ignacy jest w Warszawie?

– Nie miałem pojęcia. – Konrad spojrzał ze zdziwieniem. Przypomniał sobie dzień, gdy jechał tramwajem i mignęła mu w rikszy sylwetka łudząco podobna do brata. Czy to rzeczywiście był on? A jeśli tak, to dlaczego nigdy nie przyszedł do domu? – Skąd o tym wiesz? – zapytał.

– Mówię o tym tylko dlatego, że ci ufam. Ignacy przyjaźni się z moją szwagierką. Oboje są w podziemiu, pomagali ukryć naszego majstra. Jest Żydem. Wygląda na to, że twój brat ma rozległe koneksje. Krystyna z kolei ewidentnie się w nim kocha.

– Zdumiewające, że jakaś panna może żywić jakiegokolwiek uczucia do tego durnia – mruknął Konrad.

– Wydaje się, że wydorósł i się zmienił – odparł z zamyśleniem Poldek. – Może nie wprost, ale przeprosił za to, co zrobił Helenie.

– Żaden żal, nawet szczerzy, nie wynagrodzi Heli krzywd – powiedział ostro Konrad.

– W każdym razie chciałem, żebyś wiedział. – Poldek skinął głową na pożegnanie i wyszedł.

Zaledwie kilka dni później, gdy getto płonęło jeszcze mocniej, a Konrad nie zdążył ochłonąć po nowinach usłyszanych od Poldka, nadeszła wieść, która całkowicie go zdruzgotała. Idę Wolińską, jego wieloletnią przyjaciółkę, zastrzelono w jej własnym mieszkaniu. Chociaż Schupo, niemiecka policja, uznało to za napad na tle rabunkowym, Konrad wiedział swoje. Nagonka na Muszkietarów trwała nadal i wszystko wskazywało na to, że on będzie następny. Rozczuliwszy się nad sobą, przepił całą noc, choć nie tykał alkoholu od wielu miesięcy, a następnego dnia postanowił wziąć się w garść i poprosił Manię o rozmowę. Zdziwiona dziewczyna usiadła w salonie i spojrzała na swojego gospodarza wyczekująco.

– Wiem, jak to idiotycznie zabrzmiało, lecz chciałbym zabezpieczyć jakoś twój byt. Mam trochę pieniędzy i to mieszkanie. Jeśli zgodzisz się na fikcyjne małżeństwo ze mną, będę spokojniejszy o twój los – powiedział.

– Czy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? – Mania od razu połączyła fakty.

– Spokojnie, tobie nic nie grozi.

– Ale tobie tak?

– Nie wiem – przyznał szczerze. – Po prostu wolę dmuchać na zimne. Fakty są takie, Maniu, że tylko ja ci zostałem, lecz w świetle prawa jestem obcym człowiekiem. – Konrad nie powiedział jej o Helenie. Ufał dziewczynie, lecz tajemnice pozostają nimi, tylko gdy ma do nich dostęp wąskie grono osób. – Trwa wojna. Myślę, że szalone rozwiązania pasują

do szalonych nieprzewidywalnych czasów. A ja będę spokojniejszy, wiedząc, że cię zabezpieczyłem. Myślę, że mój tytuł hrabiowski też jest nie do pogardzenia – roześmiał się ponuro.

– To będzie mezalians, lecz co mi tam – zawtórowała mu.

– Zatem zgadzasz się?

– Zgadzam, lecz nie dla majątku, a jedynie dlatego, że będziesz spokojniejszy o mnie – odparła rezolutnie.

– Oczywiście, jeśli przeżyjemy wojnę, dam ci rozwód, kiedy tylko będziesz chciała – zastrzegł. – Zabawne. – Konrad zamyślił się.

– Co jest zabawne? – zapytała Mania.

– Dawno temu proponowałem równie fikcyjne małżeństwo twojej kuzynce, lecz mnie odrzuciła – roześmiał się.

– Czyli nadal wszystko zostaje w rodzinie. – Mania uśmiechnęła się, lecz natychmiast spoważniała. – Czy ja o czymś nie wiem? Co ci grozi? Dlaczego ta propozycja przypomina ostatnią wolę skazańca?

– To tylko przeczucie. Nic więcej – skłamał. – Łapanki na ulicach, ciągle wywózki do obozów i na przymusowe roboty do Rzeszy. Nikt nie może być pewny, że uda mu się przetrwać. Nic złego się nie dzieje. Oprócz tego, że każdego dnia od rana do nocy wciąż dzieje się zło.

\*\*\*

Michał miał wrażenie, że wszystko, co dzieje się wokół niego, to koszmarny sen, a on płynie bezwolnie w strumieniu brutalnych wydarzeń. Niemcy urządzali regularne polowania na ukrywające się niedobitki ludności cywilnej. Ze szczególną lubością stosowali metodę wykurzania ukrywających się Żydów polegającą na podpalaniu kolejnych kamienic.

Część powstańców, wraz z dowództwem, znalazła schronienie w bunkrze przemytników pod kamienicą na Miłej. Reszta rozproszyła się po ruinach getta. Kilka dni wcześniej niewielkiej grupie udało się przedrzeć prawie do lasów pod Otwockiem, lecz odkryci przez Niemców w większości zginęli, a pozostali wrócili do Warszawy, by prowadzić walkę z zakonspirowanego mieszkania na Grzybowskiej. Choć było ich tak niewielu, wciąż zadawali wrogowi straty. I żyli. Na przekór wszystkiemu.

– Wpadłbyś na to, że tuż pod nochalami szkopów takie cudo zbudowano? – zapytał ojciec, z podziwem oglądając bunkier.

– Gdyby udostępnił go wcześniej, może uratowalibyśmy uczennice i pacjentów – mruknął z dezaprobatą Michał.

Jednak i na nim rozmach podziemnej budowli zrobił ogromne wrażenie. Kilkanaście połączonych korytarzykami pomieszczeń z własnym wodociągiem i prądem, a także

kuchnią i zapasami żywności miało sześć niezależnych wejść i stanowiło kryjówkę doskonałą. A to wszystko wybudowano w samym środku strzeżonego przez Niemców getta. Geniusz połączony z zuchwałością.

– Śpij lepiej. Rano idziemy na akcję – odparł ojciec.

Michał ze zdumieniem odkrył, że przez kilka dni nawiązali głębszą więź niż przez całe dotychczasowe życie. Czy ludzie aż tak się zmieniali? A może sytuacje skrajne sprawiają, że potrafimy się wznieść ponad własne urazy i zrozumieć, co w życiu jest ważne? Opowiedział ojcu historię matki i dziadka Szmula, a on wysłuchał w milczeniu, nie przerywając nawet słowem. Później z jeszcze większą zaciekłością rzucił się w bój z oprawcami. Nie padło między nimi nawet słowo na temat utraconych bliskich. Bo właściwie co można było powiedzieć?

Bojownicy dawali z siebie wszystko. Michał nie rozumiał, skąd znajdują na to siły i odwagę, lecz każdy cios zadany wrogowi prostował wychudzone sylwetki i pozwalała odzyskiwać ludzką godność. A ta, po latach upodleń, wmawiania, że są godnymi pogardy podludźmi, smakowała wybornie i dodawała nadludzkiej mocy.

– Gazują nas! – Po bunkrze poniosł się krzyk, wytrącając Michała z niespokojnego snu.

– Co się dzieje? – zapytał ojca.

– Mówią, że nas otoczyli. Długo nie wytrzymamy. – Ojciec zaniósł się kaszlem. – Teraz tylko śmierć na naszych albo ich zasadach, synu.

W bunkrze panował rwetes, bojowników ogarniała panika. Wszyscy odruchowo zerkali w betonowe sklepienie schronienia, jakby żałując pięknego majowego słońca, które niewzruszenie ogrzewało zapomnianą przez bogów dzielnicę gruzów.

– Musimy poszukać wyjścia. Wstawaj – ponaglił Michał.

– Za późno. – Ojciec uśmiechnął się blado i przewrócił się. Trucizna zadziałała natychmiast.

– Nie! Ojczy! – zrozpaczony mężczyzna chwycił rodzica w objęcia i przez chwilę kołysał w ramionach jak małe dziecko. Też miał zaszytą w mankiecie koszuli śmiertcioną ampułkę, lecz coś powstrzymywało go przed ostateczną ucieczką. Rozejrzał się po bunkrze i zauważył Tosię, wesołą dziewczynę, którą w myślach nazywał szczęśliwym talizmanem oddziału. Zmierzała w stronę jednego z wąskich korytarzy. Michał spojrzął po raz ostatni na ojca i poderwał się na równe nogi. Nie do końca wiedząc, po co to robi, pobiegł za dziewczyną.

– Może tego przejścia nie odkryli – powiedziała, nie odwracając się. – Warto spróbować.

Za nimi biegło jeszcze kilka osób, które w ostatniej godzinie trwania getta wciąż nie były gotowe na spotkanie ze śmiercią, choć ta od lat deptała im po piętach. Mroczny korytarz zakręcał i wznosił się, lecz przewodniczka wiedziała, dokąd zmierza.

– Na Grzybowską! – rozkazała Tosia, gdy wyszli w boczną, zrujnowaną uliczkę. – Tam są nasi.

Michał biegł skulony za dzielną dziewczyną i mrużył oczy porażone słońcem. Mózg podsunął mu wspomnienie lata w Juracie, niemal usłyszał skrzek mew i szum morza. Gdyby ktoś kazał mu powiedzieć, jak dostał się do lokalu na Grzybowskiej, nie umiałby wyjaśnić. Szare kamienice rozlewały się plamami na tle błękitnego nieba, a gryzący dym z płonących ruin zatykał płuca.

– Jesteśmy bezpieczni. Uciekliśmy z getta – ogłosiła dziewczyna. – Wchodźcie prędko!

– Bezpieczni? – szepnął bezgłośnie Michał.

Czas miał pokazać, że Żydzi nie mogą być bezpieczni nigdzie. Adres kryjówki wydał Niemcom członek organizacji narodowo-chrześcijańskiej Miecz i Pług. Mówiło się, że zinfiltrowanej przez agentów Gestapo, lecz ukrywającym się ludziom pewnie nie zrobiło to różnicy. Michał znów miał szczęście. Gdy otoczono kamienicę, był na akcji. Znów przetrwał, tylko zupełnie nie wiedział po co. Instynktownie zawrócił do getta i schował się w pierwszej wypalanej kamienicy, jaką napotkał.

\*\*\*

Nalot dywanowy, jaki dotknął Warszawę w połowie maja, na zawsze wyleczył zwykłych warszawiaków z nadziei, że Sowietci są sojusznikami rannego miasta. January Melner wściekły jak osa zszedł do piwnicy w towarzystwie żony i łąpał na innych mieszkańców. Do furii doprowadzał go coraz większy chaos w mieście i kłęby dymu nad gettem. Traktował walki jak policzek wymierzony we własne interesy, a o niedogodności związane z utrudnieniami w przepływie towarów obwiniał w zależności od chwili Niemców, Sowietów, Anglików i Żydów.

– Jezus Maria, usiądź wreszcie, January! – warknęła Teresa, ściskając mocniej różaniec. – Ludzi denerwujesz.

– Zamilcz w końcu i zajmij się swoimi paciorkami! Zaraz stracimy wszystko, durna babo, a ty mnie tu strofować będziesz. Gdzie Krysia? – zapytał ostrym tonem.

– Nie wiem. Od wczoraj nie pokazała się w domu – odparła Melnerowa i rozplakała się żałośnie.

– Nie bucz, babo. – January w jednej chwili złagodniał i usiadł obok żony. Poklepał ją niezdarnie po plecach i westchnął ciężko. – Krysia jest jak kot. Chadza własnymi ścieżkami. Wróci, nie martw się.

– Powinna siedzieć w domu, skoro taka groza wokół! – Teresa wybuchła płaczem.

– Powinna albo i nie – odparł filozoficznie January.

\*\*\*

– Wszyscy zginęli? – Helena spojrzała na Poldka rozszerzonymi ze strachu oczami, a on nie mógł się powstrzymać od myśli, że piękniejszych orzechowych oczu nie ma nikt na

świecie.

– Nie wiem – westchnął. – Uwierz, robiłem, co mogłem. Konrad też. To miasto pogrążyło się w odmętach szaleństwa. Getto zrównane z ziemią, wysadzili nawet synagogę na Tłomackiem. Reszta dzielnic też nie ma lepiej. Niemcy rozprawili się z Żydami i zabrali się za nas.

– Za nas?

– Wiesz, o co mi chodzi. Te ich podziały na Żydów i Aryjczyków są bzdurne, ale działają. I nawet nie winię ludzi za to, że to przyjmują do wiadomości. Łatwo jest nas skłócić. Bardzo łatwo. A oni mają wprawę. Łapanki na ulicach już im nie wystarczają, więc wchodzą do mieszkań i wygarniają ludzi jak bydło rzeźne. Rozprawili się z gettem, a teraz chcą wymazać z mapy resztę miasta. Bomby codziennie walą w Warszawę. To cud, że wciąż żyjemy.

– Czasem wolałabym nie żyć – szepnęła.

– Musisz żyć. Dla Poldusia i dla mnie – odparł.

– Chcę to zobaczyć.

– Co masz na myśli?

– Getto – wyjaśniła.

– Nie możemy.

– Wyjść z piwnicy? Naprawdę sądzisz, że podczas bombardowań i wyburzania dzielnicy żydowskiej ktoś zwróci uwagę na dwoje ludzi?

– Konrad kazał mi przysiąc...

– Ale go tu nie ma – ucięła Helena. – Ja natomiast chcę spojrzeć na to wszystko i zapamiętać.

Poldek zupełnie nie miał ochoty na ryzyko, lecz wyszedł ze sklepu do bramy i nacisnął klamkę drzwi domu po przeciwnej stronie. O dziwo, ustąpiła bez protestu. Wrócił po Helę, która czekała w napięciu tuż przy piwnicznych schodach.

– Chodź! Ale po cichu – zarządził.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Skinęła jedynie głową i posłusznie poszła za Poldkiem. Zakradli się na ostatnie piętro kamienicy. Roztaczał się z niego widok na zachodnią część Warszawy. Letnie słońce oświetlało pokaleczone budynki Śródmieścia, a ptaki, nic sobie nie robiąc z ludzkich spraw, uwijały się z ćwierkaniem w koronach drzew. Dalej rozpościerało się morze ruin.

– Tam nic nie ma – szepnęła wstrząśnięta Helena.

– Zrównali z ziemią i wywieźli wszystkich.

– Ja już chyba nie mam siły żyć – odparła, patrząc na dogasające pożary w zrujnowanym getcie.

– Nie mów tak! Musisz żyć. Nie wiem, co bym począł bez ciebie – powiedział cicho.

– Miałbyś mniej żartów. – Helena wystawiła twarz do porannego słońca. – Bardzo za tym tęskniłam. Doceniam wszystko, co dla mnie robisz, lecz siedzenie w piwnicy

doprowadza mnie do szaleństwa.

– Nie dziwię się. Ale musisz wytrzymać jeszcze trochę.

– Jak długo? Aż mnie znajdą i wyciągną spod ziemi niczym ślepego kreta? – zapytała z goryczą.

– Wiem, że nie jest ci łatwo. Prawdę mówiąc, dziwię się, że tak spokojnie to znosisz.

– Przepraszam. Powinam się cieszyć, że mnie ocaliliście. Zachowuję się jak ostatnia niewdzięcznica. Wracajmy już. Niepotrzebnie cię tylko narażam.

Poldek odetchnął z ulgą, gdy udało im się niepostrzeżenie przekraść do piwnicy. Jeszcze nigdy tak się nie cieszył, gdy zamknął za sobą drzwi mrocznego pomieszczenia. Helena podeszła do małego zakratowanego okienka i objęła się ramionami. Wyglądała tak krucho i bezbrinnie z króciutkimi, sterczącymi na wszystkie strony włosami, że nie zastanawiając się wiele, podszedł z tyłu i otoczył ją ramionami. Nie odsunęła się. Wcześniej nie pozwalał sobie na tak śmiały dotyk. Nie miał pojęcia, jak Helena go odbierze, a ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było wykorzystywanie jej trudnej sytuacji. Jakby domyślając się jego rozterek, pogładziła go po dłoni.

– Muszę zaraz iść, zanim domownicy wstaną – powiedział, lecz się nie poruszył.

– Zostań jeszcze chwilę – poprosiła. Nie wysuwając się z ramion chłopaka, odwróciła się twarzą do niego i wspiąwszy na palce, delikatnie pocałowała. – Przetrwalam za murem tylko dlatego, że myśl o tobie i Poldusiu codziennie dodawała mi sił – powiedziała.

– Och, Heleno! – szepnął, a w jego słowach wybrzmiał smutek, tęsknota i jednocześnie żarliwe pragnienie. Pocałował dziewczynę i ciaśniej opasał ją ramionami.

Oddała pocałunek i pociągnęła Poldka w stronę leżącego w kącie materaca. Gorączkowymi ruchami zaczęła mu rozpinąć koszulę, a on ściągnął jej sukienkę przez głowę.

– Nie wiem, czy powinniśmy – zawahał się.

– Nie myśl. Zapomnijmy o tym cholernym świecie chociaż na chwilę – odparła i zamknęła mu usta pocałunkiem.

\*\*\*

Wczesną jesienią coraz częstsze alarmy bombowe nie pozwalały mieszkańcom Warszawy na przespanie choćby jednej spokojnej nocy. Sowieckie samoloty nadlatywały zawsze po północy, więc rozespani ludzie, słysząc syreny, w panice zbiegali do piwnic. Nastroje w mieście były różne. Jedni cieszyli się z sukcesów Armii Czerwonej, inni twierdzili, że jeśli wejdzie do okupowanej przez Niemców Polski, to nasz kraj wpadnie z deszczu pod rynnę. Krzepiła nieco wiadomość, że przy boku Sowietów uformowały się oddziały polskiego wojska.

Wszystkie wiadomości wojenne Konrad puszczał mimo uszu, zbyt zajęty sobą i żalobą po Michale. Cóż z tego, że ze sobą zerwali, skoro on nigdy nie przebolewał straty. Jeszcze do



niedawna liczył na to, że gdy skończy się wojna, zdoła nakłonić kochanka do powrotu i będzie jak dawniej. Myśl, że rozstanie jest przejściowe, pozwalała mu na codzienne zmagania z koszmarem wojny i pracą w wywiadzie. Liczył na to, że kiedyś wyjaśni Michałowi wszystko, a ten zrozumie, że bratanie się z Niemcami było koniecznością.

Teraz nie wytłumaczy już niczego. To, że najważniejszy człowiek w jego życiu odszedł z tego świata ze świadomością, że Konrad jest zdrajcą, było gorsze niż oczekiwanie na wyrok podziemia. Nie miał złudzeń. Kilka miesięcy spokoju od czasu, gdy zamordowano Idę, nie oznaczało, że jest bezpieczny.

Ślub z Manią dla nich obojga oznaczał jedynie formalność, więc nikogo nie powiadomili. Po krótkiej ceremonii Konrad zaprosił młodziutką kuzynkę Heli do cukierni. Zjedli po pączku i wrócili do Mokotowa.

– Pamiętasz, gdzie leżą dokumenty notarialne? – zapytał po raz kolejny, gdy w końcu pokazał jej wszystkie skrytki w mieszkaniu.

– Pamiętam. Chociaż nie wiem, na co mi to potrzebne. Nic ci nie będzie! Zobaczysz, obydwójce przeżyjemy tę wojnę. To niemożliwe, żeby wszyscy zginęli – odparła z optymizmem właściwym jej wiekowi.

– Gdzie złoto jest, też pamiętasz? – Konrad puścił słowa Mani mimo uszu.

– Piąta klepka w drugim rzędzie pod dywanem w salonie – potwierdziła niecierpliwie. – Nadal jednak twierdzą...

– Maniu! – przerwał jej obcesowo Konrad. – Wyobraź sobie, że jutro zgarniają mnie w łapance, a ty zostajesz sama w mieszkaniu, do którego nie masz żadnych praw. Dokąd pójdziesz? Antykwariatu na Zgodzie już dawno nie ma.

– Tak jak Heleny – posmutniała dziewczyna. – Strasznie mi jej brak. Nie potrafię uwierzyć w to, co stało się z gettem. Wiesz, że są ludzie, którzy się z tego cieszą? Czego ja się nasłucham od klientów w sklepie. Nie uwierzyłbyś!

– Uwierzyłbym z pewnością – mruknął. – Jednakże nie odbiegajmy od tematu. Gdzie dolary i kosztowności?

– Pod wanną – odparła posłusznie.

– Grzeczna dziewczynka. No to teraz uciekaj do swojego pokoju, bo rano wstajesz. – Konrad ostentacyjnie ziewnął.

– Dobrze, ojcze – odparła z ironią.

– Chyba „mężu” – odgryzł się i uśmiechnął do Mani. Zżył się z nią przez ostatnie miesiące. Była rezolutną dziewczyną mocno doświadczoną przez los, więc troszczył się o nią, jak tylko mógł, niezależnie od obietnicy złożonej Helenie.

Zwodniczy spokój w mokotowskim mieszkaniu trwał do grudnia. Warszawa, pomimo ciągłych łapanek i publicznych egzekucji, szykowała się do świąt, czego Konrad zupełnie nie potrafił zrozumieć. Przypominał sobie tamtą Wigilię, gdy Helena przyprowadziła Manię i poprosiła o przygarnięcie dziewczyny.

– Słowo daję, że zupełnie nie pojmuję, jak w takich warunkach ludzie mogą myśleć o świętach – powiedział Konrad. Patrzył na Manię zawzięcie ucierającą mak na kutię. Nie miał pojęcia, jak udało jej się go zdobyć. – Jak poczuć ducha Bożego Narodzenia, gdy za oknem szerzy się ludobójstwo?

– To bardzo proste. Ludzie chcą choć przez chwilę żyć normalnie. Rozum odrzuca okrucieństwo świata, kiedy jest zaprzątnięty przygotowaniami świątecznymi. Nawet najskromniejszymi. Ja dzięki nim wspominam dawne Wigilie w Sopocie, gdy żyli rodzice i Zośka. Cóż to były za wspaniałe rodzinne dni! Mama szykowała mnóstwo ryb w galarecie i specjalnie dla ojca sałatkę włoską z majonezem. Na Wybrzeżu nikt jej na święta nie podaje, więc mama się śmiała, że to jakiś warszawski wymysł. Kiedyś przyjechała na święta Hela z wujem Ignacym i też jedli tę sałatkę z apetytem – roześmiała się Mania. – A po śniadaniu w pierwszy dzień świąt szliśmy na spacer. Jeśli pogoda pozwalała, to na plażę. Tęsknię za morzem – szepnęła.

– Możemy iść jutro na spacer na działki. – Do Konrada dotarło, że dzielna młódka przeżyła tak wiele od czasu ucieczki z Sopotu, że podziw brał, jak świetnie sobie z tym wszystkim radziła.

– Chętnie bym poszła, ale już się umówiłam – odparła pospiesznie Mania.

– Nie powinienem pytać? – Uniósł brwi badawczo.

– Nie – odparła krótko.

W pierwszy dzień świąt Konrad wylegiwał się w łóżku do dziesiątej, balansując na granicy snu i jawy, w stanie pozwalającym na wyparcie z głowy wszystkiego, co złe. Gdy wreszcie wstał i się ubrał, postanowił, że spędzi dzień na miłych rzeczach. Planował wyjąć z biblioteczki zabawną powieść Ireny Zarzyckiej. Niezwykle popularną *Dzikuskę* wyreżyserował Henryk Szaro w dawnych, lepszych czasach. Książka rozeszła się w ogromnym nakładzie. Właśnie takiej naiwnej, wesołej lektury Konrad potrzebował. Położył na stole w salonie książkę z potarganą czarnowłosą smarkulą na okładce i poszedł do kuchni, by zaparzyć angielskiej herbaty ze zrzutów.

Nie zdążył nastawić czajnika, gdy usłyszał ciche pukanie do drzwi. Przez myśl przeszło mu, że Mania zapomniała klucza, lecz od razu przypomniał sobie, że dziewczyna wyszła o poranku w sobie tylko znanym celu. Poza tym ona nigdy nie zapominała. Była zbyt odpowiedzialna.

– Kto tam? – zapytał.

– Poczta – rozległ się kobiecy głos.

Konrad przecesał nerwowym ruchem włosy. Za drzwiami musiała stać kompletna amatorka, skoro nie rozumiała prostego faktu, że niemiecka poczta, ani żadna inna, nigdy nie pracowała i nie pracuje w dni świąteczne.

– Proszę poczekać – odparł, żeby zyskać na czasie.

Nie miał złudzeń, że podziemie wysłało likwidatorów. Przeszło mu przez myśl, żeby wyjąć pistolet ukryty pod materacem w sypialni, lecz uznał, że to nie ma większego sensu.

Sytuacja była wręcz idealna, żeby wreszcie zakończyć udrękę. Mani nie było, trwały ponure święta, uświetniane łapankami i egzekucjami, Muszkieterzy przestali istnieć, a Michała pochłonęło getto. Konrad westchnął z rezygnacją i odsunął zasuwę drzwi wejściowych.

- W imieniu Polski podziemnej... – Młoda szatynka zaczęła recytować formułkę.
- Przestań, Krysiu – warknął głos zza jej pleców.
- Ignaś! – Konrad natychmiast rozpoznał przyrodniego brata.
- Nic nie rozumiem – poskarżyła się dziewczyna.
- Później wyjaśnię. Przepraszam, że zwlekałem do ostatniej chwili, ale tak łatwiej dochować tajemnicy. – Ignacy schował pistolet, który wydobyl na wszelki wypadek.
- Zmężniałeś – zauważył Konrad i bezwiednie się uśmiechnął.
- Im mniej słów, tym lepiej – rzucił Ignacy. Wskazał brodą salon i odczekawszy, aż starszy brat wejdzie do środka, ruszył za nim.
- Mieliliśmy wykonać egzekucję szmalcownika – szepnęła Krysia.
- Nie jestem żadnym szmalcownikiem. – Konrad spojrział z rozbawieniem na dziewczynę. – Ciekawe rzeczy wmawia teraz ludziom podziemie.
- Jestem żołnierzem. Wykonuję rozkazy. Krysia poznała tylko adres. Co mają na ciebie nasi dowódcy? – Ignacy wyrzucał z siebie krótkie zdania.
- Nie jestem wrogiem ojczyzny, jeśli o to pytasz, bracie. Więcej wiedzieć nie musisz – odparł Konrad. – Po prostu zrób, co trzeba, i odejdz.
- Myślałeś, że zamierzam wykonać wyrok? Nisko mnie cenisz. – Ignacy spojrział z urazą. Wyjął zza pazuchy zaklejoną kopertę i wręczył ją bratu. – To komplet fałszywych dokumentów i list żelazny. Wszystko, co musisz zrobić, to dotrzeć do Zakopanego i iść pod adres, który też jest w kopercie. Przeprowadzą cię przez granicę. Na nartach umiesz jeździć, więc dasz sobie radę. Uciekaj, bracie, jeśli ci życie miłe. Pieniądzy masz pewnie dość, by ustatkować się gdzie indziej. Ryzykujesz, że cię złapią, ale jeśli zostaniesz, zginiesz na pewno. My odejdziemy, lecz przyślą kogoś innego.
- Nie wiem, czy chcę uciekać. Ostatnio życie mi zbrzydło – powiedział Konrad.
- Nie dramatyzuj. Jeszcze brakuje, żebyś zaczął się mazgać jak dziecko. – Ignacy położył kopertę na stole i porozumiał się spojrzeniem z Krystyną. – Żegnaj, bracie. Dobrze ci radzę, żebyś nigdy tu nie wracał – powiedział. A potem obydwójce wyszli.

Jeszcze tego samego dnia Konrad rozmówił się z Manią, wyraźnie przestraszona nagłym zwrotem akcji.

– Dlaczego musisz wyjechać? – zapytała. – Jednak grozi ci niebezpieczeństwo! Coś ukrywasz! Dokąd się wybierasz? Jak ja sobie poradzę?

– Poradzisz sobie świetnie – uspokoił ją. – Ja już nie wrócę, Maniu. Nigdy. Gdyby ktoś pytał, co się ze mną stało, mów, że przepadłem w łapance. Gdy wojna się kiedyś skończy, uznają cię za wdowę, a wszystko, co kiedykolwiek posiadałem, stanie się twoją własnością.

– To brzmi tak, jakbyś zamierzał sobie coś zrobić. Nie chcę, żeby ci się coś stało – powiedziała płaczliwie.

– Miałem przez chwilę taki zamiar, przyznaję. Lecz pewne spotkanie sprawiło, że zmieniłem zdanie. Będę bezpieczny, nie martw się. A ty dbaj o siebie. Maniu?

– Tak?

– Jeśli wojna się skończy, możesz powiedzieć Poldkowi Malinowskiemu, że wyjechałem z Polski?

– Temu Poldkowi, w którym kochała się Helena? – upewniła się dziewczyna.

– Tak. Ale dopiero po wojnie, pamiętaj!

Dwa dni później Konrad był już w Zakopanem. Przed wojną uwielbiał jego niepowtarzalny klimat i styl, lecz teraz nie zwracał uwagi na uroki miasteczka. Raz za razem sprawdzał, czy zaszyte w płaszczu pieniądze wciąż są na swoim miejscu. Jego przewodnik okazał się małomównym i raczej mrukliwym młodym mężczyzną. Wręczył Konradowi narty i plecak z prowiantem i powiódł go w głąb ośnieżonych gór, za którymi, po słowackiej stronie, wcale nie było bezpieczniej. Wojna ogarnęła swym szaleństwem niemal cały świat i coraz trudniej udawało się znaleźć schronienie.

## ROZDZIAŁ 18

### Współcześnie

Julia lubiła odwiedzać dziadka. Coraz mocniej interesowała się też historią Mokotowa, a wspólne spacerowanie pogłębiały jej wiadomości. Dziadek był urodzonym gawędziarzem, a ona wyszukiwała atrakcyjne informacje, żeby móc go nimi zaskoczyć.

– Wiesz, że na tym podwórku ukrywała się po odbiciu jej z Pawiaka pani Irena Sendlerowa? – zapytała dziadka.

– Nigdy o tym nie słyszałem – zdziwił się. – Wiem za to, że moim sąsiadem był Edward Osóbka-Morawski. Znałem go z widzenia, kłanialiśmy się sobie z daleka, a czasem wymienialiśmy kilka banalnych uwag o pogodzie. Chodził na spacerowanie z czarnym psem.

– Słyszałam to nazwisko. – Julia zamyśliła się.

– Komunistyczny premier. Ironią jest to, że kamienicę dalej mieszkał inny premier, Jan Olszewski. O nim na pewno słyszałaś.

– Tak. Był z ramienia „Solidarności” – powiedziała.

– Naturalni wrogowie w polityce, a w życiu niemal sąsiedzi. Życie bywa przewrotne. – Dziadek Marek uśmiechnął się do wnuczki.

– Nie miałam pojęcia, że w Szarych Domach mieszkali znani ludzie – zdziwiła się.

– Przestaje to być zaskakujące, gdy się poczyta nieco o historii osiedla. Jego przedwojenny architekt, Jan Stefanowicz, otrzymał od rządu zamówienie na stworzenie modernistycznego, nowoczesnego osiedla z wszelkimi wygodami. Mieszkania w dużej mierze przeznaczone były dla urzędników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ty widzisz zwykłe, choć urocze budynki mieszkalne z prostokątnym podwórzem, lecz według przedwojennych standardów budownictwa ta zieleń, przestrzeń, duże okna były objawieniem. Jeśli do tego dodasz fakt, że zadbano o punkty usługowe na parterze, to musisz przyznać, że ów architekt był wizjonerem. Szare Domy szybko stały się prestiżowym miejscem, a wpływowi i bogaci tamtego świata chętnie kupowali tu mieszkania. Budynki przetrwały powstanie warszawskie, choć wewnątrz murów wypaliło się prawie wszystko. Po wojnie osiedle znów przyciągało ludzi ustosunkowanych, więc masz odpowiedź. Teraz też mieszkają tu aktorzy, muzycy, a ceny mieszkań przyprawiają o zawrót głowy.

– Jak to się więc stało, że ty tu mieszkasz?

– Uważasz, że jestem zbyt zwyczajny? – Dziadek mrugnął okiem.

– Tego nie powiedziałam – roześmiała się. – Dla mnie jesteś nadzwyczajny. Ciekawi mnie jedynie, jak to się stało, że prababcia Helena i pradziadek Poldek zamieszkali właśnie tutaj.

– To nie jest zbyt romantyczna historia, wręcz przeciwnie. Moja matka odziedziczyła mieszkanie po zmarłej kuzynce. Tamta nie miała bliższych żyjących krewnych. Jak pewnie wiesz z historii, mieszkania w powojennej Warszawie były na wagę złota. Większość miasta Niemcy wyburzyli po stłumieniu powstania warszawskiego.

– Jak nazywała się ta kuzynka, pamiętasz? – Julia spojrzała badawczo na dziadka.

– Werner. Tak miała na nazwisko. A imię? – Dziadek zamyślił się głęboko. – Maria? Magda? Nie! Już wiem. Marianna. Mania. Tak. Na sto procent Mania Werner.

– Nigdy w życiu nie słyszałam o takiej krewnej.

– Matka miała przed wojną jakąś rodzinę nad morzem. W Sopocie chyba. Ta kuzynka przyjechała do Warszawy. Nie wiem, co stało się z resztą tamtejszej rodziny. Babcia Helena nie opowiadała zbyt wiele, ale o tym już wiesz.

Julia odprowadziła dziadka do bramy osiedla i obiecawszy, że wkrótce się znów pojawi, poszła różnym krokiem do metra. Kuzynka prababci nie dawała jej spokoju. Już w wagonie metra wyciągnęła telefon i zaczęła szukać skanów z mokotowskich parafii.

– Bingo! Wiedziałam, że coś jest na rzeczy – ucieszyła się.

Gdy wysiadła na Stokłosach, natychmiast wybrała numer Filipa Melnera.

– Nie uwierzysz! – wypaliła, gdy tylko odebrał. – Kuzynka Heleny poślubiła podczas wojny Konrada Wernera. Tego aktora, z którego bratem spotykała się Krystyna. Nie wiem, co o tym sądzić, ale trudno mi uwierzyć, że to przypadek.

– Masz rację. Musimy się temu przyjrzeć. I jak najszybciej skończyć czytanie pamiętnika. Masz czas, żeby wrócić jutro do muzeum? – zapytał Filip.

– Tak. Kończę zajęcia przed trzynastą.

– Zatem jesteście umówieni. Coraz dziwniejsza robi się ta cała sprawa – mruknął.

\*\*\*

## 1944

Lato było upalne i suche. Jak okiem sięgnąć, na wszystkich skrawkach ziemi dojrzewały pomidory i inne warzywa sadzone przez mieszkańców głodzonej Warszawy. Sowietci i armia Andersa parły uporczywie w stronę Warszawy, a Niemcy wciąż i wciąż przegrupowywali się w popłochu.

Paradoksalnie, dla mieszkańców stolicy przybliżanie się frontu wschodniego przyniosło trochę ulgi. Niemcy nie mieli czasu ani głowy do łapanek, a podziemie, widać zajęte czymś innym, chwilowo nie organizowało na terenie miasta żadnych akcji. Po serii nalotów, jakie gnębiły miasto przez ostatnie miesiące, nastał spokój.

– Cisza przed burzą – zawyrokował Apoloniusz Malinowski, rzucając na stół niemiecką gadzinówkę. – Jak wejdą ruscy, to będziemy płakać z tęsknoty za Niemcami.

– Co też ojciec opowiada – obruszył się Janek. – Zupełnie jakby ojciec nie wiedział o zagładzie getta, obozach śmierci i wywózkach na przymusowe roboty. Ja wiem, że od paru dni nie ma łapanek, ale chyba ojciec sam przyzna, że porywanie bezbronnych ludzi z ulicy wystarczy, żeby uznać szkopów za najgorsze diabelskie nasienie.

– Bo ruskich nie znasz, synek – odparł Malinowski.

– Szkoda, że się ten zamach na Hitlera nie udał – wtrącił się Poldek. Wiedział, że jeśli w porę nie zmieni tematu, ojciec z Jankiem skoczą sobie do oczu. W kwestii Sowietów stary rękawicznik był nieprzejednany, z kolei Janek, podobnie jak wielu młodszych warszawiaków, w nadejściu Armii Czerwonej upatrywał wyzwolenia spod niemieckiego buta.

– Ten skurwysyn ma chyba dziewięć żyć jak kot. – Apoloniusz połknął przynętę.

– Niech ojciec miarkuje słowa – wtrąciła się Paulina. – Przecież tu są dzieci.

Alinka i Polduś, kilkuletnie brzdące, na wyraźne żądanie dziadka Apoloniusza jedli posiłki przy stole z dorosłymi. Tak surowy dla własnych synów, wnukom pobłażał na każdym kroku. Co ciekawe, traktował oboje sprawiedliwie, choć oczkiem w jego głowie była Alinka. Nikt, kto poznał tę dziewczuszkę, nie był tym zdziwiony. Słodka, przylepna, pięknie recytowała dziecięce wierszyki i pchała się dziadkowi na kolana przy każdej okazji. Polduś, wysoki jak na swoje pięć lat chłopaczek, wolał trzymać się na dystans. Patrzył badawczo na świat spod firanki ciemnych rzęs, a jego zwykle poważną twarzyczkę okalały brązowe loki.

– Idźcie lepiej z Barbarą na spacer z dziećmi. Trzeba korzystać z pogody i tego, że ustały łapanki – burknął Malinowski w stronę synowej niezadowolony, że ta odważyła się go skrytykować.

– Za gorąco. – Paulina się skrzywiła.

– Ja natomiast chętnie się przejdę. Mogę wziąć też Poldusia, jeśli chcesz – powiedziała Basia.

– Nie trzeba. – Paulina wstała od stołu i wzięła malca za rączkę. Życie w posępnej kamienicy Malinowskich nauczyło ją, że znaczy dla tej rodziny tylko tyle, ile więź z dzieckiem.

– Janku, a ty masz ochotę na spacer? – Basia zwróciła się do męża.

– Chętnie, ale mam coś do załatwienia na mieście, więc nie tym razem.

– Ja za to wybiorę się z przyjemnością – wtrącił się Poldek, patrząc znacząco na szwagierkę.

– Jeśli to nie kłopot, mój mężu, chętnie najpierw porozmawiałabym w naszej sypialni – powiedziała twardo Paulina, kładąc nacisk na ostatnie słowa.

Stary Malinowski wychylił kieliszek bimbrowy i wrócił do studiowania z gruntu przekłamanego prasy. Nie wierzył żadnemu artykułowi, lecz z zainteresowaniem przeszedł

do rubryki drobnych ogłoszeń. To właśnie tam dało się odnaleźć nastroje panujące w Warszawie. Ludzie na potęgę sprzedawali, co się dało, a usługi wszelakie można było kupić za grosze. Tak źle w stolicy jeszcze nigdy się nie działo.

Poldek poszedł posłusznie za żoną do jej sypialni. Nigdy się do niej nie wprowadził i nadal uparcie zajmował ciasną służbówkę.

– Czy dla odmiany nie mógłbyś się zająć mną i dzieckiem? – Paulina spojrzała z wyrzutem.

– A czy ty dla odmiany mogłabyś nie zaczynać awantury przy Poldusiu? – warknął.

– Staram się odbudować naszą rodzinę. Zupełnie nie zwracasz na mnie uwagi, a to dla mnie okropne. Nie było mi łatwo, lecz chcę, żeby nasz syn miał oparcie w nas obojgu. Ale dopóki będziesz znikał na całe noce jak przez ostatnie pół roku, to się nie uda. Rozumiesz?

– Paulina puściła rączkę dziecka i podeszła do Poldka.

– Rozumiem – odparł spokojnie. – Ale porozmawiamy o tym kiedy indziej.

– Dlaczego nie teraz? – zezłościła się.

– Dobrze wiesz, że coś się dzieje w mieście. Wszyscy o tym mówią. Ruscy są prawie na Pradze. Zajmij się małym. Porozmawiamy potem.

– Dokąd się wybierasz? Znów do niej? – Paulina podeszła do męża i spojrzała mu wyzywająco w twarz.

– O czym mówisz?

– Dobrze wiesz. Nie wiem, kim jest, ale stoi nam na drodze od lat. Była zawsze. Nawet wtedy, w Juracie. Zawsze przeszkadzała.

– A może to ty przeszkadzasz? – Poldek spojrzał na żonę z pogardą. Natychmiast się zmitygował i przeprosił, lecz Paulina odwróciła się i rzuciła ze szlochem na łóżko.

Polduś, przyzwyczajony do rozchwianych nastrojów matki, wdrapał się na posłanie i zaczął ją głaskać po jasnych włosach. Jego ojciec stał przez chwilę niezdecydowany, co zrobić. Najchętniej zabrałby syna i poszedł z nim do Heleny, lecz doskonale wiedział, że Warszawa kipi od emocji, więc wyjście z domu nie jest bezpieczne.

– Pamiętaj, że to mi ślubowałeś! – Paulina usiadła i spojrzała na Poldka nienawistnie.

– I to był błąd – warknął. Wyszedł z sypialni, zaciskając zęby.

– Zapłacisz za to! – krzyknęła i zanosła się płaczem.

Poldek nie słuchał, myślał tylko o tym, żeby dotrzeć do Heleny, zanim zacznie się powstanie. Kto żyw wyjechał z lewobrzeżnej Warszawy na prowincję. Młodzi ludzie uwiedzeni ideą walki gromadzili się na ulicach i na długo przed godziną wybuchu powstania manifestowali bojowe nastroje. Niejeden z młodziutkich chłopaków, ledwie pamiętających czasy pokoju, demonstrował zdobyczny pistolet, a kilkunastoletnie panienki upychały w kieszeniach granaty i paliły papierosy. W tkance miasta wibrowało nerwowe oczekiwanie.

Na szczęście na Nowym Świecie wciąż panował spokój. Poldek otworzył drzwi prowadzące do sklepu, ciesząc się w duchu, że przynajmniej tutaj nie widać nastawionych



bojowo dzieciaków.

– Poczekaj! Gonię cię od Solca, ale z dzieckiem trochę trudno.

Odwrócił się i zobaczył zdyszana Basię. Alinka siedziała w wózku i przytulała laleczkę, którą odziedziczyła po przedwcześnie zmarłej Dorotce. Apoloniusz Malinowski osobiście jej ją wręczył i ku jego uciesze stała się ulubioną zabawką wnuczki.

– Dlaczego nie zostałeś w domu?

– A co mam tam robić? Wolę odwiedzić Helę. Wybacz, że nie udało mi się zabrać Poldusia.

– Bardzo dobrze, że ci się nie udało. Śródmieście oberwie najgorzej. Kwestia krótkiego czasu.

– O czym mówisz?

– Janek pewnie ot tak zniknął z domu, prawda? Przecież jasne, że poszedł do walki. Basiu, najlepiej by było, gdybyś natychmiast wróciła na Solec – odparł Poldek.

W tej samej chwili rozległ się terkot karabinów maszynowych. Na końcu ulicy wybuchły granaty, a w mieście zawyły syreny.

– Nie wiem, dokąd poszedł. Pytałam, ale nie powiedział. – Basia przyciągnęła do siebie wózek i rozejrzała się nerwowo.

– Natychmiast do piwnicy! – wrzasnął Poldek. Na Nowym Świecie słychać było coraz głośniejsze odgłosy detonacji. Porwał z wózka Alinkę. W tej samej chwili pocisk eksplodował tuż przed wystawą. Kaskada szkła posypała się na wszystkie strony. Alinka zapłakała przestraszona, więc Poldek otulił ją marynarką, gotów pobiec w stronę piwnicy.

– Rusz się, do cholery!

Basia zamarła, patrząc na obłoki pyłu formujące się nad trafionymi kamienicami. Przestraszone dziecko płakało, a ona z fascynacją obserwowała rwącą się do walki stolicę. Poddała się bez oporu, gdy Poldek chwycił ją pod ramię i zaciągnął do sklepu. Okruchy szyby zaścierały półki z przepięknymi, dopieszczonymi palcami szwaczek rękawiczkami. Basia ledwie zarejestrowała, że Poldek odsunął regał, wciąż przytulając Alinkę.

– Wchodź!

Posłuchała natychmiast.

– Co się dzieje? – zapytała Helena.

– Zaczęło się powstanie! – odparł Poldek.

– Boże! Skończymy jak getto. – Dziewczyna zbladła. – Gdzie Polduś?

– Bezpieczny, z Pauliną na Solcu. Zostańcie tutaj, a ja pójdę zabezpieczyć towar. Przy okazji wyjdę na zewnątrz i zobaczę, co się dzieje, zanim podejmiemy jakąś decyzję.

– Pomogę – zaproponowała Helena.

– Nie możesz przecież...

– Myślisz, że ukrywanie się ma jeszcze jakikolwiek sens? – roześmiała się ponuro.

Miała rację. Ostatnią rzeczą, na jaką Niemcy mieli teraz czas, było polowanie na niedobitki ukrywających się po aryjskiej stronie Żydów.

– Może wejdziemy na ostatnie piętro, żeby zobaczyć, co się dzieje? – zaproponowała, gdy uporali się z przeniesieniem stosików rękawiczek do piwnicy.

– Możemy – zgodził się.

– Najbardziej chodziło mi o to, żeby porozmawiać bez świadków. – Helena stanęła na schodach, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi klatki. – Gdzie jest Janek? – zapytała szeptem.

– Poszedł do powstania. Ja też powinienem. Powstrzymało mnie jedynie to, że ukrywam cię w piwnicy. Nie wiem, co by się z tobą stało, gdyby mnie zastrzelili.

– Teraz nie ma to znaczenia. Możemy iść razem do walki. Pomóc jakoś sprawie.

– Najlepiej pomożemy sprawie, jeśli przeżyjemy dla naszego syna – odparł.

– Nie wierzysz w powstanie? – zapytała.

– To nie jest kwestia wiary, Heleno, tylko przygniatających faktów. Jak mamy wygrać z uzbrojonymi po zęby szkopami? Ja już byłem w bitwie. Nie zapomnę tego do końca życia. A najlepiej będę pamiętał błysk zrozumienia, że tacy jak my są mięsem armatnim. Janek widzi to inaczej, ale on nie walczył w trzydziestym dziewiątym.

Poldek mówił szczerze, choć nawet w jego uszach słowa były podszyte fałszem. Mógł zaklinać rzeczywistość, lecz doświadczenia z kampanii wrześniowej pozostawiły w nim niezaleczoną ranę i strach przed wojaczką.

– Nie musimy o tym rozmawiać. – Helena w lot pojęła, że temat jest dla niego drażliwy. – Chodźmy na górę.

– Szkoda, że okna nie wychodzą na stronę Wisły – mruknął Poldek, gdy już weszli na najwyższe piętro. – Poczekaj tutaj – dodał, gdy dojrzał drabinkę dachową.

– Nie żartuj – przestraszyła się. – To zbyt niebezpieczne.

– Nic mi nie będzie – zbagatelizował. – Nawet nie wyjdę na dach. Wychylę się jedynie i zobaczę, czy widać cokolwiek na stronę Powiśla.

Poldek wskoczył zwinnie na drabinkę i popchnął klapę. Ta na szczęście nie była zamknięta na kłódkę.

– Co tam widzisz? – zaczęła niecierpliwie dopytywać Hela.

– Powiśle płonie, trwa ostrzał mostów. Kłęby dymu unoszą się jak okiem sięgnąć. – Poldek zeskoczył z drabinki i patrzył na Helę wytrzeszczonymi ze strachu oczami. – Muszę iść po naszego syna. Myślałem, że na Solcu będzie bezpieczniejszy. Idiota ze mnie! Przecież mosty są obiektami strategicznymi. Przy nich zawsze są najcięższe walki!

– Idę z tobą – powiedziała natychmiast Helena.

– Łatwiej sam się przedostanę – odparł. – Zostań z Basią – poprosił.

Zwykle przejście z Nowego Światu do domu zajmowało kilka minut, lecz tym razem Poldek czuł, że potrwa to wieczność. Nie odważył się iść ulicami. Trzymając nisko głowę, przebiegł na drugą stronę jezdni do wlotu Pierackiego, a później, posuwając się wzdłuż fasad domów, dotarł do skarpy wiślanej. Miał nadzieję, że wśród dzikiej roślinności na łące należącej do zakonu szarytek będzie bezpieczniej, lecz nie uwzględnił siły ostrzału.

Położył się pomiędzy trawami i centymetr po centymetrze posuwał się w dół zbocza. Nie miał pojęcia, ile dokładnie czasu mu to zajęło, lecz na pewno długie godziny. Zadowolony, że nie musi wychodzić na ulicę, przedostał się przez dziurę w płocie wprost na podwórze pracowni.

– Nie – szepnął. – To niemożliwe. – Zakręciło mu się w głowie i uchwycił się kurczowo sztachety.

Wysoka, pięciopiętrowa kamienica Malinowskich legła w gruzach. Spomiędzy ostrych kikutów ceglanych ścian waliły w niebo kłęby czarnego dymu. Poldek pobiegł w kierunku ruin. W miejscu, gdzie wcześniej było wejście do klatki, leżał wysoki stos gruzu z powyginanymi od żaru stalowymi prętami zbrojeń. Nieco dalej klęczał jakiś zrozpaczony mężczyzna z twarzą zatopioną w dłoniach.

– Majster Bluman? – Poldek podszedł bliżej.

– Wyszedłem z ukrycia, jak tylko się zaczęło. Chciałem iść walczyć, ale najpierw postanowiłem zobaczyć się z Apoloniuszem. Nie zdążyłem. – Moszemu załamał się głos.

– Może jeszcze żyją! – krzyknął histerycznie Poldek. – Tam jest mój syn! Trzeba odkopać gruzy!

Bluman bez słowa zaczął odrzucać na bok cegły, choć dobrze wiedział, że nie są w stanie we dwóch rozebrać zwałowiska gruzów z pięciokondygnacyjnej kamienicy. Mimo to pracowali bez chwili przerwy aż do zachodu słońca. Upalny dzień przerodził się w ciepły wieczór, a dramatyczną scenerię oświetlił jasno świecący księżyc.

– Tu coś jest! – powiedział Poldek, odrzucając na bok kolejne cegły. – Jezu, nie, tylko nie to! Panie majster, tylko nie to!

Bluman, ciężko dysząc ze zmęczenia, natychmiast podbiegł do chłopaka. Spod gruzu wyłoniła się kredowobiała od tynku, przeraźliwie nieruchoma twarz Apoloniusza Malinowskiego.

– Tak mi przykro, synu – szepnął i uścisnął ramię Poldka.

Kwadrans później udało im się odkopać zwłoki dozorczy i Pauliny. Leżała twarzą zwrócona w dół.

– Zostaw, ja ją wezmę. Nie patrz teraz na żonę, bo do końca życia tak ją zapamiętasz – powiedział Bluman.

Poldek nie usłyszał. Jak w transie przerzucał kolejne cegły. Szukał syna. Bezskutecznie. Osuwisko szło dalej ostro w dół, a na drodze stanęły wielkie kawałki gruzu.

– Tu musiała bomba uderzyć. To na nic, przykro mi. – Majster Mosze usiadł na stercie cegieł i ciężko oddychał.

– Tak po prostu byli i ich nie ma. Pochowajmy ciała i chodźmy stąd – powiedział martwo Poldek.

– Dokąd?

– Muszę powiedzieć Helenie... A potem idę do powstania. Zapłacą za to, sukinsyny.

Pomimo usilnych prób nie udało im się przedostać do Śródmieścia przez intensywny ostrzał. Poldkowi przestało zależeć na życiu, lecz nie zamierzał tanio sprzedać skóry. Obiecał sobie, że zanim zginie, wyśle do piekła tak wielu Niemców, jak tylko się da. Jeszcze tego samego dnia wraz z Blumanem przystąpił do powstańców ze zgrupowania „Konrad”.

\*\*\*

Krystyna nie poznawała Ignacego. Powstanie sprawiło, że zachowywał się, jakby szatan w niego wstąpił. Napawał się bitwą, miał oczy błyszczące niezdrowym podnieceniem, a wraz z każdym zabitym wrogiem uśmiech chłopaka stawał się coraz szerszy. Gdyby go nie znała wcześniej, pomyślałaby że jest szaleńcem. Ona rwała się do walki, lecz cały czas bała się o życie swoje i Ignacego.

Ich oddział walczył w Śródmieściu. Walki były ciężkie, lecz Niemców udało się odeprzeć. Wśród powstańców zapanowała radość. Wszystkim udzielił się podniosły nastrój, a mieszkańcy wywiesili biało-czerwone flagi. Nie wszyscy witali ich ciepło. Część ludności cywilnej miała im za złe, że rozpętali powstanie.

Paradoksalnie największym zmartwieniem Krysi było to, że umrze, nie zasmakowawszy miłości. Wieczorem, gdy kładli się spać na podłodze w opustoszałym i na wpół wypalonym mieszkaniu, przesunęła się bliżej do Ignacego i położyła mu głowę na ramieniu. Jej niewidoczna w ciemnościach dłoń zaczęła wędrować po ciele chłopaka.

– Co robisz? – mruknął cicho.

– Nie chcę być dzisiaj sama – odparła. – Kto wie, co może stać się jutro? Chcę żyć, póki jeszcze mogę. Nie chcesz mnie? – zapytała żałośnie.

– Pragnę bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ale nie bez ślubu – powiedział chrapliwym od pożądania głosem.

– Rozejrzyj się, jest wojna.

– I cóż z tego? Jutro z rana poproszę kapelana, żeby nam go udzielił.

– Przystanie na to?

– Myślę, że bez trudu, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że zgodzisz się za mnie wyjść – roześmiał się cicho.

– No nie wiem. Ale jeśli nie zapytasz, to się nie dowiesz. – Krysia zaczęła się droczyć. Jej dłoń wciąż gładziła tors Ignacego.

– No tak, słusznie. Zatem czy panna Krystyna Melner zgodzi się zostać moją żoną? – zapytał uroczystym tonem, lecz podszytym kpina.

– Jeśli tylko pan Ignacy Werner obieca być dobrym mężem – odparła żartobliwie.

– Będę panią na rękach nosił! – obiecał.

– Melner i Werner. Niewiele mi się nazwisko zmieni, nie uważasz?

– Już wtedy, na Mazurach, od razu zwróciłaś uwagę na podobieństwo, pamiętasz? Ależ byłaś wtedy wychudzoną mokrą kurą – zaśmiał się.

– Czy szanowny pan próbuje mnie obrazić? – Krysia podchwyciła żart.

– A w życiu! Może byłaś mokrą kurą, ale moją! Jedyną! A teraz pocałuj mnie ładnie i jazda spać.

Choć następnego dnia trwały zaciekle walki o utrzymanie Prudentialu, najwyższego warszawskiego budynku, Krystyna myślała jedynie o tym, że wieczorem stanie się żoną Ignacego. Zupełnie nie przeszkadzał jej brak wesela czy choćby pięknego kościoła. To wszystko miała Paulina. Jej ślub wyglądał jak z bajki, lecz małżeństwo z Poldkiem okazało się kompletnym nieporozumieniem. Wróciła myślami do spotkania z siostrą. Krótko przed godziną W poszła do kamienicy Malinowskich i zastała Paulinę kompletnie rozbitą. Przyznała, że Poldek ma kochankę. Tylko dlatego Krysia zgodziła się jej pomóc.

– Padnij! – wrzasnął jej do ucha kolega z oddziału i z całej siły pchnął na ziemię. – O czym ty myślisz? O niebieskich migdałach? Tam jest gołębiarz! Wali z dachu do wszystkiego co się da.

– Przepraszam – wymamrotała zawstydzona.

– Ruszaj się! – odparł tamten i nie zwracając sobie głowy koleżanką, pobiegł pomiędzy budynki.

Krysia chciała iść za nim, lecz ugięła się pod nią lewa noga, gdy tylko spróbowała wstać. Spojrzała i z przerażeniem zobaczyła lejącą się z łydki krew. Zdążyła się jeszcze zdziwić, że w ogóle nic nie czuje, gdy prawe ramię przeszył ostry ból. Upadła na ziemię i próbując uciec z zasięgu snajpera, zaczęła nieporadnie się czołgać.

– Krystyna! – Ignacy wypatrzył ją i zaczął biec w jej stronę.

– Nie podchodź! – krzyknęła. – Tu jest niebezpiecznie!

Lecz on nie zważał na nic. Dopadł do rannej i wzięwszy ją w ramiona, natychmiast zaczął uciekać z zasięgu ostrzału. Dotarł do rogu kamienicy i posadził dziewczynę pod ścianą. Uśmiechnął się do niej, a ona zauważyła, że jest upiornie blady. Spojrzała niżej i zobaczyła na przodzie jego koszuli czerwoną plamę.

– Ignacy! – krzyknęła z rozpaczą.

– To nic takiego, Krysiu – odparł bełkotliwie, po czym runął twarzą na ziemię.

Dziewczyna patrzyła i nie wierzyła w to, co się dzieje. Dopiero po chwili dotarło do niej, że przeraźliwy wrzask, jaki słyszy, dobiega z jej własnego gardła. Jakieś silne dłonie podniosły ją do góry, a ona, choć ranna, zaczęła się wrywać.

– Ignacy! – załkała.

– Już mu nie pomożesz – odparł niosący ją mężczyzna. – Nie wierzgaj, musimy wiać!

\*\*\*

Pierwszy dzień powstania na Mokotowie miał gwałtowny przebieg. Niemcy stawiali silny opór, co nie było dziwne, skoro stacjonowali w koszarach przy Polu Mokotowskim. Mania siedziała wraz ze swoim oddziałem przy ulicy Kieleckiej. Mieli zadanie chronienia za wszelką cenę ukrytej w jednej z eleganckich willi radiostacji. Za ledwie przecznicę dalej znajdowało się mieszkanie Konrada, lecz żadnym sposobem nie mogła się tam przedostać. Choć jej udawany mąż wyjechał, ona wciąż czuła przed nim odpowiedzialność za powierzony majątek, więc denerwowała się, co zastanie po powrocie.

Nieco krzepił ją widok dowódcy, który faworyzował ją od pierwszego dnia. Nie od razu ją poznał, lecz gdy po pierwszej zbiórce odważyła się do niego podejść i przywitać, przymrużył oczy, myśląc intensywnie.

– Ja pannę znam, choć nie wiem skąd – przyznał szczerze.

– A ja pana znam i nawet wiem skąd – roześmiała się. – Marianna Małecka, choć teraz już Werner – odparła. – A pan uratował mi kiedyś życie.

– Nie może to być – zdziwił się. – W jakich to okolicznościach?

– Uciekałam z Sopotu, a pan był tak łaskaw, że dowiózł mnie z Tczewa do krewnych w Warszawie swoim samochodem z prawdziwym szoferem.

– Panna Mania? Ta mała dziewczynka z warkoczykami? – przypomniał sobie. – Ależ panna wyrosła! Aż niewiarygodne.

– Parę lat upłynęło, panie Bogucki. A ja ciągle pamiętam i wciąż jestem wdzięczna za ratunek. Swoją drogą, co się stało z tym pięknym samochodem? – Mania błysnęła okiem.

– Niemcy ukradli, jak wszystkie inne – westchnął. – Maszyny żal, ale szofer się ostał. Niech panna zobaczy. Przy radiostacji się uwija.

– To szczęście, że nie straciliście się panowie z oczu – powiedziała cicho.

Bogucki zauważył, że posmutniała.

– Wspomniała panna, że zmieniła nazwisko...

– Tak, wyszłam za mąż niedawno.

– A gdzie mąż? – zapytał ostrożnie.

– Nie wiem. Przepadł – odparła.

Bogucki pokiwał smętnie głową, lecz nic nie odpowiedział. W wojennej zawierusze ludzie co chwilę tracili się z oczu i najczęściej nigdy nie odnajdywali. Każdy kogoś stracił. Pod tym względem panowała w Warszawie prawdziwa równość.

Dzięki spotkaniu z dawnym wybawcą Mania poczuła się bezpieczniej. Wiedziała, rzecz jasna, że to absurdalne i zwodnicze, lecz Tytus Bogucki zapisał się w jej pamięci jako wszechmocny bohater z dzieciństwa. Właśnie dlatego przed wieczorem odważyła się znów go zaczepić.

– Mieszkam tuż za rogiem – zagaiła. – Działania ustały, a ja się zastanawiam, czy mogłabym pójść i sprawdzić, czy wszystko tam w porządku. I dokumenty wziąć, bo w pośpiechu zapomniałam. – Mania uznała, że nie powinna mówić o skrytkach z kosztownościami i pieniędzmi Konrada.

- Nie boi się panna sama po nocy chodzić? – zapytał.
- Ja tu każdy kawałek chodnika znam na pamięć – roześmiała się.
- Zatem niech panna biegnie, teraz panuje spokój, więc ryzyko niewielkie – zawyrokował Bogucki. – A może dać do eskorty jakiegoś rosnącego chłopaka?
- Sama szybciej się uwinę, ale dziękuję za propozycję.

Mania zniknęła w mroku rozświetlanym jedynie światłem księżyca. Zwykle otwartą bramę dozorca zaryglował, więc postanowiła obejść osiedle dookoła. Na wysokości Fałata usłyszała strzały, dlatego zamiast skręcić, pobiegła prosto, by schronić się za zabudowaniami Politechniki. Pozałowała wycieczki, zanim ta na dobre się rozpoczęła, lecz nie było odwrotu. Zamiast wrócić do oddziału, skręciła w prawo, by dojść do Rakowieckiej. Swój błąd zrozumiała na wysokości klasztoru Jezuitów. Od strony Pola Mokotowskiego trwał ostrzał, a przejście ulicą było niemożliwe.

Mania schowała się we wnęce, kuląc się przy każdym odgłosie strzału. Zrozumiała, że jest w potrzasku, więc załomotała w drzwi klasztoru. Uchyliły się niemal natychmiast.

– Niech pani wchodzi! Szybko! – Zakonnik zaczął machać dłonią ponagłająco.

Nie zastanawiała się długo. Odetchnęła z ulgą, gdy ciężkie drzwi zatrzęsły się za nią, odcinając dźwięki wystrzałów i huki eksplozji.

– Dziękuję – powiedziała.

– Dalej takie walki? – zapytał furtian.

– Coraz gorsze. Tutaj na Rakowieckiej chyba najgorzej.

– Niemcy są na Polu Mokotowskim. Przynajmniej stamtąd leciały pociski. Mają tam artylerię przeciwlotniczą. Solidny arsenał – odparł.

– Jest tu jakieś tylne wyjście? Muszę wracać do oddziału. – Mania spojrzała z nadzieją. W półmroku klasztornego przedsionka ledwie widziała zarys sylwetki swojego rozmówcy. Jedynie po głosie rozpoznawała, że musi być mężczyzną w sile wieku.

– Lepiej nie ryzykować. Chodźmy do schronu. Kilkanaście osób już się u nas ukrywa. Wybuch powstania ich zaskoczył na pobliskich działkach. Jutro może się uspokoi, to pójdzie pani w swoją stronę. Teraz to strach.

Mania uznała, że propozycja brzmi rozsądnie, więc poszła za zakonnikiem w głąb klasztoru, coraz bardziej żałując, że odłączyła się od oddziału. Kamienna posadzka potęgowała odgłos ich kroków. Poczowała się znacznie raźniej, gdy zobaczyła grupę kobiet i dziesięcioletniego na oko chłopca. Znała go z widzenia. Mieszkał, podobnie jak ona, w Szarych Domach. Zresztą część kobiet też wydawała się znajoma.

– Siądzie tu pani z nami – powiedziała jedna z nich, robiąc miejsce dla Mani.

– Dziękuję – odparła grzecznie. – Nie udało się wrócić do domu? – zagaiła sąsiadkę.

– Przyszłam przed wieczorną mszą i mnie powstanie zaskoczyło. Lepiej przeczekać, przecież gdzie może być bezpieczniej niż w domu bożym?

Mania przytaknęła zgodnie i oparła się o ścianę. Choć sądziła, że to niemożliwe, usnęła natychmiast. Śniło jej się morze i sopocka plaża. Wraz z Zośką i Heleną biegła w stronę

spienionej wody, a nad jej głową skrzeczała mewa. Głośniej i głośniej.

– Obudź się – szepnęła sąsiadka. – Bracia wzywają na modlitwę w intencji ocalenia.

Mania niechętnie otworzyła oczy i od razu zrozumiała, że to, co w jej śnie brzmiało jak ptasi odgłos, w rzeczywistości było wizgiem lecących na Mokotów pocisków. Ściany klasztoru drżały w posadach, niejedna szyba z jękliwym protestem posypała się okruchami szkła na brukowany dziedziniec.

– Muszę iść – odparła. – Do oddziału!

– Lepiej się tu nie przyznawaj, że jesteś z powstania – syknęła sąsiadka. – Nie wszyscy wam sprzyjają.

– Dlaczego? – zdziwiła się Mania.

– Po co ten gwałt i pożoga, skoro zaraz wyzwolą nas Sowietci?

Dziewczyna nie znalazła odpowiedzi na to pytanie. Poszła za resztą ludzi do kaplicy. Pociski nadal uderzały w fasadę budynku, a do pomieszczenia zaczął się przedostawać gryzący dym. Jezuita zdawał się nie zwracać na to uwagi. Dokończył modły, po czym wraz ze swoją trzódką wrócił do schronu.

Mania miała już tego wszystkiego dość. Doceniała troskę zakonników o zgromadzonych w murach klasztoru ludzi, lecz rwała się do czynu. Całkiem zapomniała o kosztownościach ukrytych w mieszkaniu, martwiła się jedynie o to, czy zdoła wrócić na Kielecką do Boguckiego i reszty oddziału.

Tuż przed godziną dziesiątą rano rozległo się łomotanie do drzwi i do klasztoru wpadła uzbrojona po zęby grupa esesmanów.

– Kto strzelał? Przyznać się! Wydać bandytów! – wydarł się dowódca, podchodząc do furtiana.

Zakonnik wzruszył tylko ramionami i odparł po niemiecku, że z klasztoru nikt nie strzelał, nie ma tu powstańców, a jeśli dowódca chce się sam przekonać, to powinien dokonać rewizji. Mania zerknęła z podziwem na mężczyznę, który stał przed Niemcem i patrzył mu wyzywająco prosto w oczy.

Z piętra budynku zszedł schodami przełożony klasztoru, ojciec Kosibowicz. Niemiec spojrzał na niego z pogardą i nie odezwał się, gdy ten zaręczył, że w klasztorze nie ma powstańców. Mówił piękną literacką niemczyzną, lecz dowódca tylko spojrzał spode łba i zapalił papierosa. Puścił kłęb dymu na twarz duchownego.

– Niczego nie znaleźliśmy. A skoro szanowny pan taki wyedukowany, zapraszam do naszego zwierzchnika. Powie pan o wszystkim, czego tu nie znaleźliśmy. No już! Idziemy! – ponaglił Niemiec.

Ojciec Kosibowicz powiódł spojrzeniem po zgromadzonych w klasztorze ludziach i skinął na pożegnanie jednemu z braci. Wyszedł z godnie uniesioną głową i starał się nie zwracać uwagi na ironiczne uśmiešky esesmanów. Wiedział doskonale, że zmierza w stronę Pola Mokotowskiego na własną egzekucję.

– Dokąd go zabrali? – rozległ się wysoki głos dziesięcioletniego ministranta.



– Nie wiemy, synu. Módl się o jego powrót – odparł jeden z braci.

Napastnicy nakazali jeńcom, by zeszli do kotłowni.

– Gdzie jest przełożony? – odważył się odezwać jeden z braci.

– Bezpieczny! – odparł niecierpliwie Niemiec.

Ludzie, widząc wycelowane w nich karabiny i granaty zatknięte za pasy żołnierzy, zeszli posłusznie do podziemi klasztoru. Mania miała visa ukrytego w kieszeni, lecz wiedziała, że na nic się nie przyda w starciu.

Jeden z esesmanów wszedł do kotłowni i wskazał palcem siedzącego na krześle zakonnika. Ów podniósł się posłusznie i zanim wyszedł z pomieszczenia, wykonał znak krzyża w stronę stłoczonych ludzi. Ministrant, jedyne dziecko w piwnicy, rozszołał się, lecz jeden z braci zaczął pokrzepiająco gładzić go po głowie. Mania spojrzała na twarz zakonnika. Przypominała zastygłą z przerażenia woskową maskę. Tylko to sprawiło, że rozumiała, w jak rozpaczliwym położeniu się znalazła.

– Jezu Przenajświętszy! Zabiją nas wszystkich – załkała sąsiadka, chwytając Manię za rękę.

– Zawierzcie modlitwie! – oznajmił jeden z jezuitów. – Synu, jeśli twoje myśli są czyste, nie masz się czego obawiać. – Zakonnik przyciągnął chłopca do siebie i przytulił.

– Nie zgrzeszyłem – odparł piskliwym głosem dzieciak.

Mania spojrzała na młodego sąsiada i zrozumiała, że właśnie kończy się życie. Wszyscy przypadkowo zgromadzeni w kotłowni klasztoru mieszkańcy Mokotowa nasłuchiwali odgłosów powstania.

Esesmani zaczęli pojedynczo wyciągać ludzi na korytarz, a później przepędzać brutalnie do niewielkiego pokoju klasztornej woźnicy. Gdy Mania, popychana przez żołnierza, weszła do środka, zobaczyła stłoczonych zakonników i swoich sąsiadów. Niektórzy siedzieli przy stole, inni na łóżku, część stała przy oknie i pod ścianami.

– Zabrał mi zegarek – poskarżył się jeden z braci. – Mówił po rusku. Na pewno własowiec.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Drzwi dusznego pomieszczenia otworzyły się ze złowieszczym zgrzytem.

Mania obrzuciła rozmodlonych księży baczny spojrzeniem i natychmiast wycofała się pod ścianę. Działając instynktownie, schowała się za roslym jezuitą. Wyrwała z kieszeni pistolet i przywarła do kamiennej podłogi. Napastnicy wrzucili do piwnicy granaty. Ogłuszający hałas detonacji mieszał się z rozpaczliwymi krzykami. Poczula, że osuwa się na nią ciężkie, bezwładne ciało zakonnika. W uszach jej szumiało, lecz i tak docierały do niej jęki rannych.

Zwabieni odgłosami oprawcy wrócili z kolejnymi granatami. Gdy eksplozje ucichły, dla pewności wystrzelili kilka serii z karabinów w stronę zakrwawionej masy nieruchomych ciał. Mania poczuła przeszywający ból w lewej dłoni, lecz nie poruszyła się. Serce tłuło się w jej piersi, jakby miało wyskoczyć, ale nawet to nie skłoniło jej do otwarcia oczu.

Słyszała, że jeden z morderców chodzi pomiędzy ciałami. Co jakiś czas rozlegał się wystrzał z pistoletu. Dziewczyna zrozumiała, że bandyta dobija rannych. Gdy podszedł do niej, rozpaczliwie starała się udawać martwą. Strach o życie popycha ludzi do skrajnych czynów, więc gdy męska dłoń chwyciła jej włosy i brutalnie podniosła do góry głowę, nawet nie drgnęła. A gdy puściła, Mania zrobiła wszystko, żeby bezwładnie upadła na twardą posadzkę. Zabolało. Mimo to nadal się nie ruszała, choć z jej gardła chciał się wyrwać okrzyk przerażenia.

Esesmani w końcu odeszli, z korytarza dobiegł odgłos oddalających się kroków. Zakrwawiona Mania podniosła się z podłogi. Nie wiedziała, czy to jej krew, czy innych. Bólu w przestrzelonej dłoni nie czuła. Ze zdumieniem zobaczyła, że kilka osób również próbuje wstać.

– Uciekajmy natychmiast! – Jeden z braci przejął inicjatywę.

Tuż za drzwiami grupa niespodziewanie się rozdzieliła. Mania pobiegła za większością ocalonych do piwnicy, gdzie schowali się za stertą węgla. Oszalała ze strachu dziewczyna nie mogła uwierzyć, że przeżyła. Pomyślała o sąsiadce, o młodym ministrancie i serce ścisnęło się jej z bólu.

Nie miała pojęcia, jak długo siedzą w piwnicy, lecz gdy od strony małego, zakratowanego okienka dobiegł mówiący po polsku kobiecy głos, poczuła nadzieję, że oprawcy odeszli i kończy się udręka.

– Nie odpowiadajcie! – szepnął jeden z zakonników. – To może być niemiecka prowokacja.

Nawoływania rozległy się również we wnętrzu budynku, w mroku zajaśniały przesuwające się po ziemi światełka. Zakonnik przyczał się przy ścianie, a gdy dwie kobiety go minęły, odebrał jednej latarkę. Oddała bez protestu.

– Kim panie są? – zapytał, oświetlając je.

– Jesteśmy sanitariuszkami. Możecie wyjść. Niemców nie ma.

Na zewnątrz panowała piękna letnia pogoda. Mania, nie dowierzając swojemu szczęściu, zamknęła na chwilę oczy i zwróciła twarz do słońca. Nie wiedziała, co ma sądzić o tym, że ocalała, a wraz z nią kilkanaście innych osób. Powinni byli wszyscy zginąć, a jednak wciąż żyli.

– To cud – szepnął jeden z braci, jakby czytając jej w myślach.

## ROZDZIAŁ 19

1944

Michał kompletnie nie rozumiał, jak to się stało, że przeżył. Od likwidacji getta aż do wybuchu powstania warszawskiego ukrywał się w ruinach, więc początek walk powitał z radością. Zaszczutemu człowiekowi każda zmiana położenia przynosi ulgę. Pierwsze kroki skierował do Śródmieścia, gdzie panowała podniosła atmosfera. Wszędzie wisiały polskie flagi, ludzie demonstrowali radość na ulicach, a w podwórzach stacjonowali powstańcy. Michał postanowił dołączyć do pierwszego napotkanego oddziału, więc skręcił w bramę i podszedł do grupy odpoczywających mężczyzn. Nie zdążył nawet powiedzieć, z czym przychodzi, gdy kilku wstało i otoczyło go kołem.

– Żydek? – zapytał pogardliwie jeden z nich i splunął na ziemię. – Czego tu szukasz?

Michał zachwiał się, jakby otrzymał cios w twarz. Wyrwał się spomiędzy ludzi i wybiegł na ulicę. Dla pewności odszedł dwie przecznice i dopiero wtedy zatrzymał się i oparł o ścianę. Przed wojną często się spotykał z przejawami wrogości, lecz naiwnie sądził, że wspólny wróg i ciężki los jednoczą ludzi. Jak widać, nic bardziej błędnego. Wojna nie zasypuje przepaści, tylko je pogłębia. Wiedział, że musiał nieszczęśliwie trafić na oddział jakiejś prawicowej organizacji podziemnej, lecz to nie poprawiało samopoczucia. Lata spędzone w getcie nie raz wystawiały go na próbę. Wieczna pogarda, z jaką odnosili się do Żydów okupanci, sprawiła, że Michał prawie uwierzył, że jest kimś gorszym. Wiele czasu zajęło mu odzyskanie godności w tych nieludzkich warunkach, a teraz w jednej chwili poczuł się jak wdeptany w chodnik śmieć. Spojrzał na morze otaczających go ruin i pokręcił głową przecząco.

– To już nie jest moja Warszawa – szepnął. – I nigdy nią nie będzie.

Odwróciwszy się na pięcie, ruszył przed siebie ulicą, a z niepojętych przyczyn pociski snajperów jakoś go omijały. Nie wiedział, dokąd zmierza. Czuł jedynie, że musi natychmiast wynosić się z tego przeklętego miasta. Nie obchodziło go, czy przeżyje. Jego serce było martwe od dawna, a ciało stało się skorupą, więzieniem dla zrozpaczonego umysłu.

\*\*\*

Helena przebiegła z pochyloną głową obok tabliczki ostrzegającej przed snajperami. Z wiadra wylało się nieco wody, która ochlapała zakurzone trzewiki. Chłopaczek

przeprowadzający ludzi na drugą stronę ulicy nakazał biec zakosami, wiedząc, że w ruchomy cel znacznie trudniej trafić. Po raz nie wiadomo który pomyślała, że powinny z Basią zmienić kryjówkę. Sklep Apoloniusza Malinowskiego znalazł się niemal na linii frontu walk powstańców z Niemcami. Kanonada nie milkła tu nawet na chwilę.

– Basiu, musimy się wynieść dla własnego bezpieczeństwa – tłumaczyła cierpliwie. – Przecież nie można tak ryzykować. Pomyśl o Alince. – Helena spojrzała na dziewczynkę bawiącą się jedyną laleczką, jaką miała. Natychmiast przypomniał jej się Polduś. Nie miała wieści o nim ani o Poldku od wielu dni. Często myślała o tym, żeby przedrzeć się jakoś na Solec, lecz co miałyby powiedzieć Paulinie? Poza tym co poczęłaby Basia, gdyby Helenę zabił jakiś snajper? Jak zadbałaby sama o Alinkę?

– Jeśli stąd pójdziemy, to dokąd? – zapytała Basia. – Skąd wiesz, że gdzie indziej będzie lepiej? Poza tym jak Janek i Poldek nas znajdą?

W słowach Basi było sporo racji, lecz to nie przekonywało Heleny do końca. Wymogła jedynie na przyjaciółce, żeby wraz z córką nie wychylała nosa z piwnicy. Czuła się za nią odpowiedzialna i tylko dlatego nie poszła do powstania, bo musiała się nią opiekować.

– Droga wolna! – krzyknął chłopak, wytrącając Helenę z zamyślenia.

Posłuchała natychmiast. Przemknęła w stronę sklepu, nie oglądając się za siebie. Powstanie nauczyło ją, że jeśli człowiek chce przeżyć, nie ma czasu na zastanawianie się, a instynkt bywa najlepszym doradcą. Może dzięki temu dotąd nic jej się nie stało. Szła skulona, tuż przy murze, więc nie widziała zbyt wiele przed sobą. Właśnie dlatego zobaczyła ruiny dopiero wtedy, gdy podeszła prawie do sklepu. Kamienica zawałiła się całkowicie, na gruzach szalał pożar.

– Boże! – krzyknęła Helena. Wiadro z wodą wypadło jej z dłoni.

Choć wiedziała, że to nie ma najmniejszego sensu, podbiegła do miejsca, gdzie, jak jej się zdawało, był sklep Malinowskiego, i zaczęła odrzucać na bok drobniejsze kawałki gruzu. Poddała się dopiero wtedy, gdy poczuła, że z wysiłku pękną jej płuca. Usiadła na ziemi i chwyciwszy się za głowę, zaczęła kołysać w tył i w przód. A potem wstała i nie zważając na odgłosy walki, pobiegła ku skarpie wiślanej i dalej w dół w stronę Solca. Nie myślała, co powie Malinowskiemu ani Paulinie. Po prostu czuła, że jeśli natychmiast nie zobaczy swojego dziecka, to oszaleje.

Na widok gruzów w miejscu rodzinnego domu Malinowskich stanęła jak wryta. Czy jest możliwe, żeby w odstępie godziny przeżyć taką samą tragedię dwukrotnie? W mieście ruin, jakim obecnie była Warszawa, bez wątpienia tak. Jednak psychika człowieka nie jest na to w żaden sposób przygotowana. Helena osunęła się na kolana na środku ulicznego, poszarpanego granatami bruku. Nie ruszyła się z miejsca nawet wtedy, gdy wraz z wiatrem nadleciały kłęby czarnego gryzącego dymu. Spojrzała jedynie w stronę nieba.

– Boże, po coś mnie ocalił z getta? Po co? – Zaczęła szlochać i nie mogła się uspokoić.

Od strony Starówki słychać było coraz głośniejszą kanonadę, a przy mostach trwała prawdziwa jatka. Dopiero teraz Helena zwróciła uwagę na barykadę powstańczą na końcu

ulicy. Wstała i rozłożyła ramiona. Poszła w głąb ulicy, pragnąc tylko tego, żeby przypadkowy pocisk położył kres jej bólowi.

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno? – Ostry ton osadził ją w miejscu. Tuż przed nią stała niemłoda zakonnica z pobliskiego zakonu szarytek.

– Wszyscy zginęli – szepnęła.

– Ale ty żyjesz! Chcesz utracić najcenniejszy dar od Boga? Nie tobie decydować, kiedy się życie kończy. Chodź ze mną! – zdecydowała.

– Kamienica zburzona. Wszyscy zginęli – powtórzyła jak automat Helena.

– Nie wiesz tego. Może nie było ich w domu. Chodźmy.

Odrętwiała Hela pozwoliła się zaprowadzić za rękę jak dziecko do klasztoru. W jego grubych murach prawie nie słyszało się odgłosów powstania.

– Masz dokąd pójść? – zapytała ją zakonnica, gdy przeszły do kaplicy, gdzie nakazała dziewczynie, by ta usiadła na drewnianej ławce.

– Nie mam – odparła.

– Tak przypuszczałam – westchnęła siostra. – Zostaniesz więc tutaj, a później coś wymyślimy.

– Dziękuję – szepnęła.

– Umiesz coś robić? Czym się zajmujesz?

– Jestem pielęgniarką. Pracowałam przed wojną w szpitalu na Czystym.

– Żydówka? – zapytała domyślnie zakonnica. Uśmiechała się przy tym przyjaźnie, lecz Helena i tak była zła, że nieopatrznie rzucona informacja znów ją zasufladkuje w cudzych oczach.

– Po matce. Ale jestem katoliczką, jeśli o to siostra pyta – odparła.

– Nie o to. Panu Bogu wszystkie dzieci miłe. Bardziej mnie w tej chwili zainteresowała wiadomość, że jesteś pielęgniarką.

– W getcie byłam też instruktorką w szkole przeniesionej wraz ze szpitalem z Czystego.

– Znałam tę szkołę. Kto jej nie znał? Najnowocześniejsza placówka w Warszawie. Dobrze jesteś wyedukowana. Chyba sami anieli mi cię zesłali, dziecko.

– Co siostra ma na myśli?

– Za dwa dni część sióstr rusza do obozu w Pruszkowie. Słyszałaś o nim?

– Nie.

– Niemcy wysiedlają tam warszawiaków. Jak odbiją powstańcom kawałek miasta, natychmiast wywożą ludność cywilną. Warunki panują tam straszne, lecz komendant pozwolił na stworzenie polskich służb pomocniczych. Wśród szarytek tradycja pielęgniarstwa jest silnie zakorzeniona. Wiele sióstr pracowało w warszawskich szpitalach. Teraz będziemy pomagać tam. Pojedziesz?

– Pojadę – zdecydowała Helena w jednej chwili.

– Pamiętaj, wojenna zawierucha zabiera nam bliskich sprzed oczu, lecz nie wiemy, jak potoczą się nasze losy. Nie wszyscy zginieją. Nawet najbardziej okrutny najeźdźca nie

jest w stanie wybić całego narodu – powiedziała z mocą zakonnica.

– A getto?

– Ty się uratowałaś i wielu innych też. Niezbadane są wyroki boskie.

\*\*\*

Po niezwykle ciepłym sierpniu nastał pogodny wrzesień. Pogoda starała się zrekompensować Warszawie ogrom cierpienia i zniszczeń. Tyle tylko że nikt na aurę uwagi nie zwracał. Powstanie wciąż trwało, lecz obrońcy miasta wiedzieli, że padają kolejne dzielnice. Po błyskawicznie spacyfikowanej przez Niemców Woli przyszła kolej na Ochotę. Na Pradze niewiele walczone, więc w drugiej połowie miesiąca było w zasadzie po wszystkim. Wciąż trzymało się dobrze Śródmieście, Żoliborz i Mokotów.

Poldek siedział za barykadą wpatrzony w wylot Tamki, nieświadomy, że zaledwie dwa tygodnie wcześniej Helena chciała się rzucić przed właśnie tę barykadę, by zakończyć życie. Chłopakowi kiwała się głowa, lecz starał się skoncentrować na obserwacji. Oprócz głodu i pragnienia tym, co najbardziej dokuczało powstańcom, był brak snu.

– Stare Miasto upadło! – krzyknął młodziutki kurier, biegnąc zakosami.

– Upadło? – Poldek ze zgrozą patrzył na chłopaczka, który wślizgnął się za barykadę. Spryt i zwinność dzieci Warszawy niejednokrotnie go zdumiewały. Także to, jak udawało im się nie stracić orientacji w mieście ruin, które topograficznie nie miało nic wspólnego ze swoją przedwojenną postacią.

– Nie zdołali się przebić do Śródmieścia. Trochę ludzi uciekło kanałami – wyjaśnił dzieciak.

– Leć migiem do dowódcy – polecił mu Poldek. – Zuch-chłopak! – pochwalił i potargał malcowi skołtunione, brudne włosy.

Kłopotów, z jakimi borykała się Starówka, wkrótce doświadczyli powstańcy z Powiśla. Niemcy metodycznie, krok po kroku, kamienica po kamienicy dławili opór obrońców i odbijali kolejne ulice, które obracali w gruzy z zapalczywą zaciekłością.

Poldek, wciąż będąc w ogniu walk, nieustająco się dziwił, że jeszcze żyje. Wokół ludzie padali pod kulami, a on trwał, lecz sam nie wiedział po co. Utracił wszystkich, których kochał, a ostatecznym ciosem była bohaterska śmierć majstra Blumana w połowie sierpnia. Mosze własnym ciałem ochronił chłopaka przed nadlatującą kulą, po czym wyzionął ducha w ramionach zrozpaczonego Poldka.

Czy ta walka w ogóle miała sens? Posłuszny rozkazom, robił, co mu kazano, lecz krwawa ofiara, jaką składało miasto, przechodziła najgorsze wyobrażenia. Ludność cywilna, coraz bardziej wściekła na powstańców, chciała jedynie wydostać się z potrzasku, z kolei pogłoski o Sowietach i 1 Armii Wojska Polskiego, które jakoby lada dzień miały przypuścić szturm na Pragę, dodatkowo wprowadzały zamęt w myśli Poldka. Dobrze

pamiętał, co ojciec mówił o Sowietach, zresztą pogłoski o brutalnym traktowaniu przez nich ludności cywilnej na wschodzie szybko dotarły do Warszawy.

– Z deszczu pod rynną – mruknął pod nosem Poldek. – Dokładnie to powiedziałyby ojciec.

Zajęty walką, wyczerpany do cna chłopak odpędzał myśli o utraconym synu. Choć kilkakrotnie wysyłał pocztą powstańczą listy na Nowy Świat do Heleny, nigdy nie otrzymał odpowiedzi. Czy wciąż żyła? Nie miał też pojęcia, gdzie podziewa się Janek. Małomówny brat nie zdradził przed godziną W nawet tego, w jakim jest oddziale. Stosunkowo najłatwiej było więc myśleć o ojcu. Poldek nigdy nie był z nim zżyty, lecz żał po stracie i tak kazał mu widzieć rodzica w zdecydowanie lepszym świetle. Rozum chce pamiętać jedynie to, co dobre.

Gdy okazało się, że upadek Powiśla jest nieuchronny, część powstańców, w tym Poldek, wycofała się na Czerniaków. Wszystkim dawało się we znaki coraz większe zmęczenie, do tego wróg nie odpuszczał. Powstanie chyliło się ku upadkowi. Poldek wraz z resztą niedobitków przebił się do Lasu Kabackiego i nadal nie pojmował, dlaczego wciąż żyje.

\*\*\*

Siostra Magdalena nie myliła się, mówiąc, że Dulag 121, zwany obozem przejściowym w Pruszkowie, jest w opłakanym stanie. Helena, ubrana w granatowy habit i welon szarytek, rozglądała się rozszerzonymi z przerażenia oczami. Ogrom nędzy i cierpienia przywodził na myśl getto, choć tu przynajmniej więźniów karmiono. Pół litra kawy i dwieście gramów razowego chleba na śniadanie i kubek zupy na obiad nie były zbyt obfitą racją, lecz utrzymywała ona większość ludzi przy życiu. Znacznie poważniejszym problemem był brak higieny, szerzący się tyfus i wszawica, a także rozpacz rozdzielanych na siłę rodzin. Ludzie koczowali stłoczeni w wielkich halach produkcyjnych, nieprzystosowanych do zamieszkania.

W obozie brakowało wszystkiego, łącznie z kocami, odzieżą, łózkami czy przyborami higienicznymi. Wszystko, co trafiało do napływających wielkimi falami więźniów, organizowali ludzie dobrej woli. Miejscowy proboszcz regularnie apelował do wiernych o dary, działał Czerwony Krzyż, polski personel medyczny i siostry.

Helena ze zdumieniem zauważyła, że habit jest doskonałym schronieniem. Skończyły się niewybredne zaczepki mężczyzn spoza obozu, a dla Niemców stała się zupełnie niewidoczna. Z kolei wśród więźniów cieszyła się autorytetem. Może właśnie dzięki temu była w stanie zapanować nad palącą rozpaczą i wykonywać sumiennie swoje obowiązki. A tych w pruszkowskim obozie było bez liku. Leczenie, karmienie i podtrzymywanie na duchu ludzi, którzy przecież już tak wiele przeżyli w ogarniętym powstaniem mieście.

– Siostro Heleno, proszę na słowo. – Surowy głos przełożonej wytrącił dziewczynę z rozmyślań. Prawie przewróciła oczami, lecz powstrzymała się od westchnienia

w ostatniej chwili.

Pogłaskała zdawkowo po głowie dziewczynkę, której właśnie sprawdzała czystość włosów, i podeszła do siostry Magdaleny.

– Ja oczywiście wiem, że z siostry taka zakonnica jak ze mnie cyrkówka, ale odzież klasztorna zobowiązuje do godnego jej noszenia – powiedziała cicho przełożona.

– Tak, wiem o tym – odparła zdumiona Helena.

– Czyżby? – zapytała z przekąsem siostra. – A te rękawy?

– Podwinęłam, bo gorąco – wyjaśniła. – Nie wolno? – zreflektowała się.

Zakonnica pokręciła przecząco głową, więc Helena pospiesznie poprawiła odzież, mamrocząc słowa przeprosin.

– Już dobrze, dobrze. Jest jeszcze jedno do omówienia. – Twarz kobiety złagodniała. – Sporo czasu spędza siostra z dziećmi i nieźle się orientuje w ich rodzinnych powiązaniach.

– Dużo opowiadają. Ja chętnie słucham, a dzieci, jak to dzieci, ufnie lgną do każdego, kto im podaruje choć odrobinę zainteresowania.

– Wiedza siostry może się teraz przydać. Dowódca obozu...

– August Polland – wycedziła przez zęby Helena. – Niech piekło pochłonie tę cholerną kanalię! Znaczy, przepraszam siostrę, nie chciałam – zmitygowała się.

– Uznam, iż nie słyszałam tych słów – odparła surowo przełożona, lecz jej oczy mówiły, że całkowicie zgadza się z podwładną. – A teraz, jeśli siostra zechce mi więcej nie przerywać, może opowiem, o co mi chodzi.

Helena gorliwie przytaknęła. Nic jednak nie mogła poradzić na to, że Polland działał na nią jak płachta na byka. Człowiek ten kompletnie nie radził sobie z zarządzaniem obozem, do tego odznaczał się bezinteresowną złośliwością i podłością. W ocenie dziewczyny karmił się cudzą rozpaczą, więc dokuczał więźniom na wymyślne sposoby. Trzeba było przyznać, że potrafił bez pudła ocenić, jak trafić w czuły punkt. Z upodobaniem odbierał samotnym ludziom ich bagaż albo uratowanego zwierzaka, będącego ostatnim łącznikiem z utraconą w powstaniu rodziną. Najchętniej jednak pasł się rozpaczą rozdzielanych rodzin. Nawet jeśli bliskie sobie osoby, ot choćby bracia, były zakwalifikowane do wyjazdu na roboty przymusowe, nigdy nie jechały jednym transportem. August Polland pilnował tego osobiście. Na terenie obozu zdarzały się też morderstwa, często z inicjatywy okrutnego dowódcy.

– W porozumieniu z kolejarzami i Czerwonym Krzyżem chcemy wyprowadzać z obozu jeszcze więcej więźniów. Głównie rodziny z małymi dziećmi, bo te prędzej czy później zostaną rozdzielone – mówiła siostra Magdalena. – I tu zaczyna się siostry rola. Potrzebna będzie stale aktualizowana lista osób najbardziej zagrożonych rozłączeniem i tych, które wyjazdowi w głąb Rzeszy mogą nie podołać, a zostały do niego zakwalifikowane przez niemieckich lekarzy. Dobrze wiemy, że nie podchodzą do zadania rzetelnie. Wystarczy im, że człowiek ma ręce i nogi.



– Oczywiście, pomogę z największą chęcią – odparła Helena. – Ocalmy tak wielu, jak tylko się da.

Helena rzeczywiście wiedziała, co się dzieje w obozie. Rozmawiała z ludźmi i tak często, jak tylko miała sposobność, słuchała, co mówią między sobą. Dzięki temu dowiedziała się od więźniów z Woli o tym, że dzielnica padła jako pierwsza i zanim zdecydowano o wywózce ludności cywilnej, działy się tam dantejskie sceny.

– Ludzi wypędzano z mieszkań pod mury kamienic i wszystkich bez wyjątku rozstrzeliwano. Dom za domem, ulica za ulicą. Starcy, kobiety, dzieci. Nawet niemowlęta – opowiadała jedna z mieszkanki dzielnicy, która miała to szczęście, że została pojmana w łapance już po tym, gdy Hitler odwołał decyzję o eksterminacji całej ludności miasta.

Helenie nie mieściło się w głowie, że po tym wszystkim, po trwającej zagładzie Warszawy, jej mieszkańcy nadal przechodzą gehennę w obozie pruszkowskim. Czy istnieje jakaś granica cierpienia, na jakie skazują niewinnych ludzi Niemcy? Na to pytanie nie znalazła odpowiedzi, lecz z energią rzuciła się do powierzonego jej zadania. Im więcej pracy brała sobie na głowę, tym mniej miała czasu na żalobę po wszystkich, których kochała.

Jak się okazało, polski personel miał mnóstwo sposobów na przemykanie ludzi. Niektórych przebierano w służbowe fartuchy i zwyczajnie wyprowadzano bramą lub furtką na tyłach obozu, innych uwalniali kolejarze już z wagonów. Jeśli ktoś miał pieniądze, mógł się wykupić u niektórych strażników. Ucieczkom sprzyjał ciągły chaos i wciąż napływające fale kolejnych wypędzonych z miasta. Powstanie dogorywało i właściwie już nikt nie wierzył ani w jego sens, ani tym bardziej w zwycięstwo.

Pod koniec września rozeszła się wiadomość, że upadł bohaterstwo broniący się Mokotów. W obozie zapanowało jeszcze większe przeludnienie, lecz nie to skupiło uwagę więźniów.

– Złapali oddział powstańców – powiedział jeden z chłopców, którzy kręcili się pomiędzy budynkami i zawsze mieli najpełniejsze informacje.

– Ciekawe, co z nimi będzie? – zapytał starszy mężczyzna.

– Jak nic pójdą do rozwałki – odparł inny.

– Niechże pan złego nie kusi! – ofuknęła go młoda kobieta, przytulając obronnym gestem trzymane na rękach niemowlę.

– Idą, zobaczcie! – Po tłumie więźniów poniósł się szept.

Środkiem placu, z dumnie podniesionymi głowami, szła kilkunastoosobowa grupa. Niektórzy wciąż mieli na ramionach biało-czerwone powstańcze opaski. Helena obserwowała ich przemarsz ze smutkiem pomieszanym z rezygnacją. Nagle serce zabiło jej żywiej, gdy w ostatniej parze zobaczyła jasnowłosą dziewczynę. Nie dowierzała własnym oczom, więc gdy powstańcy poganiani przez strażników zniknęli za budynkiem, obiegła go z drugiej strony i wyjrzała zza narożnika.

– Mania! – szepnęła pełnym radości głosem. Przycisnęła dłonie do piersi i po raz pierwszy od dnia, gdy zawałona kamienica na Nowym Świecie pochłonęła Basię i jej córeczkę, poczuła, że może jej życie nie jest całkiem stracone.

Odprowadziła spojrzeniem kolumnę mokotowskich powstańców i odnotowawszy w głowie, do której hali ich zabierano, odwróciła się i podreptała na poszukiwanie przełożonej najszybszym krokiem, jaki pozwalał zachować godny wygląd. Nie miała ochoty ponownie narażać się na reprimendę.

– Jak to sobie wyobrażasz? – zapytała siostra Magdalena, patrząc badawczo na Helę. – Jeśli ich nie rozstrzelają, to będą mieć szczęście, gdy uda im się dojechać do Rzeszy. Takim nie dają ani prowiantu, ani wody, a plombowane wagony są dla polskich kolejarzy sporym utrudnieniem w przemyśle żywności.

– Przebiorę ją – podrzuciła Hela, patrząc na zakonnice błagalnie.

– Wprowadzili przepustki – mruknęła przełożona. – Biały fartuch już nie otwiera obozowej bramy. Bez dokumentu z fotografią nikt nie przejdzie.

– Nikt? A łapówka?

– Zależy od warty. Ale najpierw musiałybyś wyprowadzić dziewczynę ze strzeżonego baraku dla powstańców. Jestem pewna, że pilnują go przez cały czas.

– Może dam jej swój habit, a siostra ją wyprowadzi? – zaproponowała w desperacji.

– I co ci z tego przyjdzie? – Zakonnica skrzywiła się. – Wyciągniesz krewniaczkę, żeby zginąć przed plutonem?

– Może tak byłoby lepiej? – szepnęła Hela.

– Nie pleć bzdur, dziewczyno! Jeśli chcesz pomagać, czyni to z głową.

– Co więc mam robić? – Zdesperowana dziewczyna podniosła głos.

– Trzeba poprosić lekarza, żeby stwierdził u niej tyfus. Wiesz, że szkopy wariują ze strachu choćby na wspomnienie tej choroby. Weźmiesz zaświadczenie i wyprowadzisz ją do szpitala. Tam przebierzesz ją w zapasowy habit i przy odrobinie szczęścia uciekniecie obie.

– Ja nie chcę uciekać, siostró. Prawdę mówiąc, rozważam wstąpienie do zakonu – powiedziała Helena.

– To chwalebne, lecz zupełnie niepotrzebne. Nie nadajesz się na zakonnice, moje dziecko. Przemawia przez ciebie smutek i żałoba. Lepiej zajmij się ratowaniem krewniaczki.

Helena nie odezwała się. W głębi serca wiedziała, że siostra Magdalena ma rację. Przekonanie doktora, żeby wystawił stosowne zaświadczenie bez oglądania pacjentki, nie nastęczyło jej trudu. Ciemnowłosy lekarz pochylony nad świstkiem papieru tak bardzo przypominał kuzyna Michała, że Hela nie mogła oderwać od niego oczu. Choć próbowała odcinać podstępne wspomnienia, one zawsze krążyły tuż obok. Nie umiała zapomnieć o Michale, ciotce Sarze i dziadku Szmulu. Niejednokrotnie powtarzała sobie, że tamten świat odszedł bezpowrotnie, lecz pamięć podpowiadała dawne, szczęśliwe wspomnienia.

Potrząsnęła głową, żeby je odegnąć, i podeszła do strażnika. Jak zwykle jej nie dostrzegł. Jeśli jest się niewidzialnym, to już połowa sukcesu. Podeszła jak bezszelestny cień i podsunęła młodemu przyszczatemu chłopakowi trzymającemu karabin świstek papieru.

– Możesz przejść – rozkazał szczerkliwie, nawet na niego nie patrząc.

– Dziękuję. – Helena uśmiechnęła się powściągliwie do smarkacza, ciesząc się w duchu z tego, jak bardzo był niepewny siebie. Dotarło do niej, że wyrostek zwyczajnie się bał i prawdopodobnie marzył tylko o tym, żeby zwać do matki i ojca. Może do Berlina? Albo gdzieś dalej, na przykład do Düsseldorfu?

Nie znalazła odpowiedzi na pytanie, zamiast tego wślizgnęła się do śmierdzącej ekskrementami hali i próbując powstrzymać odruch wymiotny, zaczęła się bacznie rozglądać. Kuzynkę wypatrzyła z trudem. Siedziała niedaleko zakratowanego okienka, otoczona wianuszkiem kolegów z oddziału.

– Maniu! – powiedziała nabrzmiąłym ze wzruszenia głosem.

– Helena? To ty? – Dziewczyna wstała i spojrzała z niedowierzaniem. – To naprawdę ty! Moja kochana! Wstąpiłaś do zakonu?

Mania wpadła w objęcia Heleny, która przytuliła ją z całych sił.

– Jest tu jakieś miejsce, gdzie nikt nam nie przeszkodzi w rozmowie? – zapytała Hela.

Odeszły w ustronny kąt, lecz gdy Mania próbowała cokolwiek powiedzieć, natychmiast wybuchała płaczem i ponownie obejmowała mocno kuzynkę.

– Nie wierzę, że cię widzę. Jesteś moją jedyną krewną, Helu. Nawet nie wiesz, jak bardzo tęskniłam i jak mi Ciebie brakowało. To cud, że tu jesteś! – wymamrotała wtulona policzkiem w zakonny welon.

– Ja też się cieszę, ale musimy się spieszyć – powiedziała gorączkowo Helena. – O wszystkim porozmawiamy później, a teraz chodź, przebierzesz się.

– Po co? – zdziwiła się Mania.

– Krążą plotki, że powstańców każą rozstrzelać. Nie ma czasu do stracenia.

– A co z moimi kolegami z oddziału?

– Nie mam możliwości wyprowadzenia mężczyzn, ale zapewniam cię, że inni już nad tym pracują. Sama wiesz najlepiej, że nie wszystkich da się uratować. – Helena pogłaskała kuzynkę po ramieniu.

– Wiem. Doskonale wiem. – Mania przypomniawszy sobie piwnicę w klasztorze Jezuitów. Ilekroć myślała o tamtej masakrze, czuła się winna, że tyle osób zginęło. Że to na ich ciałach zatrzymały się pociski i odłamki, by ona mogła przeżyć. Gdy Niemcy otoczyli jej oddział i pędzili ich w stronę pociągu do Pruszkowa, droga wiodła tuż obok częściowo wypalonego domu zakonnego. Wspomnienie koszmaru paraliżowało, gdy szła nierównym chodnikiem wzdłuż powyginanego parkanu w stronę Pola Mokotowskiego.

– Jedynym sposobem, jaki znam, żeby stąd wyjść, jest przebranie. Nie mam pieniędzy na łapówkę, więc trzymaj! – Helena wyjęła spod habitu zawiniątko.

– Ja mam pieniądze. Konrad mi zostawił – powiedziała cicho Mania.

– Zostawił? Czyli wyjechał? Tobie zostawił? – zdziwiła się.

– Później wszystko opowiem – zbyła ją Mania. Nie miała pojęcia, jak powiedzieć o fikcyjnym małżeństwie.

– Racja, teraz myślm tylko o wydostaniu cię stąd. Gdyby coś poszło nie tak, można spróbować łapówki, ale nie wyjmuj żadnych pieniędzy, dopóki nie powiem – przestrzegła.

– A teraz idziemy do szpitala. Pamiętaj, masz tyfus, jakby kto pytał.

Helena przeprowadziła kuzynkę przez teren zatłoczonego obozu. Kolejny transport ludzi wyłapanych w Mokotowie wchodził właśnie na jego teren. Apatyczni ludzie, często biali od piwnicznego pyłu, kobiety pomimo ciepłej pogody otulone kraciatymi chustami, które dawały namiastkę ochrony przed światem. I dzieci. Ciche, przestraszone, patrzące rozszerzonymi oczami na otoczenie. To podsunęło Helenie myśl, żeby ominąć całą skomplikowaną procedurę z tyfusem i szpitalem. Chaos udzielał się wszystkim, a przy odrobinie szczęścia za kilka minut umkną z piekła.

– Teraz – Hela ponagliła Manię i pociągnęła w stronę wyjścia. Ku jej uldze strażnik jedynie machnął niecierpliwie, by szły dalej.

Nie dowierając własnemu szczęściu, pomaszerowały pierwszą napotkaną drogą. Pragnęły wydostać się z miasta. Obojętne dokąd.

– Gdzie teraz? – zapytała Mania. Jej twarz z ukrytymi pod welonem zakonnym włosami wydawała się jeszcze drobniejsza, a cienie pod zmęczonymi oczami ciemniejsze.

– Przed siebie. Jak najdalej od Warszawy – odparła Helena, ruszając w stronę Piaseczna.

W oddali zwieszało się nad łąkami ołowiane niebo, a przydrożne, nieco już pożółkłe wierzby szumiały na wietrze. Pełne słońce oświetlało piaszczystą drogę, która przez kontrast z ponurym granatem horyzontu wydawała się jeszcze bielsza. Po raz pierwszy od wielu dni Helena poczuła radość na widok otaczającego ją świata. Wdzięczna losowi za to, że choć zabrał jej wszystkich, w swej łaskawości oddał ostatnią żyjącą krewną, chwyciła Manię za rękę i raźno ruszyła przed siebie, instynktownie kierując się w stronę Wisły. Podniosły nastrój sprawił, że przez dobrą godzinę szły w milczeniu, z lubością wystawiając twarze do słońca.

– Zobacz, poza Warszawą świat wygląda prawie tak jak zwykle. Kończy się lato, wszędzie pięknie, a przyroda robi wszystko, żebyśmy zapomnieli o wojnie. W Warszawie to niemożliwe. O ile jeszcze istnieje Warszawa. Co stało się z Konradem? – Helena zapytała w końcu, gdy przysiadły na trawie, żeby odpocząć.

– Zniknął jeszcze przed powstaniem. Wyjechał i nigdy się nie odezwał. Wcześniej mnie poślubił, żebym mogła po nim dziedziczyć, gdyby nie przeżył – powiedziała, patrząc spode łba na kuzynkę.

– Dobrze zrobił. Może jeszcze kiedyś go odnajdziemy, gdy to szaleństwo się skończy. – Na Helenie tajemnica kuzynki nie wywarła najmniejszego wrażenia.

– Myślisz, że się skończy? – zapytała cicho Mania i oparła brodę na podciągniętych do góry kolanach.

– Musi.

– Co się stało w getcie? – zapytała ostrożnie dziewczyna.

– Rzeczy tak niewyobrażalne, że nie chcę mówić o nich ani teraz, ani nigdy – odparła twardo Helena.

– A co stało się z... – Mania nie potrafiła zapytać wprost o Poldusia.

– Wszyscy Malinowscy nie żyją. – Helena zacisnęła zęby i poderwała się na równe nogi.

– Chodźmy!

– Może ktoś przetrwał? Panuje taki zamęt, dzieją się przerażające rzeczy, lecz niejeden szczęśliwy przypadek widziałam, więc wierzę w ocalenie. – Mania ponownie oczami wyobraźni ujrzała krwawą łaźnię w podziemiach klasztoru na Rakowieckiej. – Dokąd poszedłby ktoś z nich, gdyby udało mu się przeżyć?

– Do domku ciotki Marii w Świdrze – odparła natychmiast Helena.

– Więc idźmy tam – zdecydowała natychmiast Mania.

– Jak to sobie wyobrażasz? Do Wisły stąd kawał drogi i co dalej? Przepłyniemy ją w pław? Wszystkie mosty poburzone.

– Zapominasz, że mam pieniądze. Całkiem sporo. Jedzenie kupimy w jakiejś wsi, a na drugi brzeg przeprawimy się dzięki pomocy miejscowego rybaka. Przecież jacyś muszą być nad rzeką?

– Zazwyczaj są – zgodziła się Helena. Przypomniała sobie pamiętną przeprawę przez Wisłę, gdy w pierwszym tygodniu wojny próbowała wrócić z więzienia w Fordonie do Warszawy. Myślała wtedy, że wycierpiała tak wiele, że to musi być koniec złej passy. Życie pokazało, że początek wojny był jedynie przygrywką.

Na brzeg Wisły za Konstancinem dotarły przed zachodem słońca. Postanowiły przenocować na niewielkiej, skrytej za szuwarami plaży. Helena przypomniała sobie szczęśliwe chwile, jakie spędzała na warszawskich łąkach z Basią, Poldkiem i Jankiem. A teraz wszyscy nie żyli. Tamten świat odszedł na zawsze. Po wodzie poniosły się głosy perkozów, a jej skojarzyły się z terkotem karabinów maszynowych. Wzdrygnęła się i odwróciła spojrzenie od Wisły.

Następnego dnia z pomocą miejscowego rybaka przeprowiły się na drugą stronę rzeki i klucząc suchymi o tej porze roku nadbrzeżnymi łąkami, poszły w kierunku Świdra. W zaroślach pozbyły się habitów i zostały jedynie w sukienkach. Pomyślały, że pewnie nikt nie będzie pytał rybaka o dwie młode zakonnice, lecz wojna nauczyła je ostrożności i zacierania śladów.

– Znam tę plażę – powiedziała Helena, rozglądając się po piaszczystych, malowniczych wydmach. – To właśnie tutaj przyjechałam kiedyś na piknik z Konradem i jego irytującym bratem. Jak to było dawno temu. Chodźmy dalej.

Na widok drewnianego domu w zakolu rzeczki Helena poczuła, że serce bije jej mocniej. Wspomnienie najszczęśliwszych chwil, jakie spędziła tu z Poldkiem i ich synem, niemal zważyło ją z nóg. Zacisnęła zęby i podeszła do drzwi. Zapukała, lecz nikt nie otworzył.

– Widziałaś? – zapytała szeptem Mania. – Firanka się poruszyła. Ktoś tam jest.

Helena zapukała ponownie, bardziej stanowczo. Odskoczyła, gdy drzwi otworzyły się z impetem, prawie ją uderzając.

– Dzień dobry, jestem... – zaczęła pospiesznie tłumaczyć na widok ubranej na czarno Marii.

– Wiem, kim jesteś! – Ostre słowa uderzyły Helenę niczym bat. Ciotka Maria patrzyła na nią nienawistnie zwężonymi w szparki oczami. – Żydowska kochanica mojego siostrzeńca. Precz stąd! Nie kalaj swoją obecnością domu pogrążonego w żałobie. Wszyscy nie żyją, rozumiesz? Won stąd i nigdy nie wracaj!

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, a Mania chwyciła Helenę za rękę i pociągnęła w stronę piaszczystej drogi prowadzącej do miasteczka. Szły bez słowa, nie mając żadnego celu.

– Helu – szepnęła w pewnej chwili Mania.

– Nic nie mów. – Załamana dziewczyna szła ze spuszczoną głową, a łzy spadały na zakurzone buty.

– Ależ nie, Helu! Popatrz!

Helena podniosła zapłakane oczy i spojrzała w tym samym kierunku, co Mania. Wąską leśną dróżką szedł w ich stronę wysoki, jasnowłosy mężczyzna w poszarpanych spodniach i wyświechtanym swetrze w kolorze wojskowej zieleni.

– Poldek! – powiedziała cicho Helena. – Poldek! – krzyknęła histerycznie i puściła się biegiem w jego stronę.

Nie od razu zrozumiał, co się dzieje, lecz gdy ją rozpoznał, ruszył w jej kierunku.

– Heleno! – Nabrzmiały wzruszeniem głos chłopaka poniósł się echem po lesie.

Wpadła w ramiona ukochanego, a on ujął jej twarz w dłonie i z niedowierzaniem gładził ją po policzkach.

– To naprawdę ty! Boże! – roześmiał się i brudną dłonią otarł oczy.

Czuł, że nie ustoi na nogach, więc uklękł na środku ścieżki, pociągając dziewczynę za sobą. Zwarli się w uścisku. Gładził ją po włosach i plecach, wciąż nie potrafiąc uwierzyć, że to ona.

– Polduś? – zdołała zapytać.

– Nasz synek odszedł – powiedział cicho. – Wszyscy z kamienicy nie żyją. Janek zginął w powstaniu. Co z Basią i Alinką?

Helena miała tak ściśnięte gardło, że zdołała jedynie pokręcić przecząco głową.

– Boże – wykrztusił Poldek. – To cud, że nam się udało. – Położył drżącą dłoń na głowie szlochającej Heleny i przycisnął ją mocno do piersi.

Trwał piękny wrześnieowy dzień, po błękitnym niebie płynęły leniwie białe obłoki, a w koronach drzew śpiewały nieczułe na ludzką tragedię ptaki. Życie toczyło się dalej. Bo musiało.

\*\*\*

## Współcześnie

Zostało niewiele stron. Doczytajmy je i chodźmy na kawę – zaproponował Filip, podsuwając Julii skrzypiące krzesło stojące w muzealnej bibliotece. – Grzebałem trochę w życiorysie tego całego Konrada Wenera. Nigdzie nie jest to napisane wprost, lecz podobno był gejem. Jak to się łączy z faktem, że rzekomo poślubił kuzynkę twojej prababci?

– Nie bądź naiwny, mój drogi. Nawet teraz osoby innych orientacji nie mają łatwo, więc co musiało się dziać przed wojną i w jej trakcie? Myślę, że fikcyjne śluby zawierane dla świętego spokoju nie były rzadkością.

– Masz rację. W obozach koncentracyjnych traktowano je jeszcze gorzej niż pozostałych więźniów. Dobrze, zatem przyjmujemy za pewnik, że Konrad Werner poślubił Manię z powodów, których nigdy nie rozszyfrujemy. Czy ona przeżyła wojnę? – zapytał Filip.

– Przeżyła. Zmarła kilkanaście lat później. Jakiś nowotwór – odparła. – A co się stało z Konradem Wenerem? Przetrwiał?

– Raczej nie.

– Co to znaczy „raczej”? – zdziwiła się.

– Znaczy to jedynie tyle, że zniknął w wojennym chaosie i nie ma po nim śladu. Więc zapewne skończył w bezimiennym grobie. To było nagminne w czasie wojny. Wielu ludzi zginęło i nigdy się nie odnalazło.

– Straszne czasy – wzdrygnęła się Julia i otworzyła pamiętnik.

*1 sierpnia 1944*

*Jak dziwnie jest znów pisać nocą, przy płomieniu świeczki, siedząc w przypadkowej piwnicy. Ale teraz nie bomby mnie do niej zapędziły. Zaczęło się wreszcie powstanie. Ludzie mają dość niemieckich bandytów. Najwyższy czas wyzwolić się spod tego jarzma. Obok mnie śpi Ignacy. Tak cudownie jest spędzać noc obok niego po pierwszym dniu walki. Wierzę, że nam się uda. Odzyskamy wolność, a nasze dzieci wychowają się w prawdziwej Polsce.*

*Miasto od samego rana sprawiało niezwykle wrażenie. Nawet na Pradze czuło się gorączkowe oczekiwanie. Nikt nie mówił wprost, co się dzieje, lecz wszyscy wiedzieli. Niemcy pewnie też, choć nic nie robili, biernie czekając na to, co się wydarzy. Ja nie mogłam usiedzieć w domu, więc na kilka godzin przed godziną W poszłam do Warszawy. Matka nie chciała mnie puścić, lecz szybko się poddała. Wiedzieli z ojcem, dokąd idę, jednak zrozumieli, że to nieuniknione.*

*Przed zbiórką postanowiłam odwiedzić Paulinę. Nie jestem z nią związana, lecz kto wie, kiedy potem trafi się następna okazja? W domu zastałam tylko ją, Poldusia i starszego pana Malinowskiego, który zaraz wyszedł do swojej pracowni. Zarówno Janek, jak i jego żona Basia z córeczką gdzieś poszli. Janek pewnie do powstania. Nigdy o tym nie*

rozmawialiśmy, ale wiem, że jest w podziemiu. Poldek raczej nie. Po tym, jak ledwie przeżył walkę we wrześniu trzydziestego dziewiątego, na samą myśl o strzelaniu trzęsie się jak osika. Nie lubię go, straszny z niego mięczak. Jego w domu też nie było, a gdy zapytałam Paulinę, dokąd poszedł, odparła dramatycznie, że do kochanki i że ona ma wszystkiego dość i odchodzi. Szczerze mówiąc, niewiele mnie to obeszło. Drugiego tak niedopasowanego małżeństwa jak oni jeszcze w życiu nie widziałam. Zapytałam tylko, dokąd zamierza iść, choć świetnie wiedziałam, że jedynym miejscem jest nasz rodzinny dom.

Wtedy powiedziała, że wieczorem spakuje swoje rzeczy i jutro odejdzie, lecz najpierw rozmówi się z Poldkiem. Patrzyłam na nią z przerażeniem, gdy dziecko podeszło do niej, a ona odepchnęła je niecierpliwym gestem. Spojrzała na chłopca złym okiem, a on przestraszył się i podreptał w drugi kąt pokoju. Zapytałam, czy zamierza zabrać małego ze sobą na Ząbkowską, lecz tylko się roześmiała takim groźnym śmiechem. W jej oczach pojawił się znów ten sam obłęd, co wcześniej, jeszcze zanim próbowała popełnić przed wojną samobójstwo. Nigdy o tym wszystkim nie pisałam, bo matka z ojcem uczyli mnie zawsze, że o takich sprawach się nie mówi. Ale teraz to przecież wszystko jedno, prawda? Trwa powstanie, tylko jeden Bóg wie, jak to wszystko się skończy. Zapytałam Paulinę, dlaczego nie pójdzie na Ząbkowską jeszcze dzisiaj, ale ona znów spojrzała na Poldusia, a potem zerknęła w stronę okna. Wiem, że kiedyś próbowała wyskoczyć ze starej jadalni państwa Malinowskich na czwartym piętrze, więc przestraszyłam się, że chce zrobić sobie lub dziecku krzywdę, w końcu nie był jej prawdziwym synem, tylko Poldka i tamtej kochanki. Nie wiedziałam, co robić, czasu do zbiórki było mało, więc zabrałam małego na Ząbkowską, a Paulinie kazałam przyjść nazajutrz. Na zbiórkę prawie się spóźniłam...

Julia przerwała lekturę i spojrzała na Filipa. Do niego też dotarł sens przeczytanych słów i patrzył poważnie.

– Czy to znaczy, że moi pradziadkowie mieli dziecko przed wojną? I że wychowywała je siostra twojej prababci? – zapytała bez tchu. – Czy to jest tajemnicze dziecko ze zdjęcia?

– Myślę, że to jedyna możliwa interpretacja tego wpisu – odparł nie mniej wstrząśnięty.

– Wiem od dziadka, że wszyscy krewni Poldka zginęli w bombardowaniu, przysypani gruzami zawalonej kamienicy. Tyle tylko że tego dziecka tam najwyraźniej nie było – powiedziała wolno.

Julia pochyliła się nad pamiętnikiem i zaczęła czytać, wodząc pospiesznie oczami po kolejnych liniijkach schludnego pisma Krystyny.

– Och, miała wyjść za Ignacego Wenera, lecz zginął w powstaniu kilka godzin przed planowanym ślubem. To straszne!

– Nigdy w życiu o tym nie słyszałem. Cały czas intrygują mnie te dziwnie bliskie związki pomiędzy Melnerami, Malinowskimi i Wenerami. Tak jakby to wszystko działa się w gronie kilku osób, a nam umykają możliwe powiązania – zauważył Filip.



– Mnie to akurat nie dziwi. Spróbuj przez chwilę sobie wyobrazić, jak rozrastałaby się twoja grupa znajomych, gdyby nie było internetu. Pozostaliby krewni, ludzie, z którymi spotykasz się tam, gdzie mieszkasz i być może pracujesz. To wiele wyjaśnia, dlaczego cały czas natrafiamy na te same nazwiska. Czytamy dalej?

*30 września 1944*

*To już koniec. Kapitulacja powstania jest kwestią dni. Bóg mi świadkiem, że zachowałam żołnierską godność do samego końca, poświęciłam Warszawie wszystko, złożyłam na ołtarzu jej wyzwolenia moją jedyną miłość, ale już mam dość. Przez ostatnie dwa miesiące codziennie modliłam się o kulę, która skróci moje cierpienia i wyzwoli od tego bólu szarpiącego serce za każdym razem, gdy pomyślę o Ignacym. Ludzka natura jest jednak dziwna. Teraz, gdy moje krótkie życie dobiega kresu, boję się śmierci. Coraz częściej myślę o tym, kto z moich krewnych przeżył i czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę matkę i ojca. Sądzę, że kurczowe trzymanie się życia jest wpisane w człowieczy los. Nawet jeśli dalsza egzystencja nie ma już sensu. Warszawa płonie, przypomina gruzowisko. Pustynię potrzaskanych cegieł. Nie ma już miasta, za które tak wielu złożyło najwyższą ofiarę.*

*25 stycznia 1945*

*Przez wiele miesięcy nie napisałam nawet słowa, lecz dziennik Ignacego towarzyszył mi na każdym kroku, a zwłaszcza zabawna lektura przedwojennych wpisów. W obozie pruszkowskim dotrwałam do wyzwolenia, później udało mi się przedostać na Pragę, gdy Sowieci zbudowali tymczasowy most pontonowy. Gdy szłam w jego stronę wraz z innymi ocalonymi, postanowiłam zajrzeć do kamienicy Malinowskich. Solec sprawił na mnie straszne wrażenie, a po domu i pracowni nie został nawet ślad. Sąsiedzi, którzy jakoś przetrwali zagładę miasta, powiedzieli, że nie przeżył nikt. Z ciężkim sercem powlekłam się na Pragę, zastanawiając się w duchu, czy rodzice wiedzą o śmierci Pauliny. Jak wiele jeszcze odebrała mi wojna, w czasie gdy walczyłam o Śródmieście? Ludzie mówią, żeby nie przyznawać się do udziału w powstaniu, bo Sowieci, choć zachowują się w miarę poprawnie, są mu niechętni. Mnie to już wszystko przestało obchodzić.*

*Praga, choć też zniszczona, wygląda jak zupełnie inny świat. Kamienica rodziców miała poszarpaną pociskami fasadę, lecz stała pewnie w posadach. Zawsze się różniłyśmy z matką, ale tego wzruszenia, jakie mnie opanowało na jej widok, nie zapomnę do końca życia. Ojciec płakał, trzymając dziecko w ramionach, a ja razem z nimi. To jest mój ostatni wpis. Nie wiem, czy zdobędę się na pozbycie się tego pamiątnika. Słowa skreślone dłonią Ignacego na karcie tytułowej są moją ostatnią pamiątką po miłości, która bezpowrotnie zgasła. Jednak wiem, że jedynym sposobem, by iść dalej w życie, jest zatrzaśnięcie za sobą drzwi. Tyle że ja nigdy nie zapomnę. Ale jest ktoś, komu mogę z łatwością oszczędzić bagażu smutku z potrzaskanej bombami Warszawy.*

*Przecież nie możesz cierpieć żałoby po ludziach, o których istnieniu nigdy się nie dowiedziałeś, prawda, Poldusiu – Bolusiu?*

– Jezus Maria – szepnął Filip. Złapał Julię za rękę i mocno uściśnął. W założeniu chciał jej pewnie dodać otuchy, lecz chyba sam potrzebował jej bardziej.

– Dziadek Bolesław to zaginiony Polduś. Syn Poldka i Heleny – powiedziała wstrząśnięta dziewczyna. – Dlaczego nikt nigdy w twojej rodzinie tego nie pojął? Przecież Krystyna napisała to wprost.

– Wcale nie wprost. Większość wynika z kontekstu, jakiego w pamiętniku nie znajdziesz. Poza tym nikt go przecież nie czytał. Daj mi zebrać myśli. – Filip puścił dłoń dziewczyny i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. – To oznacza... Słuchaj, to oznacza, że jesteśmy spokrewnieni. Jesteśmy kuzynami. Ale jaja. Myślę, że jak to do mnie dotrze, to pewnie się ucieszę, ale na razie jestem w szoku.

– Filipie, sądzę, że umyka ci istota sprawy. – Julia wstała i podeszła do chłopaka. Spojrzała mu poważnie w oczy, a on już wiedział.

– Nasi dziadkowie są rodzonymi braćmi i obaj wciąż żyją – odparł Filip.

W pokoju zapadła cisza, jedynie zza okna dobiegały przytłumione odgłosy miasta.

\*\*\*

Niewielka, zaciszna kawiarenka na Mariensztacie, w której Julia z Filipem spotkali się po raz pierwszy, także teraz świeciła pustkami. Ciepły majowy dzień zachęcał do tego, by usiąść w wygodnych fotelach kawiarnianego ogródka i napić się czegoś chłodnego w cieniu białego parasola, jednak dziadek Marek stał tuż przy płotku udekorowanym niebieskimi bratkami i niespokojnie patrzył w głąb uliczki.

– Dziadku, usiądź. Na pewno zaraz przyjdą. – Julia wsunęła dłoń pod ramię starszego mężczyzny i położyła na nim głowę. – Wszystko będzie dobrze – dodała uspokajająco, choć sama też się denerwowała.

– Kiedyś pytałaś, dlaczego tak się poróżniłem z twoim ojcem. Nadal jesteś ciekawa? Przyznaję, że to było tak głupie, że właściwie wstyd o tym mówić.

– I tak chcę wiedzieć.

– Moja matka, Helena, opowiedziała mi, że dla ojca wskrzeszenie pracowni rękawicniczej po wojnie stało się najważniejszą sprawą na świecie. Mówiła, że w ten sposób budował pomnik swojej rodzinie oraz zapewniał schedę pierworodnemu synowi i żebył zawsze o tym pamiętać. Przysięgałem, że nie dopuszczę do zniknięcia zakładu, i gdy Marcin, twój ojciec, stanowczo odmówił prowadzenia rodzinnej firmy, a ja musiałem ją zamknąć, poczułem się tak, jakby wszystko, co w pocie czoła budował dla mnie mój ojciec, legło w gruzach. Przynajmniej nie obarczyli mnie rodzinnym imieniem pierworodnego. Nie podoba mi się Apoloniusz. Tymczasem...

– Tymczasem to nie ciebie mieli na myśli Helena i Poldek, mówiąc o pierworodnym synu. Dziadku, myślę, że najwyższa pora, żebyś się pogodził z moim ojcem. – Dziewczyna spojrzała na drugą stronę ulicy. – Zobacz, już idą!

Filip uśmiechnął się do Julii, po czym spojrzał na towarzyszącego mu dziadka. Lecz ten jakby nie dostrzegając młodych. Podszedł prosto do Marka.

– Witaj, młodszy bracie – powiedział trzęsącym się od emocji głosem.

– Witaj, starszy bracie. – Marek Malinowski uśmiechnął się i otarł drżącą dłonią zwilgotniałe nagle oczy.

Dwaj starsi panowie usiedli przy kawiarnianym stoliku, a dziadek Marek wyjął z kieszeni kopertę. Wręczył ją Bolesławowi Melnerowi i jakby od niechcenia przytrzymał poznaczoną zmarszczkami dłoń starszego brata.

– To ślubne zdjęcie moich rodziców – powiedział. – Naszych rodziców – poprawił się, a po policzkach popłynęły mu łzy.

– Chodźmy stąd, Julio – szepnął Filip. Wyjął z kieszeni paczkę chusteczek i podał dziewczynie.

– Dzięki – powiedziała z wdzięcznością. – To jest lepsze niż w przedwojennym melodramacie. Swoją drogą, ciekawe, co stało się z Konradem Wernerem.

– Tego nie dowiemy się już nigdy – uśmiechnął się. Poklepał ją po plecach, objął po bratersku ramieniem i spojrzał w stronę Wisły. Rzeki od pokoleń łączącej swoimi brzegami ich dwie zagubione w dziejowej zawierusze rodziny, które na przekór wszystkiemu przetrwały czas niepokoju.

\*\*\*

1946

Tak spektakularnego zachodu słońca jak w Australii Konrad Werner nie widział nigdzie. Czerwona tarcza opuszczała się majestatycznie do oceanu, a on stał na tarasie hotelu i obserwował ją w milczeniu.

– Przypomina zachody słońca w Juracie – powiedział Michał Gutman, stając tuż obok.

– Nie żałujesz, że już nigdy nie wrócimy do Polski? – zapytał Konrad, obejmując go ramieniem.

– Jak mógłbym żałować czegokolwiek, gdy udało nam się odnaleźć? – zapytał.

– Dzięki ci, Boże, za Czerwony Krzyż – mruknął pod nosem Konrad. – A tego, że od jutra nie możesz się do mnie zwracać po imieniu, tylko już zawsze będę Adamem, też nie żałujesz?

– Możesz być nawet tym biblijnym, nic nie robi na mnie wrażenia – roześmiał się Michał.

– Moje życie po Muszkieterach już zawsze będzie w niebezpieczeństwie – ostrzegł Konrad.

– Kto przeżył Warszawę, przeżyje wszystko – odparł Michał i zapatrzył się w znikające w wodzie słońce.

– Helena też przeżyła, wiesz? Ale nigdy nie będziesz mógł się z nią skontaktować. Tego też nie żałujesz?

– Żałuję – odparł Gutman. – Ale to ty jesteś sensem mojego życia. W najśmielszych snach bym nie uwierzył, że moja droga z getta skończy się tutaj, a nie na Umschlagplatzu. I nie zamieniłbym tego na nic.

– Przez ciernie do gwiazdy... ekranu – zażartował Konrad.

– Chyba byłej gwiazdy ekranu. – Michał uśmiechnął się i spojrzał w dół. Nic nie mógł poradzić na to, że za każdym razem, gdy znajdował się w takim miejscu, natychmiast wyobrażał sobie, że stoi na dachu szpitala w getcie i widzi wybuch powstania w promieniach wschodzącego słońca.

To właśnie wtedy powinien zginąć. Mimo to żył. Na przekór całemu światu.

KONIEC

# Spis treści

ROZDZIAŁ 1  
ROZDZIAŁ 2  
ROZDZIAŁ 3  
ROZDZIAŁ 4  
ROZDZIAŁ 5  
ROZDZIAŁ 6  
ROZDZIAŁ 7  
ROZDZIAŁ 8  
ROZDZIAŁ 9  
ROZDZIAŁ 10  
ROZDZIAŁ 11  
ROZDZIAŁ 12  
ROZDZIAŁ 13  
ROZDZIAŁ 14  
ROZDZIAŁ 15  
ROZDZIAŁ 16  
ROZDZIAŁ 17  
ROZDZIAŁ 18  
ROZDZIAŁ 19